twórczość

TWORCZOSC

LIPIEC 1957

bigniew Bieńkowski · Lu-
an Rudnicki · Maria
zczepowska · Jerzy S. Si-
· Stanisław Zieliński ·
an Papuga · Vladimir Na-
or · Jarosław Iwaszkie-
wicz · Jan Wyka

twórczość

LIPIEC 1957 ROK

7

twórczość

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK XIII LIPIEC 1957 NR 7

SPIS TREŚCI

Zbigniew Bieńkowski
NIESKOŃCZONOŚĆ
Str. 5

Lucjan Rudnicki
BREMA
Str. 20

Maria Szczepowska
BOHATERSKI ZEGAREK
Str. 43

Jerzy S. Sito
CHANSON MECANIQUE EIN JÜDISCHES REQUIEM METAFIZYKA ODWROTNYCH PROPORCJI STWIERDZENIA, Z KTÓRYCH NIC NIE WYNIKA
Str. 48

Stanisław Zieliński
HISTRIO, GIBBA
Str. 52

Jan Papuga
NIESZCZĘSNE PORTKI
Str. 67

Vladimir Nazor
WODA
(przełożył *Wiktor Bazielich*)
Str. 75

Wojciech Natanson
Z PROBLEMÓW MICKIEWICZOWSKIEJ DRAMATURGII
Str. 99

Wśród książek

LITERATURA I KRYTYKA — *Janusz Sławiński*
Str. 104

OD „OSTRZA MOSTU" DO „CZASU LOTA" — *Arnold Słucki*
Str. 108

LOT MAKOLĄGWY — *Anna Kamieńska*
Str. 113

TAJEMNICE SUKCESU — *Wojciech Natanson*
Str. 117

DWIE KSIĄŻKI JANA WŁ. GRABSKIEGO — *Stefania Podhorska-Okołów*
Str. 119

MORSTIN OBRONIŁ KSANTYPĘ — *Wojciech Natanson*
Str. 123

REWOLTA INSTYNKTU — *Roman Karst*
Str. 125

NOWELISTYKA STEFANA ZWEIGA — *Marceli Ranicki*
Str. 128

CIEKAWA POWIEŚĆ NIEMIECKA — *Marceli Ranicki*
Str. 133

Na widnokręgu

O POEZJI — *Jarosław Iwaszkiewicz*
Str. 139

PRZEGLĄD PRASY — *Andrzej Kijowski*
Str. 141

KOMU BIJE DZWON? — *Jan Wyka*
Str. 144

PREMIERA GENETA W LONDYNIE — *Anna Bartling*
Str. 148

OBRAZ RUCHU WYDAWNICZEGO W JUGOSŁAWII — *Branko Peić*
(przełożył *Zygmunt Stoberski*)
Str. 150

RADZIECKI PRZEGLĄD LITERACKI — *Józef Spinc*
Str. 152

KRONIKA ANGLOSASKA — *Henryk Krzeczkowski*
Str. 156

O SYTUACJI PISARZY W NRF — *Barbara Rafałowska*
Str. 157

Noty
Str. 160

Książki nadesłane
Str. 170

REDAKTOR NACZELNY:
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewn. 54.
Adres administracji: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Cena numeru zł 10.—. Prenumerata kwartalna zł 30.—, półroczna zł 60.—
Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie Urzędy Pocztowe i listonosze.
Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju za zleceniem wysyłki za granicę udzi
oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych przy „Ruchu". Sekcja E
portu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 8-05-05.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 3606/c z dnia 10.6.57 r.
Nakład 5885/c egz. Druk ukończono w lipcu 1957 r. B-70

Zbigniew Bieńkowski

NIESKOŃCZONOŚĆ

— Allein, was ist Unendlichkeit?

— Wie kannst du so dich quälen!
Geh in dich selbst! Entbehrst du drin
Unendlichkeit in Geist und Sinn,
So ist dir nicht zu helfen!

Goethe

Z każdą chwilą coraz rozleglejsza, coraz bardziej nie do pokonania, nie do osiągnięcia i nie do zgłębienia,
będąca jednocześnie żywiołem, czyli elementem materii, i punktem, czyli elementem abstrakcji,
będąca obszarem, szczytem, poziomem morza, geograficzną głębią i filozoficznym banałem
i już przez to samo chociażby nieodgadniona,
a przy tym ustawicznie przemieszczająca się z jednej strony świata w drugą,
przelewająca się z pojęcia w pojęcie,
wpadająca we wszystkie możliwe ostateczności,
a wzbierająca zawsze tak gwałtownie, tak nieobliczalnie,
jakby kierował nią nie zachowawczy instynkt materii,
ale chimeryczny instynkt (czasu?),
ten węch-słuch-wzrok wypatrujący absolutnej nowości,
gotów wyrzec się wszystkiego dla jednej chwili przyszłej, dlatego tylko, że jej jeszcze nigdy nie było,
pętający i urzekający ją, że jest nie tylko opętana i urzeczona, ale jest samym opętaniem i urzeczeniem,
nagła i oczywista, nieustępliwa i nieustająca, ale tak niedostępna,
jakby nie rozlegała się, ale tylko na mgnienie zatrzymała w przemijaniu przestrzeń między nami.

Olbrzymia, z trudem mieszcząca się w pojęciu ogromu, a jednocześnie drobnostkowa,
zazdrosna o najbanalniejsze uderzenie serca,

podejrzliwa o najzniklejszy błysk inteligencji,
zawzięta w zazdrości, zawzięta w podejrzliwości,
wypatrująca wszystkiego, czegokolwiek, co tylko wzmogłoby poczucie zagrożenia,
to cudowne poczucie wolności wobec dyscyplin i zobowiązań,
na niewidzialnych skrzydłach unosząca się na niepojętą wysokość,
aby wyśledzić każdą myśl, bodaj nieznacznie wychylającą się poza planetę
— a nuż osłabi przyspieszenie ziemskie,
a nuż zmieni kierunek obrotu dookoła słońca,
a nuż, wszystko możliwe, zabłyśnie jak samodzielna gwiazda! —
na bezszelestnych widnokręgach zsuwająca się w podziemne krajobrazy,
wybierająca ze snu jak z gniazda bezbronne, ślepe jeszcze marzenia,
a w zawziętości tak bezwzględna,
że atakująca nie jeden, ale wszystkie zmysły równowagi,
rozszerzająca stan zagrożenia na wszystko, co istnieje,
wdzierająca się nawet do wnętrza atomu,
rozsadzająca spoistość stron świata,
byle tylko być wszędzie, we wszelkiej postaci,
w każdej szczelinie, nawet szczelinie nieistniejącej,
w każdej głębi, nawet głębi pozornej,
na każdej krawędzi, na każdym wierzchołku,
wszędzie, gdzie łamie się ze wzruszenia naiwna, prowokująca pycha materi
jakby chciała zagłuszyć wszelkie wyznanie słabości, gromobicie nieb
i westchnienie ziemi,
jakby sobie uzurpowała prawo przemawiania w imię całego istnienia,
a więc jakby się rozlegała i milkła jednocześnie
przestrzeń między nami.

Z każdą chwilą rozleglejsza o świeżą łunę bijących od niej blasków,
jakby każda chwila otwierała w niej nową, niewypatrzoną jeszcze, a wię
niepokalaną stronę światła,
rozległa tak niepohamowanie, że zda się jeszcze chwila, a wyczerpie si
cały należny jej bezmiar,
rozległa tak intensywnie, że w każdym jej punkcie tężeje do — cóż z teg
że niemożliwej — materializacji kataklizm tym groźniejszy, że niezaznan
abstrakcja,
z każdą chwilą rozleglejsza, coraz bardziej niepohamowana, coraz ba
dziej intensywna
i coraz bardziej — nie mogąc zatrzymać się w jakimkolwiek punkcie poz
sobą, zatrzymująca się intencjonalnie na samej sobie — wibrująca, wir
jąca wokół swojego wyobrażenia o sobie,
jakby była do ostateczności rozmiłowana w sobie,
w sobie, a więc we wszystkim, w tym, czym jest, i w tym, czym nie je
bo niepojęta w takim już stopniu, że niepojęta także dla samej siebie,
kochająca ślepo, ale nie instynktownie, ślepo i bezinteresownie (a wi
jedyną miłością tylko wyobrażalną)
każdą postać światła i każdą postać ciemności,

niepojmująca (bo nie pojmująca niczego), że można uprzywilejować jeden kształt, jedną barwę, jeden dźwięk,
niepojmująca (tak dalece niepojęta), że z niechęci do jednego tonu można okaleczyć gamę czy tęczę,
kochająca więc w sposób tak już doskonały, że nie kochająca wcale,
a tylko ogarniająca sobą wszystkie możliwe treści,
napełniająca nimi wszystkie możliwe formy,
by wszystkie pragnienia mogły znaleźć zaspokojenie, a wszystkie przesyty mogły pragnąć jeszcze,
a więc osiągająca ten ideał, że jest, jakby była rzeczywiście, tym, czym jest, i tym, czym nie jest,
jakby była piekłem i rajem jednocześnie, upostaciowaniem dobrego i złego, a więc ciebie i mnie także,
jakby się rozlegała dla nas, za nas, w nas i poza nami
przestrzeń między nami.

Nieuchwytna, nieodgadniona, niepojęta, a wyobrażalna.
Jedyna absolutna forma poznania nie podlegająca ewolucji.
Istniejąca od pierwszych dni świata, a wciąż nieznana,
za każdym razem zapoznawana i odkrywana na nowo,
przez nikogo nie zbadana jak się należy,
nigdy nawet nie wytyczona do końca,
nie poddająca się żadnej próbie, żadnej spekulacji, żadnemu narzędziu,
zbuntowana nie tylko przeciwko szkiełku i oku, a więc nie tylko przeciwko nadużyciom rozumu,
ale zbuntowana przeciwko analizie jako takiej, przeciwko każdej metodzie rozkładającej zjawisko na elementy proste,
niwecząca sylogizmy, definicje i systemy samym wyobrażeniem swojego ogromu,
nie znosząca żywiołowo, z samej swojej struktury wszystkiego, co upraszcza, ogranicza,
całej szarlatanerii prostoty,
dogmatów i pewników składających się na maszynerię niwelującą myśl
i tego ideału piękna dla szczęśliwych, linii prostej.
Skomplikowana i konsekwentna do ostateczności,
przez samo swoje istnienie z najprostszej rzeczy na świecie robiąca problem nie do rozwiązania,
komplikująca wszystko, szczęście i nieszczęście, spokój i niepokój, życie a nawet śmierć,
która, przynajmniej ona, powinna być po prostu tym, czym jest (a tymczasem... ale to cała historia!),
usiłująca nagiąć wszystko do swojego punktu widzenia, co samo w sobie jest już majstersztykiem niemożliwości,
buszująca po wszystkich filozofiach, jakby to były pliki papieru,
wciskająca się nawet do nauk ścisłych, zmuszająca matematykę do układów nieobliczalnych,

zarażająca swoim widzimisię nawet materię, tak bardzo dzisiaj niezależną i na stanowisku,
mściwa, wyrachowana, niemiłosierna,
kamienująca myśli, wzrok i uszy, które się dla niej zamknęły,
wymagająca jak nikt i nic, żądająca kadzideł, westchnień, zaklęć (w XX wieku!),
despotyczna, nie przebierająca w środkach terroru i pieszczoty,
spoglądająca z góry, pyszna, zła, okrutna,

a tak łagodna, że daje się prowadzić nieumiejętnej ręce poety,
oddana, czuła, wdzięczna za każde słowo, najczęściej niezręczne i przesadne,
przymilająca się, łasząca się, niemal żebrząca o jeszcze jedną niezręczność, o jeszcze jedną przesadę,
zachęcająca do wszelkich możliwych nadużyć stylistycznych,
sprzeczności, nonsensów, pogmatwania związków przyczynowo-skutkowych, braku logiki,
byle ją wyrażać, czyli wyolbrzymiać ponad wszystko!
Zdolna do poświęceń na własną tylko miarę, największą,
gotowa porzucić obszary, głębie, wysokości, te wszystkie wybiegi ogromu i wcielić się w jeden wrzucony między sto innych, niemal niewidzialny i niesłyszalny pytajnik,
który nagle, nie wiedzieć dlaczego, zaczyna lśnić jak najprawdziwszy klejnot
rozgorączkowana, pewna i niepewna siebie, żarliwa, zabiegająca,
jakby na tych kilkunastu linijkach poszarpanych z prawej strony zależało jej bardziej niż na czymkolwiek na świecie,
jakby jej egzystencja bez nich była niedostatecznie niepojęta,
gotowa do rezygnacji ze swojej anarchii, tej wolności w stanie naturalnym,
bo nagle tak zdyscyplinowana, że aż konwencjonalna:

Ja przestaję na małym, blask mi niepotrzebny,
obejdę się bez rymów, nawet bez przecinków,
możesz włożyć mnie między słowa najzwyklejsze,
nie musisz dla mnie zmieniać swojej poetyki.
Jeśli między płatkami róży sen mój składam,
choć sen mam niespokojny jak sen huraganu,
a na mikroskopijnym skrzydełku westchnienia
lecę w nieistniejącą, piątą stronę świata,
to dowód, że nie jestem bardzo kłopotliwa.
Chcę tylko, abyś wtedy, kiedy będziesz różę
obnażał, kiedy nagą w nagości zapachu
obejmował zachwytem i kładł w metaforę,
serce swe całą wieczność kwiata miał otwarte,
wieczność to krótkotrwała, bo przekwitająca,
lecz mnie nie wolno krócej niż wieczność miłować.
Doprawdy chcę niewiele, za całe wyznanie
wystarczy mi westchnienie nie mnie poświęcone,

byleby choć na tyle było rozpaczliwe,
by unieść mogło także mnie, rzecz niemożliwą.
Doprawdy chcę niewiele, za całe wyznanie
wystarczy mi milczenie kilku słów najprostszych,
byle było prawdziwe, takie, co nie kłamie,
że tylko nieszczęśliwa miłość jest szczęśliwa.

Gdziekolwiek jestem, stoję nad brzegiem wezbranego obszaru, o którym nie wiem nawet, czy na pewno istnieje.

Wszystkimi zmysłami, rzeczywistymi, a zwłaszcza urojonymi, odpowiedniejszymi do badania pogranicza nicości,

wychodzę, idę, rozchodzę się, w sobie, przed siebie, poza siebie, we wszystkie możliwe strony

na spotkanie żywiołu, który z każdą chwilą rozprzestrzenia się coraz rozleglej,

jedynego żywiołu, który mnie ogarnia, ale nie ogranicza.

Bezowocne, daremne starania.

A obszar wzbiera nieustannie, coraz bardziej niewątpliwy, chociaż coraz bardziej nieprawdopodobny.

Wzbiera moją o nim niewiedzą.

Wzbiera moim nań uwrażliwieniem.

Wzbiera unicestwiającym mnie zachwytem.

Wzbiera, dochodzi do gardła, do ust, do oczu, do myśli, które beze mnie wymawiają się same,

wymawiają do końca tak jak jeszcze nigdy,

bo z bardzo daleka słyszę, jak głos mój dochodzi do mnie przemieszany z przestrzenią,

jakby z nią razem rozlegał się między nami:

Jesteś najpiękniejszą rybą, rybą piękniejszą od ryby,
pięknem mórz, dla którego brak słów w języku nie wody,
jesteś pięknem kaszalota, tą dumą Apokalipsy,
jesteś inteligencją delfina i skromnością płotki,
jesteś przymierzem starego, nowego i najnowszego testamentu,
jesteś moim pragnieniem,
jeśli woda wypełnia przestrzeń między nami.

Jesteś niezakłóconym lotem ptaka widzianym z lotu ptaka,
jesteś ściągnięciem brwi powietrza będącego w swoim żywiole,
jesteś radością nie schodzącą na manowce, a biegnącą prosto do celu,
jesteś lekkością przejętą, nieskrępowaną, elementarną,
jesteś lekkością będącą tak bardzo samą w sobie,
jak gdybyś nie dwoma skrzydłami, ale dwoma piórami,
jednym wyjętym z ręki Lautréamonta, drugim wyjętym z ręki Przybosia,
zawrotnym piórem metafizyki i ścisłym piórem materializmu

żeglowała po bezmiarze.
Jesteś moim westchnieniem,
jeśli powietrze wypełnia przestrzeń między nami.

Jesteś kwiatem stubarwnym, stuwonnym, stulistnym,
jesteś kwiatem absorbującym cały wzrok i całe powonienie,
jesteś stokrotką autentyczną, jedyną stokrotką, która nie jest dowcipem etymologii.
Jesteś kwiatem zakwitającym wszystkimi porami roku,
wszystkimi porami uroku kwitnienia i przekwitania,
jesteś ubogą wiosną marzącą o bogatej jesieni, latem spragnionym zimy, zimą wspominającą lato.
Jesteś kwiatem owocującym w rozkwicie swojej urody,
jabłkiem dorodnym, czerwonym jak wargi Ewy,
pierwszym owocem drzewa, które wie wszystko o sobie,
pierwszym słowem planety, które ma smak dosłowny.
Jesteś łanem zboża szumiącym w miąższu chleba,
jesteś kwitnącą łąką, olbrzymim bukietem natury,
źdźbłem trawy filtrującym podziemne chmury zapachu.
Jesteś zielenią, bielą, czerwienią i złotem,
tęczą piękniejszą od tęczy, jedyną tęczą jadalną.
Jesteś krajobrazem płynącym mlekiem, miodem i winem nie tylko w przenośni.
Jesteś głodem moim,
jeśli ziemia zarasta przestrzeń między nami.

Jesteś cichym, najcichszym, cichym jak myśl westchnieniem.
Jesteś dalekim, tak bardzo dalekim, że już nierealnym, uderzeniem serca,
wyczekiwanym jak sygnał do złego i do dobrego, do natarcia, do obrony i do umierania,
sygnał wyczekiwany bez nadziei, ale niezastąpiony, bo wszystko od niego zależy:
dopływ tlenu i odpływ dwutlenku węgla,
tkanka rzeczywistości i plazma imaginacji,
czerwone ciałka krwi i czarne ciałka gangreny,
cała struktura nieszczęścia zwana szczęściem człowieka.
Jesteś blaskiem rozjaśniającym najczarniejsze myśli,
gwiazdą wschodzącą raz, dwa, najwyżej trzy razy w życiu,
jesteś żywiołem doprowadzającym do ekstazy każde zjawisko,
błyskawicą rozlegającą się gamą, grzmotem rozbłyskującym tęczą,
jesteś najpiękniejszą i najbardziej beznadziejną formą egzystencji,
jesteś atakiem serca nieustającym,
jesteś nienasyceniem i niezaspokojeniem,
a więc jesteś moim powołaniem,
jeśli krew wypełnia przestrzeń między nami.

Jesteś doskonałością w stopniu najwyższym, jedynym dlań stanie sensownym.
Jesteś pięknem wyeliminowanym przez brzydotę i złem wyeliminowanym przez dobro.
Jesteś jedynym stopem materii i ducha, któremu nie grozi ponowny rozpad, ten koniec świata człowieka.
Jesteś materią w sposób idealny, a więc materią jako taką.
Jesteś duchem kompromisu, a więc jedynym duchem tolerowanym powszechnie.
W drzewie jesteś tym, co, aby istnieć, nie ma potrzeby wzrostu, rozlistniania się, świergotania i rzucania cienia,
w kamieniu jesteś poza wszelkim podejrzeniem o bezduszność i zatwardziałość materii,
w kwiecie jesteś tym, czemu nie zależy na adoracji oczu i powonienia.
Jesteś wrodzoną materii przyszłością świata, która zależnie od tworzywa przerabia ją na — szumiący, milczący, kwitnący — czas teraźniejszy, jedyny wyobrażalny czas nieśmiertelności.
Jesteś tylko w swojej skali, nieporównywalnej.
Jesteś swoim własnym widzimisię, własną przyczyną i własnym celem.
Jesteś warunkiem życia i śmierci, bo wszystko, co istnieje i co nie istnieje, istnieje w stosunku do ciebie.
Jesteś moim przeznaczeniem,
jeśli nicość wypełnia przestrzeń między nami.

Gdziekolwiek jestem,
stoję nad brzegiem wezbranego obszaru — wody, powietrza, ziemi, krwi, nicości,
fale żywiołu to głaszczą pieszczotliwie, to uniżenie liżą mi stopy, to wdzierają się nachalnie do wnętrza najskrytszych myśli.
Jestem całkowicie zdany na ich wolę, humor, roztargnienie.
Postępując krok naprzód czy o krok się cofając nie zmieniam mojego położenia wobec ogarniającego mnie obszaru.
Jakbym sam był brzegiem siebie i obszaru, nad którym stoję,
jakbym sam był własnym progiem, którego przekroczyć mi nie wolno.
Skrępowany w najdrobniejszym geście, w najbardziej zdawkowym marzeniu,
skrępowany tak bezgranicznie, że nawet nie śni mi się zielona granica wolności,
z bałwochwalczą rezygnacją wpatruję się w żywioły,
których nie znam, których nie poznam, których domyślam się tak rozmaicie, że nie domyślam się wcale,
składając im na ślepo to wszystko, czym jestem.
Z żalu nad nieprzekraczalnością siebie,
z żalu czysto teoretycznego, bo nie wypełnionego żadną treścią ani nadzieją,
przeklinam jedyną wolność moją, jedyną radość moją,
próg, którego przekroczyć mi nie wolno,
przeklinam ciało moje,
KTÓRE

Pod ustawicznym obstrzałem pocisków świetlnych, pędzących z szybkością 300 000 km na sekundę,

pod ustawicznym obstrzałem pocisków ciemności pędzących z szybkością tak zawrotną, że nieobliczoną,

wciśnięte pomiędzy sto wirujących, obracających się we wszystkie możliwe strony, mijających się, zachodzących, wpadających na siebie krajobrazów,

mając na sobie wciąż, we dnie i w nocy, czujne, śledzące każdą zmarszczkę na czole, każdy włos (by nie spadł samowolnie), olbrzymie, zawsze otwarte, jakby w ogóle nie miało powieki, oko Opatrzności

(jakżeż wyliczyć wszystkie niebezpieczeństwa atakujące jeden tylko twój zmysł wzroku!),

jesteś, ciało moje, niewiarygodnym okazem utrzymania równowagi i najbardziej solidną podstawą spokoju ducha.

Czymże jest męstwo bojowe, ta ostateczna po wielokrotnych ćwiczeniach próba (uda się, nie uda?) charakteru, wobec twojej stale aktywnej, stale bohaterskiej postawy (i pozycji zarazem) w stosunku do wszystkich elementów, stron i części świata?

Gdyby nie dusza moja, byłobyś, ciało moje, największym powodem do mojego zadowolenia z siebie.

Jesteś jedynym miejscem na świecie, w którym się czuję bezpieczny,

fortecą nie do zdobycia,

arką przymierza nie do sprofanowania,

wieżą z kości słoniowej nie do obalenia.

Niech na całym świecie szaleją najgorsze plagi ludzkości,

za twoją powłoką izolacyjną utrzymującą zawsze, z niewielkimi odchyleniami, temperaturę 37° C

odczuwam ten sam głód, to samo pragnienie, tę samą niezwalczoną potrzebę niewielkiego komfortu,

które mi dają rzeczywiste poczucie niezależności wobec świata.

Jesteś moją ojczyzną, wobec której jak wobec każdej ojczyzny mam oczywiście pewne obowiązki, ale która mi za to jak żadna inna zabezpiecza stan uprzywilejowania.

Żaden inny ustrój nie dałby mi tej odporności, co twój, ciało moje.

W twoim stosunku do mnie, w twoim funkcjonowaniu, w każdym najmniejszym twoim kroku odbija się ten rodzaj humanizmu, na który składają się wieki ewolucji.

W którymż ustroju tolerancja posunięta jest tak daleko, jak w twoim?

Dajesz mi do dyspozycji własne serce, własny mózg, bym przeciwko tobie kochał i myślał, bym cię ustawicznie poniżał w tej mojej, w którą się stroję, pysze ducha.

Jesteś jedynym ustrojem na ziemi zabezpieczającym mi tak szerokie granice wolności, ciało moje!

Tylko dzięki tobie jestem.

Moje anarchiczne pragnienia, powołania, widzimisię, nie krępowane i nie

trzymane w ryzach, rozproszyłyby mnie we wszystkie strony, żebyż tylko ducha!

A potem szukaj wiatru w polu!

Jakimż sposobem utrzymujesz mnie w całości, nie wiem i czyż dowiem się kiedy?

Czyham na najdrobniejszą rysę, szczelinę, by wyrwać się do jakiegoś Paryża wyobraźni i — marzenie największe — odmówić powrotu.

I tak mimo całej dyscypliny ileż zachwytów wymknęło się przez oczy!

Żyją tam gdzieś na końcu świata nierozpoznane i zapomniane.

A straty słuchu, powonienia!

Nic nie ma czystego sumienia, nawet dotyk, tak ściśle z tobą związany, posiadający minimalną swobodę ruchów, niemal trzymany w ręku!

Tylko smak jest zawsze na miejscu, nie dlatego, by się światem nie ciekawił. To nie!

Ociężały, od wczesnego dzieciństwa dotknięty swoją zawodową chorobą, nie wychodzi, ale świat znęca do siebie.

Jak ośmiornica wysuwa macki to po owoce okrąglejące na drzewach, to po jałówki dochodzące na pastwisku, po wszystko w ogóle, co się tylko da ukąsić, zżuć i wessać.

Jego marzenia są osiadłe, nie wymagające fatygi: wchłonąć piekące się na wolnym słońcu stadko baraniny i usnąć pod niebem podniebienia.

Jeden więc smak nie sprawia ci kłopotu i nie naraża na ubytki.

A co robisz, bym ci się nie ulotnił przez oczy, uszy, usta i nie rozsypał między palcami?

A może, o ciało moje, całe życie pracujesz tylko na straty i dniami i nocami w pocie czoła uzupełniasz mnie, bym sprawiał zawsze wrażenie całości.

O, ciało moje, zapracowujący się na śmierć Syzyfie!

Ciało moje, o najpiękniejsze lata mojego życia.

To wy, nogi moje, niosłyście mnie na wymarzone miejsce, jedyne,

gdzie wszystko, niebo, ziemia, powietrze, a nawet architektura, miało proporcje mojej miłości: doskonałe.

To ty, ręko moja, trafiałaś na najbogatsze, do dzisiaj bijące źródło wzruszenia.

Różdżkarzu niezawodny! Twoje odkrycia były zbyt zasadnicze, aby dokonać ich mogła jakaś najcudowniejsza nawet intuicja, ten eufemizm ślepego instynktu.

Twoje odkrycia, ręko moja, nie były sprawą przypadku.

Musiałaś być wyposażona w precyzyjną aparaturę inteligencji, w jakiś wynaleziony dopiero co i nastawiony na największy zakres wrażliwości radar wyobraźni.

To ty, ręko moja, ze ślepej i głuchej materii pożądania wywiodłaś niebo moje i ziemię moją, jedyną stronę świata, gdzie nie czuję się zagubiony,

gdzie wszystko, puls, ciśnienie, temperatura stwarzają mi wymarzone warunki istnienia.

Kiedy z nadmiaru cisnących się treści, z olśnienia ich zuchwalstwem, z prze-

rażenia ich nagością (dopuszczalną w pierwszych dniach świata, ale przecież nie w wieku dwudziestym)
odjęło wam mowę, o usta moje,
usta rozgorączkowane, rozmodlone, w ekstazie adoracji,
byłyście, jesteście jak rozpalony do czerwoności zmysł dotyku idący na kolanach we wszystkie strony twojego ciała.
Dzięki ci za najpiękniejsze pory życia, wiosny, lata, jesienie, zimy, ciało twoje, moje, ciało moje!
Ciało bezgraniczne,
ciało nieodpowiedzialne,
wyniosłe jak gwiazda zaranna,
nagłe jak błyskawica,
ostateczne pocieszenie strapionych,
bezpowrotna ucieczko zbawionych,
ciało twoje, moje, ciało moje!

A przecież wszystko zaczyna się dla mnie poza granicami ust i oczu.
W ślepej i głuchej przestrzeni wezbranego obszaru poza granicami komfortu świata.
Jakby szczęście dawał mi sam głód i samo pragnienie,
jakby nienasycenie i niezaspokojenie było najwyższym stadium ewolucji.
Idą więc oczy. Szczęśliwej drogi!
Idą, pełzną, płyną, lecą wszystkimi środkami lokomocji.
Gdyby mogły, wypłynęłyby do ostatniej kropli, do ostatniej szczypty wiecznego światła,
gdyby mogły, uniosłyby ze sobą źródła i góry wzroku.
Instynkty, zmysły, przeczucia, głody, wszystko, co tylko żyje we mnie,
wszystko, co ma jakie takie podstawy niezależności,
idzie za nimi jak za przewodnikiem na jakąś kosmiczną — ni to migrację, ni to rajzę —
naśladując ptaki, obłoki, morskie fale i lawiny.
Jakbym był i nie był jednocześnie.
Jakbym stojąc na progu siebie stał na tysiącu progów urojeń siebie.
Jakbym był w raju urojenia: wszędzie.
Jakbym sam był tą przestrzenią,
która rozlega się i milknie, rozlega się i zatrzymuje w przemijaniu,
jakbym sam był tą przestrzenią,
która się rozlega między nami.

Między nami, to znaczy między mną i tobą.
Między mną, który jestem istnieniem dosłownym,
a więc krwią, sercem, łzą, westchnieniem, powietrzem,
między mną, który jestem otwartą przenośnią,
niezniechęconym sercem i trzciną myślącą
o tobie, wciąż o tobie...

A mną, która jestem
lotem ptaka, westchnieniem, tęczą, błyskawicą,
i najzwyczajniej w świecie polem, borem, lasem
obchodzę ciebie, siebie, pory roku zmieniam,
reguluję puls źródeł, stawiam strony świata,
wzruszam glebę, by słońce się zakorzeniło,
wplatam w blask astronomii blask inteligencji,
robię wszystko, co można jeszcze zrobić światu.
To ja o świcie daję barwy wszystkim kwiatom,
z pewnością nie tak trwałe jak z tuby Lefranca,
nie musi być Matissem każdy kwiat od razu.
To ja, gdy wschodzi ślepe słońce melancholii,
biegam jak zła nowina i myśli zapalam.
Że nie świecą jak gwiazdy, to nie moja wina,
kto inny lał oliwę, ja jestem zapałką.
To ja, bo któż by zechciał być taki szalony,
na niebotyczne szczyty wchodzę tylko po to,
by zaspokoić czyjeś śmiertelne pragnienie
szczyptą wiecznego śniegu. O pragnienia ludzi!
Cóż zostanie z wieczności, kiedy śnieg roztaje?
To moja dola, jestem na służbie iluzji,
wyprzedzać wzrok o jedną, dwie, trzy chwile światła,
dokonywać na nowo wynalazku tęczy,
powracać w owe formy, w których widnokręgi
nie rywalizowały z ideałem koła,
w których najsłabszy odblask lśnił jak bohaterstwo,
a ogień przypominał los Prometeusza.
Nic jeszcze nie gotowe do przyszłych zachwytów,
oczy piękne, lecz puste, tylko same rzęsy,
krajobrazy poprute, któż je będzie zszywał?
Któż to sprawi, któż włoży w najmniejsze źrenice
świat cały, świat ogromny, świat kwitnący, jakby
swą własną wiosnę miała każda pora roku
i każdej stronie świata własne słońce błysło!
Przewidzieć potop światła, kataklizm koloru,
Belliniego, Van Gogha, Italię i Francję,
przewidzieć potop nocy, impresjonizm ślepych,
potem plamy na słońcu no i wreszcie taszyzm,
o dolo moja, dolo na służbie iluzji!
Wybiegać słuchem naprzód, przed szept, przed milczenie,
słyszeć, co w trawie piszczy, nim trawa urośnie,
być dzisiejszą kadencją jutrzejszych oklasków,
trelem przyszłych słowików z nut dodekafonii.
Nadużywać wciąż prawa łaski akustyki,
drżeć jak membrana echa, że cisza wybuchnie,
że przemówią kamienie, że wszystkie na świecie
usta i uszy, które jeszcze funkcjonują,
od jerychońskiej trąby do morskiej muszelki,

wypełnią dotyczące spraw przedpotopowych
szloch i zgrzytanie zębów. O złoto milczenia!
I być wszystkim, co kaszle, charczy, świszcze, ryczy,
abstrakcyjną melodią muzyki konkretnej,
gdzie andante Mozarta gra cybernetyka,
brzmieć jeszcze tym i owym i brzmieć coraz bardziej,
coraz głośniej, donośniej, rozleglej, nachalniej,
o dolo moja, dolo na służbie iluzji!
A to przecież nie wszystko. Kiedy myśl wybiega
jak dziecięcy latawiec, motyl na uwięzi,
i w swym locie umyślnym tu, tam się zatrzyma
udając, że miód spija z wędrujących kwiatów,
aby powrócić nagle, jakby się paliło,
z najnowszą, wprost ze źródła plotką o potopie,
to dowód, że samotnie swą podróż odbyła
nad oślimi łąkami sielanki. Lecz kiedy
powraca ledwo żywa ze złamanym skrzydłem,
owinięta w skrwawiony łachman metafory,
niezdolna złożyć słowa, monosylabami
błagająca o spokój, wtedy ja z nią byłam,
błogosławieństwo losu, przekleństwo iluzji.
Bo ja myślom rozszerzam granice myślenia,
jak granice fizyki rozszerzam pragnieniom,
wiodę je w niezbadane, niemożliwe strony,
tam gdzie niewyświetlone jeszcze gwiazdy świecą,
tam gdzie rosną trujące grzyby atomowe,
tam gdzie toczą się lawy i toczą się wojny,
tam gdzie droga poznania jest drogą krzyżową.
Ja nie szukam dróg łatwych, pozycji obronnych,
wiodę w nagie pojęcie szczytu i przepaści,
uzbrajam, oczywiście, ale do ataku.
Daję im do rąk gwiazdy dosłowne, przenośne,
od których, gdy wybuchną, grozi koniec światła,
daję im do rąk także wszystkie końce świata,
niechże próbują szczęścia, mają wszystkie szanse.
Więc myśli idą za mną polem, borem, lasem,
lotem ptaka, westchnieniem, tęczą, błyskawicą
i każdą drogą, którą idzie się przed siebie.
Idą tak jak konieczność, gnuśnym nurtem rzeki,
idą jak dyscyplina, w krok kolumny mrówek,
idą jak tyraliera, nerwami ataku,
a niekiedy samotnie; te idą najdłużej,
najdalej, najuparciej, o nich wieść powiada,
że czasem nie wracają, ale to nieprawda!
Wszystkie kiedyś powrócą, z tarczą czy bez tarczy.
Czekają na nie przecież wszystkie słowa świata.
A w dzień powrotu ileż będzie słów szczęśliwych!
Ust zabraknie, by jednocześnie je powiedzieć.

A że nie nadążają rodzić się poeci,
słowa mówią się same, bez ust, bez przenośni,
znaczą tyle, co znaczą, a czyż trzeba więcej?
A gdy wrócą na zawsze wszystkie myśli świata
i wszystkie słowa będą na zawsze szczęśliwe,
może i mnie wymówią pomiędzy innymi,
bo ja jestem tym wszystkim, co chce się wyrazić.
Ja jestem każdą rzeczą, czy mam się wymienić?
I brakiem każdej rzeczy, czy mam się ukazać?
Jestem słowem i ciałem, czynem i marzeniem,
aktem sprawiedliwości i aktem rozpaczy,
i szczęściem, szczęściem wielkim, szczęściem niezaznanym,
ową wciąż niewiadomą X w równaniu serca,
owym znakiem, pod którym kiedyś, przed gwiazdami,
w jakiejś Apokalipsie pisanej ciemnością
objawił się duch światła. Ale to nie wszystko.
Jestem szczęściem w nieszczęściu. Beznadziejną miłość
dobijam miłosiernym uderzeniem serca,
a idąc na dwa kroki przed pługiem niedoli
daję jak dobre rady najgorsze przeczucia,
aby miały czas wezbrać łzy, najcichsze rzeki.
Jestem szczęściem w nieszczęściu, więc szczęściem największym.
Wybijam dno rozpaczy i oczom apatii
ukazuję olbrzymie perspektywy piekła,
nie tylko miłość zdolna jest do wielkich rzeczy,
cierpienie też ma szanse zostać arcydziełem.

Ty wiesz o mnie to wszystko, może więcej jeszcze
— ileż razy się nasze drogi rozmijały,
ileż razy się nasze myśli krzyżowały,
ileż razy się nasze serca werbowały! —
a mówisz o mnie, jakbyś wróżył z czyjejś ręki,
która ma wszystkie linie oprócz linii prostej,
dlatego słowa twoje, zanim je wypowiesz,
należałoby sklepać na jakimś kowadle,
nie każde przecież musi mieć kształt paraboli.
Ty wiesz o mnie to wszystko, może więcej jeszcze,
a mówisz o mnie, jakbyś wróżył z czyjejś ręki
olbrzymiej, prawdomównej i wszystkowiedzącej,
przy tym bardzo wylewnej. Czyżby pod jej skórą
płynęła krew wszystkimi rzekami planety?
Dlatego między nami jest tyle przestrzeni,
która to się rozlega, to milczy, to mija,
dlatego między nami wciąż to samo słowo
zmetaforyzowane nie do rozpoznania
coraz szybciej, zawrotniej, coraz bliżej, szczelniej
okrąża sens swój własny tak jak ziemia słońce,
lecz nigdy weń nie trafia. O, gdyby trafiło!

Byłoby powiedziane do samego końca
wszystko i raz na zawsze. Pomyśl, co by było!
Skończone niepojęte, niemożliwe rzeczy,
skończone niezbadane, niemożliwe strony,
byłyby tylko cztery tak jak cztery kąty,
mieszkałbyś w wyobraźni jak w zacisznym domu,
nic by myśli nie gnało w przeszłość ani w przyszłość,
prowadziłyby ciebie najdalej do piachu.
Znosiłbyś sobie szczęście jak węgiel na zimę,
byłbyś szczęśliwy zawsze, i we dnie, i w nocy,
we śnie i w każdym miejscu, także w niepokoju.
Pomyśl, co by to było! Byłabym nareszcie
rzeczywista jak rzecz i mógłbyś mnie zmysłami,
wzrokiem, słuchem, pragnieniem, dotykiem i głodem
podziwiać jak krajobraz, łamać jak charakter.
Jeśliby jakakolwiek dal pomiędzy nami
pozostała po wszystkich reżimach iluzji,
to byś ją porozcinał i wplótł między śpiewki,
potem by ją do szczętu zdarły megafony.
Najgłębsza myśl by miała dno jak zwykła beczka,
można by do niej nalać wody albo wina,
jeśliby kto utonął, to już nie w domysłach.
Nonsens byłby mielizną w morzu gramatyki.
A to jeszcze nie wszystko, pomyśl, co by było!
Żal byłby krótkotrwały, piekło serca płytkie,
cel mierzono by metrem, tęsknotę — zegarkiem,
smutek byłby drażniący jak zła gra w teatrze,
a rozpacz — no cóż, trudno — zostać by musiała
błędem cywilizacji jak łacha na Wiśle.
O miłości szczęśliwe, zwyczajne miłości,
wasze byłyby czasy! Już by wam nie groził
rywal — nieosiągalne, doskonałe piękno.
Dla was by wszystkie rzeki płynęły w dorzeczach,
dla was by wszystkie góry pięły się do góry
i dla was wszystkie kwiaty za zgodą ogółu
zakwitłyby we wszystkich okolicach świata.

A słowa twoje krążą po zawrotnych torach
wokół mnie, tak jak krążą dokoła słońc ziemie,
i każde z nich, zaledwie twe usta opuści,
już marzy, już spiskuje, że z tysiąca znaczeń
złoży jedno i wtedy trafi w sedno, we mnie.
Niekiedy wyczerpane, już ostatkiem szeptu,
nic niemal nie znaczące, jak myśl o nicości,
a jeszcze krążą wokół mnie z jakąś nadzieją,
że ja im się obnażę, wymówię i olśnię.
Nie wiesz nawet, jak bardzo jesteś bliski celu.
Ty już o mnie wiesz wszystko, bo wiesz, czym nie jestem.

Jeszcze tylko ten jeden ostatni wysiłek,
by ze wszystkich słów świata wybrać to jedyne,
to jedyne, to, które, o, już składasz usta,
a jeśli mnie wymówisz...

Jestem wciąż w tym samym punkcie, a więc w abstrakcji.
Ta sama przestrzeń rozlega się między nami,
huczy morze domysłów,
słowa rozbite, strzaskane, wyrzucone falą leżą w milczeniu
w tym samym punkcie, ani o krok bliżej celu,
który także wraz ze mną, z moim psem, z moim widokiem przez okno
rąży wokół —
a więc mamy wspólne słońce!
Ustami otwartymi na całą dosłowność
wymawiam tysiące rzeczy, zjawisk, imion, ideałów, istniejących kiedyś,
czoraj i wymyślonych dzisiaj,
wymawiam, o nienazwana, wszystko, czym nie jesteś.
A wszystko, co się rozlega, jest niczym wobec tego wszystkiego, co czeka
a swoje brzmienie.
Czym jesteś, jeżeli to, czym nie jesteś, jest nie do wyczerpania, nie do
ymówienia?
Czym jesteś, jeżeli negacja ciebie jest równie niemożliwa jak adoracja?
Czas płynie, burzy się, pieni, rozbija o wciąż jeszcze komfortowe przed-
iurze grożących mi zawsze wszystkich możliwości
— ciało moje, które, jak dobry gospodarz, aby zniechęcić mnie do świata
ewnętrznego, podnosi temperaturę, ciśnienie, przynagla tętno,
grożą mi więc wszystkie konsekwencje domatorstwa.
Oczy, uszy, nos, nawet duch oszczędzają na wszystkim, na głupstwach, na po-
ietrzu, nawet na westchnieniach...
Tylko usta moje mówią, mówią, mówią,
usta moje, weteran mowy.
Mówią trzymając się kurczowo słów, wszystkich słów jak racji bytu.
Usta moje obowiązkowe, dokładne, niezrażone, wzorowe!
Ale wymowa ich coraz bardziej jest niemożliwa.
Zagłusza je każdy zawsze ostatni krzyk techniki, brzęczek cywilizacji.
Usta mówią, lecz mówią coraz ciszej, coraz niewyraźniej,
słowa stają się coraz bardziej nie tylko niezrozumiałe, ale i niepojęte.
Usta mówią, jakby wymawiały nie słowa już, ale ducha słów, tego za-
lętego ducha, który jest zrozumiały i słyszalny tylko teoretycznym uchem.
A więc... O usta Pyrrusowe!

Zbigniew Bieńkowski

Lucjan Rudnicki

BREMA*

Na urwisku morskim w czasie wysokiej fali, na szczycie górskim, gdy chmury spełzną w doliny i zasłonią podgórskie osiedla, urzeka nas piękno kłębiących się obrazów.

Pejzaż wtórny, wytworzony pracą kilkudziesięciu pokoleń ludzkich, nastraja podobnie. Tak nas usposobiło śródmieście Bremy wieczorem w świetle sztucznych słońc, oświetlających mrowie publiczności, fantastyczne złomy starych domów, wyspy zieleni i czerń kopuły niebieskiej. Zagubieni w świecie, jechaliśmy w milczeniu, nie myśląc nawet, jak nas przyjmie nieznana ludzka puszcza.

Przyjęto nas przychylnie. Młoda para emigrantów z ruskiej Polski zainteresowała wszystkich. Gospoda Karwika była ośrodkiem ideologicznym Polaków bremeńskich, a w roku 1907 dużo się jeszcze mówiło w Niemczech o rewolucji, rozpoczętej przed dwoma laty. Zapraszano nas na kufel bursztynowego „bockbieru" do kilku stołów jednocześnie. Gospodarz zastrzegł sobie pierwszeństwo. Zanim staniemy się zwykłymi klientami, jesteśmy jego gośćmi.

Czynności bufetowej objęła żona Karwika, pani Katarzyna, mąż zajął się nami nie przestając bacznie śledzić za porządkiem w zakładzie, jakby nie dowierzał małżonce. Na schludnym stole ukazały się trzy „korny" (żytniówka), trzy pieniące się piwa i specjalność domu: polska kiełbasa. Czy rzeczywiście — zwyczajna polska, trudno powiedzieć, bo któż poznał wszystkie odcienie jej smaku i zapamiętał nazwy. Przecież nawet teraz, w dobie rewolucji, racjonalizacji i normalizacji, zalani jesteśmy kiełbasą o nazwach wszystkich województw i wielu powiatów. Tylko tej właśnie zwyczajnej wieprzowej, bez baraniny, z lekkim zapachem czosnku i majeranku, na próżno byśmy szukali. Znikła razem z burżuazją wiejską i jeżeli ukaże się czasem to jako przejaw zanikającej reakcji. Bremeńska była zbyt tłusta, lecz po niemiecku smaczna, i wyrazy uznania dla pielęgnacji polskości na obczyźnie wypowiadaliśmy bez zapału, ale szczerze. Dobiegała dwudziesta druga i mimo woli myślało się o noclegu. Na obliczu Karwika, okrągłym, obwisłym i skąpo uwłosionym, przejawiła się również troska:

— Słuchaj no, Śródka — zwrócił się do jednego z siedzących przy sąsiednim

* Rozdział z III tomu *Starego i nowego*.

oliku — tam, zdaje się, u Fuchsa jest pokój umeblowany do wynajęcia. loże by zaraz. Towarzysze na stałe do nas, a tu nie ma miejsca.

Mężczyzna w sile wieku, mocno zbudowany, z jasnymi włosami na jeża wąsami jak pod pikelhaubę stanął służbowo:

— Jo zaś pude, *ist das aber zweifelhaft*, uni Poloków nie chcą.

— Jak jakich — odpowiada poważnie Karwik. — To są ludzie z miasta, Warszawy.

Zainteresowanie nami wzrasta. Wszyscy przy najbliższych stołach starają ę ocenić nas, spodobamy się, czy nie spodobamy Fuchsowej. Ocena wyadła dodatnio. Kilkanaście błyszczących par oczu nie odrywa się od szczupj, świeżej postaci Marii.

— Fiks baba! — mówi współbiesiadnik Śródki cicho, ale go wkoło słyać.

— Jo, nie tak jak te nasze z rozepchanymi brzuchami.

Był to stół trzech nierozłącznych przyjaciół, stół jakby firmy: „Madyński, ródka i Bródka". Właśnie pierwszy z nich, z obliczem drapieżcy, człowiek rozmachem, obrastający w pióra, skory do afektów i rzucania groszem, oczerwieniał nagle od jakiegoś porywu. Karwikowa spojrzała na niego, Karwik na nią z niepokojem:

— Słyszysz, Śródka, nie musisz chodzić do Fuchsów. Karwik, nie bedziesz iał kłopotu, jo ich biere *zu*, mom dla nich sztube.

— Nie, nie! — przeczy gospodarz energicznie, patrząc na nas znacząco — a daleko będą mieli do roboty.

— Jo im dam robote, nie muszą zaś szukać!

Spór przerwała Maria oświadczając, że pragnie mieszkać bliżej pani Karzyny. Madyński patrzy na nas zdziwiony i zgorszony, jakbyśmy deptali zczęście. Przychodzi nam na pomoc towarzysz Kupa, rdzenny Ślązak, stary ocjaldemokrata zwalczający polski nacjonalizm dla niemieckiego. Przylgnął o nas słysząc, że pragniemy poznać niemiecki ruch robotniczy i nauczyć ię języka.

— Czy zaś nie lepi, jakby wszystkie dojcz godali?!

Oświadczył teraz, że sąsiaduje z Fuchsami, zna ich od kilku lat i na własną odpowiedzialność bierze nas do nich od razu z rzeczami. Karwik potakująco kiwnął głową.

Rzeczywiście, pani Fuchsowa, zdziwiona na wstępie późną wizytą, po kilku łowach towarzysza Kupy uśmiechnęła się do nas przyjaźnie, ale nie widząc obrączek na naszych rękach spoważniała.

— Nie, nie! — oponuje nasz opiekun — pani Rudnicka, nie panna, z całą pewnością żona tego oto młodzieńca.

Mimo nieznajomości języka zrozumiałem, o co idzie, sięgam do kieszeni po świadectwo, gospodyni uśmiecha się jeszcze serdeczniej. Jest to szczupła, miła brunetka koło czterdziestki i przejawia się w jej obliczu iście macierzyńska tkliwość na widok dwojga piskląt rozpoczynających życie.

— Widzicie... Powiedzcie jej — zwracam się do tłumacza — nas łączy coś więcej niż obrączki, jesteśmy oboje socjaliści...

— Tak tak — uśmiecha się sympatyczna gospodyni. — Co kraj to obyczaj. Naszym socjalistom obrączka nie przeszkadza, nieprawda, panie Kupa?

Towarzysz potwierdził i przetłumaczywszy zdanie, dodał:

— Rozumita, Brema dużo marek wydaje na dzieci polskich dzieuch. Wychowują je dojcz, ale bremeńczycy i tak są złe, podatki rosną.

Pani Fuchsowa, wciąż w postawie przyjaznej, otworzyła nam pokoik o powierzchni jakichś dwunastu metrów, z jednym obszernym łóżkiem, z szafą, stołem, dwoma krzesłami, umywalką. Nawet nasz duży kosz wprowadzał trochę tylko nieładu do idealnego porządku.

Wszystko to włącznie z kawą na śniadanie kosztować nas będzie pięć marek tygodniowo, mniej więcej jedną szóstą zarobku tygodniowego, tyle, ile otrzymuje pomocnik murarski za ośmiogodzinny dzień pracy, a przecież może się zdarzyć robota lepiej płatna. Byliśmy zachwyceni, a podręcznik Olendorfa pomógł nam wyrazić zadowolenie:

— *Sehr schein!* — powiedziałem z wdziękiem, a Maria, zdolniejsza językowo, jeszcze lepiej zastosowała wiedzę z samouczka. — *Wir sind sehr vergnigen* — rzekła z czarującym uśmiechem.

Z kolei gospodyni pochwaliła naszą niemczyznę. Zrozumieliśmy to jedynie z gry jej oblicza. Za to pytanie, o której godzinie chcemy mieć jutro kawę, brzmiało nam prawie po polsku:

— *Um... um... um acht Uhr.*

Warunki mieszkaniowe, na razie, mieliśmy idealne. Gdy pani Emma przychodziła z kawą, zastawała pokój uprzątnięty na wzór jej kuchni. Nawet makatka nad umywalką z napisem: *„Morgenstunde hat Gold im Munde"*, chroniąca ścianę od zapryskania, zawsze była czysta. Małżonka wielokrotnie mnie pouczała, jak się umywać gruntownie „na sucho" — bez chlapania. Uczyłem się szybko i szybko zapominałem. Nie wdrażano mnie do schludności od dzieciństwa i bez ciągłego wychowawczego wpływu Marii nie poprawiłbym opinii bremeńskich Niemek o Polakach.

Ludność niemiecka Bremy nie znała już pcheł, a z pluskwami walczono profilaktycznie jak z cholerą. Nie puszczano nowego lokatora do domu bez zaświadczenia inspektora miejskiego o czystości jego rzeczy. A kto dopuścił się zanieczyszczenia, wyrzucano go z ruchomościami na ulicę i obciążano kosztami gruntownej dezynfekcji.

Zdarzało się to pewno i Niemcom, ale ja trzykrotnie widziałem jedynie Polki, płaczące na chodniku wśród zwalonych tobołów. Gdy pytałem kolegów o przyczynę zawodzenia, odpowiadano mi z obrzydzeniem:

— Bździągwy, jucha, zapuściła!

Jeszcześmy nie zdążyli obejrzeć portów bremeńskich i morza w Bremerhaven, w czwartym dniu po przyjeździe otrzymałem pracę przy murarzach z płacą sześćdziesięciu fenigów za godzinę. Madyński się mną zajął nie zważając na nieufność naszą do niego. Widział przecież, że to Karwik mąci wodę. Ten Karwik, który nigdy jeszcze nikomu nic dobrego nie zrobił. Ni siły, ni serca w tym flaku. A kolega Bródka po pierwszym dniu pracy, przy piwie stawianym przez Madyńskiego w piwiarni polskiej Garusa, współzawodniczącego z Karwikiem, uzupełniał informację:

— On ci zaś, ten kapłun, bedzie obiecywał, a nosa nie wyściubi z bijerhali! Pilnuje kasy i Kaśki.

Ale co tam gadać! Madyński wzniósł kufel pieniącego się piwa za zdrowie moje i mej małżonki. — Zasłużona kobieta, jaka szkoda, że nieobecna. Ale to nic, urządzi się piknik w lesie z kobitami, nieprawda?

Odpowiedziałem mu życzeniem jeszcze większego powodzenia.

— *Die Sache macht sich von selbst* — powiedział Śródka. — Za dwa roki ędzie jego nowy *Haus fertig.*

Gdy wyraziłem zdziwienie: po co mu drugi dom, uśmiechano się z mej aiwności. Nie o mieszkanie chodziło, lecz o duży zarobek na trzypiętrowej amienicy, budowanej przy głównym szlaku komunikacyjnym. Polakom taich budynków nie dają na spłaty. On jest pierwszy, a może i ostatni, umiał ę zakręcić, wziął architekta Niemca na cichego wspólnika...

— To pewno z początku ten architekt wziął was na wspólnika?

— Wszystko jedno, spółka jest zagwarantowana.

— Pół na pół?

— Nawet na ćwierci się zarobi. Jeszcze domu nie wykończą, a już będzie vart dwa razy więcej...

— On ci *ibehopt* z piochu bat ukręci — stwierdzał z zapałem Śródka. — ; nim nie zginiesz. Przez Karwika zazdrość godo...

Wypiliśmy bruderszaft, choć praktycznie sprawę braterstwa przesądzono v pierwszej godzinie mej pracy na budowie. Rozumiałem, że panami tytułovać związkowców nie można i od razu zwracałem się do kolegów per vy. Poza pracą uchodziło to jakoś, ale na robocie zgniewał się tym Bródka:

— O, jo ci ta nasrum, bedziesz mi tu wykoł, co żeś ty jest, *Aktienbesitzer?*

Parsknąłem śmiechem i ucałowałem go w oba policzki.

Tu, przy piwie, dano mi do zrozumienia, że mogę się uważać za trzeciego v ścisłym gronie podwładnych przyjaciół możnowładcy Madyńskiego. Był o zaszczyt rokujący dla mnie wiele w nowym życiu, jeżeli będę wiedział, ; kim mam do czynienia, jeżeli będę swój. Chodziło głównie o zdecydowanie ıntykarwikowe stanowisko. W grę wchodziło współzawodnictwo o panią Katarzynę, ale Madyński pozorował swą nienawiść do Karwika względami deologicznymi. Obaj co prawda jako socjaliści głosowali w wyborach do Reichstagu na niemieckich socjaldemokratów, lecz Karwik, polski socjalista, :zynił to z konieczności, a Madyński jakoby z całego serca, jak przystało na :zeczywistego członka Niemieckiej Socjaldemokratycznej Partii. Widoczne ıyło, że jesteśmy jak rodzeni bracia w przeciwieństwie do Karwika, brata ırzyrodniego wątpliwej wartości.

Utrudzony ponad siły całodzienną pracą słuchałem „internacjonalnych" wywodów obojętnie. Dopiero po żytniówce i dwóch kuflach piwa ujrzałem świat we właściwych barwach: uśmiechałem się drwiąco.

— Ty sie nie śmi — rzekł Śródka podgarniając wskazującym palcem do góry wilhelmowskie wąsy. — *Es geht um Solidarität,* ty nam bedziesz potrzebny, my tobie, roboty — ile bedziesz chciał.

O robotę hilfsbauarbeitera w Bremie w roku 1907 można się było nie martwić. Na kilku przedmieściach, w czystym polu zakładano urządzenia użyteczności publicznej i po zabrukowaniu projektowanych ulic kładziono fundamenty pod budowle. Madyński pełnił funkcję dozorcy robót w spółce, budującej całe dzielnice domów, oddawanych następnie arystokracji robotniczej na ratalne spłaty. Ciężkiej roboty fizycznej dla „pomocników" wszelkiego rodzaju było dużo, ale w większych miastach zagraniczników nie przyjmowano. Walczyły o to dość skutecznie związki zawodowe, w obawie, by obcokrajowcy nie powodowali obniżki płac. Niemcy pełnili funkcje robotników

wykwalifikowanych, lepiej płatne, do robót pomocniczych wystarczała rezerwa chłopów poznańskich, mazurskich, śląskich, rugowanych z ziemi. Byli to obywatele klasy drugiej państwa niemieckiego, choć przepuszczeni przez dryl szkoły pruskiej i wojska pruskiego. Jeżeli kiedy gdziekolwiek obrażono policjanta lub pobito szpicla, sprawcą nigdy nie był Niemiec, rzadko Poznaniak, jeszcze rzadziej Mazur czy Ślązak, lecz przeważnie ktoś „obcy" ze Wschodu. Poszukiwanie przestępcy rozpoczynano wśród nas przede wszystkim.

Jako taki właśnie potencjalny przestępca nie otrzymałbym roboty płatnej po cztery marki osiemdziesiąt fenigów za dniówkę ośmiogodzinną. Tacy mogli mieć pracę na wsi, najwyżej po dwie marki za szesnastogodzinną robotę, lub w najlepszym razie po czterdzieści fenigów za godzinę przy budowie dróg bitych i kolei. Ja miałem poparcie z jednej strony Śródki i Bródki, starych związkowców, z drugiej — wpływowego Madyńskiego, pozostającego na koleżeńskiej stopie z Niemcami, dozorcami robót kanalizacyjnych i ziemnych.

— Wisz — mówił o nim z dumą Śródka — lo niego *ibehopt* wszystko jedno, *platdeutsch, hochdeutsch* czy po berlińsku. Jego nikt nie pozno.

Rzeczywiście, z używania dialektów języka niemieckiego trudno go było poznać, ale sposób jego bycia i postępowania ukazywał w nim z daleka brutalność. Chłopski syn spod Szamotuł, wydziedziczony w wieku młodzieńczym z ziemi i kultury rodzimej, wyzbył się w środowisku obcym wszelkich hamulców, a słabo znając język niemiecki, nie miał dostępu do kultury społeczeństwa niemieckiego. Brał objawy miejskiego zepsucia za postęp i dumny był ze swego stosunku do życia. Krzepa lumpenproletariatu niemieckiego wzorowała się na brutalności junkrów. I rzecz zastanawiająca — bardziej ulegali tym wpływom chłopi polscy niż doły środowiska niemieckiego.

Śródka, Bródka, Nadworny i Królik traktowali lekceważąco kolegów nie biorących udziału w zabawie z panią wizytującą sporadycznie naszą pakownię.

— Takieśta wy, *ibehopt,* chłopy! Ani do sipy*, ani do kobity! — drwił Śródka, a Nadworny dąsał się okrutnie na przyjaciela Królika całe trzy dni i dopiero żytniówka w gospodzie przywróciła serdeczność. Patrząc na to pytam Nadwornego:

— Cóż to tam zgrzytnęło między wami?

— Wisz, zgniwołem się! Przyszedł ci do mnie w niedzielę i całą kieckę moi babie spaproł.

Podobnie między Karwikiem a Madyńskim dochodziło co kilka tygodni do nieporozumień, z tą tylko różnicą, że odnawiana przyjaźń wypływała z oportunizmu. Odczuwało się między nimi zawsze poprawną lodowatość. Karwikowi chodziło bardziej o Kasię, ale myśl o utracie stronników Madyńskiego jako gości swego zakładu również nie dawała mu spokoju. Mówiono, że żadnemu z nich nikt by Kasi nie zastąpił i dlatego wolą trochę niż nic. Takich jak oni żadna by nie chciała. Oczywiście, złośliwa przesada, wynikająca z zadrości o powodzenie materialne. Pani Katarzyna patrzyła na męża nie bez czułości, jak na prawdziwego przyjaciela, była mu wierną żoną i niezrównaną gospodynią, z wyjątkiem trzech, czterech dni co kilka tygodni. W jej uśmiechu, widziałem, tonęły wszelkie zgryzoty. Mąż zapominał o wczoraj i z całkowitą ufnością patrzył w jutro, a Kasia, choć czuła głębokie przywiązanie do

* Szpadel

małżonka, nie miała siły oprzeć się zaborczości Madyńskiego. Coś w rodzaju zapojów alkoholika. Madyński przychodził do gospody Karwików dość często. Przez pewien czas po burzy wszyscy troje zachowywali się względem siebie poprawnie, ale nagle przychodził dzień, kiedy nie można było odszukać ani gospodyni, ani gościa. Wszystko działo się jakoś nieoczekiwanie. Tylko stali bywalcy gospody wiedzieli na pewno, że pani Katarzyna dopiero za kilka dni obsługiwać ich będzie, mizerna, słaba, z żółtosinymi zaciekami na twarzy. Ujrzałem ją w takim stanie po miesięcznym pobycie w Bremie. Posiniaczona, lecz może jakby uszlachetniona krzywdą, znosiła ją z pełną rezygnacji godnością. Była ponad nią wyższa i czułaby się obrażona objawami współczucia. Chciałem je wyrazić na złość Karwikowi, który chodził za bufetem z dumnie podniesioną głową: mam władzę, potrafię jej użyć! Gospodyni udaremniła to wymownie wzrokiem. Wyraziłem oburzenie panu mężowi na osobności wiązanką socjalistycznych morałów.

— Jak wy możecie — kończyłem — przy waszej kulturze (był to człowiek stateczny, rozumny i oczytany) tak postępować? Jeżeli już inaczej nie można, czy nie lepiej się rozejść?

Popatrzył na mnie protekcjonalnie:

— Dużo wy wiecie o życiu, ona ma na mnie wielki wpływ.

Gdy następnie mówiłem o tym „wpływie" wśród kolegów, zganił mnie Bródka:

— Czego ty zaś chcesz, wszystko jest *richtig* i wszyscy mają, co im potrzeba. Kaśka tyle Karwika czuje, co ją wytłucze! Nie znosz go? A przecie i on chce mieć swoją *Freude*.

Po tym zaburzeniu w związku z naszym przyjazdem Karwik miał dłuższy czas spokój. Madyński zajął się gorąco nami i demonstracyjnie starał się zdobyć naszą wdzięczność. Kilka razy trudno się było uwolnić od natrętnego przyjaciela. Dopiero po dłuższym czasie zrozumiał sytuację.

W kilka tygodni po przyjeździe przeprowadziliśmy się do własnego pokoju, odnajętego przez małżonków Porkorskich, ku wielkiemu żalowi pani Fuchsowej, która co do Polaków była jeszcze niezdecydowana, ale o Polkach zmieniła zdanie całkowicie. Towarzysz Kupa mówił mi o tym z radością:

— Jo im zawsze godoł — Poloki *sind sie, ja, ungefähr Deutsche*...

— Dlaczego *ungefähr*? — pytam. — Ja na przykład nie tylko nie odczuwam wyższości Niemców, ale złość mnie ogarnia na widok socjaldemokratów pijących manifestacyjnie piwo na cześć kajzera w dniu jego urodzin...

— O la la! — przerywa mi Kupa. — Widziołeś, że piją, ale nie mówisz, kto stawiał, i nie wiesz, co kto myśloł przy piciu. Jo beł zamknięty *zu* Breslau za strejk. *Am Kaisergeburtstag ich habe Schweinefleisch bekommen.* Nie chciołem brać, zaś ale *Speck fein* pachnioł. Jo zjod i winszował kajzerowi: niech cię zarżną jak te świnie!

Mimo ciepłego, przyjaznego do nas stosunku Fuchsów było nam u nich ciasno. Wiązała nas konieczność ciągłego przystosowywania się do ich sposobu bycia. Duża uciążliwość, zwłaszcza dla mnie po przyjściu z pracy. Nie-

kiedy, całkowicie wyczerpany, pragnąłem odetchnienia przed umyciem się i zmianą odzieży. Było to jednak niedopuszczalne nie tylko dla Fuchsowej, ale i dla Marii, która zresztą skutecznie ukrywała swe niezadowolenie. Dopiero później, później, gdy moja swoboda zaczęła się przelewać przez próg jej cierpliwości...

Ale najważniejszą przyczyną opuszczenia pani Fuchsowej była potrzeba uwicia wyłącznego, osobistego gniazdka. Za taką przyjemność można było zapłacić podwójnie, a sprzyjające okoliczności pozwoliły nam zdobyć pokój z obszerną alkową (sypialnia) za czynsz o połowę mniejszy niż płaciliśmy Fuchsom. W ogóle skromny lokal robotniczy (dwie izby) kosztował wtedy w Bremie około jednej szóstej zarobku niefachowego robotnika. Robotnicy wykwalifikowani, zależnie od liczebności rodzin, mogli sobie pozwolić na wynajęcie lokalu o trzech, czterech izbach.

Pewnego popołudnia, latem, po kupieniu używanych łóżek, stołu, dwóch krzeseł i trzech kuchennych garnczków i po przedstawieniu zaświadczenia władz sanitarnych, że wszystko jest czyste, zajęliśmy piękne poddasze drugiego piętra na Elisabethstrasse 5. Ach, jakież to święto, ile nadziei na przyszłość i ile trwogi. Ruszyliśmy w morze życia na wątłej krypie z poczuciem, że jesteśmy na dużym okręcie, zapewniającym całkowite bezpieczeństwo.

Na ogół nic lepszego nie można było sobie wyobrazić w naszych warunkach. Współlokatorzy traktowali nas przyjaźnie, a nawet, z racji tobołu naszych książek, z szacunkiem. Piskorski pragnąc, byśmy go uważali za towarzysza, maskował się odpowiednio. Był to człowiek wolnomyślny, głosował na socjalistów, a poza tym chciał być wolny od wszystkiego, nawet od obowiązku utrzymywania swego dziecka. Ujawniło się to dopiero później, bo jako tłumacz na okręcie przewożącym wychodźców słowiańskich do Ameryki rzadko bywał w domu. Pochodził z Grójca, budził sympatię całą swą kwadratową, z gruba ciosaną i mocną postacią. Krótko: pociągająca ryfa. Żona jego, Zofia, po skończonym sezonie robót rolnych nie mając po co wracać do Galicji, zawieruszyła się w Bremie, a poznawszy Józka, stała się jego niewolnicą. Niekiedy rozum nawet traciła. Brano te objawy za rzecz naturalną i zrozumiałą.

— Ona go mo za co kochać — informował mnie Środka. — Wisz ty, on jeszcze mocniejszy w sobie jak Madyński, baby za nim piszczą!

Z miłą Zośką, istnym kłębkiem entuzjazmu pochodzącego z zaufania do ludzi i budzącego zaufanie do niej, żyliśmy jak w rodzeństwie i już po kilkunastu dniach znajomości dawała wyraz swego zaufania do mnie zwierzeniami: „A widzi pan Rudnicki, mam period!"

Sąsiedzi niemieccy traktowali nas również przychylnie lub co najmniej obojętnie. Pewną rolę w tym grała moja broda. Uważano nas za Rosjan. W ówczesnym świecie Polska się nie liczyła, a Rosja wzbudzała coraz większe zainteresowanie, podziw i sympatię. Jeszcze w końcu ubiegłego wieku socjaliści niemieccy wraz z Wilhelmem Liebknechtem obawiali się „skozaczenia Europy". Rok 1905 przekonał ich, że nie „skozaczeje", że sami Kozacy nie dopuszczą do tego. Ja, świeżo upieczony esdek, puszyłem się myślą, że idę z Rosjanami ramię przy ramieniu, że jestem członkiem mobilizującej się siły, która przebuduje życie na ziemi do gruntu.

W trzecim tygodniu mej pracy w zespole Madyńskiego znalazłem się jako

in Russe w zabawnej sytuacji, która po kilku miesiącach omal nie wciągnęła mnie na bezdroża. Na teren budowy przyszło miłe dziewczę z koszyczkiem po piasek.

— Dla kanarka? — pyta Królik, a Bródka nie czekając na odpowiedź dodaje:

— Nie lepiej mieć chłopca?

— Lepiej — stwierdza Śródka — ptoszkowi chłopoka nie potrza piosku.

Sypią się aluzje coraz bardziej przejrzyste, dziewczę płonie ze wstydu.

— Proszę poczekać chwilę — mówię oburzony i biegnąc za odchodzącą z pełną łopatą złotawego kwarcu, przepraszam gorąco za wszystkich. Dziewczyna odpowiada wdzięcznym uśmiechem:

— Pan jest Rosjanin, nieprawdaż?

— Nie, Polak...

— Ach, to oni Polacy — wskazuje nieznacznie na mych towarzyszy.

— Niemcy też tak umieją...

— Tak, ma pan rację — mówi dziewczyna i dziękując odlatuje po rumowisku budowlanych odpadków.

Zimą, gdy roboty wstrzymano, wystawałem razem z innymi w porcie czekając na dorywczą pracę przy ładowaniu lub wyładowywaniu okrętów. Najczęściej kiwano palcem na kolegów mocniej zbudowanych, słabsi po kilku godzinach wyczekiwania odchodzili z nadzieją na jutro. Mnie częściej to spotykało niż kolegów. Wracałem do domu czytać Kolba i gotować kapuśniak na wieprzowej głowiźnie. Maria, brzemienna już, pracowała w dużej firmie odzieżowej w śródmieściu. Wychodziła z domu przed świtaniem i wracała wieczorem, najczęściej pieszo dla oszczędności.

W połowie stycznia chwycił mróz. W wilgotnym powietrzu bremeńskim wszystko wkoło, a przede wszystkim drzewa usrebrzyły się fantastycznie. Tak się jakoś lekko oddychało, taka uroczysta cisza zapanowała w przyrodzie i w duszy! Zapach gazety zatkniętej za antabę drzwi wejściowych podniecał umysł, a fala woni sklepu spożywczego, zaopatrzonego w owoce i korzenie kolonialne, wywoływała rumieńce na policzkach, jak pierwsze hausty dobrej kawy. Odprawiony z portu z niczym wyjątkowo wcześnie, kupiłem cukru, ziemniaków, margaryny i półfuntowy kawałek prosięcia z ogonkiem na obiad, spożywany wieczorem po przyjściu Marii. Czasu kilka godzin, a dzień coraz piękniejszy. Mgła uniosła się wysoko, a słońce cedzi przez nią jasne, rozproszone światło i w oczy, i w cały organizm. Z przykrością wchodzę do mieszkania i zdejmując płaszcz w przedpokoju spostrzegam łyżwy, wystające rąbkiem spod szalika na wieszaku. Przymierzam, są do moich butów jak na zamówienie. Bez namysłu, w ciągu pół godziny jestem na plantach bremeńskich, podobnych do krakowskich, jeno upiększonych fosami. Oddaliwszy się kilkadziesiąt metrów od ruchliwej ulicy przecinającej wały, stanąłem na lodzie obszernego stawu, ukrytego w gąszczu platanów, wierzb i krzewów stojących w uroczystej bieli jak czereśnie w maju. Raczej zakątek puszczy ze smugiem pośrodku niż park miejski. Na chwilę unieruchomił mnie zachwyt. Myśl o jeździe na stalowych łyżwach pochłonęła mnie całkowicie. Jeździłem w swoim czasie po Pilicy na drewnianych — własnej roboty, do „prawdziwych" trzeba się było przystosować. Trudno to przychodziło, kilkakrotnie

upadłem, lecz w końcu, z biedą, zdobyłem równowagę. Panowała południowa cisza, byłem sam, nic nie widziałem i nie myślałem o niczym. Wtem mija mnie nagle niewieścia zjawa, okrąża fosę kilkoma susami i z powrotem leci ku mnie. Ktoś znajomy? W tym miejscu? Skąd?... Niespodziewane zjawisko znowu przemknęło obok mnie rzucając jakiś dźwięczny wyraz jak wilga w młodej dąbrowie. Ależ to dziewczyna, którą latem zaopatrzyłem w piasek dla kanarka. Z zaskoczenia począłem się znowu potykać na lodzie bezradnie. *Fräulein* przestała zwracać uwagę na mnie i zataczała coraz bardziej mistrzowskie koła na przeciwległym końcu fosy. Rozwiewała się jej długa spódnica w kolorową kratę, szary, wcięty kubraczek uwydatniał elastyczność ruchów, a barwny toczek na głowie, przykrywając bujne włosy, robił z dziewczęcia w chwilach pochyleń jakby podzwrotnikowego ptaka. Nie, nie umiałem się poruszać w jej obecności, a wszystko — sądziłem — przez nieznajomość języka.

Dziewczyna, pamiętając moją żywość, dziwi się obecnej bierności i dopiero po kilku minutach przelatuje znowu obok mnie, niby obojętnie. Teraz i ja zaczynam się zajmować wyłącznie swą niezdarną jazdą i tak się jakoś potoczyłem, właśnie z powodu nieopanowania ruchów, że omal nie zaplątałem się w jej spódnicy.

— **Często pan tu bywa?**

— **Pierwszy raz dzisiaj.**

— **Krajobraz czarujący, nieprawdaż?**

— *Wunderschein!* — szczęśliwie wyciągnąłem słówko z Passendorfa.

Kilka słów skierowanych do mnie zrozumiałem podobnie, jak się rozumie muzykę. Słuchając krtaniowych dźwięków Niemców nie odczułem jeszcze piękna mowy niemieckiej. Odpowiedziałem w rozdrażnieniu, że jestem zupełnie słaby w niemieckim i jeszcze słabszy w jeździe na łyżwach.

— **Ach, nie szkodzi, pojedziemy razem!**

Skrzyżowawszy ręce ruszyliśmy w nieznane. Biel oszronionych drzew, cisza i bezludzie tworzyły księżycowy nastrój.

Fräulein była typem Niemki południowej. Zawadiackie, brązowe oczy, garbaty nos oraz smagła cera zdradzały zniewalającą zaborczość.

— Żałuję, że pan nie Rosjanin, tak bym chciała poznać Rosję...

— **Kocha pani przyrodę.**

— Ach, nie tylko to... — Mówiła dalej, o co jej idzie, ale tylko częściowo zrozumiałem, i zdawszy się na wyobraźnię odpowiedziałem, że znam nieco ten kraj, a zwłaszcza jego północ, okolice Morza Białego...

— O, to wspaniale! Ma pan dużo do opowiedzenia!

I pojechaliśmy żwawiej, podtrzymując się wzajemnie, ale nie ja opowiadałem, lecz ona. W rzeczywistości rozumieliśmy się doskonale. Jechaliśmy coraz prędzej, jakby w obawie, żeby nam ktoś nie odebrał świata, który braliśmy w wyłączne swe posiadanie.

— Lubi pan jazdę rowerem? Nie ma nic piękniejszego nad rower w okolicy pagórkowatej. W ubiegłym roku byłam w Turyngii u ciotki... Och, wydaje mi się, że zjeżdżam z góry — niosła się w upojeniu i nagle zwolniła bieg. — **Czas na mnie, wracam do domu.**

Odprowadziłem przygodę na Marktplatz do tramwaju. Zamyśliła się, spoważniała, szliśmy w milczeniu. Nie umiałem skojarzyć po niemiecku żadnej

myśli i dopiero gdy wsiadała do wozu, zdążyłem skleić cztery wyrazy w pytanie:

— Będzie tu pani jutro?

— Jeżeli pogoda pozwoli, do widzenia!

Mnie już dawno czas wzywał do porządku. Jak w wieku chłopięcym na lodzie Pilicy nawoływanie matki, tak tu wzywały mnie obowiązki. W Stowarzyszeniu Socjalistów Polskich w Bremie podjąłem się wygłoszenia kilku odczytów o rozwoju kultury. Opracowywałem je na podstawie pracy Kolba i Liperta w przekładach rosyjskich. Właśnie dzisiaj ma się odbyć trzeci z nich, a ja nawet nie zajrzałem do książek. Z tym zresztą, czułem, dam sobie radę, ale działo się ze mną coś bardziej niepokojącego.

Tyle na świecie piękna i tak nam je rabują konieczności życiowe lub przesądy, jak Jehowa zrabował raj małżonkom Adamom.

Przygotowując jednocześnie obiad i odczyt, rozgotowałem ziemniaki na papkę i przesoliłem kapuśniak. Maria chwaliła sobie wszystko, jeno mniej jadła niż zwykle, ale to mogło być wytłumaczone pierwszymi przejawami fizycznymi jej macierzyństwa, a mój niewyraźny humor — bezrobociem.

Na zebranie poszliśmy oboje. Odczyt był nudny i dobitnie dowiódł, że brak odpowiedniego okrzesania nie pozwala przedstawić rozwoju kultury.

Szedłem do domu rozdrażniony i to tym bardziej, im jaśniej przedstawiały mi się argumenty, nie przytoczone w referacie. Złościłem się na łyżwy podsunięte przez „diabła", mniej — na siebie. Maria pocieszała: „Znają cię przecież z lepszych przemówień, za tydzień poprawisz opinię o sobie".

„Przede wszystkim muszę się sam poprawić — pomyślałem. — Co za lekkomyślność, nie idę jutro na ślizgawkę." A głośno, ze złością:

— Opinię łatwiej zaszargać niż naprawić.

— Przesadzasz!

Nazajutrz znowu wróciłem z portu z pustymi rękami i to wcześniej niż zwykle: ostatni przypływ nie przyniósł do Bremy ani jednego okrętu... Wziąłem się w domu do zwykłej pracy. Przeczytałem nagłówki artykułów dziennika niemieckiego i cały rozdział *Historii kultury pierwotnej* Liperta, a chwilę potem wręczył mi listonosz kolejny numer *„Nowej Gazety"*, redagowanej przez Stanisława Kempnera, z odcinkiem *Dziejów grzechu* Żeromskiego. Pod wpływem wrzawy moralistów nacjonalistycznych pochłaniałem każdy nowy rozdział z żarłoczną uwagą i stopniowo stawałem coraz mocniej po stronie pisarza. „Niedorzeczności" uprawdopodobniały rozpacz i miłość Ewy. Teraz oburzyła mnie erotyka Pochronia. — Chorobliwe fantazjowanie — zżymałem się — wszystko ma granice! Nie spotkałem jeszcze w życiu ani Pochroniów, ani Ew zdeterminowanych katastrofalnym losem. Buntując się na psychologię Żeromskiego sam, jak lunatyk, bezmyślnie sięgnąłem po łyżwy na wieszaku i pobiegłem na bremeńskie fosy. Nie zastawszy nikogo bardzo byłem zadowolony. Za to jazda pochłonęła mnie, jak w latach chłopięcych, niosłem się po lodzie z żywym poczuciem skrzydeł u ramion.

Jestem zadowolony ze swej samotności, szeptem rozmawiam z małżonką, ale przemija godzina, dwie, a ze ślizgawki nie schodzę. Włada mną podświadoma nadzieja, trzyma mnie coś na sznurku. Nie bez przyczyny. W pewnej chwili *Fräulein* znowu leci po lodzie jak kraska duktem leśnym, nie spostrzegłem nawet, z którego zagajnika wyfrunęła.

— Dawno tu pan? — I nie czekając na odpowiedź: — Nie sądziłam, że was zastanę.

Zufall, gnädige Fräulein — rżnę z samouczka i zdając sobie sprawę, że to brzmi jak „szanowna pani" na warszawskim Powiślu, brnę w niemczyznę jeszcze „poprawniej":

— *Ich bin jetzt Hafenarbeiter und Arbeit ist nicht da.*

— *Soo!* — Dziewczyna robi wysiłek, by nie śmiać się głośno, ale oczy jej błyszczą zabawą. Mnie to zawstydza i poczyna gniewać: „No, nie znam języka! A ona zna polski?" Niemka poważnieje:

— Przepraszam, bardzo przepraszam, czym się pan zajmował w ojczyźnie?

Zaskoczony niespodziewanym pytaniem, milczałem dłuższą chwilę w zakłopotaniu. „Co to ja głównie robiłem w ostatnich siedmiu latach? Aha! Uniwersytet." Bawi mnie to i wprowadza w dobry nastrój:

— *Ich sitzte letzt drei Jahre in Gefängnis.*

Fräulein spojrzała na mnie jak na Kubę Rozpruwacza, ale widząc w mych oczach wesołe ogniki, bierze moje słowa za żart niesmaczny:

— Niemożliwe, pan żartuje.

— *Es ist wahr, aber ich bin kein Verbrecher, es ist Politik...*

— *Ach so!* — uśmiecha się *Fräulein.* — Pan pewno socjalista. Wie pan, mój ojciec również.

Teraz ja wymawiam przeciągłe *„soo!".* — A więc jesteśmy z ojcem towarzyszami. A pani?

— Ach, ja — cóż, dopiero szkołę skończyłam...

I patrząc na siebie jak dwoje bliskich przyjaciół wirowaliśmy po lodzie beztrosko, aż po pewnym czasie na zakręcie fosy ukazała się brzemienna młoda kobieta, karykaturalnie zdeformowana. Sprawiała to głównie jej odzież, z której widocznie wyrosła, zbyt szczupła już nawet dla niej jednej, cóż dopiero, gdy trzeba było przykryć nią dwoje.

Zatrzymałem się na wirażu razem z partnerką. Współczucie skojarzyło się z obrazem Marii, która w podobnym stanie robiła codziennie po kilka kilometrów pieszo do pracy. Moje zmieszanie zdziwiło dziewczynę:

— Co pana niepokoi?

— *Ach, ich bin leicht, leicht Mensch* — miało być lekkomyślny — *ich muss Arbeit suchen...*

— Nie ma się czym martwić! Wie pan, mój ojciec jest majstrem w fabryce maszyn, przypuszczam, że da się sprawę załatwić.

— Ba, nie jestem metalowcem — odpowiadam chłodno. Jednocześnie zdejmuję łyżwy. *Fräulein* idzie w me ślady upewniając, że nic trudnego nim zostać. Idziemy znowu ku przystankowi, milczymy. I nie dlatego, że nie znam języka. Dzieli nas przegroda.

— Do widzenia! Jutro! Robotę znajdziemy!

Odpowiadam bezbarwnie, wlokę się do domu w rozterce.

Maria przyszła z pracy wyjątkowo utrudzona, lecz w chwili gdy pomagałem jej zdejmować płaszcz, zajaśniała żywą radością:

— Porusza się! O, przyłóż tu rękę!

Słabo odczułem pierwszy ruch naszego syna, lecz wzruszył on mnie głęboko.

— Widzisz, mamusiu, a roboty precz nie ma.
— Nic groźnego, przecież ja pracuję...
Uśmiechnąłem się krzywo. Należało tylko powiedzieć: „Dziecinko, nie daj się wyzyskiwać!".

Byłem sekretarzem Stowarzyszenia Socjalistów Polskich w Bremie. Poza funkcjami oświatowymi ogłaszałem zebrania, odbywające się co tydzień. Na sześciu tablicach w sześciu polskich piwiarniach pisałem kredą daty i porządek dzienny. Jeden z piwiarzy podczas mojej ostatniej bytności u niego spojrzał na mnie szczególnie nieprzyjaźnie. „O kimś innym myśli" — rzekłem sobie, ale po kilku dniach towarzysz Kupa ostrzegł mnie poufnie:
— Nie musisz chodzić do niego *ganz allein*. Mówi, *Dummkopf*, żeś *hochmutig*. Widzisz, *es ist üblich* napić się czego przy pisaniu.
— W sześciu gospodach?
— Boś taki sekretarz, nie czujesz pflichtu...
Należało tę sprawę omówić we wszystkich punktach. Nigdzie nie przyjmowano mnie przyjaźnie. Nazajutrz, gdy się upewniłem, że roboty w porcie znowu nie będzie, ruszyłem z propagandą antyalkoholową do piwiarzy! Przede wszystkim wstąpiłem do Karwika po bliższe informacje i niespodzianie zastałem u niego towarzysza Kupę z obandażowaną ręką. Maszyna stolarska odcięła mu czubek środkowego palca. Zalał już zmartwienie setką żytniówki i witał mnie wylewnie.
Omawiałem z nim niedawno wspólne obejście naszych gospód, aby przekonać niezadowolonych, że nie zarozumiałość, lecz brak czasu nie pozwala mi przesiadywać przy kuflu. Dzisiaj przede wszystkim należało wyszukać obszerniejszy lokal na wiec protestacyjny przeciw ustawie kagańcowej, mającej niebawem wejść w życie, zabraniającej przemawiania po polsku na zebraniach publicznych.
Kupa, warunkujący solidarność międzynarodową pracujących jednym językiem światowym — niemieckim, przejrzał nagle. Teraz właśnie na me zapytanie, jak się ostatecznie ustosunkuje do przemocy, odpowiedział krótko:
— *Übermacht ist Übermacht*, jo jest z wami.
Taka deklaracja i Karwika do czegoś zobowiązywała. Miał on najobszerniejszą gospodę. Spojrzeliśmy obaj na niego. Przy zdaniu: „Robię, co mogę", nalewał trzy średnie, czym wyraził jednomyślność z nami i dał do zrozumienia, że nie należy liczyć na jego lokal. Wypiliśmy nie chcąc z nim całkowicie zrywać i opuściliśmy ostoję polskości bez słowa. Dopiero po kilku minutach w drodze do Garusa towarzysz Kupa rzucił współczująco:
— Grzebie się zaś w piwie jak mucha...
Karwik rzeczywiście przypominał muchę w kuflu w bezsile oderwania się od niego.
Garusa, który przyjął nas spojrzeniem spode łba, ujałem kilkoma szczerymi zdaniami. Misji dokończył Kupa, ukazując piwiarzowi większe zyski niż dochód z podania bomby piwa.
— Słyszysz, Johann, co byś powiedział, jakby ci zabrali interes?
— Spasujesz, zaś by?

— Bierą ci *Muttersprache*, dlaczego nie mogą wziąć bijerhali? *Ubermacht ist Übermacht.* Jest zaś siła, *verstehst du...*

Garus, okazało się, rozumiał niegorzej niż Kupa, a ja ze zdziwieniem patrzyłem na szybkość przeobrażeń pojęciowych pod wpływem gwałtu. Garus oddał swój lokal bezinteresownie na wiec, zanim ustawa kagańcowa wejdzie w życie, a następnie zbieraliśmy się u niego półlegalnie na pogadanki towarzyskie. Przemawiano nie z podium, lecz siedząc przy piwie. Wszystko działo się *„in Ordnung am rechten Orte"*.

A czasy stawały się gorące. Robotnicy Bremy pod wpływem powiewu ze Wschodu zaczęli walczyć o demokratyzację senatu. Pewnej niedzieli kilka tysięcy poważnych mężczyzn, dobrze odżywionych i odzianych, przespacerowało demonstracyjnie śródmieściem, czwórkami, by ruchowi kołowemu nie przeszkadzać. Szedłem i ja w jednej z czwórek, przestrzegając pilnie, jak inni, dystansu od idących przede mną, w myśl rzuconego hasła: „Porządek! Niech burżuazja nie ma nic do powiedzenia!".

Rzeczywiście, nie zarzucano nam nic zdrożnego, nawet straty czasu, bo spacer przy święcie dobrze wpływa na zdrowie, tak niezbędne do wydajnej pracy. Zakończyliśmy demonstrację wiecem w dużej sali, ale nie na tysiące osób, tym bardziej że zastawiono ją stołami z piwem, które obsiedliśmy gęsto. Znaczna większość, dumna ze spełnionego obowiązku, rozeszła się od razu do swych stałych piwiarni. Przemawiał August Bebel i wielu później żałowało, że nie zajęli w porę miejsca przy stole. Stać godzinę, nawet dla usłyszenia popularnego wodza, to zbyt uciążliwe dla socjalisty dobrze odżywionego, któremu się chce pić po dłuższym spacerze.

Bebel, reprezentujący znaną w świecie potęgę, klasę robotniczą Niemiec i jej partię, przemawiał z powagą i swobodą męża stanu wielkiej klasy. Znałem go już od kilku lat jako autora *Kobiety* i różnie go sobie wyobrażałem, ale zawsze z pewną cechą robotniczego wzięcia. Tu zobaczyłem sympatycznego starszego pana z białą głową, brodą, wąsami starannie przystrzyżonymi, w dobrze skrojonym garniturze, w wykładanym kołnierzyku, z czarną muszką, wystającą spod niego. Słowem, typowy fachowiec niemiecki z wyższym wykształceniem, tylko bez szkieł. Całość ujmująca schludnością i czymś, czego nie umiem nazwać, a co skontaktowało mówcę całkowicie ze słuchaczami. Podniosłem się odruchowo na przywitanie tego skromnego gospodarza przyszłych Niemiec i, speszony odosobnieniem, siadłem oklaskując go jeno gorąco.

Przemawiał językiem literackim i tak wyraźnie, że jak we śnie niemiecki przekształcał mi się w polski. Mówił o „demokratycznej" obłudzie senatorów bremeńskich, którzy z nienawiści do postępu nie chcą dopuścić do głosu w senacie przedstawicieli klasy robotniczej, podobnie jak junkrzy w pruskim Landtagu. Przypomniał, że robotnicy niemieccy głębiej niż cała burżuazja odczuwają obowiązki wobec ojczyzny i że właśnie tylko dzięki temu Niemcy stają się przodującym państwem w świecie (ożywione oklaski).

— Mimo wszelkie przeszkody — mówił w tempie zwolnionym — mimo wszelkie brutalności dorobkiewiczów, *jawohl, der Emporkömmlingen* — powtórzył — wielkość Niemiec (szeroki oddech), prawdziwą wielkość budują jedynie robotnicy i oni jedynie potrafią być jej wierną, skuteczną strażą (entuzjastyczne oklaski).

Mnie, młodemu wychowankowi Róży Luksemburg, język ten przypominał

olską Partię Socjalistyczną, ale oklaskiwałem Bebla nie mniej gorąco niż iemcy, w zamglonym mniemaniu, że znany w całym świecie przedstawiciel ocjaldemokratycznej Partii Niemiec skądinąd wychodzi i dokądinąd zmierza.

Fala lekkiego mrozu odpłynęła niespodzianie, podobnie jak przypłynęła. W powietrzu nie odczuwało się ani zimy, ani jesieni, ani tym bardziej przedwiośnia, lecz mokre, oślizgłe zimno, wdzierające się przez lichą odzież i przez andetne mury mieszkania. Przy temperaturze zerowej lub przy trzech stopniach ciepła nie wypadało opalać pokoju, zwłaszcza że nie starczało na dostateczną żywność. W ciągu miesiąca zledwie pięć razy kiwnięto na mnie do racy w porcie. Żywiliśmy się z zarobku Marii.

Rozpoczynały się roboty budowlane, ale funkcja pomocnika murarskiego, d której zacząłem pracę w Bremie i której musiałem się zrzec po dwóch tyodniach, była ponad me siły. Znienawidziłem ją jeszcze bardziej niż młockę epami w Sulejowie. Technika budowlana w Bremie przy budowie dwupięrowych domów na przedmieściach była niższa niż gdziekolwiek w Polsce. usztowanie dla murarzy ustawiano wewnątrz, a materiały, głównie cegłę, oszono po drabinie, ustawionej pionowo przy murze. Dwanaście dni nosiłem ak „steiny" i zawsze, gdy podchodziłem z niecką do drabiny, burzyłem się a niewolę i bezmyślność. Madyński umożliwił mi zmianę pracy. Przeszedłem o robót ziemnych przy kanalizacji. Tu dopiero poznałem rytm zachodnioeuropejskiego wyzysku. Noszenie cegły odbywało się bez przerwy i dość leiwie. Trudno skakać w górę po szczeblach. A gdy murarze zwalniali tempo racy, można było chwilę odetchnąć. Wyrzucanie ziemi przy przodownictwie hłopów poznańskich, po cichu premiowanych, tchnęło muzyką, poezją i podiecającym zapachem potu. Pracowałem w kraju łopatą w różnych okolicznościach niejednokrotnie i nawet nie umiałem sobie wyobrazić takiego łopatianego marszu. Coś jak przeglądowy krok żołnierzy: raz — dwa, raz — dwa. rzy czym „raz" oznaczało wbicie łopaty w ziemię, a „dwa" — wyrzucenie ej na powierzchnię. W przeciwstawieniu do tych dwóch jednosekundowych uchów w Bremie, dokonywałem tej samej pracy w kraju w pięciu ruchach, wających koło półtorej sekundy każdy, gdzie: „raz" oznacza splunięcie w ręe lub odpowiednią pauzę, „dwa" — styk łopaty z ziemią, „trzy" — nadepnięcie opaty, „cztery" — rozmach szpadla i „pięć" — wyrzucenie ziemi z przekopu a powierzchnię. Muszę dodać, że takie rytmiczne „raz", „dwa" trwało w Brenie kilka minut i po pauzie na głębsze odetchnięcie zaczynało się na nowo. alić przy pracy nie wolno, a gdy ktoś, idąc na spacer, nie załatwił się w ciąu najwyżej pięciu minut, dozorca witał go z krzywym uśmiechem:

— No, znowu dziesięć fenigów przes...! Zanadto się starasz (płacono 60 fenigów za godzinę, a więc feniga za minutę).

Robotnik w Polsce przy robotach ziemnych w miastach zarabiał za dziesięciogodzinny dzień około pół rubla, tu za osiem godzin otrzymywał prawie pięć azy więcej, ale co najmniej ośmiokrotnie był wydajniejszy.

Nie widziałem wkoło siebie Niemców. Roboty te wykonywali chłopi polscy rzy odpowiednim pożywieniu. Przynoszono na śniadanie bańkę pachnącej awy, koło dwustu gramów wędzonki lub kiełbasy pasztetowej i koło trzystu ramów pieczywa, w połowie pszennego, w połowie razowego żytniowca. Koło

południa przepłukiwano gardła butelką świetnego piwa albo żytniówką. Obiad po niemiecku obfity w mąkę, tłuszcze i białko. Ja, z osłabionym organizmem (w drugim roku więzienia zachorowałem na wrzody żołądka), nawet połowy tego nie trawiłem, toteż dostosowywałem się do towarzyszy w pracy z nadzwyczajnym wysiłkiem i kończyłem dniówkę resztkami energii. Wydawało się nieraz, że braknie mi sił na dojście do domu, ale magiczne *„Schluss"* odprężało mięśnie, potęgowało wolę. Droga (koło dwóch kilometrów) stawała się wytchnieniem, a zimna kąpiel w balii przywracała optymizm. Po szklance mocnej herbaty siadałem do pisania notując w zeszycie rzeczy najbardziej zajmujące i to, co się mogło przydać do odczytów. Gdyby ktoś z „ofiarnych" widział me wyczerpanie a następnie zobaczył mnie przy książce, z piórem w ręku, mógłby powiedzieć, jak się to często słyszy: „Ten pracuje z samozaparciem". Tymczasem można by mówić o samozaparciu przy pracy zarobkowej ponad siły, gdyby ona nie była koniecznością życiową, ale ta druga praca, skierowana marzeniami ku przyszłości, to już nie samozaparcie, lecz samorozparcie się w rzeczywistości. Realne poczucie rozszerzenia zajmowanej pozycji potęgowało wiarę w przyszłość. Dla tych skrawków czasu, które pozostawały do osobistego użytku, warto było być automatem w ciągu ośmiu godzin.

Robotnicy sezonowi to koczownicy w ustroju kapitalistycznym. Przenosiłem się z przedmieścia na przedmieście trzy razy, aż w końcu jesienne niepogody pozbawiły mnie zupełnie pracy. Odetchnąłem, bo nie miałem odwagi sam podziękować za nią, a pędziłem resztkami już nawet nie sił, lecz woli.

O pracę prostą, najcięższą nie trudno było w Bremie, ale chodziło o coś lżejszego, odpowiedniejszego dla mych nadszarpniętych sił fizycznych. Towarzysz Kupa polecił mnie stolarni mechanicznej, ale nikt nie ustępował z funkcji, która by odpowiadała mym kwalifikacjom. Teraz, gdy byłem na bruku, wykorzystał swą dobrą opinię u Niemców i zarekomendował mnie jako swego kolegę dozorcy dużego składu bawełny w porcie bremeńskim. Praca polegała na zewnętrznym oczyszczaniu brudnych bel, które dopiero po tej kosmetyce szły koleją do wielu ośrodków przemysłu bawełnianego, między innymi i do naszej Łodzi. Była to robota „emerytalna" dla obywateli Bremy, którzy pozjadali zęby w długoletniej cięższej pracy. Spółka akcyjna, ciągnąc duże zyski z transportu morskiego i jeszcze większe z handlu bawełną w całej prawie Europie, płaciła starym pikerarbeiterom niewiele mniej, niż zarabiali robotnicy budowlani. Czułem się świetnie. Wracałem z pracy bardziej ożywiony, niż szedłem do niej z domu. Najważniejsze, pracował w mym zespole tylko jeden Ślązak i trzeba się było porozumiewać po niemiecku, były widoki na szybkie opanowanie języka. Ale... — *Was ist denn?* Między zasłużonymi starymi Niemcami — młody Polak? Ktoś z kierownictwa zaczął mi się przyglądać i tak jakoś w trzecim tygodniu wypłacono mi za ostatnie trzy dni pracy i z miejsca, bez wymówienia, pokazano bramę. Odchodziłem zawstydzony, rzeczywiście postąpiłem bezczelnie, a właściwie poddałem się lekomyślnie bezczelności losu...

Ale nie tylko w Bremie zastawiano mi drogę do awansu i przywilejów. W półtora roku potem przebiwszy się w Sosnowcu przez łańcuch oblężniczy

słynnego Kaznakowa wyjechałem na „dobrowolne" zesłanie do Kijowa. W radykalnym kółku polskiej inteligencji szczerze mnie polubił Rafał Radziejowski, doktor nauk społecznych. Nie mogliśmy się dość nagadać przy spotkaniu. Zawiązało się między nami coś w rodzaju romansu intelektualnego. Właśnie przeczytaliśmy niedawno obaj *Historię kultury rosyjskiej* Milukowa i *Zagadnienia rozwoju monistycznego poglądu na historię* Plechanowa. On bronił „szerszego" poglądu Milukowa, ja — głębszego wniknięcia w historię Plechanowa. Co nie przeszkadzało nam zdeklarować się jeszcze tego samego wieczoru, on z „powrotem do Kanta", ja — do pozytywizmu.

— Nie jakiś tam agnostycyzm, proszę pana, lecz myśli i dążności pozytywne. Same terminy mówią za siebie!

Jednoczyły nas uczuciowo *Hymny* Kasprowicza.

Na wiadomość, że nie mam pracy, Radziejowski uśmiechnął się zniewalająco: jest w przyjaźni z dyrektorem Południowo-Zachodnich Kolei, może mnie urządzić według mego upodobania.

Serce zaczęło mi bić mocniej ze szczęścia. W ożywieniu opowiedziałem coś z humorem o sulejowskich studiach i zgasiłem zupełnie intelektualistę.

— Wybaczcie, piszecie ortograficznie... — zaciął się i dodał dla złagodzenia — po rosyjsku?

Zaproponowałem doraźny egzamin.

Nie. Nawet go dziwi teraz nieopatrzne pytanie, propozycja moja przywołała go całkowicie do porządku. Będzie się widział z przyjacielem w przyszłym tygodniu, niezbędny jest tylko dokładny mój adres. Tak. Zawiadomienie nadejdzie.

Skończyło się sztuczną serdecznością przy pożegnaniu.

Albo inny wypadek. Po dwuletniej służbie w wojsku, w trzydziestym roku życia, przyjeżdżam do Łodzi. Jeden ze starszych sympatyków, jeszcze z czasów pepesowskich, poleca mnie swemu koledze, dyrektorowi łódzkiego oddziału Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń od Ognia. Dzielny i sympatyczny dyrektor nie zraża się brakiem świadectw. Wręcza mi list firmy „Schweikert" z żądaniami, na który mam odpowiedzieć grzecznie, lecz odmownie, w myśl podanych szybko wskazówek. Spogląda na zegarek i wskazuje stół w poczekalni. Zaschło mi w gardle, ale zamiast rozpaczliwego: „Nigdy tego nie robiłem", pomyślałem z rezygnacją: „Co będzie, to będzie". Przeczytałem obszerne pismo dwukrotnie, porównałem z sugestiami dyrektora i zacząłem przerabiać białe na czarne, jasno i z uczuciem, jak odczyt dla związkowców. Po jakichś dwudziestu minutach uśmiechał się do mnie dyrektor:

— Robił pan już takie wypracowania?

— Takie — po raz pierwszy.

— Aha, pisujemy. Widać to. No cóż, brak form i terminologii, ale co do treści — nienajgorzej, nienajgorzej. Hm, dobrze, angażuję pana na miesiąc próbny. Zobaczymy.

Próba wypadła dodatnio. Codzienne ślęczenie nad podręcznikami korespondencji handlowej i gramatyki owocnie uzupełniało praktykę. Braki równoważyły zapał i energia. Stawałem się obiecującym ubezpieczeniowcem. Zadowolony dyrektor pochwalił się mną przed drugim naszym wspólnym znajomym.

— Kto, kto? A, to ten esdecki filozof! — Nie chciał mnie dyskredytować mianem mądrali. — Kto by się spodział! Ma tupet...

A gdy się tylko skonstatuje w kimś tę właściwość, nie pomaga ona już w karierze, lecz wręcz przeszkadza. Od dyrektora powiało chłodem. Okazało się wkrótce, że o wolne stanowisko, poza mną, ubiega się młody fachowiec, który właśnie skończył wyższą szkołę handlową w Brukseli, a w tym wypadku, oczywiście, mimo uznania dla mnie, on ma pierwszeństwo. Potakiwałem szczerze, bo jakoś nie mogłem uwierzyć w ten swój awans.

...I nie jest to jakieś dyrektorskie widzimisię, są konieczności, których nie można ani przezwyciężyć, ani obejść. Ale on to nie szef w zwykłym znaczeniu, lecz jakby starszy brat w licznym rodzeństwie i stara się dla każdego młodszego o tysiącrublowe minimum. I ja nie zginę ze swymi zdolnościami, pomyślał i o mnie. Mogę zająć w dowolnym czasie stanowisko konduktora tramwajowego, dam się poznać i droga do awansu na kontrolera otwarta. Właśnie polecił mnie już dyrektorowi Gerliczowi...

Mój sztywny ukłon i drwiące zmarszczki w kątach ust oraz przykre zdziwienie dyrektora doprowadziły do rozejścia się w milczeniu, bez podania sobie ręki.

Były rzeczy poważniejsze, ale i do nich ustosunkowywałem się z humorem, a w Polsce „niepodległej" w takim wypadku nuciłem w myśli dosadną legionową: *Pan porucznik mnie wspomina...* Będę miał pewno jeszcze sposobność mówić o tym, obecnie muszę wracać do Bremy.

Bremeńscy towarzysze w owym składzie bawełny traktowali mnie od początku z pewnym zdziwieniem, ale przyjaźnie, a przy pożegnaniu nie wyrażali współczucia. Wiedzieli przecież, że czeka mnie w życiu wiele jeszcze różnych wydarzeń i wiele mam do zdobycia.

— Pamiętasz, Jakub, teraz nie to, w jego wieku gorzej nam się powodziło... Tak, teraz świat szeroki, *ales Beste, ales Beste* — życzono mi przy wyjściu.

Towarzysz Kupa bynajmniej się nie zdziwił, ale mocno zmartwił:

— Wszystkiemu winny te przeklęte granice! Jak będzie jedno państwo i jeden język, ludzie odetchną.

Myśl kolegi mało mi ulżyła, dręczyło mnie przygnębienie, jak zły katar, tym bardziej że to coś, dające znaki życia w łonie Marii, coraz bardziej się rozpierało. Piskorska mówiła, że to jeszcze nieprędko, a wierzga dlatego, że chłopak, dziewuchy zawsze w obejściu delikatniejsze. Maria po dość trudnych pierwszych miesiącach, które znosiła ze stoicyzmem, stała się teraz pogodna i pełna optymizmu:

— Nie martw się — powtarzała — damy sobie radę...

Poszedłem ze zmartwieniem do Środki, który po kilkunastu latach pobytu w mieście obrósł w znajomości i powinowactwa. Zastanawiał się przez dłuższą chwilę, a później z wahaniem:

— Wisz ty, mom tu landsmana, *Marmorschleifer,* tam zawsze chłopy potrzebne. Robota ciężka, ale cały rok i pod dachem... Mosz ty zaś ale jaki *Ahnung* o ty robocie?

Zakłopotałem się, ale po chwili odpowiadam wesoło jego językiem:

— Jo, szlifowałem drzewo, umiem polerować...

Kolega roześmiał się sztucznie, podgarnął palcem do góry wilhelmowskie wąsy, spoważniał nagle.

Cóż, nawet taka moja znajomość szlifierki mogłaby mi pomóc, ale tego landsmana nie cierpią czeladnicy, którzy każdy jeden towarzysz i związkowiec, a on o niczym słyszeć nie chce. Gdybym robotę znał, wystarczyłoby jego polecenie, bo to majstrowski faworyt, a bez tego wyćpią mnie po pierwszej próbie.

Wydawało się, że niepotrzebnie o tej robocie mówimy, ale Śródka był dzielnym pruskim żołnierzem. Przemaszerował dwukrotnie pokój, podgarnął znowu kciukiem wąsy i przystanąwszy przy mnie, powiedział tonem rozkazu:

— Bedziesz *Marmorschleifer,* ide z tobą *mit.*

Wytrzeszczyłem na niego oczy.

— *Du bist jedoch in Sibirien gewesen, nicht wahr?* Mimce *schätzen es für eine Ehre...* — wyciągnął ciężki niklowy zegarek z kieszeni kamizelki, spojrzał na niego i nie tracąc słów, wciągał na siebie *„Uberzieher".*

Po jakiejś godzinie pieszo i tramwajem zdążyliśmy do zakładu na przerwę obiadową. Śródka upewniwszy się, że nikogo z przełożonych nie ma, przedstawił mnie dobitnie kilku towarzyszom i przekonywał ich, że powinni się mną zająć. Przerwano mu dowodzenia. Rozumie się samo przez się, tylko... jakże to, taki młody i z takimi zasługami? Mówiono dolno-niemieckim, zupełnie niezrozumiałym dla mnie, Śródka tłumaczył.

— Godają, *du bist Bengel... (nein, nein!* — protestują towarzysze), żeś *Blutjung... also, zu jung...*

Och, zrozumiałem, bardziej niż było trzeba. Pokraśniałem z uszami ze wstydu w swej językowej bezradności i rżnę w końcu z oburzeniem po niemiecku:

— *Ich habe sechs und zwanzig Jahre alt. Ich ist od sechszehn Mitglied sozialistische Partei, ich habe...*

— *Ja, ja, es ist verständlich* — przerywają mi towarzysze, domyślając się z gestykulacji, o co mi idzie. Uśmiechają się i otaczają mnie kołem. — Tak, w rewolucję szybko się dojrzewa — mówi basem szeroka, sympatyczna postać w brezentowym fartuchu.

W myśl krótkiej narady, zgłosiłem się po przerwie obiadowej bezpośrednio do majstra jako fachowiec z Warszawy. Mimo mego niezadowalającego wyglądu, przyjęto mnie na próbę. Kierownictwo planowało sobie większą ilość Polaków dla przeciwstawienia ich organizacji związkowej. Mógł się przydać wszelki kiełbik, jeżeli choć w minimalnym zakresie znał szlifierkę.

Położono mi szeroką granitową płytę na mocnym stole, wskazano kilka odłamków piaskowca, a majster rzekł z uśmiechem:

— *Na, schleifen sie lustig, immer lustig...*

Obejrzałem w zakłopotaniu kawałki piaskowca, zauważyłem różną jego ziarnistość i wybrawszy na wstępie ułamek najgrubszego — zacząłem sprawdzać po stolarsku, jednym okiem prostość płyty, aby wygrać trochę czasu do namysłu nad dalszymi ruchami. Majster patrzył na ten fachowy ruch ze zrozumieniem, lecz drwiąco:

— Proste, proste! Nasze maszyny rżną granit jak drzewo...

Znowu spojrzałem bezradnie wkoło i widząc, że koledzy polewają płyty wodą, rzekłem nieśmiało:

— *Wasser — ich habe nicht Wasser...*

Ktoś pobiegł po naczynie i nie można się było go doczekać. Zniecierpliwiony majster spiesząc ku piłom, zgrzytającym nienormalnie w sąsiednim baraku, zlecił zbadanie mej fachowości jednemu z pracowników. Znał jego „antypolskie" poglądy i był pewny, że raczej nie doceni niż przeceni moje kwalifikacje.

Natychmiast po odejściu majstra zjawia się woda i jednocześnie trzech kolegów staje przy mym warsztacie z zakasanymi rękawami. Uśmiechają się, klepią mnie po ramionach i szorują razem ze mną piaskowcem po granicie.

— *Gut, gut!* — dogadują zachęcająco. — *Du hast jedoch Ahnung...*

Po kilku minutach odchodzą do swych stanowisk, a ja już sam jadę kamieniem po płycie zamaszyście i na okrągło, od końca do końca. Jadę *„lustig"*, jak chce majster, tym bardziej że bratnia przyjaźń towarzyszy podwaja me siły i sprawność. Gdy po pewnym czasie mistrz znowu zaszedł, miałem już w rękach piaskowiec o drobniejszym ziarnie. Nie podszedł do mnie, z daleka było widać, że daję sobie radę.

Zastosowałem się do wskazówek kolegów i wykonywałem w ciągu ośmiu godzin to mniej, to więcej niż praktykowana norma. Płacono mi cztery marki za dniówkę z obietnicą stopniowej podwyżki do sześciu — jeżeli się wykażę dokładnością i wydajnością w pracy. Towarzysze uśmiechali się zjadliwie:

— Chce się wymigać obietnicą! Nie martw się, chłopie, już my go przypilnujemy.

Pracowaliśmy w oparach wilgoci. Woda przedostawała się do kolan nawet przez brezentowe fartuchy i przesiąkała z wierzchu do trepów o drewnianych podeszwach, które miały izolować od niej stopy. Ciągły ruch ramion z naciskiem na granit rozgrzewał cały organizm jak lipcowe słońce. Widziało się parowanie ciała i czuło się je powonieniem. Przy takim intensywnym spalaniu trzeba było duża paliwa. Przynoszono z domu chleb i wędliny, ale z licznego zespołu prawie połowa przygotowywała sobie na miejscu koninę z cebulą na wzór befsztyka. Jedzono obficie i popijano kawą, piwem, a nawet gorzałką. Smakowity zapach rozchodził się w przerwie obiadowej po całym zakładzie i przekształcał się stopniowo w czasie poobiednim w przykry odór bawełnianych roboczych spodni. Moje pożywienie, sprowadzające się do czarnej kawy, pieczywa z margaryną i jakichś stu gramów wędliny, budziło współczucie towarzyszy.

— *Du bist Stiefmutter deines Magens!* — powiedział mi krępy, czerstwy i silny towarzysz Bloch, będący już po sześćdziesiątce i nie stroniący od siwuchy.

— Dobrze ci gadać, jak wcale nie masz żołądka — odpowiedział za mnie kolega Szuster, który jadał niewiele więcej ode mnie. I zaraz ze śmiechem ustalono, że większość rzeczywiście nie miała żołądków, odczuwała jedynie łaknienie i sytość. Otóż, mimo wszystko, dorównywałem zdrowym, dobrze odżywionym towarzyszom w jakości i wydajności pracy tylko dlatego, że czułem się otoczony przyjaźnią jak w rodzinie.

Wykończamy partię parapetów do jakiejś monumentalnej budowy. Pośpiech. Kierownictwo, niepokojąc się o terminowe wykończenie, częściej zagląda do szlifierskich baraków. Jego nerwowość udziela się załodze, zainteresowanej dobrą opinią zakładu. Krótka wspólna narada stwierdza, że nie wykonano w ostatnim miesiącu ustalonego minimum, co musi być wyrównane obecnie. I ja poczuwam się jakoś do dziwnej dla mnie solidarności z właścicielami za-

kładu. Pospieszam z robotą i, jak robotnicy słabsi, pracuję nerwowo, to prędzej, to wolniej niż inni z zespołu. Wózkiem biegnącym po szynach wzdłuż warsztatów przywożę dużą płytę i tak niezręcznie nią manipuluję, że pęka na dwoje. Najbliżsi patrzą na to nawet z oburzeniem, ale tylko chwilę. We czterech przekładają stos płyt tego samego rozmiaru, kładą na dnie pękniętą i przywożą mi następną z wierzchu. Po dwóch dniach majster doszukiwał się przyczyny defektu bez skutku. Ludzie, z którymi porozumiewałem się z trudnością, byli mi bliżsi niż rodzeni bracia o zacofanych poglądach.

Na tej podstawie w pierwszych latach pierwszej wojny w dyskusjach z polskimi stronnikami Mikołaja II gorąco broniłem kultury i humanitaryzmu ludu niemieckiego. Nawet zniszczenie Kalisza trudno mi było przypisać zbrodniczemu okrucieństwu militarystów. Nie wierzyłem, że żołnierze niemieccy, w znacznym odsetku robotnicy, na rozkaz biegli z krzykiem przebijając bagnetami bezbronnych, uchodzących spod bombardowania. I oto walcząc z niewolą i z grabieżą niemieckich władz okupacyjnych znalazłem się jako „wróg Niemców" w obozie koncentracyjnym w Havelbergu. Nie był to Oświęcim drugiej wojny, niemniej obszerne wzgórze piaszczyste, sąsiadujące z obozem, pokryło się gęsto mogiłami... Streszczam się. Z całego bukietu zbrodniczej brutalności przytoczę drobne wydarzenie, które mi jasno uzmysłowiło, jak się urabia „duszę militarną" kultem rozkazu.

Poszliśmy w kilkunastu na ochotnika do lasu ukopać pni sosnowych na własny użytek. Konwojował nas krzepki i sympatyczny podoficer, w sile wieku, z dwoma starymi pospolitakami. Podczas godzinnej drogi do poręby, w ożywionej rozmowie z nimi, ujawniło się, że wszyscy trzej są socjalistami, a kapral należy nawet do frakcji „Spartakus". Rzeczywiście, wyróżniał się głębszym wyrobieniem społecznym i wyższym poziomem kulturalnym.

Wspaniała kolumnada lasu, ozdobiona po wczorajszym deszczu gamą szarozielonych mchów, tonęła w oddali w niebieskawej mgiełce. Wyniosłość stuletnich sosen, bogactwo barw, upajające powietrze i konwojenci, którzy z racji służby mieli być naszymi wrogami, a okazali się braćmi, wszystko to napełniało nas radosnym optymizmem. Szliśmy z wesołą ludową piosenką, której zwrotki układali towarzysze w marszu:

...Pan Lachowski dobry nasz, dobry nasz,
Zacznij no z nim, to skonasz, to skonasz, bęc...

Śmiechu i zadowolenia, mimo puste żołądki, było wiele, bo większość jeńców w tym świetnym nastroju zdobywała się kolejno na nową zwrotkę, charakteryzującą kogoś z władz obozowych lub wielkorządców baraku. Żeby i konwojenci mieli przyjemność, literat Henryk Stein, pseudonim Kamieński, tworzył na poczekaniu niemieckie kuplety na modłę: *Wir sitzen herum den Tisch* lub *Alle Leute sind dumm, nur der einer Hauptmann nicht,* powtarzane chóralnie.

Wykopywanie pni kipiało. Kapral stwierdzał, że zrobiliśmy więcej w ciągu sześciu godzin niż jeńcy — z przymusu, pod pałką, przez trzy dni. Wracaliśmy zmęczeni, głodni, ale weseli i zadowoleni z konwojentów przede wszystkim.

Przypominaliśmy sobie propagandę rewolucyjną wśród żołnierzy rosyjskich w roku 1905 i dochodzili do wniosku, że, przy znacznym odsetku socjalistów w armii niemieckiej, skutek będzie nieporównanie wydatniejszy.

— *Halt* — rozlega się komenda. — Dziesięć minut odpoczynku.

Siedliśmy na rozległej polanie, w otoczeniu bezlistnego jeszcze podszycia leszczynowego, które z respektem ustąpiło na kilkanaście metrów wkoło przed cieniem rozłożystego dębu. Jeden z nas, romantyk z usposobienia, szukający wszędzie samotności, siadł na uboczu pod jedynym krzakiem jałowca. Rozmawiano ze sobą i z konwojem głośno, wesoło, jak stado wróbli w marcowym słońcu w kałużach topniejącego śniegu. Wtem rozlega się głośne wezwanie kaprala w tonie nieoczekiwanym:

— *Achtung!*

Poderwaliśmy się, zdziwieni tym wrzaskiem. Ktoś wykrzyknął nawet drwiąco: *„Was ist den los?"*. Poeta pod krzakiem marudził, kapral odczekawszy moment rzucił się niemu:

— *Na, raus!!*

A gdy jeszcze nie było skutku, ruszył na niego rozwścieczony z nastawionym bagnetem. Marzyciel, przerażony krzykiem i żołdackim wzrokiem, powstając zdążył się instynktownie odchylić i bagnet ugrzązł nie w brzuchu, lecz w pole marynarki. Rzuciliśmy się na ratunek towarzyszowi w przekonaniu, że jest jest ranny, lecz pospolitacy podnieśli broń do strzału, a kapral prowadząc „opornego" krzyczał głośno: „Stać! Ani kroku!".

Ruszyliśmy ku obozowi w milczeniu, przybici utratą nadziei na rychłą rewolucję w Niemczech, zawstydzeni przynależnością do gatunku ssących, w którym powstają takie okazy. Kapral wydawał się również zawstydzony, ale gdy ktoś, mniej taktowny, ku ogólnemu naszemu oburzeniu rzucił w jego stronę:

— No i co, zamordowalibyście bezmyślnie towarzysza! — kapral odpowiedział bez namysłu:

— Dyskutuje się na zebraniu partyjnym. Na wojnie obowiązuje rozkaz.

Przywołuję się do porządku.

Już w końcu pierwszego tygodnia pracowałem jako fachowy szlifierz, ku zadowoleniu własnemu, towarzyszy i majstra. Zwłaszcza towarzyszy. Z dumą przedstawili mnie działaczom związkowym, a ci dowiedziawczy się, że jestem z partii Luksemburg i Marchlewskiego, oświadczyli, że będą mnie powoływać dorywczo do pracy propagandowej i organizacyjnej wśród Polaków pracujących w okolicach Bremy. Rzeczywiście, pewnego dnia koło godziny dziesiątej zjawił się w zakładzie funkcjonariusz związkowy i zażądał mego zwolnienia z pracy na cztery godziny. Koledzy patrzyli na majstra drwiąco, a on na mnie — ze zdziwieniem i złością: oto, jakiego Polaka sobie zaangażował! Ale rozumiejąc wyższą rację stanu (chodziło o likwidację strajku no i o usługi, które i jemu działacze związkowi świadczyli), przyjął żądanie bez oporu.

Pojechaliśmy samochodem na północne peryferie miasta, znacznie oddalone, gdzie prowadzono wielkie roboty komunikacyjne, rozszerzając je i przerabiając na dwupoziomowe. Na dużej płaszczyźnie widać było to sztuczne wzgórza ziemi i betonu w postaci nasypów i wiaduktów, to głębokie wykopy, uzbrojone szynami. Szósty dzień stwarzania świata, tylko bez ludzi, głównie

chłopów polskich, którzy zastrajkowali „dziko" i nie można ich było przekonać językiem niemieckim do podjęcia pracy. Zarabiali o połowę mniej niż w mieście, żądali dwudziestopięcioprocentowej podwyżki. Z inspiracji związku dowodziłem im po polsku, że Niemcy to państwo wysoce praworządne, że robotnicy, bez względu na pochodzenie, wyznanie i płeć, mają prawo do organizowania się i strajku, ale pod kierownictwem związku. Strajk „dziki" podkopuje siły klasy robotniczej, a, co najważniejsze, niewłaściwie przygotowany, nie może osiągnąć celu. Trzeba najpierw zaprowadzić solidarność robotniczą. Tu zakomunikowałem ściszonym głosem, poufnie o werbunku łamistrajków w Bremerhaven i o groźbie wydalenia z pracy wszystkich strajkujących. Powstało zamieszanie, nienawistne okrzyki pod adresem związku, solidaryzującego się z zarządem robót. Dopiero po kilku minutach zdołałem przekrzyczeć protestujące głosy optymistyczną perspektywą. — Macie wielką przyszłość — krzyczałem — jeżeli zapiszecie się wszyscy do związku, bo tylko władze związkowe wiedzą, kiedy zastrajkować, żeby na pewno wygrać...

Nastrój był ponury. Z kilku punktów ciemnego, zadymionego baraku niosły się w dalszym ciągu drwiące głosy.

— Tak, *richtig!* Z dwóch marek daj mu jeszcze trojoka na kałdun!

Robotnicy rozchodzili się w przygnębieniu, graniczącym z rozpaczą. Tylko groźba deportacji do „ojczyzny" powstrzymywała ich od rozprawy z delegacją związkową. Jakiś parobczak pod wpływem żytniówki śpiewał melancholijnie:

Pływoj, dziecie, pływoj
Po ty wodzie gładki,
Nie znało żeś ojca,
Nie znoje i matki...

Wsiadaliśmy do oczekującego nas samochodu z powagą przedstawicieli przyszłego, sprawiedliwego rządu, ale robotnicy odprowadzali nas wzrokiem nienawistnym, jak panów urzędników związkowego amtu przeciwstrajkowego.

Był to pierwszy i ostatni wypadek mego uczestnictwa, podobno skutecznego, w likwidowaniu strajku. Otrzymałem za to piętnaście marek.

Udział w uświadamianiu niezorganizowanego żywiołu polskiego podniósł mą powagę w oczach kolegów, a nawet majstra. Podwyższono mi płacę dzienną o całą markę i może nawet przeszedłbym na robotę galanteryjną, znacznie lżejszą i lepiej płatną, ale w fabryce stolarskiej zawakowało nareszcie stanowisko pomocnika stolarskiego, zastrzeżone od trzech miesięcy dla mnie przez towarzysza Kupę, cenionego w stolarni. Płaca na razie niższa, ale z możliwością awansu. Dla mnie najważniejsze: zaoszczędzałem trzy godziny czasu, zużywanego na dojazd do szlifierni i z powrotem, co umożliwiało mi zapisanie się na kurs języka niemieckiego w bremeńskim Bildungsvereinie. Wszystko układało się jak w marzeniu. Zdobyłem nowy zawód. (W świadectwie mówiło się o pracowitości i wyrobieniu fachowym.) Zadatkowałem samodzielny lokal w pobliżu stolarni. Zwolniwszy się na tydzień wcześniej dla załatwienia różnych formalności, byłem na pierwszej lekcji, gdzie sympatycz-

ny starszy profesor przyjął mnie z iście ojcowską przychylnością. Odczuwałem z wdzięcznością, że to dla mnie wymawiał on każde słowo tak wyraźnie, jakby mówił po polsku.

Z cichą radością wyobrażałem sobie powrót do kraju po jakichś dwóch, trzech latach, z pogłębioną wiedzą o świecie, z oknem otwartym szeroko na Niemcy, które mimo wstecznych machinacji junkrów idą i będą szły na czele postępu. Urzekał rozmach rozwojowy Niemiec. Ogromne wkłady w budownictwo, w koleje, w ulepszone nawierzchnie drogowe, w rolnictwo, na znacznych obszarach warzywne i owocowe. Brakowało niemieckich rąk do pracy. Na budowach i w polu roiło się od polskich chłopaków i dziewuch. Własne mieszkanie przekształcało mnie z obieżysasa, pracującego co sezon gdzie indziej, w stałego mieszkańca Bremy. Wchodziłem na obywatelską listę podatników. Wznosiłem się kulturalnie od koczownictwa do stanu osiadłego. Co prawda, będąc koczownikiem lepiej znałem literaturę i sztukę niemiecką niż większość robotników Niemców z mego otoczenia, ale co innego znać coś z przekładów, a co innego poznać realne podłoże, z którego kultura wyrasta. Towarzysz Kupa kilka razy dowodził:

— Zaś jak chcesz poznać Mimców, sam musisz *etwas deutsch sein*...

W trakcie tych optymistycznych rojeń w pierwszych dniach marca roku 1908 dobiega mnie z Krakowa sygnał trąbki partyjnej. Otrzymuję krótki list od Adolfa Warskiego, brzmiący jak rozkaz:

„Drodzy, jesteście nam potrzebni. Likwidujcie swe bremeńskie stosunki i przyjeżdżajcie do mnie jak najprędzej. Przypuszczalnie uda wam się to załatwić w ciągu tygodnia, powiedzmy, dziesięciu dni od daty otrzymania niniejszego. Nie przesądzam, jednak im prędzej, tym lepiej. Jeżeli nie rozporządzacie dostateczną gotówką, jedźcie do Berlina, Scharnhorststrasse 15, Julian Kaliszer, student. Polecono mu już ewentualne przetransportowanie Was do Krakowa. Najważniejsze omówimy na miejscu. Bywajcie oboje!"

Patrzyliśmy na siebie dłuższą chwilę niemo i przypieczętowaliśmy propozycję jednomyślnie mocnymi pocałunkami.

Lucjan Rudnicki

Maria Szczepowska

BOHATERSKI ZEGAREK

Mojej Siostrze

Zegarek ten kupiłem za pierwsze zarobione pieniądze. A, wstyd się przyznać: pierwsze pieniądze zarobiłem mając lat dwadzieścia dziewięć — prawie trzydzieści. Nie były to zresztą wielkie pieniądze — co zarobiłem, wszystko wydałem na ten właśnie zegarek, a jak pan widzi, jest to zupełnie brzydki, kuchenny budzik. Albo się śpieszy, albo późni, dzwoni nie zawsze w porę, ale za to natarczywie, staje, kiedy mu się podoba, i cyka bardzo głośno. Mimo to lubię go, nawet jestem do niego bardzo przywiązany.

Jeżeli ktoś zarabia pierwsze pieniądze w trzydziestym roku życia, nie mając w dodatku żadnego majątku, prawdopodobnie jest wykolejeńcem. Skoro już zacząłem, muszę mówić wszystko. Przez sześć lat utrzymywała mnie moja żona, a ja robiłem co mogłem, żeby nie wiedzieć, ile ją to kosztuje. Ciągnąłem studia w nieskończoność a wieczorami, kiedy opowiadałem jej o moich rozterkach wewnętrznych, biedaczka zasypiała ze zmęczenia.

Ocknąłem się wreszcie, zebrałem w garść i przyjąłem pierwszą lepszą pracę, jaka mi się trafiła. Zostałem lekarzem w małym wołyńskim miasteczku i za pierwsze zarobione pieniądze kupiłem ten właśnie budzik. Postawiliśmy go na półce w kuchni i żona powiedziała.

— Widzisz, Zbyszku, gdybyś chciał, mógłbyś doskonale być głową rodziny. Dumna jestem z ciebie.

Ale ja nie byłem dumny, byłem smutny. Przeczuwałem, że od chwili, w której odzyskałem siły, życie będzie żądało ode mnie ciągle czegoś nowego. Nie paliłem się do ofiar. Kolego, zacząłem siwieć w dwudziestym czwartym roku życia i domowe ciapy bardziej pasowały mi do nóg niż ostrogi.

Żona chciała mi dodać otuchy i bardzo chwaliła ten budzik, że taki dobry, że taki miły, że taki pożyteczny, a wszystko to miało znaczyć, że gdybym ja chciał, mógłbym być zupełnie normalnym człowiekiem. Nie mogła jednak ukryć pewnych narowów brzydkiego zegarka.

— Czy wiesz, jaki on jest śmieszny? — powiedziała mi kiedyś. — Nie stanie, dopóki sam jest w mieszkaniu. Już to parę razy zauważyłam. W samotności cyka bohatersko. Staje dopiero wtedy, kiedy zobaczy, że już wróciłam z miasta i mogę podkręcić wyczerpaną sprężynę.

— Co też ty pleciesz! — żachnąłem się. — Kiedy bohaterski zegarek zobaczy, że ty wróciłaś z miasta... Przecież jesteśmy przy zdrowych zmysłach.

Żona nic nie odpowiedziała. Ja też nie chciałem ciągnąć dalej tej rozmowy. Wiedziałem, że między nami coraz częściej będzie zapadać przykre milczenie.

Nie, kolego, to nie jest miła rzecz, kiedy w małym, powiatowym miasteczku żona pana zacznie romansować z kimś innym. Moje szczęście, że wiedziałem przynajmniej połowę tego, co moi sąsiedzi. W takich wypadkach zwykle mąż dowiaduje się ostatni wszystkiego od razu.

Minęło parę lat. Byłem już znanym doktorem i miałem pokaźną prywatną praktykę. We wtorki bywało szczególnie dużo pacjentów, bo we wtorki był u nas targ. Stało się to właśnie we wtorek.

Drzwi z poczekalni do kuchni były lekko uchylone i przechodząc mimo usłyszałem następującą rozmowę:

— Żeby się puszczała dla pieniędzy — mówił kobiecy głos — no to jeszcze. Taka elegancka kobieta potrzebuje pończoch czy kapelusza. Ale tak? Czysta rozpusta.

— Anioł nie doktor — powiedział męski głos — już ja bym wybił jej z głowy te romanse.

— On nic nie wie. Ona go okłamuje — powiedziała jakaś paniusia. — Jak mąż w domu, to ona do niego: mężulku, mężuleczku, a jak on tylko wyjdzie na minutkę, to ta zaraz szast do swego gacha.

Przytrzasnąłem drzwi. W poczekalni zaszumiało. W kuchni na płycie kipiało mleko, na stole leżał list. Odstawiłem mleko i wziąłem list do rąk. Od razu poznałem, kto go pisał. List był bardzo długi, więc przeczytałem tylko ostatnie zdanie:

„Jeżeli i tym razem nie ulegniesz moim prośbom, palnę sobie w łeb. Zrozum, to ciągnie się już cztery lata. Są przecież jakieś granice wytrzymałości".

Błazen — pomyślałem — któż tak pisze — i poszedłem szukać żony. Znalazłem ją w sypialnym. Leżała na łóżku zasłanym świeżo wyprasowaną koronkową kapą. Głowę miała wtuloną w poduszki. Płakała.

— Po co to wszystko? — powiedziałem. — Nie dzisiaj ludzie wymyślili rozwód. Trzeba korzystać ze zdobyczy cywilizacji.

Na nocnej szafce milcząc stał budzik. Wziąłem go do rąk. Stał już piętnaście minut. Nastawiłem go i nakręciłem sprężynę. Zaczął cykać miarowo i bardzo głośno.

Tak, kolego, łatwo to powiedzieć: nie dzisiaj ludzie wymyślili rozwód, ale kiedy po pracy wróci pan do pustego mieszkania, do którego z każdym dniem wkrada się coraz większe zaniedbanie, kurz osiada na sprzętach i schną w doniczkach nie podlewane kwiaty, to nic panu nie pomoże miarowe cykanie budzika, który nie staje już, bo nakręcasz go sam i to bardzo regularnie. Dziwne rzeczy dzieją się w twoim mieszkaniu, ale nie są to żadne dziwne rzeczy. To tylko samotność.

Wojna trzepnęła nas po głowie. Mniejsza z tym, co było i jak było, dość, że znalazłem się w karagandyńskim obozie i na długo przedtem, nim pan przybył, objąłem tu oddział. Z całego mego dawnego życia pozostał tylko

ten stary budzik, który sam nie wiem jakim cudem udało mi się uchronić w czasie wszystkich śledztw, więzień, etapów i transportów.

Szybko przyzwyczaiłem się do swoich nowych pacjentów. Właściwie na moim oddziale nie było chorych. Byli tylko ludzie cierpiący na pelagrę. Nie potrzeba im było żadnych lekarstw. Dwa czy trzy miesiące intensywnego odżywiania postawiłoby ich na nogi. Prawdę mówiąc byłem tu fikcyjnym doktorem. Mogłem sobie regularnie nakręcać budzik, pisać listy, na które nie było odpowiedzi, czy kiwać palcem w bucie — wszystko to odnosiło taki sam skutek jak moje leczenie. Jednakże każdy lekarz tęskni do chorego.

Pewnego dnia przywieziono na mój oddział Kolę Sniegierowa. Ktoś tak pokiereszował go w bójce, że wszystko przemawiało za tym, iż Sniegierow nie wyżyje. Owinięty w bandaże, wyglądał jak olbrzymie niemowlę. Dziesięć dni był nieprzytomny i ja dziesięć dni i dziesięć nocy siedziałem przy nim.

Zna pan noce szpitalne? Zaraz po kolacji chorzy kładą się do łóżek, żeby przespać głód, który ich budzi przed świtem. Słychać tylko świszczące pochrapywanie, a z komórki sióstr różne odgłosy. Siostry o tej porze goszczą u siebie kawalerów. O drugiej w nocy sanitariuszka zaczyna myć podłogę, stuka wiadrem i rozchlapuje wodę, płosząc mokrą ścierką ciszę śpiącą po kątach. Za oknami chodzą strażnicy i czasem zaszczeka pies, którego obowiązkiem jest tropienie zbiegów.

Takie noce usposabiają do zwierzeń, ale ja nie miałem do kogo mówić. Chorzy spali, Sniegierow bredził. Budził się tylko wtedy, kiedy odchodziłem, żeby nakręcić zegarek. Nie chciał mnie puścić i wypytywał o wszystko.

W czasie ósmej bezsennej nocy zacząłem mówić. O tym, jak przez sześć lat utrzymywała mnie moja żona, o tym, jak kupiłem budzik, jak stałem się normalnym człowiekiem, a później rozwiedzionym doktorem, i o tym, jak codziennie nakręcam zegarek. Nie wiem, co z tego Sniegierow zrozumiał. Obojętne mi było, czy słucha. Musiałem mówić. Można milczeć rok, dwa, nawet trzy, ale w naszym milczeniu też jest granica, nagle coś się przerywa i zaczynamy mówić. A potem dziwimy się, że powiedzieliśmy więcej niż, jak nam się zdawało, czujemy i że wszystko to było takie gwałtowne. Musiałem mówić gwałtownie i on widać zaraził się tym, bo krzyknął nagle:

— *Mołczy, durak. Och, byłby ja w siłach, ubiłby ja tiebia. Ubiłby kak sobaku.*

Bredził zresztą tej nocy i nic dziwnego, że bredził, bo właśnie tej nocy nastąpiło przesilenie. Następnego dnia gorączka spadła i wiedziałem, że Sniegierow będzie żył. Nie poznawał mnie, ale ja się tym nie martwiłem. Słuchałem jego równomiernego pulsu.

Z początku bardzo był słaby i bezradny, ale potem prędko wracał do zdrowia. Prędko też dał mi się we znaki. Kiedy był nieprzytomny, ja sam skrzętnie zbierałem i ukrywałem przed chciwością chorych jego codzienne racje chleba i cotygodniowe cukru. Ledwie Sniegierow otworzył oczy, cały zapas znikł. W ślad za zapasem żywności znikł też koc z jego łóżka i z łóżka jego sąsiada. Ja odpowiadałem także za koce na swoim oddziale, więc powiedziałem mu parę gorzkich słów.

— *Nie biespokojsia* — odpowiedział Sniegierow. — *Budu ja zdorow, diesiat' odiejał tiebie priniesu.*

Inni pacjenci poparli go.

— Kto nie kradnie, ten zdycha — powiedział jeden.

— Wielka mi rzecz, koc — dorzucił drugi. — Umarłemu niepotrzebny, a zdrowy nowego się dorobi.

Sniegierow pijał na śniadanie mleko, jadał wędzone ryby, a kiedyś nawet widziałem u niego słoninę. Okruchy z takiej uczty mogły zapewnić potęgę.

Mój autorytet malał. Coraz trudniej było mi utrzymać jaki taki porządek. Nie minęło parę dni i pojawiła się czereda dziewczyn nie podejrzanego, ale całkiem pewnego sposobu prowadzenia się. Wszystkie miały bogato haftowane kisiety, dwie jaskrawe chustki na głowach i przepustki, które broniły przed wyrzuceniem za drzwi. Obsiadły Sniegierowa wiankiem, okładały węzełkami z jedzeniem, śmiały się, wrzeszczały i dokazywały. Miałem tego dość. Tym bardziej że mój pacjent już czuł się doskonale.

— Sniegierow — powiedziałem w czasie jednej wizyty — jesteś zdrowy. Jutro wypiszę cię ze szpitala.

— *Da broście szutit* — odpowiedział. — *Zakuritie łuczsze* — i wyciągnął do mnie rękę z pudełkiem papierosów o niezwykłych, złoconych ustnikach.

— Dziękuję — powiedziałem — kradzionych nie palę.

— *Isz, kakoj gieroj?* — zdziwił się a potem dodał zuchwale: — *A nu-ka posmotrim, kto s nas dwoch wo pierwych ujdiot otsiuda.*

Tegoż dnia po południu, kiedy siedziałem w tej tu swojej klitce, przybiegła do mnie sanitariuszka wołając na oddział, bo tam chodzi cała komisja. Włożyłem fartuch i poszedłem. Było sześciu lekarzy, a między nimi sam naczelny. Naczelny zawiadomił mnie, że odbywa przegląd chorych, gdyż co silniejszych trzeba będzie wysłać do kopalni. Zapytałem, czy jako lekarz oddziałowy mogę przedstawić komisji historie chorób moich pacjentów. Naczelny odpowiedział, że sześciu lekarzy powinno sobie poradzić bez siódmego. Ukłoniłem się więc i czekałem. Wypisali kilku chorych o daleko posuniętej pelagrze. Sniegierow został. Kolego, to było bezprawie. Ordynarne, usankcjonowane przez komisję lekarską bezprawie. Pobiegłem ze skargą do komendanta obozu, a ten powiedział, że ja lekceważę ciężko chorych, faworyzując symulantów. Uniosłem się. On krzyczał i ja krzyczałem. Trzasnąłem drzwiami i wróciłem do siebie. Już wtedy miałem takie uczucie, jakby mi serce spuchło. Kiedy otworzyłem drzwi do tej tu swojej klitki, przywitała mnie martwa cisza. Mój zegarek stał. Wziąłem go w ręce i spróbowałem podkręcić wyczerpaną sprężynę. Coś w nim chrobotnęło żałośnie, ale wskazówka sekundnika nie drgnęła nawet.

Młody lekarz, który słuchał opowiadania, pochylił nisko głowę. Nic nie można było wyczytać z jego twarzy, bo wielka, kudłata czupryna rzucała na nią zupełnie czarny cień.

— Kolego — powiedział — po co pan to mówi? Przecież pan jest jeszcze słaby.

Chory wyrwał rękę z dłoni młodego lekarza. Zakreślił nią w powietrzu uparty, starczy gest.

— Ten budzik to był dobry zegarek — powiedział. — Wytrzymywał

samotność. Stawał dopiero wtedy, kiedy wiedział, że jest w pobliżu ktoś, kto może mu pomóc. — I dodał po chwili: — To Sniegierow go zepsuł.

Młody lekarz jeszcze niżej pochylił głowę.

— Niech pan posłucha — powiedział. — Zegarek idzie.

— Idzie — powtórzył chory. — Rzeczywiście — przez chwilę milczał. — Nigdy nie miałem tak paskudnego ataku serca — powiedział.

Dam mu waleriany i zaśnie — pomyślał młody lekarz i patrzył, jak na skroni jego kolegi drga malutka, niebieska żyłka. Chory uspokoił się. Drzemał. Młody lekarz wstał i wyszedł cicho, na palcach. W sionkach zaskrzypiała podłoga. Uchylił drzwi do oddziału, na którym ordynował w zastępstwie chorego doktora.

Wszystkie kopciłki z całej sali stały przy łóżku Sniegierowa. Chorzy leżeli na pryczach milcząc, głowy mieli zwrócone w kierunku światła. Sniegierow siedział na łóżku oparty o stos poduszek, też pewnie wyciągniętych spod głów więźniów. Na jednym kolanie trzymał Nad'kę Ryżkową, na drugim Biełoruką Ańkę. Obie miały szklanki w ręku, a on pociągał to z jednej, to z drugiej. Chuda Katia i słodka Sońka, pijane w sztok, już zaczynały się rozbierać. Luba, ponura jak zawsze, siedziała na podłodze, posępnie patrząc na Ańkę — słońce tej ziemi. Pośrodku, z kubkiem w ręku stał Aloszka — aktor kiedyś — i stepując nowiuteńkimi lakierkami śpiewał.

Aloszka miał niewielki głos, ale tego tekstu lepiej by nie podał najwytrawniejszy piosenkarz. Nonszalancki i ironiczny, tańczył w kręgu światła z nie dopitym kubkiem w ręku. Jego wąskie dłonie sutenera-arystokraty chwytały kształt cynizmu i fantazji.

— *Drała chuj — drałała* — wrzeszczała cała kompania.

Aloszka poprawił kaszkiet na głowie i zrobił oko do Sniegierowa. Nowy kuplet zaśpiewał tak, jakby kryła się w nim jakaś bardzo osobista aluzja.

Kolieczka, zdawał się mówić, jeden cię wali w pysk, a ty drugiemu wyciągasz portfel z kieszeni. Rachunek to rozrachunek — obojętne z kim. Cwaniak wygrywa.

— *Drała chuj drałała* — ryknął Sniegierow. Czkał ze śmiechu. Resztę z kubka Nad'ka wylała mu na głowę, więc zrzucił ją z kolan i zaczął się dobierać do Ańki. Luba patrzyła na to posępna i nieruchoma.

Młody lekarz przymknął drzwi. W sieni było zupełnie ciemno. Pod stopami trzeszczały deski.

Ciekawe — pomyślał — czy też Sniegierow wyrwał się z kręgu bohaterskiego zegarka? Przecież to on go zepsuł i on naprawił. Jak to on wtedy powiedział: „*Puskaj idut eti głupyje czasy*". *Puskaj idut* — co za dziwne słowo.

Maria Szczepowska

Jerzy S. Sito

CHANSON MECANIQUE

Zasiałem heliotropy w ogrodzie,
Ogród rozpięty w okiennych ramach.

Napełniłem krokami tydzień,
weszły psy, nie mogę ich pojąć.

Powschodziły psom zielone łapy,
płaczą, moczą je w hiszpańskim winie.

Zasiałem heliotropy pod murem,
o który strzaskano dziecko.

Słońce się przy nim modli,
(tak mi mówiono).

Czemu nie zasiałem słońca
w moim ogrodzie.

Może by jednak wzeszło.
Sąsiad łata nim głowę żony.

Zasieję heliotropy pod murem,
wzejdzie czarna żona sąsiada.

Z mosiężnych klamek jej oczu,
powieszone wzejdą ptaki.

Rozpięte w okiennych ramach
będę poił hiszpańskim winem.

Napełniłem krokami tydzień,
sprzedam ogród, ziemię jałową.

Hampstead, 2.4.57

EIN JÜDISCHES REQUIEM

Godzina spiętrzeń,
zawrotna dla oczu opartych o ścianę,
dziewiąta dla oczu, na które nawisa dom.

Nie chcę jej,
w bizantyjskich oczach mego ojca,
godziny topoli, od których bielsze są,
bardziej wyniosłe i niskie oczy —
ślimacza ścieżka przez ociemniały witraż;

oczy ojca gasną w polichromię twarzy.

Jestem żydowskim chłopcem,
mam brudne dłonie,
topię je w uszach, są przeznaczone na utopienie.

Godzina spiętrzeń,
rozdrgana w wibracji mięśni,
pełzających na oślep, po piasku,
godzina dziewiąta w wymiarach snu,
nie dźwignę jej, rozsadza kopułę nieba.

Jestem żydowskim chłopcem,
możesz pod słońce obejrzeć moje serce,
nie ma w nim nienawiści,
mam słony język, oprawiony w ołów,
liżę narastające sople minut —

dwa,
pięć,
dziewięć,
dwanaście nerwów głowy mego ojca
trąconych palcem gitarzysty, są lirą,
idą za jej śpiewem stada much, mrowiska;

trzy,
sześć,
dziewięć godzin spiętrzonych w sen,
profil ojca rozsadza kopułę nieba,
rozgarniam dłońmi woń jego potu,
cierpki zapach borówek;

wszystkie ścieżki zawiązał mi ojciec
czarnymi węzełkami krwi.

24 marca 1957

METAFIZYKA ODWROTNYCH PROPORCJI

Zły smak przechodniów jest oczywisty dla mnie,
choć urodzono mnie ślepym, mnie
z wosku ciepłego ręce,
cierpkie jak transfuzja krwi,
lepią świętych i małe magdaleny,
bieguny żadnych
słodkości, nadziei naszych.

Troska rąk i
cierpkie twarze, wielbłądy ulic,
w tym zestawieniu jest ocean analogii,
treść różnic.

Choć urodzono mnie ślepym i
białe moje wino ma
cierpki smak transfuzji,
nie mogę zrozumieć, stukających o chodnik,
kocich oczu przechodniów.

Nie przeprowadzę ich przez ulicę,
nie przybiję nad drzwiami domu,
raczej wypiję białe wino mojego szaleństwa.

Choć urodzono mnie ślepym, mnie
z wosku ręce
lepią usta, pięty świętej lubieżne,
chciwe żadnych
słodkości, nadziei naszych.

Pięty świętej, magdalena, on i ja,
w tym zestawieniu jest smak migdałów
i rytm winobrania.

Hampstead, 28 maja 57

STWIERDZENIA, Z KTÓRYCH NIC NIE WYNIKA

Ani osłem,
ani wołem w stajni twojej ja nie będę.
Raczej mały, z kolczykami w uszach chłopiec,
będę żony twego osła strzegł,

i wielbłąda tańczącego jak ostryga,
gdy słońce pije z niej morze, będę
oprowadzał po kamieniach
i przepraszał w barze mlecznym jego stopy
zwarzone.

Ani twojego imienia nie wzywałem.
Jest jak zła muzyczna sztuka,
z dysonansem w pępowinie;
łzy zawiążę w róg mojej chusteczki,
boso,
polem,
sierota,
— ti
— ri
— li.

Ojca,
matki ojca,
matki matki,
matki nie pamiętam.
W kopertach rozsyłam echo,
wznoszę kule 100-kilowe drżący,
jak atleci oczy wznoszą.
Czemu wznoszą,
czemu wznoszę,
wiem, że nie zabiłem ojca,
wiem, że nie zabiłem matki,
czemu miałbym zabijać posiadaczy?

Ani czołem,
ani wołem nie zasłaniam się od pana.
W zębach trzymam koniec
włóczki dymu z papierosa, nie wypuszczę z moich okien;
kiedy będę starą Dzidzią,
zrobię z niej ciepły sweterek,
tylko komu
tylko
komu, komu ja go podaruję?

Komu ja go podaruję.

Hampstead, 17.6.57

Jerzy S. Sito

Stanisław Zieliński

HISTRIO, GIBBA

Na Wielkiej Lunie skakano co piątek. Skoki były w modzie, jak niegdyś turnieje, derby, biegi karakonów, przepychanie kozy lub wspinanie się z chłopcem po nasmarowanym maszcie. Ostatnią rozrywkę, choć ściągała widzów do licha i trochę, skasowano osobnym ukazem. Okazało się bowiem, iż rzecz, pomyślana, aby w kobietach rozwijać i potęgować instynkt macierzyński, dostała się pederastom w ręce. Oni królowali na masztach i brali nagrody. Co gorsza, chłopcy nie protestowali. Maszty więc ścięto i tym samym, jak komentowano w mieście, pederastom znów podcięto skrzydła. Zabawa w podcinanie trwała od początku świata. Zawsze wszyscy coś sobie podcinali nawzajem i chętnie. Teraz, kiedy koniec był już właściwie na dniach, nikomu nie wpadło do głowy, że na podcinanie czas najwyższy plunąć. Podcinano się jednak dalej.

Po ścięciu masztów, rozprzedaniu mydła oraz wazeliny — z wielkim pośpiechem zorganizowano skoki. „Atrakcje na Lunie" wiązały się ściśle z bliskim końcem świata. O końcu rozmawiano spokojnie, bez uniesień, niby o lekarstwie, które trzeba zażyć. Czasem ktoś wyskoczył ze zdaniem: „I co z tym końcem, do ciężkiej cholery?". Więcej jednak w tym było zniecierpliwienia niż złości lub żalu. Zniecierpliwienie brało się stąd, że na organizatorów wepchali się znani partacze. Gwałtem starali się podreperować diabła wartą opinię. Okazja, rzeczywiście, nadarzała się ostatnia. Z paskudziarzy strojono żarty: „Co oni potrafią!... Sto lat trwać będzie zawracanie głowy, spisywanie, zliczanie i przepisywanie, w końcu i tak się nic nie uda, bo czegoś zabraknie w decydującym momencie. Skończy się na ogólnej wariacji". Partacze dawali odpór. Rozgłaszali, że taka stanęła umowa: „Nas już nie interesuje, kto światu dał początek, ale za to nam przypada prawo likwidacji. Wykończymy świat na cacy. Prace przygotowawcze mocno zaawansowane". Lecz o entuzjazm było coraz trudniej. Porobili się ludzie jacyś obojętni. Przygotowania więc przygotowaniami, odpór odporem, a co piątek skoki, aby interes szedł, póki iść jeszcze musi.

Co tydzień, od samego rana panował w mieście ruch piątkowy. Ze wszystkich dzielnic, przedmieść i podmiejskich osiedli jechały sznurem pojazdy pełne ciekawskich, graczy, zawodników. Puszczano na trasy najstarsze tramwaje i autobusy. Kursowały nawet konne wozy i wysłużone karetki więzienne. Bezpańskie psy miały labę, bo pojazdy hyclów zastępowały ubogim taksówki. Biedota najmowała te mało szykowne budy dosłownie za grosze. „Lepiej źle jechać,

niż dymać na piechotę!" — odpowiadali pasażerowie „hyclówek" na drwiny mieszkańców śródmieścia.

„Na Lunę!" „Do Luny!" — słyszało się w mieście co piątek. Czy Pierwszy pozostanie pierwszym? Czy Dziesiąty wysunie się na trzecią, a Drugi? Właśnie, czy Drugi obroni drugą pozycję przed spodziewanym atakiem Czwartego? Na inne tematy nie mówiono w piątki.

W dzielnicy połączonej z Luną linią autobusową stali na przystanku dwaj mężczyźni. Miny mieli zafrasowane. Autobus odjechał przed chwileczką. Jeszcze było go słychać.

— I cośmy zrobili najlepszego? Nie wsiedliśmy do autobusu!

— A był?

— Spóźnimy się na Lunę! Pierwsze skoki bez nas! Co z tobą? Ziewasz?

— Ech, te skoki... Podobno wyniki robione na pigułkach. My się emocjonujemy, a tam odchodzi lipa.

— Na pigułkach? Co to znaczy?

— A bo ja wiem? Powtarzam, co mówią. Oho, tobie też się gęba drze!

— Dziwne, nigdy nie ziewałem w piątki. Dzień niby normalny, ale do innych dni niepodobny. Inność wisi w powietrzu.

— Aha, może przygotowania na ukończeniu? Przepraszam, ziewnęło mi się znowu.

— Przygotowania, przygotowania! Partacze zajęci odpędzaniem komety. Powiadają: albo sami, albo wcale, albo my, albo nikt. Obce ciało niebieskie niech nam nie psuje harmonogramu. Z kometą podobno się uporali. Ktoś mi mówił, że już zboczyła.

— Plotka albo gra na zwłokę, lecz dość i pst! Jest piątek? Jest, jest piątek!

— Wiem, że piątek, ale inność dzisiejszego piątku każe mi przestępować z nogi na nogę. Dziwnie się czuję w środku.

— Zanim nastąpi katastrofa, podaj mi z łaski swojej pudełko zapałek. W pudełku sześć zapałek, tak? Kładę pudełko na dłoni. Patrz uważnie! A teraz stawiam pudełko na sztorc. Ile wewnątrz zapałek? Tyle, ile było. Sześć. Proszę, sprawdź.

— Po co?

Ziewnęli jednocześnie i to rozśmieszyło obydwóch. Potem ten, który demonstrował pudełko na dłoni, powiedział:

— Dlaczego ziewamy na przystanku zamiast uczestniczyć w skokach? Dlaczego rozmawiamy nie ruszając się z miejsca? Tramwaj niedaleko. Moglibyśmy zdążyć na ostatni punkt programu.

— Prawda, skoki amatorów też nas interesowały dawniej. Dlaczego? Dlaczego?

— Unieruchomiła nas nuda. Klej na podeszwach i piasek w stawach. Tylko szczęki poddają się ziewaniu. Wszystko z nudy tak nudnej, że w dołku ssie, że na co spojrzeć, szarzeje dosłownie w oczach i zarasta pajęczyną. Nuda daje się wytłumaczyć właściwościami fal ultrakrótkich. Całe zagadnienie sprowadza się do zestrojenia stacji nadawczo-odbiorczych tkwiących w każdym z nas. Znakomitym przykładem były przeczucia matek. Niepokój o los dziecka wyprzedzał złą wiadomość. Odbiornik matki zaczynał działać, zanim normalne środki łączności przekazały przyczynę niepokoju. Są nudne kolory, usypiające kształty i nudni ludzie. Czy nie odczuwałeś nigdy senności na widok człowieka,

o którym ktoś inny mówi ci, że to „taki interesujący facet"? A dla ciebie facet był chodzącą nudą. Teoria tłumaczy powodzenie brzydkiej kobiety i sukcesy szpetnego chłopa u pięknej niewiasty. Dlaczego kobietę o wybitnej urodzie mijam obojętnie, a za brzydszą uganiam się z wywieszonym językiem? Bo jestem zestrojony z tą, nie z tamtą. A bez zestrojenia ona mnie nudzi i ja dla niej zajeżdżam flakami z olejem. Można moją teorię rozciągnąć na pojęcia z innych dziedzin. Mógłbym zasypać cię tysiącami przykładów. Mógłbym, ale po co? Niczego się nie chce.

— Koniec świata zaskoczy cię z otwartą gębą. Ośmieszysz się jako ten jeden jedyny zdziwiony. Chodźmy gdzieś.

— Spacer leczy nudę? Pierwszy raz słyszę. Zresztą wszystkie proponowane nam sposoby na nudę są też przeraźliwie nudne. Zgoda, idziemy. Dokąd?

— Przed siebie.

— Ho, ho, co za śmiałość... Wykręć się więc na pięcie, bo pójdziemy w przeciwnych kierunkach. Świetnie, ruszyliśmy w nogę. Aj, jaka gęba zła, odęta!... Ciągnie na Lunę, ciągnie...

— Pewność nie wypowiedziana mniej drażni od pewności z kropką. Teraz nie ma miejsca na domysły. Wpadłeś z rumorem w otwarte drzwi. Nigdzie mnie nie ciągnie. Wszystko nudzi. Nasza rozmowa też nudna.

— Bo o nudzie. Trzeba coś wymyślić.

— Wiem, lecz co?

— Nazwijmy się jakoś inaczej.

— Wspaniałe! Ale jak?

— Na przykład Histrio, Gibba.

— Nazwiska? Dwa imiona? Wolałbym imiona. Trudno przyjaciela wołać po nazwisku.

— Umówmy się więc, że to są imiona. Jak się czujesz, drogi Histrio?

— Aha, jak ja Histrio, to ty Gibba? Wiesz, brzmi to trochę idiotycznie, ale w tłoku ujdzie. Tak, nienajgorsze wybrałeś imiona. Trzeba potrenować chwilę. Halo, Gibba!

— Halo, Histrio!

— Gibba!

— Histrio?

— Gibba!

— Histrio?!

— E, do dupy.

— Próbujmy od nowa.

— Histrio, Gibba? Nie mogę sobie przypomnieć, czy to coś znaczy, czy nie?

— I ja zapomniałem. Spytajmy się kogoś.

— Kogo? — Histrio ziewnął przeraźliwie. — Wszyscy na skokach. W domu tylko głąby. Kto coś wie lub czegoś chce się dowiedzieć, nie szwenda się w piątki.

— Hm... — Gibba westchnął i serdecznie ziewnął.

Całkiem osowiali doszli na brzeg rzeki. Ziewając patrzyli w wodę. Płynęła leniwie. Ryb w niej było dużo. O parę kroków dalej, na mieliźnie leżało pół tuzina kobiet. Bez spódnic i bluzek, w bieliźnie, rozmemłane, wyglądały jak worki rzucone na piasek. Histrio trącił przyjaciela...

— Patrz, z tą małą zestroiłbym się chyba? Ach, jak się wierci, zwija się

i skręca. Wprost już nie może wytrzymać. Spójrz, gdzie sięga ręką. Halo, mała, czego szukasz?

— Mam pchłę w majtkach — odpowiedziała piękna dziewczyna, nie unosząc głowy.

— Ale się zestroili!... — triumfował Gibba.

Nim Histrio zdążył obmyślić odpowiedź, nad rzeką zjawił się młody, opalony dryblas. Pogapił się, zanotował coś w notesie, potem szybko zrzucił spodnie. Zbudowany był wspaniale i znakomicie usposobiony. Zdjął koszulę, wszedł do rzeki po kolana i jął tłuc wodę, jak to wiejskie baby robią kijanką. Tłukł mocno, miarowo, aż z bryzgów uczynił tęczową mgłę. To, czym tłukł, było jedną wspaniałością.

— Dziwak? Ekshibicjonista? Samochwał? Nie widziałem go nigdy. Powiedz, co to za jeden? — Histrio udawał zaciekawienie.

— Wybrany z miliona, a może nawet z dziesięciu milionów. Klasyk. — Gibba uśmiechał się ironicznie. — Znów czeka cię rozczarowanie.

— Z takim drogowskazem można objechać świat bez biletu... Po co on tak tłucze? Ej panie, panie! Coś pan pognieważył się z rzeką? Ej, panie z podpieraczem, po co pan tak wali?

— Ryby sobie głuszę — odpowiedział „wybrany z miliona" przekrzykując pluski.

Rzeczywiście, już kilkanaście ryb łyskało białymi brzuchami. Kobiety ani drgnęły. Leżały senne, spocone, nierównomiernie podpieczone słońcem. Tylko jedna uniosła się na łokciu i przygładziła siwe włosy.

— Niech mnie pan pogłuszy... — szepnęła. Wspaniały chłopiec nie dosłyszał, więc najstarsza z kobiet (ona jedna przyszła w kostiumie nad rzekę) krzyknęła z całej siły: — A może moją wnuczkę Zosię? Ona także Rybka. Zosiu, Zosiu!...

Piękna Zofia goniła pchłę po majtkach. Przy żywszym ruchu ramiączko zsunęło się nagle odsłaniając lewą pierś śmiesznie opaloną, do połowy różową, od połowy białą, jak dojrzewające jabłko.

— Panno Zofio, Zosiu! — psyknął ostrzegawczo Histrio.

Dziewczyna wykręciła się bokiem i wypięła pupę. Babcia objęła chude kolana. Zwiesiwszy głowę płakała rzewnymi łzami. Cudownie zbudowany chłopiec nanizał ryby na witkę, ubrał się i poszedł. Na odchodnym usłyszał:

— Dębowe ucho. Od tych monotonnych plusków bebechy się wywracały. Głupi, myślał, że nas byle czym zabawi.

Piękna Zofia złapała wreszcie pchłę. Obejrzawszy insekta pod słońce, puściła wolno na piasek. Za chwilę pchła znów była w majtkach i łowy zaczęły się od początku. Gibba spojrzał na przyjaciela. Histrio zwiesił głowę. Zupełnie oklapł.

— Chodźmy stąd, Gibba.

Zawrócili do miasta. Szli bulwarem wzdłuż rzeki. Potem skręcili w aleję wysadzaną czterema rzędami starych drzew. Gibba szukał papierosów po kieszeniach. Znalazł tylko zapałki. Histrio podsunął papierosy.

— Zapalisz? Nie chowaj zapałek, to moje

— Odechciało mi się palić. Może później. W twoim pudełku było sześć zapałek.

— Aha.

— A to pudełko pełne, więc nie twoje.

— Ależ, Gibba, na etykiecie widzę notatki skreślone przeze mnie! Moje typy na dzisiejsze skoki.

— Pudełko było prawie puste, a teraz jest pełne. Histrio, to znak! Myślmy intensywnie! Krew zaczyna krążyć żywiej! Histrio, szybciej! Mów coś, proponuj!

— A co ty mi radzisz?

— Histrio! Osobliwa chwila może trwać sekundę!

— Pozłoćmy drzewa! Pnie niech będą złote! Patrz, już się niektóre zaczynają świecić!

— Idiota. Zwiódł cię odblask słońca. Histrio, mam! Nareszcie wiem! Będziemy spadkobiercami. Spadkobiercy przeważnie mają się świetnie. Pozwól, przedstawię się po raz drugi dzisiejszego dnia. Jestem Gibba, zięć Natlowej. A ty?

— Dziedziczę po Teresce Zalcman.

— Hm, niech i tak będzie. No, teraz damy nudzie kopniaka, że jej wczorajszy obiad wyskoczy nosem, co ty na to, Histrio?

— A pewnie, pod warunkiem, że nuda ma tyłek. Słuchaj, Gibba, kim są osoby, na które będziemy się powoływać? Żeby nie było z tego nieprzyjemności.

— Postacie fikcyjne.

— A my? Też fikcyjni?

— O, Histrio, co się z tobą dzieje? Raptowne zmatolenie? — Gibba kolnął przyjaciela kułakiem w bok. — Halo, co ci zadzwoniło w spodniach?

Histrio sięgnął do kieszeni i wyciągnął pełną garść złotych monet.

— Fiu! — powiedział i uniósł brwi ze zdziwienia. Z drżącej dłoni złoto sypało się na chodnik. Szczęściem nikogo nie było w pobliżu i dźwięk kruszcu nie przyciągnął gapiów.

Ostrożniejszy Gibba liczył monety przez materiał spodni, bo i w jego kieszeniach znalazło się złoto. W kieszeni marynarki natrafili na hawańskie cygara. Nie zwlekając odgryzł koniuszek. Zapaliwszy wybuchnął hałaśliwym śmiechem.

— Histrio, masz na łbie zielony melonik!

— A ty tabaczkowy. Wielka rzecz. Nie widziałeś kolorowych meloników?

— Gdzie nasze kapelusze?

— A cholera je wie. Co to mnie obchodzi. Nie pytam, skąd złoto, a ty mi raptem zawracasz głowę starym kapeluszem z przepoconą wstążką. Umówmy się, że wyszliśmy na skoki z gołą głową, będzie święty spokój.

Przyjrzawszy się sobie uważniej stwierdzili jeszcze jedną zmianę. Obydwóm przybyło na wadze. Wyrosły brzuchy, napęczniały pyzy, zgrubiały też nosy. Domysły (Gibba miał na nie wielką ochotę, gdyż w meloniku czuł się coraz idiotyczniej) uniemożliwił policjant, czyli Porządkowy. Uprzejmym gestem skierował obu przyjaciół do przenośnej wagi ustawionej w bramie.

— Co do grama w normie! A teraz zmierzymy brzusie. Również co do centymetra. Wzorcowi obywatele! A jak tam u nas z pieniążkami? Wiem, wiem, na pewno są. Ma się to oko, od razu się widzi, z kim sprawa.

— Monety trzeba nosić przy sobie, aby każdej chwili można było wykazać się przed obcymi dostatkiem — wyjaśnił Histrio tak swobodnie, jakby rzecz była oczywista i od dawna znana.

Przyczynę pomiarów wyjaśniały plakaty. Na jednym Porządkowy za ucho wyprowadzał Chudego z miasta. Chudy był szary, obrzydliwy, w tę i wewtę przekreślony pędzlem. Z drugiej strony uśmiechnięty Gruby wchodził do miasta, a Porządkowy o chabrowych oczach niósł przed nim transparent: „Witaj, Brzusiu!".

W alejach robiło się ludniej. Wracano już z Luny.

— Idzie Zośka z pchłą — powiedział Gibba. — No, Histrio?

Histrio mruknął „aha" i szedł dalej. Nagle potknął się i ziewnął. Wtedy krzyknął:

— Gibba, znowu!

— Ano, właśnie. I ja też. Czy wiesz, Histrio, kim był ten rybak z przecudnym dyszelkiem? Zwykły urzędnik z instytucji badającej nastroje, czyli „człek najęty". Podpieracz, który cię zachwycił, jest własnością miasta. Nosi nazwę Kubuś. Produkcja chroniona ścisłą tajemnicą. Dawniej za chłopcem z „Kubusiem" kobiety biegły tłumem. Dziś, ach, widziałeś sam, czym się skończyło badanie nastrojów nad rzeką. Zostawmy więc tę dziedzinę w spokoju. W innej szukajmy sposobu przeciw nudzie. Bo ziewamy ciągle. Guzik nam meloniki pomogły. Myśl, Histrio.

Znów im przerwano rozmowę. Z bocznej ulicy wychylił się chudzielec znaczny na kilometr. Łysy był i długi. Rozejrzał się, chciał przebiec jezdnię, lecz natychmiast zjawiło się białe auto. Biało ubrani ludzie wyskoczyli z lassem, złapali chudego za nogę, przywlekli pod samochód, wrzucili do środka, zatrzasnęli drzwiczki, dali sygnał syreną i dopiero odjechali pełnym gazem.

— Do tej samej karetki i takim samym lassem łapano kiedyś grubych, żeby nie psuli krwi chudym zażywnym wyglądem. Teraz na odwyrtkę. Chwyta się chudych, bo te głodomory ośmieszają nas przed obcymi komisjami, które zjechały tu do prac przygotowawczych w związku z końcem świata.

Gibba zaoponował stanowczo.

— Jest różnica! Grubych łapano za szyję, a chudych łapie się za nogę. Wywiezieni z miasta, mogą żyć spokojnie na dalszej prowincji. Wracajmy jednak do naszych kłopotów. Myśl, Histrio, i ja nie próżnuję.

— Zróbmy coś.

— Coś, co by nas zajęło.

— Zainteresowało dłużej.

— I dało mocne emocje, co?

Histrio stanął, pstryknięciem poprawił melonik.

— O, to by było dobre! Staranne przygotowanie akcji, potem zacieranie śladów, słowem ręce pełne roboty. O, dobre, bardzo dobre! Już mi się życie zaczyna podobać. Buzi, Gibba!

— Postanowione? No, to rączka!

— No, to łapka!

— Popatrz no po melonikach, który kole w oko?

— Cytrynowy.

— Ten, co wysiadł z samochodu i teraz wturla się w dom?

— Ten, ale co ty pleciesz?

— Troszczę się o atmosferę. Nad rzeką zawiódł klimat i dlatego odeszliśmy zaziewani. Atmosfera musi być kryminalna.

— W porządku. Myślałem, że chcesz się na cytrynowego rozzłościć i całą sprawę sprowadzić do porachunków osobistych. Byłoby to ohydne.

Grubasek w cytrynowym meloniku pokazał się najpierw w oknie. Potem bez marynarki wyszedł na balkon. Przybierał pozy i takie stroił miny, jakby przed domem zgromadził się tłum wiwatujący na jego cześć.

— Cytrynowy cyclu! Giemzo!...

— Gibba!

Grubasek, tknięty przeczuciem, ukłonił się z gracją i pomachał rączką. Urojonym tłumom dziękował za owacje. Chciał kłaniać się jeszcze, ale z pokoju ostro krzyknięto podniesionym głosem:

— Zupa stygnie, ty bałwanie!

Jednym skokiem znalazł się w mieszkaniu. Prawdę mówiąc, zrobiła się już z tego wszystkiego późna obiadowa pora. Przyjaciele czekali chwilę, ale grubasek siorbał zupkę i do okna nie podchodził.

— Jak go nazwać? Cytrynowy, to za długo.

— Kapuśniaczek — cichutko poradził Histrio.

— E, pomysły! A dlaczego kapuśniaczek?

— Kapuśniaczek dzieciństwo mi przypomina. Latały takie motyle. — Histrio zaczerwienił się i speszył. — Słowo daję, że latały.

— No, więc Motyl, cyk i spokój. A teraz na ławkę, bo kapuśniaczek przypomniał mi o butersznytach przygotowanych na skoki.

Naprzeciw domu Motyla był park. Histrio i Gibba przeszli jezdnię. Wybrali ławkę w cieniu i obserwując spod oka mieszkanie Motyla, jedli bułki przekładane topionym serem trzeciej kategorii. Trochę ich zdziwiło, że ser nie zmienił się w szynkę. Ale i hawańskie cygara gdzieś się zapodziały. Coś się zaczynało psuć. Kiedy zjedli, Gibba zaproponował spacer dookoła fontanny. Okna Motyla i drzwi wejściowe mieli wciąż na oku. Dwa razy okrążywszy basen, stanęli.

— Sprawa nic a nic nie posunęła się naprzód. Motyl przez tydzień może nie wychodzić z domu.

— Motyle żyją krótko. — Histrio skierował rozmowę na właściwe tory. — Trzeba podzielić role. Jeżeli orzeł, to ja wbiję Motyla na szpilkę, a ty zajmiesz się przygotowaniem akcji i likwidowaniem śladów. Jeżeli reszka — odwrotnie. Losujmy!

Histrio sięgnął po monetę. Podbił palcami, złoty krążek wyleciał prostopadle w górę. Zanim moneta spadła na ziemię, Gibba zdjął tabaczkowy melonik. Kapeluszem zasłonił monetę.

— Nie patrz — powiedział — tak nie można. Jeszcze Motyl fruwa, dopiero się gra zaczyna, a już jeden z nas miałby o drugim zbyt wiele do powiedzenia. Spojrzenie na monetę przesądziłoby sprawę, kto morderca, a kto tylko wspólnik. Niebezpieczna pokusa...

— Ufam ci bezgranicznie!

— I ja tobie, a jakże... — przyznał powściągliwie Gibba. — Ale co będzie za godzinę, za dwie? Czy możesz ręczyć, w jakim nastroju obudzisz się jutro? Kto wie, może dopiero pojutrze ulegniesz pokusie?

— Dlaczego mówisz tylko o mnie? Co to znaczy?

— Myślę i o sobie, bądź pewien, Histrio. Pewne uczucia są wieczne. Nic się na to nie poradzi. Usłuchaj, Histrio. Zróbmy jednocześnie w tył zwrot.

Odejdźmy nie patrząc na monetę. Spotkamy się po drugiej stronie basenu. A więc, w tył zwrot!

— Pomyliły ci się uczucia z poczuciem obowiązku — powiedział Histrio przez ramię.

— Być może, wyraziłem się nieściśle. Jestem jednak pewien, że uczucia z obowiązkiem mają dużo wspólnego. Nie oglądaj się, Histrio. Uwaga, trzy, cztery! Marsz!

Równym krokiem odeszli od monety. Histrio zdjął melonik i lekko wachlował twarz, a Gibba swój nałożył z powrotem na głowę.

— Czy to wszystko, co powiedziałeś przed chwilą, ma jakiś związek z Tereską Zalcman?

— Nie. — Gibba odwrócił głowę.

Histrio zagryzł wargi.

— Tego się spodziewałem. No, cóż? Siadajmy. Wszystko wymyka się z rąk. Każdą sprawę zaczynamy z niewłaściwej nogi. Co z monetą?

— Niech leży. Dość złota po kieszeniach. Może ktoś podniesie? Zaczekajmy chwilę.

Prędzej niż się spodziewali nadbiegł z głębi parku czarny, kudłaty piesek. Obsikał dwa drzewka, powariował na trawniku, a potem jak strzała pomknął w kierunku monety. Obwąchał uważnie, trącił nosem, spróbował łapką. Spodobał mu się złoty krążek. Chwycił monetę w zęby i uciekł między krzaki.

Przyjaciele obserwowali psa roziskrzonym wzrokiem.

— Wrócił do swojego pana.

— Raczej do pani. Typowy pies kobiecy. Słuchaj, Histrio — Gibba poderwał się z ławki — kobietę, kobietę! Ukręćmy łeb jakiejś babie! Prędko, trzeba wyśledzić właścicielkę psa!

— Spytamy stróża. Pamięć stróżów przechodzi z pokolenia na pokolenie.

Z pośpiechem, na jaki pozwalała im tusza, na przełaj szli do stróżówki.

— Kobieta, kobieta... — mruczał Histrio — o tak! To by mnie nareszcie wzięło. Czuję rozkoszne łaskotanie w krzyżu.

— A co z psem? Psy bywają bardzo przywiązane. Przykro byłoby patrzeć na psa zdychającego z tęsknoty.

— Wyprawimy psa na wieś. Przywącha sobie jakąś suczkę i będzie miał dobrze. Znam chudzielca, który mieszka na prowincji. Napiszę do niego, jak już sprawa przyschnie.

— Kamień z serca. Oto stróżówka. Weź dziada na spytki.

Gibba stanął z boku, a Histrio dokumentnie rozpytywał stróża. Dziad węszył interes. Udawał głuchego. Rozgadał się dopiero, jak brzęknęło złoto. Przyjaciele bez zwłoki ruszyli we wskazanym kierunku. Po kilku minutach zobaczyli siwą panią z czarnym psem na smyczy. Zachowując przyzwoitą odległość szli śladem kobiety. Mieszkała w willi otoczonej murkiem. Znad ogrodzenia wychylały się gałęzie biało kwitnących krzewów. Przy furtce kręcił się pies spuszczony ze smyczy.

— Napijmy się przedtem piwa. — Gibba przytrzymał przyjaciela za rękaw.— Okropnie mnie suszy. Coś wczesne w tym roku upały, nie? Tak, piwka napiłbym się chętnie.

— Normalna rzecz po serze.

Zatrzymali się przy kiosku.

— Dwa jasne — powiedział Gibba. Kioskarz robił pianę. Gibba rozglądał się po półkach. — Nie znalazł pan czasem smyczki?

— Znalazłem.

— Czarna z karabińczykiem srebrnym?

— Ta?

— Ta sama. Jeszcze dwa jasne.

— Można nie nalewać — wtrącił Histrio — nie idziemy ne festiwal fajermanów. Płaci się za sześć.

Z kiosku, pospacerowawszy tam i sam dla zmylenia śladów, poszli do furtki. Gibba smycz trzymał w ręku.

— Pretekst do rozmowy czy narzędzie? — spytał Histrio.

Gibba nie odpowiedział. Byli już blisko drzwi. Na progu, jak podkowa przynosząca szczęście, błyszczała złota moneta przybita gwoździem.

— Zabawny splot okoliczności — mruknął Gibba naciskając dzwonek. — Są jeszcze ludzie przesądni!...

Pies obszczekiwał ich przez zamknięte drzwi. Otworzyła siwa pani. Na smycz ze srebrnym karabińczykiem nawet nie spojrzała. Opowiadania o wrażeniu, jakie rano zrobiła na plaży, ledwie wysłuchała do końca. Gibba był już porządnie zły. Za wszelką cenę chciał się dostać spokojnie i bez krzyków w głąb mieszkania. Spodziewał się tam puszystych dywanów. „Przewrócę ją na dywan i przyduszę poduszką. W takim domu muszą być poduszki. Potem smycz owinę dookoła szyi. Histrio weźmie jeden koniec w rękę, a ja już zajmę się drugim. Żal dzielić przyjemność, lecz za to nikogo jutro nie zaswędzi język... Będziemy smyczkę zaciskać wolniutko. Kiedy pętla odbierze głos, odrzucę poduszkę na bok i znów zacisnę trochę. Gdyby siwa kończyła się zbyt prędko (kto wie, jak u niej z sercem? Niepotrzebnie wylegiwała się dziś na słońcu!), zwolnimy odrobinę ucisk. Chyba nikt nam nie przeszkodzi? Pośpiech wszystko psuje, szczególnie gdy w grę wchodzi kobieta."

Histrio rozkoszował się podobnym obrazem. Wyobraźnia zabarwiała czułe słowa łatwo wyczuwalną drwiną. „W ostateczności ogłuszę ją tu, a Gibba zaciągnie do pokoju, i tam... Mam nadzieję, że tam nie zastaniemy rodziny przy imieninowym stole."

Siwa pani przerwała ostro głupawe zalecanki.

— Mogą się powołać?

— Jestem Gibba, zięć Natlowej!

Gospodyni rozpromieniła się w okamgnieniu.

— A pana, kto rekomenduje? — zwróciła się do Histria z przesłodkim uśmiechem.

— Tereska Zalcman, dyrektor policji!

Pod siwą panią ugięły się kolana. Przyjaciele poczuli się od razu jak goście pierwszej kategorii. Siwa zachłystywała się przeprosinami. Przepraszała jeszcze w saloniku. Wreszcie uznała, że starczy, i przeprosiwszy po raz ostatni wyszła obiecując, że za małą minutkę służy wszystkim, co w domu najlepsze. Histrio patrzył po ścianach a jednocześnie nogą macał dywan.

— Nadaje się, w sam raz dobry. Przysuń tamten fotel, żeby po poduszkę można było sięgnąć. Smycz połóż na stoliku. Niech przeschnie, bo się przepociła od rąk.

Gibba położył smycz i zbladł. Dopiero teraz zauważył maleńki kartonik for-

matu biletów wizytowych. Było tam napisane: „Panie po osiemnastce proszone są o niefatygowanie się. Lokal extra". Przeczytawszy to, Gibba stracił głowę.

— A niech szlag trafi! Jesteśmy w burdelu!

— Wołaj siwą, może zdążymy, nim zejdą się rozpustnicy!

— Ale, gdzież tam! Już się ktoś dobija!

Pokojówka wniosła trunki. Gibba pił wódkę białą, a Histrio różową. Siwa pani wychodziła z siebie, martwiły ją zawiedzione miny znakomitych gości. Znudzona nadskakiwaniem, zaproponowała:

— Popatrzymy przedtem? Proszę tędy...

Gibba, zupełnie zrezygnowany, zostawił smycz na stoliku. Histrio ratując pozory gmerał przy rozporku. Przeszli trzy pokoje. W czwartym (przez szpary widać było świetnie) piękna Zosia jeździła na cytrynowym meloniku. Na kanapce, w rozpiętej kamizelce, ziewał grubasek. Ziewał i dłubał w nosie.

— Poza *à la* dziecko na nocniczku — szepnęła pani Gibbie prosto w ucho. — Jak jej w cytrynowym ładnie!...

— Co to za jeden? — spytał Gibba i mrugnął do przyjaciela. Histrio odmrugnął, że Motyla poznał.

— Nie wiecie? Przecież to nowy dyrektor od skoków!

— Od skoków na Lunie?

— Takich miewam gości! — Siwej pani ze wzruszenia podskoczyła grdyka.

— A my jego... — Gibba, kopnięty w kostkę, urwał. Powiedział: „Wprost śmieszne", i zbladł przeraźliwie.

Histrio też bladł, siniał, czerwieniał. Obydwóm trzęsły się kolana. Siwa właścicielka nie domyślała się niczego. Paplała bez sensu:

— Ta figura bierze, prawda? Oj, nie udawajmy, ja wiem, co panowie lubią. No, i ten cytrynowy kolor gra tu znakomicie. Można już prosić?

— Za chwilę — powiedział Gibba. Siwa pani wyszła coś tam jeszcze sprawdzić. — No, Histrio, miałeś nosa... Upatrzył sobie dyrektora od skoków! I ty mnie w to chciałeś wplątać? Wariat albo...?

Histrio dopiero teraz zbladł na dobre.

— Ja? — krzyknął. — A kto wołał: „No, to rączka"?

— Odpowiedziałeś mi: „No, to łapka".

— Kto namawiał: „Popatrz no po melonikach, który kole w oko"?

— Tyś powiedział: „Cytrynowy"!

— A kto udzielił wyczerpujących informacji, mówiąc: „Ten, co wysiadł z samochodu i teraz wturla się w dom"? Kto ubliżał krzycząc: „Cytrynowy cyclu! Giemzo!"? Kto wymyślił pseudo Motyl na pana dyrektora od skoków na Lunie? Może powiesz, kto narzekał, że „sprawa nic a nic nie posunęła się naprzód"? Kto szydził: „Jeszcze Motyl fruwa"? Kto szydzeniem tym przynaglał, zachęcał, wiercił w brzuchu dziurę, że już, że zaraz, że prędko? Kto? Kto? Kto? No, Gibba, kto?

— Dziedziczna pamięć po Teresce Zalcman — mruknął z goryczą Gibba.

— Toż to osoba fikcyjna! — Histrio parsknął śmiechem.

Gibba zagryzł wargi. Sytuacja stawała się groźna.

— Czekaj, ty... Ja cię jeszcze przekonam, że Natlowa też nie psi wypierdek.

— Ciszej, idzie siwa pani — powiedział Histrio lodowatym tonem.

— Raz na lewo, raz na prawo, trochę naprzód, trochę w tył!... — Siwa pani

wzięła przyjaciół pod ręce i nim się spostrzegli, wepchnęła do sąsiadujących ze sobą pokoi. — Poznajcie się, kotki!

Gibba nie mógł się doczekać, kiedy się to wszystko skończy. Tłusta smarkula jak zwariowana uganiała się na tabaczkowym meloniku po całym pokoju. Za ścianą jej koleżanka zajeżdżała melonik zielony. Od szelestów i szurgotania puchła głowa. „Co tu robić? Histrio bardziej ode mnie obciążony. Będzie paplał bez licznika. Mogą być przykrości." Przykrości Gibba wolał nie nazywać po imieniu. Teraz, tuż przed końcem świata, gdy szczególnie zależało na utrzymaniu ładu i porządku, stosowano przykrości o wiele dotkliwsze niż dawniej. Gibba myślał intensywnie. Było nad czym myśleć! Raptem oprzytomniał. Przyłożył ucho do ściany — cisza! Wyrwał tłustej melonik spod tyłka i kopniakiem otworzył drzwi.

— Rozogniony gość, to moja największa radość — powiedziała siwa pani.

— Histrio! Gdzie Histrio? Gdzie mój przyjaciel? Gdzie ten drugi?

— Ach, zupełnie inny temperament. Pański przyjaciel wyszedł przed kwadransem. I co, kotku, co, pieseczku, chcesz teraz inaczej?

— Odlep się od spodni! Gdzie najbliższy telefon?

— W aptece. — Siwa pani obraziła się i schowała biust pod bluzkę.

Gibba wybiegł do ogrodu. Na śmierć zapomniał o furtce. Nim przelazł przez płot, pies rozerwał mu nogawkę. Ulica pusta, ciemnawa. Ani przechodnia, żeby się zapytać. Bez tchu, klnąc spasiony brzuch spadkobiercy, odszukał wreszcie aptekę. Zastał drzwi zaryglowane, lecz wewnątrz ćmiło się światełko.

— Otwierać! Do telefonu! — Krzyczał, walił obcasami.

— Do czego? — spytano ze środka. — Tu apteka.

— Do telefonu!

— Wypadek?

— Nie, tak, tak!

— Pijanych się nie załatwia.

Zaspany głos oddalił się w głąb apteki. Światełko zamigotało i zgasło. Gibba odszedł parę kroków, usiadł na skraju chodnika i podparł głowę. Po kilku minutach zerwał się i popędził w stronę domu. Zawlókł się do siebie na ostatnich nogach. Ciemniało mu w oczach, drżały ręce, mylił się nakręcając numer.

— Histrio! Histrio!... — Wołał, lecz z tamtej strony nikt nie podchodził do telefonu.

Po licznych próbach Gibba dał spokój. Odłożył słuchawkę. Skulił się w fotelu. Czekał paląc papierosa za papierosem.

— A więc, to tak, więc jednak... Nie ma go w domu, uległ pokusie. Niemożliwe! Ech, właściwie możliwe wszystko. Za pięć minut spróbuję jeszcze raz. Za późno dzwonić gdzie indziej.

Sygnał buczał prawidłowo. Biuro naprawy odpowiedziało, że „aparat w porządku, abonent nie zgłasza się". Minęło pięć minut, dziesięć. Histrio nie reagował na alarmujące dzwonki.

— Jeszcze nie wrócił — szepnął Gibba wyjmując walizeczkę z szafy. — Ależ się rozgadał...

W chwilę później obudził właścicielkę mieszkania (Gibba zajmował pokój z telefonem. Mieszkał „przy rodzinie", czyli u starej jędzy, gotowej na wszystko).

— Dostałem wiadomość o chorobie. Wyjeżdżam do ciotki.

— Nigdy nie słyszałem, żeby pan komandor miał gdziekolwiek ciotkę. (W swojej dzielnicy Gibba podawał się za komandora nie istniejącego już Jacht-Klubu.)

— Jadę właśnie do tej, o której pani nigdy nie słyszała. Atak serca czy coś w tym guście. — Gibba uśmiechnął się i wyszedł, bo był już gotów do drogi.

Resztę nocy przełaził szukając w dyżurnych aptekach potrzebnych medykamentów. Rano, pierwszym pociągiem wyjechał z miasta.

Ukrył się w opuszczonym szybie. (Był okres, że wiercono wszędzie. Dziury i podziemne chodniki pozostawały w ścisłym związku z przygotowaniami do zlikwidowania świata.) Zażywał środki odchudzające, łykał pigułki na przeczyszczenie, nie golił brody. Zrzuciwszy wagę, wyszedł na powierzchnię sflaczały, ziemisty, z capią bródką, siwą i rzadziutką. Okólną drogą pojechał do upatrzonego zawczasu miasteczka. Słyszał, że tam nic się nigdy nie działo i nic nikogo nie obchodziło.

Bez trudności wynajął pokój na parterze. Właściciele domku, ludzie niegdyś zamożni, ulegli przed laty nieszczęśliwemu wypadkowi. Leżeli więc w gipsie, a dom prowadziła córka, kobieta rosła i energiczna. Można by ją nazwać przystojną, gdyby nie łaciate ciało. Mówiła, że się jej to zrobiło z nerwów, jak zobaczyła tatusia i mamusię wypadających z samolotu. Córka, o czym Gibba nie wiedział (nie pytał, ona zaś nie uważała za stosowne chwalić się stosunkiem przed prawie obcym lokatorem), przyjaźniła się z miejscowym policjantem, czyli Porządkowym. Zobaczywszy pierwszy raz policjanta przed drzwiami, Gibba wyskoczył oknem. Nic się nie stało, celowo wybrał przecież parter. Córka wytłumaczyła mu, że z prowincjonalną policją można żyć, o ile ma się coś do oferowania.

— A ja mam, żebyś pan wiedział — zakończyła wesoło.

Gibba opowiedział zręczną historyjkę uzasadniającą przyjazd do miasteczka, uiścił czynsz z góry i zamieszkał. Noce spędzał bezsennie. Barykadowanie drzwi, zamykanie okiennic na antaby i łykanie proszków — nie przynosiło ulgi ani spokoju. Wszystko sprowadzało się do pytania: co planuje Histrio? Jeżeli uległ pokusie, to ukrywanie się w miasteczku było tyleż warte, co namawianie kata, żeby sam podyndał najpierw. Dlaczego Histrio zwleka? Cóż z pytania bez odpowiedzi? Gibba przewracał się z boku na bok, wstawał, nadsłuchiwał, wracał do łóżka i siedząc w kucki medytował do białego dnia.

W dzień czuł się jakoś raźniej. Szedł do ogrodu i drzemał nad rozłożoną gazetą. Na byle hałas zmykał w krzaki lub chował się za drzewo. Pewnego dnia zobaczył na ulicy znajomą gębę.

— Halo, moje uszanowanie panu — odezwał się przyjaźnie. — Znamy się, widziałem, jak pana schwytano na lasso. Co słychać?

— Źle słychać! Drogi panie, przecież to jeden wielki skandal. — Chudy Łysy był wyraźnie uradowany, że ktoś się nim wreszcie zainteresował. — Mnie już dziesięć razy wywożono budą! A ja, miły panie, mam w kieszeni nominację na Koordynatora Sieci II Rzędu! Pan wie, co to jest Sieć II Rzędu? No! Nominacja jest, robota czeka, ale cóż z tego? Nim z dworca dojdę do urzędu, Porządkowi zawsze złowią mnie na linkę. No i wracam ciupasem. Próbowałem tłumaczyć, ale naraziłem się na przykrości. Dobrze mówią: „Rozmowa jak z Porządkowym". Teraz siedzę cicho. Dałem sobie słowo, że palcem o palec nie uderzę. A Sieć II Rzędu leży, a niech leży, dobrze jej tak!... Znowu zawali-

my terminy. Czy oni myślą, że dla ich wygody komety będą latały codziennie? A te wiercenia? Fiu, fiu, gigantyczna afera, kochany panie. Co nowego w mieście? Meloniki ciągle modne? Ostatnie skoki, słyszałem, pasjonujące? Nowy Dyrektor obiecuje nie widziane cuda?

— Może pan wstąpi? Bardzo będzie miło. Gadamy przez płot jak kuchty. Jestem Gibba, komandor.

— A, teraz przypominam sobie. Naturalnie, pan prowadził raid samochodowy przed dziesięciu laty.

— Głupstwo, dawne dzieje. Może w cień? Staram się unikać słońca. Pan rozumie, szkodzi.

Gdy usiedli, Gibba pokazał gościowi gazetę.

— „Skoki odwołane. Luna zaczyna dymić." Może pan mi to wytłumaczy. Co teraz? Bez skoków na Lunie?!

— Drogi panie, bujda na resorach. Leżymy z terminami. Nic się tam nie dymi, ale trzeba skandal jakoś zamaskować, wymyślono więc dymy.

Gibba zachęcająco chrząknął. Nie interesowały go przygotowania. Uznał jednak, że dobrze będzie wiedzieć, na co się zanosi. Chudy Koordynator gadał jak najęty.

— Zasadę likwidacji świata uznaję za całkowicie słuszną. Jestem zwolennikiem rozwiązań pozytywnych. Były próby innych rozwiązań, zawiodły jednak w praktyce. Co zadecydowało o przygotowaniach? Odkrycie prostej prawdy: jeśli światu nie można udowodnić obłędu, nie znaczy to, że świat jest normalny. Niech pan słucha, zaraz pan zacznie pękać ze śmiechu!... — Koordynator dał Gibbie sójkę w bok. — Kiedy ruszyły przygotowania, natknęliśmy się na osobliwe trudności. Z każdej dziedziny zaczęto nadsyłać spisy cech, pojęć, schematów organizacyjnych, uczuć itp., które należy zachować dla przyszłego świata. Po likwidacji coś przecież powstanie nowego. Czas nie gra roli. Zna pan wyrażenie: „Skrystalizować poglądy, skrystalizować myśl, pojęcie"? Otóż, my to robimy dosłownie. I tak, skrystalizowane uczucie głodu ma kształt sześcianu koloru indygo. Skrystalizowana organizacja aptek wygląda jak ziarnko fasoli (raz mi żona ugotowała z tego fasolówkę, śmiechu było co niemiara!) i tak dalej, i tak dalej. Myśl słuszna, ale niech pan słucha, co przyniosła praktyka. Oto przykład. Dzwonią kiedyś do mnie i pytają, jak my stoimy z kompleksem Edypa? Odpowiedziałem, że zainteresowanie kompleksem jest nikłe i nie osiąga międzynarodowej normy, więc kompleksu materializować nie będziemy. Tego samego dnia przynoszą mi, panie złoty, pismo z bardzo wysokiego urzędu. Okazuje się, że kompleks MUSI być utrwalony, bo ma OGROMNE znaczenie dla kultury. No, i trzeba się brać za Edypa. Wyszły z tego paskudztwa zielone pigułki. „Edypiarze" zawalili nas robotą. Wtedy właśnie powołano mnie na Koordynatora. Czego się pan trzęsie? Może chłodno?

— Nic, nic, słucham. — Daleko zawarczał samochód i coś mignęło białego. Gibba z trudem zwalczył chęć ucieczki.

— Cóż, „skrystalizowane wartości" pakujemy w specjalne zasobniki i pchamy głęboko w ziemię. Szpikujemy staruszkę jak zająca słoninką. Musi pan kiedyś przyjść do nas na obiad.

— Zasobniki? Ciekawe...

— Trafna uwaga, bo zasobniki robimy ze skrystalizowanego strachu. Mamy już sześćdziesiąt pięć tysięcy odmian strachu!

— Czy strach jest zawsze uzasadniony?

— Oczywiście, skoro istnieje. — Koordynator roześmiał się, przypomniał o obiedzie, serdecznie potrząsnął ręką. — Niech pan koniecznie wstąpi. Mamy na trzecim piętrze gościa z miasta. Przyjechał do chorej ciotki. Do zobaczenia, miły panie. A może jutro? No, widzi pan, a może jeszcze dziś? Czas, panie złoty, nie gra przecież roli!

Gibba chętnie skorzystał z zaproszenia. Tego samego dnia wybrał się do Koordynatora na poobiednią herbatkę. Z przyzwyczajenie stanął przed domem i chwilę obserwował okna. Raptem na trzecim piętrze pojawiła się chuda, wymęczona twarz.

— Histrio! Histrio z capią bródką!

Histrio spojrzał i błyskawicznym ruchem zatrzasnął okno. Za chwilę rozległy się na piętrze hałasy. „Barykaduje drzwi!" — pomyślał Gibba i wbiegł na schody.

— Tutaj, tutaj, drogi panie — krzyknął z parteru Koordynator. — Gdzie pan pędzi? Dach się pali?

— Histrio! Histrio!

Drzwi trzymały mocno. Histrio milczał. Najmniejszym szelestem nie zdradzał swej obecności.

— Panie Histrio, prosimy na herbatę — Koordynator dołączył do wrzeszczącego Gibby.

— Histrio! Ja nie uległem pokusie! Histrio, wszystko się wyjaśni! Histrio, otwórz! Histrio, zejdź!

— Tak, tak, niech pan zejdzie. Herbata świeżo parzona.

— Histrio!

— Nie zejdę na herbatę. Ja schodzę z tego świata.

— Trzeba dać znać Orkiszowi, on prowadzi ewidencję zwłok — szepnął Koordynator. Potem dodał: — Szekspirowski dialog! Pan wie, że po skrystalizowaniu robi się z Szekspira białe ziarnko maku?

— Histrio, otwieraj! Wywalimy drzwi!

— Nie zdążysz. Mam sznur na szyi, zaraz połknę pigułki i najem się tłuczonego szkła.

— Jak panowie dojdziecie do porozumienia, prosimy na herbatę. — Koordynator machnął ręką i poszedł do siebie.

— Słuchaj, Histrio, jeżeli natychmiast nie otworzysz, dam znać! Ulegnę pokusie! Ty dobrze wiesz, kto z nas bardziej obciążony! Histrio, zostaniesz poddany dotkliwym przykrościom. Liczę do trzech, raz, dwa... No, widzisz, stary! Serwus, jak się czujesz? Chodźmy do łysego głupka. Posiedzimy parę minut, a potem sprowadzisz się do mnie. We dwóch będzie nam raźniej. Wybacz, że ci groziłem białą budą.

Histrio milczał. Odezwał się dopiero u Koordynatorstwa, kiedy filiżankę z herbatą zwalił sobie na kolana.

— Luńska mać skakana, wrzątek!

Wkrótce potem pożegnali gospodarzy. Koordynatorowa nie zatrzymywała. Koordynator był zły, bo się nie wygadał. Histrio wrócił na górę po walizeczkę i zgodnie z planem przeprowadził się do pokoju Gibby. Łaciatej obiecali podwójny czynsz, obyło się więc bez lokalowych sporów.

Histrio i Gibba spędzali dnie i noce razem. Nie rozstawali się ani na chwilę.

Instynktownie obserwowali się spod oka. Tematów drażliwych unikali. Przychodziło im to łatwo: Histrio milczał jak zagipsowany, a Gibbę męczyły monologi.

— Pójdę naprzeciwko do sklepu i kupię leżaki — powiedział w pewnym momencie Gibba. — Na leżaku w ogrodzie będzie czas mijał przyjemniej.

Histrio kiwnął głową, że dobrze. Gibba poszedł więc po leżaki. Idąc, oglądał się często. Histrio spokojnym krokiem spacerował dookoła drzewa.

Naprzeciwko nie było leżaków. Poradzono Gibbie sklep o dwie uliczki dalej. Stamtąd zaś skierowano go w zupełnie inną stronę miasteczka. Sprawunek pochłonął sporo czasu i Gibba wrócił do domu później niż przypuszczał.

— Ależ dziura, znalazłem tylko jeden leżak. Mają być w przyszłym tygodniu. Zamówiłem drugi... Halo, Histrio!... No, coś podobnego... Myślałeś, że uległem pokusie? Skończony głupiec... No, tak, skończony na amen — mruczał Gibba.

Przeciął sznur, chwycił lecące przez ręce ciało i ułożył wygodnie w leżaku. Pochylił się nad przyjacielem i pytał z uporem maniaka:

— Histrio, głupcze, odpowiedz, czy ty?... — Nie dopowiedział zdania. Biały samochód mignął między domami. Gibba złapał sznur, szybko związał końce. Powiesił się na tej samej gałęzi co Histrio.

Łaciata odcięła Gibbę tuż przed zapadnięciem zmroku. Sznur schowała na szczęście. Cieszyła się nim krótko. W przystępie dobrego humoru dała sznur Porządkowemu. Porządkowy okręcił się sznurem i w piątek pojechał do miasta. Na skokach szło mu znakomicie. Pokazywano go palcami. Zrobił na Lunie karierę.

Stanisław Zieliński

Jan Papuga

NIESZCZĘSNE PORTKI

Nowopoczęte listki miały niepojętą zieleń, czarowną świeżość jak kwiaty, większe błyskiem chwaliły swoją dorodność. Bukiety drzew chciwie pożerały złote słońce, małe, zbite trawy sprężystymi łukami pięły się do niego. Wszystko w wyrazistych barwach, nawet łono ziemi, zbrukane rodzeniem, było teraz przeczyste. Rankiem przeszła z południa burza z piorunami, z kaskadami wód. Po niej zostało na tej ponurej Północy wysokie, świetliste niebo, jakby przeniesione znad Lewantu.

Szedłem powoli alejami Parku Poniatowskiego, wchłonięty w zieleń, w słońce. Chwilami zapominałem o swym istnieniu, rozprzestrzeniony w cudnym świecie, pijany nim, aż nieprzytomny. Cuciły mnie hausty powietrza nasycone wonią ziemi, zieleni i kwiatów. Zmysły moje nabierały wtedy niepojętej ostrości, ciało radowało się sprężystością, to znów jak pijak wchłaniałem tego powietrza za wiele, aż uderzało mi do głowy jak tokaj. O mało nie bompłem w wyniosłą kobietę. W jej szarych oczach było zdziwienie, może tym, że nie dostrzegam jej urody, a może moim stanem. Spostrzegłem teraz, że obok mnie przechodzi wielu ludzi. Zrobiło mi się wstyd, chciałem być sam. Przypomniałem sobie wzgórek na uboczu i już normalnie szedłem w jego kierunku. Byłem teraz jakiś pusty, uważnie wymijałem przechodniów. Cieszyłem się, że za chwilę im zemknę. Trzeba było dobrze znać park, by wiedzieć, gdzie się znajduje ów wzgórek. Trochę tam było surowo i ponuro i zawsze był osamotniony. Przeciąłem bardzo szeroką, pustą aleję, po której kiedyś dozwolony był przejazd powozów, i zacząłem piąć się łagodną stromizną ścieżki. Za łukiem zobaczyłem młodą parę, moje miejsce było stracone. Szli wolno, trzymając się za dłonie. Mógłbym przyśpieszyć kroku, minąć ich i pierwszy zająć miejsce, może by wtedy poszli dalej. Zaniechałem tego, mieli w sobie cichą łagodność. Pogórek jednak był już zajęty przez gromadkę dziewcząt. Siedziały na obu ławkach, mimo że wystarczyłaby im jedna. Okupowały całe miejsce. Naraz zamilkł ich wysoki szczebiot i uporczywym wzrokiem przeprowadziły parę, potem znacząco spoglądały po sobie. Nie chciały się już przy mnie dzielić głośno wnikliwymi uwagami. Wiedziałem, że czeka mnie to samo. Powściągnąłem śmiech, by ich nie drażnić. Zrozumiałem zaraz, że młode, uważne oczy spostrzegą to i że dziewczęta tym bardziej będą się natrząsały ze mnie. Odezwał się we mnie marynarz, przeszedłem śmiało, otwarcie śmiejąc się z ich dziecięcego natręctwa. Niektóre

odwracały głowy, jakby się wstydziły, ale kiedy już sporo odszedłem, dobiegł mnie chóralny, jarzący się śmiech. O, nie były to już dzieci, miały mocne nogi, nabierające już kobiecego kształtu, a swetry i bluzki uroczo nabrzmiewały, pozostała im jednak dziecięca przekora i chęć płatania figli. Na wzgórku urządziły sobie zasadzkę na szukających samotności, a może spodziewały się chłopców, na których popróbują swego uroku i sprytu.

Zeszedłem w prawo na sam skraj parku, poprzez gąszcz krzaków gdzieniegdzie czernił się zbutwiały płot. Słońce zakrywały zachodzące za siebie gałęzie lip, wąska dróżka nie obeschła jeszcze po rannej ulewie. Oblała mnie kąpiel chłodu. Nigdy nie znosiłem ciężkich szub, kochałem nagość. Cieszyłem się, że i w moim zimnym kraju są dnie, kiedy można chodzić ubranym jak w tropiku. Miałem bardzo lekkie, bure, włochate, arabskie pantofle, cienkie, oliwkowe spodnie z Durbanu, ba, była to jeszcze wełna, i niebieskawą koszulę z Batawii, jedwabną, z krótkimi rękawami. Każdy łaszek radośnie mi przypominał tamte kąty. Od strony Rzeźni Miejskiej przez dziury w płocie z wrzaskiem wpadła banda obdartusów. W gonitwie ich głosy na przekór biedzie zwycięsko wyzywały cały świat, hardo głosiły swój byt pod słońcem. Przypomniało mi się moje dzieciństwo. Mimo że żywiliśmy się prawie powietrzem, biło w nas życie nie do zabicia, nasze tkanki były niezniszczalne. W tej potwornej nędzy bardziej podobni byliśmy do wilcząt niż do ludzi. Naraz cała moja radość poprzednia odleciała. Byłem właśnie takim wyrośniętym obdartusem, a wieczorem miałem iść do ludzi, którzy na najdalszych krańcach możliwości znaczyli ludzkość. Ogarnęło mnie zmieszanie, drętwiałem ze strachu. W tej samej jednak chwili uczułem najwyraźniej, że muszę tam pójść. Przecież oni obiecywali świat ogromniejszy i piękniejszy niż widziany przeze mnie, świat myśli i wzruszeń. Byli twórcami, poprawiali Boga w tym, co nie bardzo mu się udało. Zacząłem sadzić kroki, uciekając od żrącej mnie trwogi. Po takim krótkim galopie ochłonąłem. Znów oblało mnie żarem słońce. Na otwartej przestrzeni przy Szkole Włókienniczej roił się zgrzany tłum. Wszystkie ławki były zajęte, blade twarze skierowane w niebo nabierały złota. Był maj, ludzie rozkwitali radością. Ogarnął mnie nastrój tłumu, nie mogłem mu się jednak poddać zupełnie. Moja radość była już skażona poprzednimi, trwożnymi myślami. Szybko przemknąłem przez mrowie ludzkie, kierując się na odludzie. Gdy wpatrywałem się w chaszcze przy stawie, zdawało mi się, że ktoś stoi poza nimi. Zobaczyłem sztalugi. Zacząłem skradać się jak najciszej, gałęzie jednak trzeszczały. Malarz był zupełnie pochłonięty swoim światem, zwierał go według swego chcenia. Przez ramię zobaczyłem, że udało mu się ukraść na mały karton piękniejszą cząstkę wiosny. Zadziwiło mnie, że akwarela może oddać tak uroczo tyle barw. Wycofałem się, zazdroszcząc mu jego skupienia. Trochę dalej stała altanka na cementowych kolumnach. Usiadłem na brzeżku posadzki, opuściłem nogi na trawę i zapaliłem krzepką „Wolność". Pamiętam, przychodziłem tu czasami, nieczęsto jednak, drażniła mnie ulizaność mieszczuchów i ciasnota. Wolałem chodzić na lotnisko, tam obok, w lesie, paliłem gorę i czułem się jak dziki w swoim żywiole. Mogłem cały dzień leżeć w fioletowych wrzosach i przyglądać się lotom samolotów. Miały one na mnie tajemniczy wpływ, jakby były symbolem wszystkich ludzkich usiłowań. Sam Park Poniatowskiego zbrzydł teraz, był jakiś przydeptany, a staw, po którym kiedyś pływały

łabędzie i pluskały złote i czarne ryby, zamienił się w zaschłe po wierzchu błoto, z czarnymi kałużami we wgłębieniach. Przypominały mi one rzeczkę płynącą pod moim domem, powstałą z miejskich i gorących fabrycznych ścieków, jakiej nigdzie indziej nie widziałem. Tuż za mostem był mały wodospad, huczący i spieniony. Okrągły rok cieplicowa rzeczka dymiła. Stary drewniak, krzywy w każdej futrynie i belce, stał w wonnych oparach, ściany przeżarte miał grzybem, a przysiadły dach porośnięty mchem. Ulica nazywała się Piękna, a domek nosił uduchowiony numer 3. To romantyczne miejsce nastrajało mnie jednak do szaleństwa, miałem diabelną chęć spalić tę budę. I dziś jeszcze żałuję, że nie zrobiłem tego. Nora lisia na piaszczystym pagórku w lesie była pomieszczeniem willowym w porównaniu z tą naszą siedzibą. W ten sposób mógłbym tylko pomóc gnieżdżącym się tu ludziom. Może gdzie indziej ich szare twarze nabrałyby barwy a ich skisłe ciała przestały cuchnąć. Nie zrobiłem tego jednak. Uciekłem. I teraz, po długich latach, wróciłem do rodziny, w to samo miejsce, do kraju szarego, z najobrzydliwszą, półroczną zimą, tak trudną do przetrwania dla biednych, do kraju, w którym ze wszystkich znanych mi żyć było najciężej. Po prostu musiałem to zrobić.

Przeciągły gwizd pociągu ze stacji Kaliskiej niósł się zwiewnie, po nim drugi, trochę podobnie jak mich statków idących w rejs. Trzeba było tylko przebiec Bałtyk — taki sobie z niego burek jak nasz wiejski, zły i napastliwy — potem zaczynały się dziwy. Północny Atlantyk, najbardziej lubiący odziewać się poważnie w głęboki granat, czasami nabierał aż czerni. Prawie całą zimę urządzał sobie pochód gór, często z dmą, przechodzącą w nieustający, odległy grzmot — dobry kawał wody. Supermonstrum, Nowy Jork, z dziwnymi ludźmi, którzy upodobali sobie zadziwiać wszystkich Europejczyków w sposób onieśmielający. Południowa Floryda, czarowniejsza od Kalifornii, kraj najbardziej łagodny i kwiecisty, z wyjątkiem ludzi przyjeżdżających z północnych monstrów. Ludzie miejscowi żyją tu spokojnie, są łagodni i radośni. Kanał Panamski, przepiękna skaza ludzkiej pracy na ziemi, ze smużką wody, Kordyliery przecięte dynamitem; wystrojony na pobrzeżach mozaiką wszystkich ras ludzkich. Wyścig z ławicami delfinów przy Galapagos. Trochę są grube, jak May West, ale jakże piękne. Co za skoki, jakie są ciekawe, uparte jak diabły, nim dadzą się przemóc. Nocą mknęły w fosforyzującej wodzie jak świetliste pociski. Na Morzu Południowym wyrastały wprost z wody smukłe palmy, niskie laguny kryły się jeszcze za horyzontem, potem lśnił srebrzysty brzeżek piasku tuż przy wodzie a korony nabierały łuków. Gdzieniegdzie widać było góry, okryte zielenią we wszystkich odcieniach, nawet strumyk i soczyste łączki, białe, lekkie domki kolonistów z czerwonymi dachami. Wyłania to się z błękitnego oceanu, nakryte słonecznym niebem. Wszystko tu małe, a taka rozmaitość, nic nie przeraża, tak łatwo można objąć zmysłami i cieszyć się. Na wschodnim pobrzeżu Jawy, tuż przy Bali, mieszka uroczy ludek. Wędrowni tancerze na placykach wiejskich pokazują całe eposy z jego przeszłości. Wszyscy mają wrodzone poczucie kształtu, barwy, muzyki i tańca. Ogniste, parne powietrze i bujna natura nasycone są stężałą namiętnością. Dziewczęta są łagodne i piękne i zawsze mają ochotę dzielić się rozkoszą. Szczęśliwcy, których statek tu zawinie, wspominają te strony po kres swego życia.

Spojrzałem na malarza, zebrał sztalugi, rzucił okiem na swój pejzaż i odszedł. I mnie trzeba było już iść, znów obleciał mię strach. Jakże łatwo potrafiłem uciec od mojej wstrętnej nory, zgodzić się na nędzę ojca i siostry, a nie mogłem uwolnić się od trwożnej myśli. Zapaliłem papierosa. Wieczorem miałem pójść do Pickwicka, klubu Związku Literatów, na czwartek literacki. Zawsze śmiesznie czerwony jak burak, a musiałem tam chodzić każdego tygodnia i ileż przedtem było pasowania się ze sobą, by zdobyć się na to. Osiemnaście lat życia przy takich ulicach jak Piękna musiało mnie porządnie nacechować. Miałem wprawdzie hardą dumę ze swego pochodzenia, ale było to strasznie mało, tu właśnie był mój ból. Znałem wojnę w konwojach, i to nie pomagało. Tam potrzebna była jakaś inna odwaga, była tu wprost ponadzmysłowa wrażliwość, nie łamiąca się, i smak, smak w każdym spojrzeniu, słowie i ruchu, a przy tym każdy wydawał mi się kuty na cztery nogi. Byłem przy nich nagi i zaglądali mi do mózgu w swój lekki i ostry sposób. Moja odwaga w grubiaństwie napełniała mnie trwożliwym wstydem. Byłem teraz ślepy na urok wiosny, której nigdzie tak nie przeżywałem, jak w tym kraju. Słońce coraz szybciej zbliżało się ku zachodowi, ptaki głośniejszym śpiewem żegnały dzień. Już czas — pomyślałem i zebrałem się.

Szedłem jak oskubany ptak, niczym nie mogłem się podeprzeć. W bocznej alejce krzak bzu kwiecił się jak uosobienie pychy, wyciągnąłem rękę, by ułamać kiść, opamiętałem się i zaniechałem starego nawyku. Nie dostrzegałem brzydoty ulic ani piękna Alei Kościuszki, tej najładniejszej ulicy Łodzi, którą teraz szedłem. Kiedy przeciąłem Zamenhoffa, przeszył mnie rozdzierający krzyk, były w nim rozpacz i ból. Pobiegłem.

Na drugim końcu długiego basenu przeciwpożarowego, pozostałego jeszcze z wojny, biegali ludzie tam i z powrotem z jakimś nieludzkim skowytem. Zatrzymywali się, zdawało się, że wszyscy na raz chcą skoczyć do wody, nie skakali jednak, tylko znów zaczynali kręcić się w kółko. Wyrostki podskakiwały w miejscu, za to darły się, ile tylko miały sił. Kiedy znalazłem się w ciżbie, o jakieś pięć metrów od brzegu, zobaczyłem tuż pod wodą, w zgniłej, zielonawej zawiesinie, osuwającą się w dół rękę. „Dogonić ją i chwycić." Kiedy miałem już skoczyć, inna myśl przebiegła mi przez głowę — szkoda spodni uszargać w takiej wodzie. Zrzuciłem sandały, portki, koszulę wprost jednym ruchem i spojrzałem w miejsce, gdzie widziałem rękę.

— Już nie wyjdzie, to już trzeci raz poszedł pod wodę — zawołał ktoś obok mnie.

Skoczyłem na pierś, by nie zanurzać głowy i nie zgubić z oczu miejsca z ostatnim śladem. Przechyliłem się na głowę i zacząłem nurkować. Zielonawa woda stawała się coraz bardziej bura. Ledwo dotknąłem dna, zaczęło mi brakować tchu. To przeraziło mnie. Czyżby wszystko było daremne? W zastałej, ohydnej wodzie ledwo widziałem na odległość wyciągniętej ręki. Jakiś podwodny śmietnik garnków, butelek, wiader, obręczy, wszystko porośnięte zielonawym kożuchem. Obróciłem się wokoło i porządnie odbiłem nogami od dna. Na powierzchni odetchnąłem głęboko ze dwa razy, by przewietrzyć płuca.

— Nie wypuścił powietrza? — zawołałem.

— Nie — odkrzyknięto z tłumu.

Znów darłem się do dna. Szło mi teraz lepiej, już trochę dalej mogłem za-

toczyć dwa kręgi, tylko oczy zaczęły mnie szczypać. Jeszcze dalej, aż do ucisku w uszach, aż wbrew sobie zacząłem leźć w górę. Tłum teraz był spokojny, czekał z natężoną uwagą. Nie naprowadzano mnie na ślad, biedak oddał ostatnie swoje tchnienie. Znów rozpocząłem wędrówkę w dół. Postanowiłem sobie zatoczyć krąg wokół nieszczęsnego miejsca i nic, tylko nurkować, nurkować i szukać. Brudna woda coraz bardziej gryzła mnie w oczy, nie wolno było ich zamykać. Całe sterty oślizgłego złomu. Opłynąłem splątany drut kolczasty. Jak trudno było przywrzeć do dna. Powietrze, które miałem w sobie, wypychało mnie jak bańkę. Kiedy go się pozbywałem, dzwoniło mi w głowie coraz mocniej, jakby miał mi pęknąć mózg, a w nim jedyny przebłysk, jeszcze trochę, jeszcze trochę, aż i to zostało zagłuszone i wtedy, mimo że nie chciałem leźć w górę, nie miałem sił, byłem półprzytomny, w głowie czarna pustka, wtedy czynności mózgu przejmowało samo życie, wspaniałe, niepojęte, i ono wyrzucało mnie na powierzchnię. Tu miechy płuc pracowały do ostatnich swoich możliwości, z rozkosznym bólem, jakbym cały zamienił się w oddech. Znów przychodziły siły. Poczułem zupełną pewność siebie, jakby możliwość utopienia się w ogóle nie istniała. Tu, w tym wstrętnym bajorze, miałem taką jedyną, niepojętą chwilę, jakiej nigdy nie miałem przedtem ani potem, bo przecież nigdy nie ufałem wodzie. Widziałem podczas wojny, że bywa prawie tak podła, jak ludzie. Charknąłem i znów lazłem w dół. Znów, po kilku daremnych zejściach pod wodę, zdawało mi się, że zgubiłem właściwe miejsce i kiedy do głowy już wchodził ponownie mrok, tuż poza wyciągniętą ręką zobaczyłem żółtawą piętę. Chwyciłem nad pęciną bardzo słabo, bo życie już, już ciągnęło mnie w górę i mówiło ostatkowi świadomości: „Uważaj, sam nie wyleziesz, woda zaleje ci płuca". To wspaniałe i przepiękne życie ma najokrutniejszy egoizm. „Nie" — ostatni przebłysk myśli. Zwarłem się w sobie, zacisnąłem dłoń na nodze i odepchnąłem się od dna. Darłem się w górę. Kiedy słabiej zagarniałem wodę, topielec ciągnął mnie w dół. Teraz ja skowyczałem, tylko nikt tego nie słyszał, nawet ja sam. Och, jak to długo, aż jaśniej, jaśniej i powietrze. Już niewiele miałem siły, był to już jej kres. Teraz wiem, iż utrzymywała mnie tylko ta jedyna chwila absolutnej pewności, że nie mogę się utopić. Płynąłem więcej pod wodą niż na powierzchni. Kiedy miałem głowę na wierzchu, dochodził mnie jęk tłumu. Wreszcie brzeg, oślizgły cement i stroma głębia pod nogami. Nawet sam nie miałbym już siły wyjść z tej pułapki. Z tłumu pochwycili mnie za rękę i wywlekli nas na ziemię. Usiadłem. Ludzie jakby byli za mgłą, wyglądali jak duchy. Aż tu widzę, że z moim topielcem źle poczynają.

— Nie kładźcie go na plecach — zawołałem głośno jak mogłem, chociaż to wcale nie było głośno. — Woda rozleje mu się po płucach i może go udusić. Może jeszcze żyje. Przełóżcie go brzuchem przez kolano.

Z przejęciem zajęło się nim kilku mężczyzn. Był to chłopiec może czternastoletni, opalony i bardzo chudy. Wylało się z niego sporo wody, na końcu z lepką śliną.

— A teraz sztuczne oddychanie.

Chciało mi się śmiać, nigdy jeszcze mnie tak pilnie nie słuchano. Śmiesznie mi się przyglądano, ale nikt nie miał odwagi się odezwać.

— Ależ ta woda — wymówiłem z obrzydzeniem.

— Gnojówka, nie woda. Nie ogrodzą, psiakrew, to się i kąpią — darła się jakaś kobiecina.

— Jak to dzieci — odpowiedział starszy człowiek w zasmolonej bluzie z dziwną wyrozumiałością, jaką się ma dla tych dzieci, kiedy chowają się same.

— Nie myśleliśmy, że pan go ciągnie, wydawało się, że i pan się topi — ktoś mówił przy mnie.

— Tu wcale nie płytko — wymówiłem.

— Pięć metrów.

W chłopcu ciągle nie było widać życia, baby zaczęły pochlipywać.

— Tu naprzeciw jest lekarz w szkole partyjnej — ktoś wołał.

Większość ludzi popędziła tam wraz z topielcem. Wstałem.

— Ja tu mam gdzieś ubranie — przypomniało mi się. — Teraz trzeba by tylko, by ktoś je ukradł, a nasi to lubią — zaśmiałem się.

— Och, jakby śmieli — zawołała z przejęciem krewka babina. — Leży tu.

Zobaczyłem, że nawet ktoś poznosił porozrzucane i ładnie ułożył na trawie. Nie miałem ochoty w nie wchodzić, byłem cały w mazi.

— Babuniu, przynieście ręcznik, przecież się muszę wytrzeć.

Popędziła w dyrdy i po chwili niosła go jak chorągiew. Wytarłem się. Zrzuciłem spodenki, by nie umazać przyodziewku i wskoczyłem w spodnie. Nikogo tu już nie było, tylko poczciwa babina wpatrywała się we mnie i nie miała wcale ochoty odejść. Stała jeszcze, kiedy już odchodziłem.

Teraz po drugiej stronie ulicy, tuż przy szkole, skupił się tłum. Ludzie pytali, czy już ożył. Nie chcieli prędzej odejść, nim się dowiedzą. Przepuszczono mnie, mogłem przejść swobodnie. Przy wejściu stała jednak uzbrojona straż, dziewczyna i chłopiec z pepeszami. Był to 46 r., reakcja wtedy trwała w mordzie, wszędzie trzeba było mieć przepustkę. Kiedy chciałem się już o nią starać, wdzięczna hojność tłumu nie pozwoliła na to. Zaczęto wołać, aż przepuszczono mnie. Młodziutka kursantka zaprowadziła mnie do gabinetu lekarskiego. Lekarz myślał, że to przyszedł ktoś z rodziny, i wcale się nie mylił, nie czułem się obcy. Na twardej kanapce leżał nagi chłopiec, miał otwarte oczy, nie bardzo jeszcze przytomne, jakby nie wiedział, co się z nim stało. Pogładziłem go po jasnych włosach i wyszedłem. Opłukałem się pod prysznicem i kiedy byłem już przy wyjściu, zatrzymały mnie kobiety w białych fartuchach i zaprowadziły do stołówki. Tu sama szefowa, ogromna i gruba, niosła już czubaty talerz wspaniałej wołowiny, inne podały chleb i dzban z kawą. Jadłem bez chleba, by zjeść więcej, na zapas, mięsa nie widziałem już z tydzień. Wstałem i podziękowałem im. Szefowa uścisnęła mnie. Kiedy już odchodziłem, słyszałem, jak mówiła: „Taki mały, no?". Obejrzałem się, śmiały się wszystkie.

Na ulicy świat wydawał mi się inny. Miałem w sobie dogłębną radość całkowitego szczęścia. Tak się czuje chyba tylko matka, która urodzi i wychowa wspaniałego, dzielnego syna. Nie urodziłem go ani nie wychowałem, ale przecież był mój, chociaż go nigdy więcej nie widziałem. Może to właśnie on będzie pisał prawdziwe i piękne książki. Niepojęte są możliwości każdego życia ludzkiego. Zmroziło mnie przypomnienie: przez ohydne portki zabiłbym tę możliwość. Nie chciałem ich zamoczyć, a przecież wtedy była zupełna pewność, że go wyciągnę. Potem mógłby się utopić mimo całej mo-

jej mordęgi. Co za chamska chciwość. Poruszyło mnie to mocno, ale utonęło w morzu radości, jaką w sobie miałem. Jak mocno krzepiła wołowina. Nie przerażał mnie tłum, był ciżbą serc.

Swobodnie i lekko wszedłem na piętro, salka była już zapełniona ludźmi. Przecisnąłem się przez stojących przy drzwiach, przeszedłem do okna i wsparłem się o parapet. Stąd mogłem wszystko dobrze widzieć. Siedzieli ciasno stłoczeni przy stolikach i pili kawę. Mężczyźni przeważnie chucherkowaci albo nalani tłuszczem, za to kobiety mieli gładkie jak łanie o wypielęgnowanych twarzach i dłoniach. Wszyscy w bogatych strojach, jakby w nich chcieli ukryć swoje puste wnętrza. W końcu sali siedzieli zwarcie hałaśliwi malarze. Żółkiewski miał odczyt. Gromił burżujów. Mówił, że tylko robotnicy zachowali wartości najbardziej ludzkie: ofiarność i heroizm. Pędził pisarzy i artystów na ulice, na peryferie, do miejsc, gdzie pracują robotnicy. Czasami odchodził od swego naukowego języka, mówił najprościej, jak trybun ludowy. Zalewało mnie gorąco, wtedy dałbym się za niego pokrajać w kawałki, to nie był jeszcze inkwizytor paczącego się socjalizmu. Kiedy skończył gromy, zatkało wszystkich. Siedzący przy stolikach nie mieli nawet sił na oburzenie. Niektórzy poderwali się, jakby chcieli uciec, ich kobiety jednak chciały pozostać. Byli zawiedzeni. Spodziewali się, że tu będą mogli w swoim mdławym wykwincie spokojnie dziobać ciastka i słuchać literackich cacuszek, a tymczasem brutalnie nawymyślano im. Nieśmiało podjęli głosy. Wtedy dobrał się do nich Kott. Ale miał używanie — jedna kpina z ich moralności, chciwości i tchórzostwa, często obrazowo posługiwał się literaturą francuską z okresu porewolucyjnego. Kottowi jeszcze by mogli wybaczyć, był dworny, ale Żółkiewskiemu nigdy. Malarze zaczęli skarżyć się na szarość, bezbarwność życia. Gromki Żółkiewski odpowiedział im natychmiast, że wnętrza trzeba się dokopać, wtedy szarość zacznie błyszczeć. Kłótnia zaczęła przycichać, aż Żuławski, najwytworniejszy z pisarzy, zakończył ją i podziękował zebranym za przybycie.

Przystojne kelnerki miały teraz dużo pracy. Przy stolikach polała się wódka. Mieszczuchy pomału przychodzili do siebie i z powrotem wchodzili w swoją skórę.

Kiedy miałem już wyjść, podszedł do mnie Hertz i zaproponował, byśmy usiedli razem. Znaliśmy się tylko z nazwiska i z widzenia. Po niewielu słowach przepiliśmy imiennego. Jaką radością było patrzeć na niego i słuchać go. Ściągła twarz o wyraźnym wycięciu, orli nos o czystym wykroju, może trochę za okrutnym, zmysłowe usta, głęboko osadzone oczy, a nad nimi dopiero wyniosłe czoło, oliwkowa cera i krucze włosy. Co za oczy, duże, o gorącym, ciemnym brązie, tylko na błysk zapalał się w nich ogień i zaraz gasł. Na przekór temu umysłowość jego wydawała mi się lodowata, a on sam przy tym dobry, smutny i prosty. Byliśmy krańcowo różni, razem dawało mi to wielką radość. Po chwili przysiadł się Rudnicki, był bardziej bezpośredni niż Paweł, ale nie miał jego prostoty. Nie pił, nawet nie palił, a wydawał mi się jak Adonis skąpany w winie ze swoimi żarzącymi się oczami. Za to każde jego słowo grzało. Byli bardzo chciwi mojego świata, jakby był jakiś inny niż ich.

— Macie tu ptaszka — dobiegł nas sponad naszych głów niski i miękki głos.

— Ach, siadaj, Alicja — zapraszał Adolf i wysunął krzesło.

— Ty im nic nie wierz, to starzy cynicy — siedząc już mówiła do mnie najprościej i najpiękniej, mimo że widzieliśmy się po raz pierwszy.

Jak świetnie umiała kierować nimi. Kiedy byli za weseli, osadzała ich. Stawali wtedy dęba, rozpoczynali poważne wywody, to znów, kiedy byli za poważni, kilkoma słowami i miną wtrącała ich w wesołość. Spoglądała na mnie, jakby mówiła: — Nie patrz na nich tak jak na świętych, i ty jesteś jakiś świąteczny. Przecież to zwykła popijawa, lepsze widziałeś w twoich knajpach. — Sprowadzała mnie na ziemię, była opiekuńcza. Było mi z nimi strasznie dobrze. Pożegnałem ich, by przed jedenastą zdążyć na tramwaj.

Gdy czekałem na przystanku, brzydkie miasto wydawało mi się bardzo moje. Nie wciskał mi się żaden majak z cudownego świata. W ludziach było tyle piękna i radości, wszystko było takie tego wieczora. Och, nawet trwożna myśl, co mnie prześladowała, zapodziała się gdzieś, jakby w ogóle jej nie było. Tylko spodnie, nieszczęsne portki prześladowały mnie.

Jan Papuga

Vladimir Nazor

WODA

Vladimir Nazor urodził się w 1876 r. na wyspie Bracz. Jest to najpłodniejszy chyba w całym 50-leciu i najpopularniejszy, najbardziej poczytny chorwacki poeta i prozaik. U nas jest prawie zupełnie nie znany, choć jego nowele i opowiadania szczególnie zachęcają do tłumaczenia swym pięknym, jędrnym językiem i głębokim spojrzeniem na świat i ludzi. Poezje jego zaskakują coraz to nowymi motywami i inspiracjami. Pisał pieśni liryczne i epiczne, ballady, ody, dytyramby, sonety, posługiwał się oktawą i tercetami, klasycznym heksametrem, dwunasto- i dziesięciozgłoskowcem. Tworzył nowele i opowiadania autobiograficzne, zagłębiał się w żywot starych Słowian, w ich i starożytnych Greków mitologię, słynął jako poganin i panteista, a nade wszystko zawsze i wszędzie w jego poezji pobrzmiewała nuta głębokiego patriotyzmu. Niemałą sensację wzbudziła jego ucieczka w 1942 r. z paveliciowskiego Zagrzebia do obozu Tita, mimo że uznawany był i czczony w „niezawisłej" Chorwacji i że był już wtedy sędziwym starcem. Opis tej ucieczki, perypetii, jakie przechodził podczas ustawicznych walk z faszystami rodzimymi, niemieckimi i włoskimi, swego uczestnictwa w naradach nad tworzeniem nowego ustroju itp. zawarł w pięknym i interesującym pamiętniku *Z partyzantami*, czekającym na polskie wydanie. Ostatnim jego dziełem była duża i świetna powieść *Pasterz Loda*, której fantastyczny bohater, starożytny satyr żyjący do dzisiaj, oddaje wielkie usługi obecnemu ustrojowi.

Nazor zmarł w 1949 r. jako prezydent Ludowej Republiki Chorwacji. Opowiadanie *Woda*, jedno z najpiękniejszych, wzięte jest z cyklu *Na wyspie pragnienia*.

Wiktor Bazielich

I

Już od przeszło trzech miesięcy deszcz nie pada.

Dnie są długie. Słońce jest tak gorące i jasne, aż od jego blasku bolą oczy, a oddech staje się ciężki. Także i w tobie coś się żarzy i pali. W dzień wszystko martwe, niemrawe w zatoce i po wsiach. Nielepiej jest w nocy. W tej krótkiej ciemności między późnym zmrokiem i wczesnym rodzeniem się dnia odczuwasz coraz silniej upał bijący od rozpalonych skał i nagrzanych murów. Od wszystkiego, czego dotknęły słoneczne promienie długiego dnia letniego.

Ale i tym razem — chociaż susza jest długa i ognista, jak jeszcze nigdy — ludzie na wyspie nie skarżą się zanadto z powodu swoich winnic i sadów oliwnych. Słychać wprawdzie głosy, że na wielu nasłonecznionych miejscach, głównie na pochyłościach górskich, uschły całe rzędzy młodej łozy i młodych oliwek: zwiędły i poczerniały, jak gdyby je ktoś zlał ukropem. Ogrody są puste. Nigdzie ani kępki trawy. Ale obok smreków i sosen we wszystkich zagłębieniach i miejscach cienistych, oliwki i winne łozy ciągle jeszcze opierają się powszechnej klęsce. Może dlatego, że wiosna była długa, mokra i bez wiatrów i że wszystko wtedy bujnie pokryło się liściem, pączkami i kwieciem, napiło się wilgoci. Ponieważ nawet na Matkę Boską Zielną nie padało, więc tego roku będzie mniej wina i oliwy, ale — jeśli niebawem spadnie deszcz — to jednak będzie się rwać i zbierać, a grona będą słodkie, wino mocne, oliwa jak złoto. Wiedzą nasze winnice i nasze gaje oliwne, co to letnie posuchy. Suche, sękate i wytrzymałe, powoli oddają tę odrobinę wody, która tkwi jeszcze pod ich korą.

Ludzie we wsi cierpią również, lecz nie rozpaczają.

Wyschły zupełnie oba zbiorniki, z których czerpali wodę, Górny i Dolny Pisak, także domowe cysterny są puste. Do prania używają wody morskiej, którą noszą z zatoki. Wodę do picia i gotowania kupują w dalekich miasteczkach na wybrzeżu. Przez cały dzień, w słońcu i skwarze, korowody kobiet dźwigają z dala na głowie małe beczułki i wiadra, parciane miechy i kubły, od których gną im się plecy. Ludzie tutejsi są wysuszeni, czarni i żylaści jak ich łozy. Rzekłbyś, że soki w nich zgęstniały, i że wszystkie ich żyły skurczyły się i skręciły w węzły, by nie stracić tej odrobiny soków, która im jeszcze pozostała.

Bardziej niż rośliny i ludzie cierpią zwierzęta.

Zniknęły stąd rzadkie ptaki, stali lokatorzy: kosy i drozdy, chociaż z nadmiernego gorąca dojrzały już jagody jałowca i szyszki na smrekach i sok ciecze z nich długimi, płynnymi nitkami, które złocą się w słońcu. Zamilkły nawet koniki polne, które piją tylko rosę; lato tego roku jest więc pozbawione swego głosu i swojej pieśni. Także głosy świerszczy drzewnych i świerszczy domowych, brzmiące tak, jakby ktoś garście pereł rzucał na jakieś dźwięczne płyty, nie sypią się w ciche noce, cichną i oddalają się coraz bardziej.

Ale wieśniacy nie dbają o to; co innego ich gnębi i niepokoi. Owce i muły cierpią pragnienie: nie mogą dźwigać ciężarów, nie dają mleka. Jedna koza zdechła. Wypadek wzburzył całą Wielką Wieś. Kilku ze starszyzny poszło do miasta, żeby wyprosić szybką pomoc u władz i wynająć łodzie, które dowiozą wodę do zatoki. Ale łodzie trudno znaleźć, a władza powiedziała, że dopiero za kilka dni marynarka wojenna będzie mogła posłać im z Puli wielki okręt, który przewozi wodę.

II

W tych dniach ojciec mój był bardzo zatroskany.

Zbliżał się wrzesień. Walka, jaką z matką staczał mój ojciec z powodu dalszego posyłania mnie do szkoły, była już skończona. Przyszedł także z miasta list od ciotki, która odpowiedziała, że chętnie przyjmie mnie na

mieszkanie i wikt, więc matka zaczęła zaraz szyć mi nową bieliznę. Ojciec wołał mnie często do siebie; czytał mi i tłumaczył ulubione wiersze Wergilego.

Ale im posucha była bardziej dokuczliwa, tym bardziej stawał się milczący. Znów unikał wszelkiej wzmianki o wysłaniu mnie do szkoły.

— Czemużeś się, człowieku, tak zatroskał? Jeżeli nawet skwar zniszczy jaką stągiew oliwy, wino będzie mocniejsze, lepsze i... droższe — rzekła raz matka.

— Ty nie wiesz, co się gotuje w górze, we wsi.

— No co? Wieśniacy się modlą. Składają śluby. Urządzają procesje. Kto się zwraca do Boga, ten nie myśli źle.

— E, było już tak kiedyś, gdy byłem chłopcem. Posucha jak i tego roku. Z początku wszystko cierpliwe i spokojne, a potem... straszne rzeczy! Okropność, chociaż wieś była wtedy mniejsza, ludzie lepsi niż teraz. I wszystko wybuchło w dwa dni po wielkiej procesji, w której szli bosi i gołogłowi, ze świecą w ręce, bijąc się w piersi i śpiewając pieśni pokutne. Opanowało ich jakieś święte pijaństwo. Czynili ciężkie śluby, spowiadali się publicznie ze swoich grzechów, przepraszali i prosili o odpuszczenie, posypywali głowy prochem.

— No, widzisz.

— Tak. Ale kiedy na drugi dzień zdechło we wsi kilka mułów, dwie pierwsze kobiety oszalały, a za nimi tłum. Ktoś powiedział, że najbogatsi ukrywają wodę w domu i że studnie nie są całkiem puste. I wieś się ruszyła. Tłum wdarł się przemocą do mieszkań, przeszukał wszystkie cysterny, wpadł do piwnic. Powiedziano, że w beczkach więcej jest wody niż wina. I wtedy zaczęły się napady i rabunki. Gasili pragnienie swoje i zwierząt winem i octem. Do upicia się słońcem przyłączyło się upicie winem. Rzucali się jedni na drugich, broniąc swojego i rabując cudze. Plądrowali także i w tej zatoce. Nigdy nie było takiej dzikości i zła. Dużo trzeba było, aby wieś się uspokoiła i odpoczęła. Ty nie wiesz, co to znaczy szał posuchy...

— Ale okręt z Puli!

— I wtedy także oczekiwano okrętu-cysterny. Przybył, ale za późno.

Matka nic nie odpowiedziała. Zamyśliła się patrząc w igłę, a potem na mnie.

Zgadywałem, jaka myśl kręci się jej po głowie: myśl gorzka i smutna, od której oczy jej wydawały się jeszcze większe i żałośniejsze. Ja jednak nie myślałem o tym, co będzie ze mną, jeśli deszcz nie spadnie na czas. Pierwszy raz słyszałem, że jest upiór, który nie lata w cieniach nocy i nie wychodzi na ciemność i chłód, lecz oślepia i poraża ludzi i zwierzęta. Schodzi ze słońca, cały jasny i płomienny, aby morzyć gardła pragnieniem i opijać szałem. Szał suszy idzie tego roku w słoneczne godziny letnie po zatoce i po wsiach. Przepędził wszystkie ptaki, odebrał głos świerszczom, wypił ostatnią kroplę wody, wysuszył winne łozy, pozabijał muły i owce, a teraz ludzi przyprawia o szaleństwo. Odczułem po raz pierwszy, że jest coś silnego i wrogiego w tej światłości, która rozlała się po zatoce, i w tym słońcu, które cały dzień zagląda w nasz zalew. Nowy obraz ukazał się moim oczom.

— Ojcze — rzekłem — a czym się przepędza szał suszy?

— Wodą, synku — odrzekł śmiejąc się z moich słów.

A matka krzyknęła przeniknięta znowu nadzieją:

— Woda dla nas już przychodzi. Przepędzimy i tego potwora. Nie bój się, Wlado!

I nie pomyliła się.

Tego samego dnia przyszła z lądu wieść, że okręt-cysterna wpłynie jutro do zatoki.

III

Słońce zaledwie wstało, gdy pierwsze kobiety z Wielkiej Wsi zeszły ku morzu.

Niosły puste wiadra na głowach, za nimi dyrdały dzieci z drobnymi miedzianymi naczyniami do czerpania wody ze studni, ze skopkami, z pęcherzami i tykwami, w których nosi się picie robotnikom w winnicy, a także z kubłami, w których daje się wodę zwierzętom. Przychodzili nowi ludzie, dźwigając także naczynia drewniane, jeszcze większe i cudaczniejsze: wielkie balie, w których pierze się bieliznę i odzienie, kociołki i kotły, które dwóch ludzi może nieść na ramionach tylko wtedy, gdy przez oba ich ucha przeciągnie się drąg. Ale my, dzieci, zadziwiliśmy się tym więcej, gdy zobaczyliśmy u ludzi również kilka dzież, w których się miesi chleb.

Wszyscy rzucili się na wybrzeże, by poustawiać naczynia na samym brzegu, aby tam najwygodniej nabierać wody i nalewać ją do wiader i kociołków, prać, czyścić i szorować. Zwilżali i umacniali dyngi i obręcze dawno już rozeschnięte i rozchwiane. Zdjęci obawą, że okręt mógłby przyjechać, zanim skończą swoją robotę, zaczęli krzyczeć i popychać się nawzajem. Kłócili się o miejsce, albowiem wszystko cisnęło się na kraj wybrzeża; ochlapywali się wodą morską, wyrywali jedni drugim naczynia twierdząc, że dopiero właśnie w tym momencie odkryli dawną kradzież.

Ale w tym wszystkim nie było właściwie złości.

Coś łagodziło ich gniew.

Wkrótce rozlegnie się gwizd okrętu-cysterny, dziób jego zwróci się w stronę zatoki i zobaczą go, jak rzyga dymem z dwóch szerokich kominów. Okręt stanie, a oni wezmą te wszystkie naczynia, pobiegną tam i będą patrzeć, jak strugi wody ciekną, pluszcząc i pieniąc się, do wiader, kubłów, kociołków, beczek, dzieżek, i lżej się im zrobi na duszy. Pochyleni, trzymając się rękami za krawędź naczynia, wyciągną w dół szyje i głowy i pić będą wodę jak owce, jak muły, długo, pożądliwie. Wstaną potem z mokrymi twarzami, a woda będzie im ciekła po brodach i szyjach na piersi. Potem podniosą ciężar na głowę, na ramię lub plecy; pośpieszą do wsi. I nie będą czuli swego brzemienia: ten powrót wyda im się lżejszy niż przyjście tutaj z pustymi naczyniami...

Tymczasem ludzie nadciągali dalej.

Rzekłbyś, iż cała wieś przesiedlała się ku nam. Byli tam ludzie, którzy mieli swoje winnice daleko od morza, nigdy zatem nie schodzili do naszego zalewu. Prawie wszyscy byli chudzi i spaleni słońcem, ręce mieli zgrubiałe od odcisków, o palcach na pół zesztywniałych, twarze kościste i plecy zgarbione, jakby i teraz pochylali się ku ziemi karczując kilofem gołą skałę. Szli starcy, łysi i bezzębni. Dzieci o krzywych nogach i włosach wypłowiałych od słońca jak kukurydziane kity.

— Przyjechał? — krzyczał prawie każdy, gdy tylko stanął na wybrzeżu.

— O, jedzie! — odpowiadali inni pokazując drgającą mgiełkę u wylotu zatoki.

Ale to nie był jeszcze dym z okrętu, tylko opary wznoszące się z ogrzanego już przez słońce morza, zapowiadające, że dzień będzie jeszcze bardziej skwarny i uciążliwy.

Naraz rozległ się tupot racic i kopyt i najpierw kilka kóz wyrwało się z uliczki na wybrzeże. Podniosły głowy w górę, poruszając nozdrzami i błyskając żółtymi oczami. Za nimi wychyliło się całe stado owiec, becząc i oglądając się, jakby czegoś szukało. Ze dwadzieścia mułów, atakowanych przez muchy, wlepiło od razu wzrok w naczynia ustawione na brzegu i poczęło węszyć. Zwierzęta czuły bliskość wody; ale jak gdyby przeczuwając, że to nie ta właściwa, stawały się coraz bardziej niespokojne. Kiedy zobaczyły kubły i wiadra, z których zawsze je pojono, a w których teraz coś błyskało i świeciło na dnie, rzuciły się na naczynia. Miotały się w tłoku, wierzgając, bodąc, gryząc.

— Na, moja, na!

— Isz! tam!

— Napijesz się, napijesz. Aż napęczniejesz.

— Ganiaj je! Ganiaj!

Nie było siły, żeby je odegnać. Muły szalały. Potrząsały łbami i rzucały tylnymi kopytami. Niektóre wsadziły pyski w wiadra; zaczęły pić wodę morską.

— Ojoj, padnie! Padnie przed nocą.

— Nazad! Odpędźcie!

Zaczęły się krzyki i odganianie. Kobiety chwytały owce za szyje, trzymały kozy za rogi, mocując się z nimi, ciągnąc je powrozami.

Jakiś dryblas śmiał się na całe gardło; trzymał się za brzuch i wołał do grubej kobiety, która, nadymając się jak miech, czerwieniała na twarzy walcząc ze swoją kozą:

— Ha! Ha! Kumo Mando, szkoda, że ja nie jestem waszym kozłem! Skończyłoby się całkiem inaczej.

Długo by jeszcze trwał ten wrzask i tumult, gdyby kilku ludzi nie wpadło na koncept.

Skoczyli na skraj wybrzeża i wylali morską wodę z naczyń.

Teraz zwierzęta szły od naczynia do naczynia, liżąc mokre drewno i węsząc, i becząc, jakby się skarżyły. Wybałuszały oczy do pustych wiader i pochylając łby pokazywały zapadnięte boki, sterczące żebra i kości kręgosłupa. Wszystkie stały w miejscu, nie dając się oderwać od tych naczyń, nie ruszając się, chociaż muchy i owady obsiadały ich krosty i rany, spragnione jak jeszcze nigdy.

— O, skaranie boskie!

— Co poczniemy teraz z tą żywiną?

I znowu znalazł się ktoś, kto ich nauczył, co robić.

Podniósł wiadro i zaczął nim wabić swoje trzy owce, cofając się powoli.

— Na, moja! Na!

I na to znajome wołanie zwierzęta poszły za nim.

Człowiek przeszedł na drugą stronę zatoki i przywiązał owce w cieniu przy bramie jakiegoś podwórza. Rodzina jego skupiła się ze zwierzętami koło próżnego wiadra.

Cały tłum rozproszył się w ten sposób i pochował w cieniu domów, gdyż słońce było już wysoko i zaczynało przypiekać.

Znikąd ani tchnienia wiatru w ciszy zalewu.

Ziemia gorzała już pod stopami. Wydawało się, że z każdym wdechem wciąga się w płuca niewidoczny płomień.

IV

W uliczce przed naszym domem było najwięcej chłodu, więc pełna była ludzi — głównie starszych — którzy siedzieli na ziemi pod murem i na płytach kamiennych naszej studni. Studnia stała otworem, żeby każdy mógł zaraz zobaczyć, że jest pusta. Na rozcież były również otwarte i drzwi naszego mieszkania, w których ulokował się nasz ojciec; wiedział, że w ten sposób — rozmawiając z ludźmi — najlepiej zabezpieczy swą rodzinę od jakiejś niespodzianej swawoli lub złośliwości z ich strony.

Siedzący tutaj ludzie patrzyli w niego płonącymi oczyma; dolna warga im zwisała, ukazując zepsute zęby, mięśnie twarzy zapadły. Przypominali czeredę spragnionych i wymęczonych zwierząt.

— Wiedzą, panoczku, wszystko to łatwo się znosi, gdy się widzi, że pomocy nie braknie — mówił jakiś starzec do mojego ojca.

— Oto już pomoc nadchodzi. Nie będzie i nam gorzej niż innym na wyspie — mówił ojciec akcentując jak najsilniej słowo „nam".

Czułem, że chciał przez to powiedzieć, iż także i dla niego przeznaczona jest część nadziei, którą się karmią wszyscy, że jest jak i oni nieszczęśliwy, równy im w tej ogólnej biedzie. Opowiadał, jak są budowane okręty, które przewożą wodę, z jaką szybkością płyną po morzu i w jaki sposób napełnia się ich wnętrza żywą wodą z miejskiego wodociągu.

— Ho! Ho! — wołali rolnicy mlaskając językami, jak gdyby czuli już w ustach smak wody, na którą czekali.

— Tak! Tak! Niech raz napoją i nas, biedaków!

I opowiadał dalej, chcąc ich rozpogodzić i dodać im otuchy. Wyniósł nawet swój stary barometr. Zaczął im tłumaczyć, że ta dziwna maszynka pokazuje już od wczoraj, iż spadnie deszcz: zerwie się jedna z tych nagłych burz, bez których u nas latem nie ma opadów.

Chłopi kiwali głowami, jak gdyby niezbyt ufali temu instrumentowi. Wierzyli raczej twarzy człowieka, który zresztą także i teraz nie szafował słowami, a wiedzieli przecież, że nigdy nic nie mówi na wiatr albo dla żartów.

— Tak jest! Woda nadchodzi. Dziś dla nas, a może już jutro dla naszych winnic i oliwek.

— E-e — szczerzyli zęby w śmiechu. — Oby Bóg dał!

Wtem ozwał się potężny i uroczysty głos:

— „I spojrzał Pan na ziemię, a ona była zepsuta i pełna nieprawości..."

— Ho! Ho! Jest i on.

Głos brzmiał dalej i przybierał na sile, jak gdyby chciał się wszystkim narzucić:

— „I Bóg rzecze Noemu: oto spuszczę potop na ziemię, aby zniszczyć ludzi i zwierzęta, aby wytrzebić wszelkie ciało, w którym jest żywa dusza..."

— Milcz, Proroku!

— Zatkajcie usta temu fratrowi!

— Ty nam o potopie prawisz, a my zdychamy z pragnienia.

— „Będzie męka i pokuta, płacz i zgrzytanie zębów. Płaczcie, córki jerozolimskie!"

— Milcz, gawronie!

— Idź tam... do bab!

— *„Kyrie eleison. Kyrie eleison."*

I prorok opuścił głowę na piersi, pocałował krzyżyk różańca, który mu zwisał u pasa, i zaczął się modlić akcentując głośniej od czasu do czasu:

— *„Exaudi nos, domine!"*

Nazywano go fratrem, gdyż niegdyś służył w klasztorze po drugiej stronie kanału, a ponieważ przez wiele lat był we wsi kościelnym sługą, poruszał się i mówił jak i inni fratrzy, którzy obchodzą wyspę żebrząc po wsiach. Przydomek „Prorok" zdobył na starość, gdy musiał porzucić kościół i pójść na żebry, wtedy bowiem zaczął prorokować, głosząc na swój sposób słowa i całe fragmenty Pisma Świętego. Młodzieńcy i dziewczęta stroili z niego żarty, ale starcy i staruszki słuchali go z pewnym lękiem, bojąc się najwięcej opowieści o potopie, o zesłanych przez Boga plagach egipskich i o zburzeniu Jerozolimy. Bali się także bardzo niezrozumiałych słów łacińskich, które w ustach Proroka jakoś inaczej brzmiały niż przy ołtarzu w ustach proboszcza. W dniach biedy nikt nie żartował z żebrakiem; ale dzisiaj, gdy się oczekuje okrętu cysterny i *szjor* * Pijero tak mówi, nikt nie chciał słuchać złowieszczego Proroka.

Żebrak milczał teraz i patrzył ponuro w ziemię.

A mój ojciec chciał, by ci ludzie nie upadali na duchu, chciał zmylić swoją oraz ich niecierpliwość na wypadek, gdyby okręt się spóźnił lub wcale nie przybył. Przerywał rozmowy mogące wywołać oburzenie przeciw tym, którzy odraczali dawno już obiecaną rozbudowę zbiorników i nowych studzien. Nigdy nie słyszałem go tak mówiącego i nigdy nie wydał mi się tak dobry. Teraz i ja wierzyłem, że wszystko to zło za chwilę minie i będzie lżej.

Ja także słuchałem go chętnie, nie mogłem się jednak oprzeć pragnieniu, aby przedrzeć się przez tłum, na drugi kraniec uliczki, gdzie się coś zaczęło dziać.

V

Z dziesięć kobiet cisnęło się tam do niskiego okna izdebki, gdzie były moje siostry.

Starsza i najmłodsza siostra stały w oknie; trzymały w rękach żelazne pręty i patrzyły na kobiety.

* *Szjor* — pan.

Jakaś drobna staruszka w czarnej chustce na głowie trzymała się także kraty i mówiła przymilnie:

— *Sinioriny* nasze drogie, tylko jedną łzę! Tylko jedną kropelkę!

— Usuń się, stara! Jeżeli co mają, to nie dla twojej gęby!

— Wszystko, co mogą dać, będzie tylko dla dzieci.

— Tak! Tak! Dla dzieci!

I w mgnieniu oka troje malutkich dzieci, podniesionych przez swoje matki, znalazło się na tym oknie. Stały nogami na parapecie, trzymając się kurczowo prętów i gotowe zapłakać. Chude, blade dzieci, ze śliną w kątach ust, z wystraszonymi oczyma.

— Daj, proszę... pięknie!

— Powiedz sam!... One są dobre.

Ale jedno dziecko się rozpłakało. Zaczęło się drzeć i tupać nogami. Matka musiała je usunąć i zjawiło się natychmiast dwoje innych.

Najmłodsza moja siostra bała się po prostu, ale starsza patrzyła na dzieci zamyślona; powieki jej wielkich, czarnych oczu nawet nie drgnęły.

— Dajcie, dajcie, młoda gosposiu — atakowały ją wieśniaczki.

Ona stała niezdecydowana. Przypominała sobie pewne zalecenia matki, lecz gdy jedno dziecko w końcu wyszeptało: wody! — powiedziała:

— Ale nie mam szklanki.

Wszystkie kobiety się uradowały.

— O to łatwo.

— O! trzymajcie!

— Przynieście i lejcie do tego!

— Nie! Nie! Niech sama dzieli. — Wszystkim po trochu.

— Wszystkim! wszystkim!

I siostra przyniosła imbryk z wodą.

Oczy jej teraz świeciły. Usta się śmiały. Rumieniec wypłynął jej na twarz. Ręce drżały ze wzruszenia. Nigdy nie wydała mi się taka piękna i mądra.

Wzięła od jakiejś kobiety naczynie metalowe, nalała doń wody, przesunęła je przez otwór między dwoma prętami kraty do ust mniejszego dziecka. Malec pożądliwie pił i połykał, aby wypić jak najwięcej; lecz ona uważała, aby nie uronić ani kropli.

— Dość! dość! Jest nas dużo.

Teraz kobiety szukały naokoło dzieci, łapały je i podnosiły na okno. Panowała radość w tej gromadce. Matki biegały na wybrzeże, aby znaleźć dzieci; wracały niosąc je na rękach.

— Napójcie także trochę i mojego kanareczka!

— Ale ja nie mam już więcej wody.

— Ma ją wasza matka.

Siostra pobiegła do drugiego pokoju.

Wkrótce zobaczyłem naszą matkę, jak podchodzi do drzwi wejściowych i mówi coś do ojca cicho i z zatroskaniem.

Lecz on uśmiechnął się; odpowiedział jej głośno, tak że mogliśmy wszyscy słyszeć:

— Widziałem, widziałem... Tak to jest, moja żono. Jeśli zatrzymasz pragnienie przed drzwiami, to wejdzie ci przez okno, choćby nawet była w nim żelazna krata.

— Tak to jest, tak! — potwierdzili ludzie.

— Napój jeszcze raz swoje kurczątka i daj tym dzieciom wszystko, co jeszcze mamy. Z drugimi lżej się czeka, lżej się także cierpi.

— To święte słowa — ktoś zawołał.

Patrzyłem na ojca jak na kogoś, kogo dopiero teraz poznawałem. Czułem dla niego to, co czuła także i ta gromada spragnionych wieśniaków, o których dotychczas myślałem, że są ledwo ludźmi i że nie trzeba ich ani kochać, ani nienawidzić. Tak jest, ojciec mnie uczy, że ich pragnienie jest takie samo jak moje; że jeśli im nie jest dobrze, to słuszne jest, aby tak samo było i mnie. Nie jest więc prawdą, że my jesteśmy jedno, a oni co innego. A ponieważ tak jest, to wszystko wydaje się lżejsze, możemy jakoś przecierpieć razem. Coś pięknego weszło przed chwilą przez kraty owego okna poprzez oczy i zarumienione policzki mojej najstarszej siostry do naszego domu. Chciałem bardzo, żeby moje pragnienie było tak samo palące, jak pragnienie tych ludzi, i żebym go nie zaspokoił, dopóki i oni nie będą od niego wolni.

I kiedy matka wyniosła dla kobiet nieco wody, którą mieliśmy jeszcze w domu, i zawołała mnie, żebym się napił przed dziećmi, które czekały, przełknąłem gęstą ślinę, która zebrała mi się już na języku, i powiedziałem:

— Dziękuję! Nie jestem tak bardzo spragniony.

VI

Gdym stanął na wybrzeżu, nie znalazłem tam najsławniejszych wiejskich zuchów, których się spodziewałem. Jedni z nich poszli na Kargadur, by się wspiąć na najwyższe skały, skąd widać wjazd do zalewu. Inni pojechali czółnem do samych wrót małej zatoki, aby tam wdrapać się na kamieniołom, skąd roztacza się widok na kanał i morską toń. Umówili się, że nazbierają chrustu i suchych liści i rozpalą ogień, gdy tylko zobaczą z daleka statek-cysternę. W ten sposób oni pierwsi dadzą ludziom znać, że woda nadchodzi. Ludzie mogą siedzieć spokojnie w cieniu, póki nie zobaczą dymu u ujścia zalewu i na wyniosłościach Kargadura.

Nie było więc na wybrzeżu postrachu dzieci wiejskich, wielkiego zabijaki Goliata, ani niespokojnego Syby, powolnego, ale zwinnego jak węgorz.

Stado chłopczysków zebrało się koło swego starszego kolegi.

Był to Kostuś, z lat i wzrostu już młodzieniec, ale pod każdym innym względem typowy urwipołeć. Suchy, żółty na twarzy, o małej główce i długich nogach i rękach, podobny był do kołka, na którym wisiało kilka szmat. Bez rodziny i domu, wałęsał się tam i sam, raczej żądając niż żebrząc pożywienia, wytrzymały na głód, pragnienie i chłód. Motyki i łopaty zawsze unikał; wykręcał się też od wszelkiej roboty; chętnie natomiast nosił polecenia ze wsi do wsi, pokonując swymi długaśnymi nogami szybciej niż kto inny najcięższe drogi. Latem był częstym gościem w naszej zatoce i znał w niej każdy kąt. Swoje przybycie oznajmiał już z daleka śpiewem, oferując w ten sposób swoje nogi za kromkę chleba lub za parę groszy.

Zebrał teraz koło siebie kilku chłopaków i — tak pochylony, niespokojnie przebierając nogami — podobny był do wysokiej, chudej kury, grzebiącej ziemię, otoczonej kurczętami. Bawił się z dziećmi w tzw. „pod nogę", grę, w któ-

rej był prawdziwym mistrzem. Stojąc z pochylonymi plecami, kładł pieniążek na paznokieć palca prawej ręki, przytrzymując go zgiętym palcem wskazującym. Naraz wyrzucał palec w górę tak silnie, że paznokieć wydawał głos, a on cofał rękę ku sobie. Pieniążek leciał do góry, obracając się szybko wokół swej osi, błyszcząc w słońcu i brzęcząc jak wrzeciono, aby spaść na ziemię w tym samym momencie, w którym nadepnie go i przykryje Kostusiowa wielka noga. Wtedy dryblas pochylał się jeszcze bardziej, opierając się ręką o kolano, a chłopacy przysiadali w kucki, kładąc na ziemi swoje grosze.

— Marko!

— Maria!

— Rzućcie i powiedzcie wszyscy! — zachęcał Kostuś dzieci i wybałuszał swoje rybie oczy na pieniądze, licząc je spojrzeniem.

— Marko! Maria! — wołali chłopcy, popychając końcem palca wskazującego każdy swój grosz ku Kostusiowej nodze.

Wówczas powoli cofał z powrotem nogę, szurając stopą po ziemi. Pokazywał się jego pieniążek, ale najczęściej pokryty prochem. Wtedy Kostuś klękał, pochylał głowę i dmuchał w krajcar.

— Jest Marko! Marko!

Dryblas szybkim ruchem podnosił wszystkie te pieniążki, które wygrywał, i rzucał po krajcarze każdemu chłopakowi, który zgadł szczęśliwie.

I zawsze zostawał w ręce Kostusia jakiś wygrany pieniądz. Prawie za każdym razem jednak było mnóstwo krzyku i kłótni.

— Powiedziałem: Marko!

— Łżesz, łotrze! Powiedziałeś: Maria.

Kostuś umiał tak wrzeszczeć, wytrzeszczać oczy i machać rękami, że w końcu zawsze miał słuszność. Po kłótni gra szła jeszcze żywiej. Pieniążek brzęczał jeszcze głośniej odskoczywszy od Kostusiowego paznokcia i zataczał piękniejszy krąg spadając ku jego nodze. Oczy dryblasa uporczywiej patrzały w pieniądze, a stopa jego jeszcze silniej uderzała o ziemię.

Ale tego dnia nie miał szczęścia. Przegrał wszystko, co miał. Zaczął więc żądać pieniędzy z powrotem, bo niektórzy chłopcy dłużni mu już byli od dawna. Oparli mu się. Gdy spostrzegł, że w ten sposób nie dojdzie do niczego, rzekł:

— A dalibyście co, gdybym was pożywił i napoił?

— Wtedy tak!

Kostuś zaprowadził ich na pobliskie podwórze pustego domu.

— Zaczekajcie tu. Najpierw trzeba coś przegryźć.

Wspiął się kamiennymi schodami, wsparł się o drzwiczki pobocznego budyneczku. Drzwi, choć rozchwierutane i zużyte, jednak się nie otwarły.

— Chodźcie tu na górę! Pomóżcie!

Chłopcy podbiegli. Wparli się zgodnymi siłami. Coś pękło, drzwi się otworzyły uderzając o wewnętrzny mur. Ukazała się ciasna przestrzeń z wąskim „gardłem", wyślizganym od powroza.

Jakiś chłopak nachylił się nad studnią i rzekł:

— Pusta.

— Ale nasza pieczeń w niej się piecze! — zawołał Kostuś. — Dalej! Puśćcie mnie!

Zakasał wysoko portki na nogach i oba rękawy; wspiął się na „gardło";

zaczął się spuszczać do studni. Nie pierwszy to raz schodził w nią: wiedział, gdzie oprzeć nogę, którego kamienia się uchwycić.

Wkrótce usłyszeli, jak brodzi w gęstym mule.

— Dajcie no jakiego kija.

A gdy mu podano kij, zaśpiewał w studni.

— Szuka skarbu w błocie.

— Kpi z nas.

— Ubabrze nas błotem.

I wyrostki chciały już spuścić pokrywę studni na „gardło" i zamknąć w niej Kostusia, gdy zawołał:

— O jest! Jest! Ależ ciężki!

Wspinał się w górę. Ukazał się w otworze. Niósł wielkiego węgorza, głową nabitego na ostry koniec kija. Z rękami i nogami czarnymi od błota, stał przed dziećmi szczerząc zęby z zadowolenia. Tłukł rybą o studnię i krzyczał:

— Oto pieczeń! Wiedziałem o niej. Rzuciłem go do studni jeszcze przeszłego roku na Wielkanoc.

I wszyscy wyszli na podwórze.

Wkrótce ognisko paliło się przed nami.

— Żaru trzeba! Żaru! — wołał Kostuś i krajał węgorza na kawałki.

Staliśmy w kręgu koło ognia. Patrzyliśmy na dryblasa, jak łamie i tnie kij, robi małe rożenki, na które wbija rybę.

— Mięso ma tłuste i białe jak śnieg. Nie brak nam niczego, tylko trochę chleba i garstki soli.

Pobiegłem do domu, przełknąłem trochę jedzenia, jakie matka właśnie niosła na stół, wziąłem chleba i soli i poniosłem dla Kostusia.

— *Szjor* Wlado dostanie za darmo. Nic mi nie jest winien — powiedział.

Dryblas siedział w kucki przy ognisku, w jednej ręce trzymając rożenek i obracając rybę nad żarem, podczas gdy drugą solił. Sól padała na żar i wesoło strzelała. Teraz rzucaliśmy ją wszyscy na węgorza i w ogień. Zapach świeżej, pieczonej ryby łagodnie drażnił nasze nozdrza, łaskotał i podniecał głód. Pieniążki znowu padały Kostusiowi pod nogi, a on rozdzielał kąski. Dryblasowym kozikiem krajałem chleb i dawałem każdemu po kromce.

— Dobre to jest!

— Choć twarde jak skóra...

— I słone. Za dużo posoliłeś, nieboraku!

Ciągnęli i darli rybę palcami i zębami. Żuli i połykali pożądliwie. Nawet najlepsza ryba na naszym stole nie wydała mi się nigdy taka smaczna. Poskarżyłem się jednak, że jest zbyt tłusta.

— Tłusta? To drobnostka... Gdybym był królem, jadłbym tylko łój — rzekł Kostuś.

Węgorza i chleba już więcej nie było; głód był zaspokojony. Ale teraz co innego zaczęło nam dokuczać. Przesolone kąski rozpaliły nasze pragnienie. Piekło nas w gardle. Podniebienie nam gorzało. Język był suchy.

— Kostuś! Powiedziałeś, że nas także i napoisz.

— Masz morze... to pij.

Zbuntowaliśmy się wszyscy.

Krzyczałem także i ja, bo u nas w domu nie było już ani kropli wody, bo i ja zapłaciłem moim chlebem i moją solą za Kostusiową rybę i w tej chwili

czułem się we wszystkim równy dzieciom, z którymi cierpiałem takie samo pragnienie. Południe już minęło. Ni tchnienia wiatru, a wszystko naokoło piecze i pali, przejmuje żarem.

— Musisz! Zgodziliśmy się. Naści wszystko, co mamy.

— Nie umiesz dotrzymać słowa.

— Umiem! — wściekł się dryblas. — Umiem, choć boję się, że nie pójdziecie ze mną, że się przestraszycie. Ej, żeby tu byli Goliat i Syba!

— Nie przestraszymy się!

— No, dobrze. Ja wiem, gdzie jest woda: prawdziwa, dobra woda.

Spojrzeliśmy na niego z zadziwieniem.

A on wskazał nam dom konsyliarza po drugiej stronie zatoki, drugi pusty dom z wielkim, zamkniętym podwórzem o wysokich murach.

Wszyscy milczeliśmy. Przecież co innego jest otworzyć przemocą drzwiczki tej małej pustej studni poza domem i szukać na jej dnie węgorza, a co innego wedrzeć się na podwórze cudzego zamkniętego domu, gdzie cysterna jest akurat pod podłogą kuchni. Był to jedyny pusty dom w zatoce, do którego nie miałem odwagi wejść nawet i ja. A przy tym jego właścicielem był konsyliarz, który mieszkał gdzieś w dalekim, pięknym mieście. Wielki pan, o którym mówiło się tylko z uszanowaniem i z pewnym lękiem!

— To zdychajcie z pragnienia! — rozzłościł się na nas Kostuś. — Czego wam strach? Nic nie chcemy, tylko się napić. — Chodźmy!

I poszliśmy za nim.

VII

Wybrzeże przed podwórzem konsyliarza było pełne kobiet, owiec i mułów. Po południu bowiem tylko po tej stronie zatoki przybywało cienia, w miarę jak słońce opadało powoli ku zachodowi.

Kobiety skupiały się wkoło jakiejś chudej, bladej dziewczyny, rozciągniętej na ziemi. Próbowały ją podnieść biorąc z tyłu pod pachy, ale była sztywna jak kłoda.

— Liwo! Liwo! Nie słyszysz mnie?

— Sama skóra i kości, a ciężka jak z żelaza. Ale zmarzła!

A Liwa stawała się jeszcze bardziej sztywna. Patrzyła przed siebie na pół otwartymi oczyma; ruszała wargami, jak gdyby coś szczebiotała.

— Puśćcie ją. Znam ja ją, zaraz jej to przejdzie, od jednego razu.

I dziewczyna rzeczywiście sama siadła; wybuchnęła dziwnym śmiechem i chichotem.

— Święta ona, święta. Tylko ją puśćcie.

Liwa patrzyła wokół siebie trzymając ręce skrzyżowane na piersiach, które obnażono, żeby jej ulżyć. Wyciągała w górę szyję długą i cienką jak u podskubanego ptaka; zaciskała usta i wyrzucała z siebie głębokie westchnienia, o których nie wiedziano, czy pochodzą z boleści, czy z jakiejś błogości. Twarz jej stawała się jakoś jaśniejsza i piękniejsza.

— Święta! Teraz ją usłyszycie.

A ona uśmiechała się, patrzyła w niebo i mówiła z jakimś zachwytem:

— Jeden, dwa obłoki!... Biały obłok naszego szczęścia; czarny obłok naszej

żałości. Z pierwszego kwiaty; z drugiego łzy... Spadną nam na łono; będzie nam kapać na czoło.

— Święta! Święta!

— Jaka ona teraz piękna!

— A co jeszcze widzisz, Liwo?

Chciała się podnieść. Wyciągała szyję, unosząc do góry głowę. Każdy jej mięsień drgał.

— O! patrzcie! Idzie do nas. Po kolana brodzi w wodzie. Chwyta ją. Kropi nas. Polewa nas jak kwiatki i wszystko wonieje na deszcz. Podnieście mnie.

A kiedy ją podniesiono, krzyknęła z niespodzianego strachu. Twarz jej się wykrzywiła.

— Krew! Krew! Zarżnęli dziecko! Dajcie wody! Przynieście wody!

I poczęła drżeć.

— To gorączka z pragnienia.

— Wody!

— O biedneśmy, ty, my i ona! Nigdzie ani kropli.

W tym momencie wpadł Kostuś przez drzwi podwórza.

— Jest woda — rzecze.

— A gdzie?

— W tym domu. W zbiorniku w kuchni.

Powstał zgiełk, jak gdyby także i święta na tę wieść otrzeźwiała. Wyciągnęła ręce do dryblasa.

— Zaprowadź mnie, Iwanie! Napoję moje jagnię.

— Prowadź! Prowadź! — nastał krzyk.

Kostuś wparł się silnie w bramę podwórza konsyliarza, ale nadaremnie.

— Tram! Przynieście go. O! tamten.

I byliby wnet przynieśli ten tram, gdyby nie to, że czyjś głos rozległ się z wysoka:

— Nazad, kobiety!

Na murze podwórza stał człowiek i patrzył w tłum.

Był to „stróż" konsyliarza, chłop z Małej Wsi.

Ale właśnie ten człowiek nie był zdolny uciszyć burzy, która zaczynała wzbierać w piersiach kobiet, spragnionych i głodnych, zmęczonych długim czekaniem i bojących się już, że niczego nie doczekają.

Nie lubiły go, gdyż był dla nich obcy, a nienawidziły go, gdyż był surowy względem kobiet z Wielkiej Wsi, gdy je zastawał na posesji swego gospodarza.

— Tyś to, diable!

Wypiął piersi i znowu krzyknął:

— Nazad, kobiety!

— Tram! Tram! — wołał znowu Kostuś, a jego towarzysze podnieśli belkę. Stróż zachmurzył się.

— Stój! albo... strzelam!

— Hi! Strzelbę zostawiłeś w domu pod łóżkiem.

On wyciągnął rękę; podniósł skądś strzelbę.

— Hu! hu! — odezwał się jeszcze głośniejszy krzyk.

Upór i nienawiść rozpaliły już kobiety. Nie ruszyła się ani jedna. Rękami podpierając boki, z głowami uniesionymi w górę, krzyczały na stróża:

— Nie ma w niej prochu, jak w tobie duszy.

— Pusta jest, jak i ta twoja tykwa na twoim ramieniu.

Stróż podniósł strzelbę i wypalił w powietrze.

Cały zalew zahuczał. Ze wszystkich kątów zatoki, a najwięcej z uliczki przed naszym domem, zlecieli się ludzie na wybrzeże. Wszystko wychyliło się ku temu podwórzu.

— Konsyliarzów stróż strzela do kobiet! Konsyliarzów stróż strzela do kobiet! — rozwrzeszczał się Kostuś i jego towarzysze.

Ludzie poszukali kamieni i nie pytając nikogo, co się właściwie stało — już z daleka zaczęli celować w stróża.

On schował się za mur, ale płomień już wybuchł. Ludzie rzucali dalej kamieniami, dobijali się do bramy, podnosili belkę, żeby nią szturmować.

— Ucieknie nam. Otoczcie dom! Uderzcie!

— Woda! Woda! Jest w zbiorniku. W kuchni.

Wszyscy cisnęli się do bramy, tylko stary żebrak stał na uboczu. Opierał się na lasce, wybałuszał mętne oczy w to niespokojne mrowisko i krzyczał:

— „Przemienię wodę ich w krew. Miasto dżdżu poślę na nich grad, żywy ogień na ziemię ich."

I byłby się zaczął szturm, gdyby nie nadszedł mój ojciec. Jego zachowanie, gest, jakim wstrzymał pierwsze uderzenie tramu o bramę, podziałały na tłum uspokajająco.

— Ludzie — rzekł. — Stróż strzelał, żeby tylko ludzi trochę przestraszyć. A jeżeli ma wodę, to ona będzie wasza.

— Ma, ma.

— Tym lepiej. Czy nie lepiej dostać niż zabrać? Czy to nie łatwiej?

— Tak jest! Tak! Ale ten człowiek...

— Łatwa z nim sprawa. Marcinie!

Stróż znowu się ukazał.

— Marcinie, otwórz mi.

Stróż patrzył na tłum. Wahał się. Naraz rzecze:

— Otworzyłbym. Ale ci...

— Nie trap się. Zaczekają tutaj spokojnie.

— Zaczekamy!

I ojciec sam wszedł na podwórze.

Gdy wrócił, rzekł:

— Stróż zaprowadzi na górę do kuchni trzech najstraszych z was, aby sami zobaczyli, czy jest woda.

Starzy weszli, wspięli się za stróżem po schodach. Słychać było, jak się otwierają drzwi w domu.

— Panoczku, tak jest sprawiedliwie i słusznie! Okrętu nie ma. Nie można dłużej czekać. Przed nocą musimy być w domu. Teraz wszystko i spragnione, i głodne... gorzej niż przedtem.

I kobiety cisnęły się znowu do bramy niosąc swoje naczynia. Pchały się już nawet, bojąc się, że jako ostatnie zostałyby bez wody. Mówiły teraz o stróżu i jego strzelbie tylko przez prześmieszki i dowcipy. Tylko Prorok mamrotał coś o ogniu, gradzie i potopie, podczas gdy święta Liwia w nowym przystępie czułości gruchała jak gołębica.

Ale starcy wrócili i rzekli:

— Nie ma nic. Ani kropelki.

Kobiety nie ruszyły się. Nie mogły się wyrzec i tej ostatniej nadziei. Smutek i żal a także gorycz rozlały się po ich twarzach. Jakiś czas milczały ze wzrokiem utkwionym w bramę. Potem patrzyły jedna na drugą, jakby jedna drugą o coś pytała. Podniósł się zgiełk, przechodzący w krzyk.

Jak to? Cysterna ta jest wielka, dach szeroki i długi; rynny są dobre, a dom stale pusty, więc nikt nie zużywa wody. Ktoś ją wypił albo sprzedał... A w takim razie po cóż stróż ze strzelbą w ręce, gotów nawet strzelać do ludzi? Czy przypadkiem woda nie jest schowana w tym samym domu? W beczkach? W kamionkach na oliwę?

— Do piwnic! Do piwnic! — rozległ się krzyk, i wtedy przypomniało mi się, jak ojciec opowiadał matce, iż napadem na piwnice zaczęły się dzikie rabunki także podczas tamtej posuchy.

Ojciec mój pobladł. Widziałem po jego twarzy, ile trudu kosztowało go, żeby się wydać spokojnym.

— Do piwnic! Do piwnic!

Głos kobiet podobny był teraz do ryku. Nienawiść znowu płonęła w ich oczach zwróconych na stróża. On zaś bał się zamknąć im bramę przed nosem, bo czuł, że dopiero wtedy nastąpi wybuch. Ojciec mój milczał; wiedział, że daremne będzie, jeżeli otworzy usta, a nie znajdzie tego właściwego, tego jedynego słowa, które mogłoby pomóc. Wszyscy trwali w napięciu i czekali, aż ktoś pierwszy skoczy i zacznie się coś grubszego. Wydało mi się wtedy, że szał suszy zstąpił między nas i że w twarze dmie nam wicher wściekłości i szaleństwa. Coś mi gorzało w piersiach jak i innym. Zdawało mi się, że odetchnę dopiero wtedy, gdy stanie się to, czego chcieli także ci wszyscy ludzie...

Ale właśnie w tej chwili dał się słyszeć z drugiej strony wybrzeża krzyk, który nas poderwał jak smagnięcie biczem.

— Okręt! Okręt! dymi się na Kargadurze.

I nagle zaczęły się dzikie wyścigi na drugą stronę wybrzeża.

VIII

Trzy słupy dymu wznosiły się wysoko w górę: dwa u wrót małej zatoki, jeden wysoko ponad Kargadurem.

One także nie były równe i spokojne. Wiatr od morza naginał je w stronę zatoki, skręcał w świdry. Słońce, które chyliło się już ku zachodowi, oświetlało je prawie czerwonawym światłem. Widocznie gałgany Goliat i Syba nazbierali dużo suchych liści i gałęzi, gdyż obydwa słupy były grube; zdawało się, że długo będą dymić w górę. Żal mi było, że mnie nie ma z nimi tam, skąd widać szerokie morze, którym płynie okręt.

— Prędko! Wnet się ściemni! — spieszyli się ludzie; biegli tam, gdzie brzeg był najwyższy i najdogodniejszy dla przybicia statku.

I znowu rzędy naczyń stały na krawędzi wybrzeża. Bardziej niespokojne zwierzęta były teraz uwiązane do pobliskich bram i żelaznych krat okien piwnicznych. Wszystka męka i złość poszły w zapomnienie. Prorok znowu milczał, patrząc ponuro przed siebie; święta Liwia chodziła wkoło, cicha i milcząca, podobna do lunatyczki.

— Chwała Bogu! — wołały kobiety, dobijając się i teraz o miejsce, na którym mogłyby wcześniej dorwać się do przypadającej im części wody.

— Na moja! Na! — nawoływały kobiety, a owce skupiały się koło naczyń, jak gdyby woda już teraz miała w nie spłynąć.

I ten kwadrans czekania wydał się nam wszystkim dłuższy niż cały dzień spędzony w zatoce z pragnieniem w gardle, z głodem w żołądku, na oddychaniu powietrzem, które paliło w morderczym słońcu.

Rozległ się długi, ostry gwizd. Statek ukazał się na zakręcie przed cyplem Kargadura.

Ludzie nie powitali go jednak wesołym krzykiem. W tłumie podniosły się głosy rozczarowania i niezadowolenia.

— A cóż to za okręt!

— Trzy maszty wody na tyle narodu!

— W takim razie mogli nam posłać jaką „bracerę".

Jakaś kobieta podniosła kubeł i łupnęła nim o ziemię. Ogarnęła ją wściekłość — prawie płacząc krzyczała:

— Do diabła z tym! Poniosę do domu wodę we flaszeczce... we flaszeczce!

— *Kyrie eleison! Kyrie eleison!* — odezwał się Prorok dobywając złowieszczych głosów z głębi swego gardła.

W tłumie powstało zamieszanie.

Lecz znaleźli się i tacy, którzy wołali:

— Spokój, ludzie! Okręt nie jest wielki, ale jego cysterna głęboka. Większy byłby się więcej spóźnił.

Okręt już przystawał. Kapitan, człowiek niski, barczysty, o czerwonej twarzy, stał na swoim wysokim mostku; wydawał rozkazy marynarzom.

Gdy okręt stanął, bokiem przy samym brzegu, kobiety podniosły naczynia i chciały wejść na statek.

— Odsunąć się! — zagrzmiał kapitan. — Tak nie pójdzie! Nie!

— Wody! Zaraz!... Wnet będzie ciemno. Za długo czekaliśmy na was.

Marynarze ledwie odepchnęli ludzi od okrętu. Początkowo śmieli się, ponieważ jednak kobiety nacierały — zaczęli odpychać coraz ordynarniej. Kapitan czerwieniał jeszcze bardziej i krzyczał: Do tyłu. Naraz pociągnął za jakiś sznur. Ostry świst przeszył nam uszy.

Tłum cofnął się na brzeg.

Kapitan oparł się o ogrodzenie mostku i siląc się na spokój, rzekł:

— Ludzie! Tak nie idzie. My pompujemy wodę maszyną ze studni; ciągniemy ją wężem. Rozumiecie mnie?... Nie czerpiemy jej jakimś naczyniem, jakąś kufą, jak to robią na bracerach, które wam dowożą wodę. Tylko wężem!

— No, to dobrze. Przysuniemy naczynia na sam kraj brzegu. A wy lejcie.

— Tak! Tak!

A kapitan:

— Ha! Ha! Akurat! Pompa będzie ciągnąć wodę, a jeden pójdzie z wężem od wiaderka do wiaderka, jak się idzie od łozy do łozy, gdy się skrapia winnicę, żeby jej pasożyty nie opadły. Ha! Ha! Aleście mądrzy!... Ludzie, miejcież rozum w głowie! Nie mamy czasu, żeby się z wami bawić. Wnet będzie ciemno, a tam na morzu się chmurzy; może być burza. Nam się spieszy.

— Wody! Wody! — odpowiedział tłum.

— Ona też jest dla was. Jest tu gdzie w pobliżu jaka pusta cysterna?

— Nie! Chcemy zaraz wody!

I kilka kobiet skoczyło znowu na pokład.

Marynarze ponownie odpędzali i odpychali ludzi. Tłum nacierał jeszcze gwałtowniej.

Po raz drugi odezwał się gwizd, dłuższy i ostrzejszy niż przedtem, ale daremnie.

— *Mola la cima!* — zagrzmiał kapitan. — Do tyłu, dzikusy! Zulusy! Kafrzy! Kannibale! *Mola!*

Powrozy były już wciągnięte. Statek drgnął i ruszył. Wieśniacy ledwo zdążyli skoczyć z powrotem na brzeg. Okręt odsunął się jeszcze więcej i znowu stanął na środku ciasnej zatoki.

I nagła złość opadła tych ludzi, ten tłum spragniony, zgłodniały, zmęczony czekaniem, jeszcze pijany od słońca. Wszystko zwróciło się przeciw człowiekowi o czerwonej twarzy i ostrym spojrzeniu, tam, na mostku okrętu.

— Antychryście! Szatanie! Ani ta woda, ani ten okręt twój, lecz gubernatora, który go nam przysyła. Daj wody spragnionym.

Prorok stał teraz na skraju brzegu z otwartymi oczyma i podniesioną ręką. Najcięższe przekleństwa padały teraz z jego ust, a jego słowa jeszcze bardziej podżegały złość tłumu. Święta wymachiwała rękami, wyciągała w górę chudą szyję, pokazywała ostre kości w sięgającym piersi rozpięciu bluzki, rzucając przeraźliwe krzyki.

Kapitan jakiś czas prawie ze zdziwieniem słuchał i patrzył. Naraz wzruszył ramionami, wyciągnął z kieszeni fajeczkę, zapalił ją i zaczął się przechadzać po mostku, nie patrząc już więcej na ludzi.

Uspokoiło to wieśniaków.

Wtedy ojciec mój podszedł na skraj wybrzeża, zawołał kapitana i zaczął z nim rozmowę. Mówili po włosku. Nastała cisza. Wszyscy słuchali, chociaż nie rozumieli. A gdy skończyli, kapitan rzekł w końcu po chorwacku:

— No tak! Inaczej jadę zaraz gdzie indziej i tam wypompuję wodę.

I ojciec zaczął ludziom tłumaczyć, w czym jest woda na statku i jak się ją stamtąd wyciąga. Kapitan nie jest winien, że wody nie można rozdzielić tak, jakby wieśniacy chcieli. Nie ma innego sposobu, tylko przelać ją wężem do pustej studni na Głowie. Zrobi się to w mig. Statek odpłynie, a na Głowie napoi się zaraz zwierzęta i każdemu da się trochę wody. Jutro natomiast będzie się dalej dzielić. Tak jest najlepiej, bo kapitan da nam na raz wszystką wodę. Gdyby zaś dzielili według ich sposobu, to wszyscy tu zgromadzeni nie zmieściliby ani połowy przywiezionej dla nich wody w swych naczyniach; straciliby całą resztę, bo okręt nie może tu nocować.

— Tak! Tak! Nie myśleliśmy o tym wcale.

— Wszystka woda dla nas! Choćby nawet czekać do jutra.

Ojciec rzekł kilka słów kapitanowi. Statek przysunął się znowu z powrotem do brzegu.

IX

Wkrótce dwie długie płócienne rury leżały na drodze, która z wybrzeża idzie uliczką przed naszym mieszkaniem do studni osamotnionego domu na Głowie. Podobne do dwóch martwych wężów, olbrzymich wężów, czekały na wodę, która nimi popłynie.

Wieśniacy byli teraz spokojni, prawie cisi. Pomagali marynarzom, aby tylko tę robotę jak najprędzej zrobiono, bo słońce już zachodziło. A spieszyli się też i chłopcy z okrętu; mówili, że za kanałem rzeczywiście unoszą się chmury i nie chcieliby, żeby ich burza zaskoczyła w tej zatoce. W Milnie weselej spędzą noc.

Szeregi kobiet i dzieci kucnęły przy wężach, aby widzieć, jak woda uderzy przez nie. W górze, koło studni byli tylko starsi mężczyźni i dwóch marynarzy.

— A jakże woda przez to pójdzie tak ciągle w górę? Otwór studni jest wyżej.

— Ty jeszcze nie wiesz, co to pompa.

Niektórzy patrzyli już z niedowierzaniem na owe rury, gdy dało się słyszeć radosne wołanie:

— Idzie! Idzie!... O!

I rzeczywiście. Jak gdyby jakieś życie wstąpiło w te martwe wężyska. Poruszyły się i drgnęły. Powierzchnia dolnego ich odcinka zmienia barwę; staje się ciemniejsza; rozszerza się i pęcznieje; poci się mnóstwem kropelek i staje się cała mokra.

— Woda! Woda!

Ludzie dotykają tych węży. Głaszczą je. Ściskają rękami, ciesząc się, że rury tak napęczniały. Dłonie ich czują świeżość wody; wyczuwają tętno tej żyły wodnej, oddającej rytm jakiegoś serca bijącego pod pokładem statku.

— Ciecze!

Ludziom wydaje się, że czują nawet zapach wody, i nozdrza im drgają. Całe, tak długo cierpiane i siłą tłumione pragnienie burzy się i krzyczy w rozpalonej krwi. Przyciskają dłonie do mokrej rury; wąchają ją i liżą.

— Jest! Woda! Naprawdę woda!

Ale w rurach jest mnóstwo dziureczek, z których na wszystkie strony tryskają cienkie nitki. Niektóre biją w górę, zataczają łuk i rozpylone opadają z powrotem. Inne znowu od razu spływają w ziemię; sycząc jak żmije, kopią koleiny, ryją kanaliki, robią drobne kałuże we wgłębieniach gruntu. Wydawało się, że rury gadają, psyczą wodą, która na gwałt pragnie wydobyć się na wierzch.

Ludzie przyklękli, przywarli ustami do rur, cienkie strużki uderzają im o podniebienia, rozlewają się na języku. Ale kobiet i dzieci mnóstwo, a płótno nasiąka coraz bardziej i dziureczki łzawieją: teraz wszystka woda cieknie do studni.

Pragnienie jak gdyby dopiero w tej chwili ocknęło się we wszystkich gardłach. Tych parę kropli wody wpadło w otchłań bez dna, która mogłaby pochłonąć całe morze. Teraz dopiero oczy wszystkich rozbłyskują przekorą i zuchwalstwem. Nie doszłoby jednak do niczego, gdyby nie Kostuś.

Wyciągnął z kieszeni kozik; wywiercił w płótnie dziurę.

Grubsza struga trysnęła w górę.

— Ty łamago! Tylko o sobie myślisz — rzuciły się na niego kobiety. — Usuń się!

A on ssał rurę, łykał pożądliwie nie dbając o nie. Pozwalał kopać się nogami, szarpać i bić pięściami. Jęczał i nie wiedział, z bólu, czy z błogości, że nareszcie pije. Zazdrościli mu każdego łyku, syczeli z nienawiści.

Jakaś kobieta wyrwała Kostusiowi kozik z ręki i zrobiła to samo, co on.

Brzytwami, igłami, szydełkami i wrzecionami wierciły kobiety dziury w wężach. Woda bryzgała teraz na wszystkie strony; najwięcej wsiąkało w ziemię. Zaczęła się walka o te strugi, chociaż było ich coraz więcej, gdyż niektórzy nawet kamieniem tłukli o płótno, aby je jak najszybciej rozedrzeć. Ciśnienie w rurach osłabło. Woda już nie bryzgała z owych dziur, lecz ociężale wylewała się na ziemię, cieknąc drogą. Wkrótce rury znowu leżały podobne do dwóch martwych węży, tylko że teraz były czarniejsze i całe podziurawione. Wszystka woda, która płynęła ze statku, ginęła na dolnym odcinku, przy brzegu.

Na Głowie pokazał się marynarz; krzyknął:

— Zameldujcie kapitanowi, że woda nie płynie!

Zaraz jednak zobaczył, co się stało. Pośpieszył na statek.

Kapitan właśnie rozmawiał z moim ojcem i wybuchnął gniewem. Odpłynie natychmiast. Zgłosi władzom. Zaskarży wieś o odszkodowanie. I nigdy więcej żadnej pomocy tym dzikusom za nic na świecie i od nikogo. Ojciec mój uspokajał go, lecz daremnie. Kapitan byłby nawet rzucił się na ludzi, gdyby nie to, że stali spokojnie, bez słowa, prawie bez ruchu. Jak gdyby tym razem czuli i przyznawali, że są winni.

Wkrótce tłum w milczeniu przypatrywał się, jak marynarze ciągną rury z powrotem na statek, rwą powrozy i okręt oddala się od brzegu, aby powoli się obrócić i bez pozdrowienia, coraz prędzej popłynąć w stronę wrót zatoki, ginąc w cieniu pierwszego zmierzchu.

Wszyscy patrzyli w tamtą stronę nawet wtedy, gdy znikł zupełnie, ukazało się bowiem czółno, którym Goliat i Syba wracali od kamieniołomu.

Machali czymś i coś wołali.

Płynęli szybko. Wkrótce można było ich usłyszeć:

— Do wsi! Do wsi!

Naród się obejrzał.

Czy nie przydarzyło się we wsi jakie nieszczęście? Może pożar? Ze skały widać wieś.

— O Boże! O Bogurodzico! — zaniepokoiły się kobiety.

— Goliacie, co jest?

Czółno już dobijało do brzegu.

— Prędko do wsi! Idzie psiawiara.

— Co za psiawiara, huncwocie jeden?

— Tu jeszcze nic nie widać, ale po tamtej stronie kanału całkiem czarno. Idzie prędko przez morze. Prosto ku nam. Dojdzie do wsi prędzej niż my.

Wielu kiwało głowami, nie wierząc, drudzy zaś mówili:

— Przecież i ci marynarze to mówili. Coś jest na rzeczy.

— Słuchajcie! — rozkrzyczał się znowu Goliat.

Morze, dotąd spokojne jak oliwa, rozkołysało się lekko, trącając rafy wzdłuż brzegów.

— Tak, powietrze się zmieniło.

A jakaś staruszka krzyknęła:

— Patrzcie na świętą. Znowu majaczy. Zawsze jest taka, kiedy deszcz ma spaść.

I nowa nadzieja kiełkuje w narodzie. Bóg nie opuszcza biedaków. Oto burza, wody niebieskie i dla nich, i dla zwierząt, i dla winnic. Jeszcze przed zorzą wszystko będzie dobrze. Niebo zmiłowało się nad nimi.

— Do domu! Do domu!

Wszystko poskoczyło, by odwiązać i popędzić zwierzęta.

I rzeczywiście, zanim się ruszyli, pierwsze krawędzie ciemnych, gęstych chmur pokazały się w zmierzchu nad ujściem zatoki i pierwszy dech wiatru poruszył zalew i poleciał w stronę wsi.

— Dzięki Ci, Boże! Dzięki Ci, Bogurodzico!

— *Te Deum laudamus!* — dał się słyszeć głęboki głos Proroka.

I wszystko pośpieszyło ku wsi.

Długi, szary korowód zwierząt i ludzi przeszedł, podobny do wieczornych widm, przed naszym domem, śpiewając jakąś kościelną pieśń. Słychać było coraz cichszy śpiew zmęczonych głosów bez barwy i właściwego dźwięku; wtórowały im głuche, groźne krzyki starego żebraka oraz wysokie piski i chichot świętej Liwii.

X

Matka zapaliła świece na stole, ale my zostaliśmy przy cysternie. Wdychaliśmy głęboko wiaterek, co nas ochładzał, patrzyliśmy w niebo, które się dalej chmurzyło i pokrywało czarnymi obłokami.

Wróciliśmy do domu dopiero wtedy, gdy śpiew wieśniaków zamarł gdzieś daleko i znane nam milczenie zapanowało znowu nad naszą martwą, pustą zatoką.

Ojciec chodził po pokoju, wyglądał co chwila na pole, rzucał spojrzenia na barometr.

— Co, znowu patrzysz na tego oszusta? Czy jeszcze wątpisz? Siadaj! — rzekła doń matka. — I tak się namęczyłeś dzisiaj z tymi dzikusami. Widziałeś, jacy są?

— Daj spokój. Wszystko to nic. Mizerni, biedni ludzie!... A mój barometr! Tym razem się zrehabilitował... Słyszysz? Okno tłucze się w pokoju. Trzeba zamknąć, tylko dobrze. Stary Prorok obiecał nam cały potop. Potrzebujemy go zresztą.

I ten chorowity człowiek o łysej głowie i białej brodzie już nie kaszlał; chodził wyprostowany, prawie młodzieńczy. Zacierając ręce patrzył na mnie jasnymi, uśmiechniętymi oczyma.

Matka spostrzegła to i spojrzała na mnie jeszcze weselszymi oczyma.

— Pijero! A co powiesz teraz o naszym Władzie?

— A cóż bym miał powiedzieć? Wypędzimy go na deszcz. Niech go zmoczy do samej skóry...

— Tak, tak. Dla niego też Bóg nam to zsyła. Przede wszystkim dla niego i przez niego. Wypędźmy go na deszcz, wypędźmy go...

— A dlaczego? — odezwałem się jak najniewinniej, chociaż pojmowałem sens ich słów.

— Bo uwiądłbyś bez niego. Uwiądłbyś, synku, jak nasze młode łozy w Nerezinach... Ale wszystko uratowane. Słuchaj tylko!

I nadsłuchiwaliśmy, jak morze szumi i wiatr się wzmaga, podczas gdy do mieszkania wnika świeże powietrze, zwiastujące deszcz.

Matka kładła do łóżka najmłodszą siostrę i brata; starsze siostry nakrywały do stołu; ja siedziałem obok drzwi.

Im dłużej patrzyłem na ojca, tym bardziej wypadki tego dnia bladły i rozpływały się przed moimi oczyma. Wszystkie krzyki, hałasy i śpiewy ginęły gdzieś daleko pod wpływem słów tego człowieka, który ciągle jeszcze spacerował po pokoju prawie młodzieńczymi krokami. Ze szczęścia, jakim promieniała jego twarz, i z dźwięku głosu pojmowałem, ile musiał przecierpieć w dniach, kiedy się obawiał, że susza zmusi go do wycofania danej matce obietnicy. Nie wiedziałem dlaczego, lecz zdawało mi się, że i jego, i matkę gnębi pragnienie, i to większe od pragnienia wieśniaków Wielkiej Wsi... A to głównie przeze mnie... I chciałem podbiec do ojca, by zawisnąć na jego szyi, ale nawet teraz nie mogłem opanować bojaźni, która zawsze mnie ogarniała wobec tych, których najbardziej kochałem.

Aby nie siedzieć tak i łatwiej obronić się tym uczuciom, poszukałem wiadra; postawiłem je pod rynną przy drzwiach kuchennych.

Matka wnosiła właśnie na stół jedzenie i tę odrobinę wody, jaką otrzymała po kryjomu od kapitana, gdy pierwsze krople deszczu posypały się na dach.

Przez strop z samych desek dobrześmy słyszeli, jak biją krople — początkowo rzadkie, lecz grube, a potem mniejsze, ale gęściejsze — aż połączyły się w regularny deszcz i można było słyszeć już tylko jeden szum, nieprzerwany i jednostajny.

— Oj, żeby jak najdłużej właśnie tak padało — rzecze ojciec.

Ale zagrzmiało nad zalewem. Cały brzeg zadudnił, a nam się wydało, że i dom się trzęsie. Ów szum zmienił się w łomot, a potem w łoskot i bębnienie. Plusk trwał długo, stawał się coraz to mocniejszy. Słysześlimy, jak woda przecieka przez stary dach na deski strychu nad naszymi głowami. W niektórych miejscach kapało już nawet i koło nas.

— Boję się, że będzie tego za dużo — rzekła matka. — Wkrótce poleje się stąd i do piwnicy.

— To kapie wino w nasze beczki.

Rynny dzwoniły i bulgotały, z trudem przepuszczając wodę. Słychać było, jak woda ścieka z Głowy i płynie uliczką, uderzając o nasze drzwi. Chwilami można było rozróżnić wśród tego szum podobny do szumu dalekiego wodospadu.

— To mała powódź!

— Czyż chcesz naśladować naszego Proroka?

— Ależ człowieku...

— Milcz. A gdyby nawet i tak było? Cierpiałyby tylko nieco doły, gdzie i tak niewiele uprawia się winorośli. Wiśnie i figi już zebraliśmy. Słuchaj tylko!

Plusk ustawał. Szmery koło domu wydawały się nam teraz silniejsze. Woda spadająca z Głowy szumiała jak potoczek; wdzierała się nam po trosze do domu. Na dachu jednak było znacznie ciszej.

— A co by to mogło być? — spytała matka nadsłuchując owego dalekiego szumu.

— To pewnie woda z wąwozu prowadzącego z Małej Wsi leje się gwałtownie w zatokę. Ta może narobić trochę szkody.

— Mamo! Kapie ci wprost na głowę, a ty nawet nie czujesz! — zawołałem, a siostry wybuchnęły śmiechem.

— Czuję, synku, czuję, ale rozmyślnie nawet się nie ruszam. Niech i mnie trochę pokropi. I ja też, jak Boga mego, nie chcę uwiędnąć... Prawda, Pijero? Tego roku Wlado, a za rok te nasze gołąbki. Żeby nie zdziczały nam i one w tej pustyni. A potem wszyscy. I my oboje, starzy.

— Pomału, kobieto! Pomału!

— Ty się zawsze czegoś boisz. Widzisz, jak Bóg pomaga.

— Nie jestem znowu tak płochliwy, lecz nie wolno czwórce zabrać, żeby dać jednemu. Nie wiesz, jak było przez ostatnie trzy lata?

— Wiem. Ale nie możemy dopuścić, żeby nasi synowie zostali towarzyszami Kostusia i Goliata, a córki może czymś takim, jak ta święta Liwia!

— Marietta, daj spokój! Po co mówić teraz o tym? Na ten rok wszystko w porządku.

— A gdyby tego nie było? — pyta matka.

— Wtedy trzeba by było jeszcze poczekać. Och, to w każdym razie!

Ojciec wstał i otworzył drzwi.

Deszcz już prawie nie padał. Zewsząd tylko ciekła i szumiała woda. Niebo było czarne i zamknięte. Niżej obłoki. Wiatru nigdzie żadnego. Błyskało się na wszystkie strony. Powietrze było ciężkie i duszne. Opadł nas dziwny niepokój i lęk.

— Pijero, co powiesz?

Ojciec nic nie odpowiedział. Milczeliśmy i nadsłuchiwali.

— Dzwony!

— Dlaczego, ojcze? Dlaczego to dzwonią w nocy? — spytała średnia siostra.

— Ludzie wszystkiego się boją.

— I ja też, ojcze. I ja...

Matka przytuliła ją do siebie i zaczęła ją pieścić.

Naraz poderwałem się.

Nasz kocur Moro stał za mną na schodach, gdzie siedziałem obok drzwi. Grzbiet wygiął w łuk, głowę opuścił ku dołowi, wybałuszając nieruchomo oczy, a sierść mu się cała zjeżyła. Sterczała mu jak igły. Dziwny głos, jakby jęk, wyrywał mu się z gardła.

— Wypędź go! Nie mogę tego słuchać — zawołała matka.

Ale kot nie dał się ruszyć z miejsca. Z trudem przepędziłem go trochę.

Było parno i duszno. Lęk wzrastał.

Nagle błysnęło; zagrzmiało głucho i mocno.

Oczekiwaliśmy nowej ulewy.

Coś zaczęło padać z wysoka, lecz nie był to deszcz. Jak gdyby konie biły kopytami pędząc z Głowy w dół, jak gdyby kamienie padały na dach domu. Praskało, brząkało, łopotało i bębniło długo, nieustannie, zwalniając nieco, aby uderzyć jeszcze potężniej. Tylko co zagrzmiało. Woda nie wdzierała się już poprzez próg; okrągłe, błyszczące kawałki uderzały o mur studni i odskakiwały wpadając do domu.

Milczeliśmy wszyscy, nieruchomi i przerażeni; kot tylko jęczał jak przedtem, stojąc ciągle zgarbiony i najeżony.

I tak przeszedł jakiś czas, który wydał mi się długi, bardzo długi.

XI

Gdy się to wszystko skończyło, matka przeszła w milczeniu do swego pokoju, kładła się bowiem zawsze, ilekroć zbierała ją jakaś wielka żałość. Siostry uspokajały kota gładząc go po grzbiecie i patrzyły na ojca, który siedział za stołem, podpierając czoło prawą ręką. Patrzył prosto przed siebie, lecz widać było, iż myśli jego są gdzieś daleko.

Naraz poderwał się.

— Wlado! Poszukaj latarni.

Gdym ją przyniósł i zapalił, powiedział:

— Chodźmy na Stronę.

Wstaliśmy wszyscy.

Szedłem pierwszy, oświetlając drogę, ojciec zaś i siostry za mną.

Stawaliśmy dwa razy, gdyż woda, pełna błota i ziemi, ciągle spływała z Głowy, a droga była cała zrujnowana i zarzucona kamieniami. Winnica nasza leżała u stóp Głowy, po lewej stronie konsyliarzowego dołu. Teraz mogliśmy lepiej słyszeć, a wkrótce i widzieć, jak woda jeszcze spływa niby rzeka wąwozem, zalewając równą część zagłębienia i przelewając się przez dolny, zburzony mur w stronę zatoki i w morze. Woda była czerwonawa od ziemi i niosła powyrywane drzewa owocowe i winorośl.

Gdyśmy weszli do winnicy, bieliła się ona jeszcze od gradu. W niektórych miejscach nogi zapadały nam się głęboko w lodowe drobne grudki. Ale to, co zobaczyliśmy w niej, przeniknęło nas jeszcze większym lodem. Winorośle prawie całkiem gołe, miejscami tylko jakieś stłuczone grono wisi na gałązce. Wszystkie liście, jakby czymś poprzecinane, rozsiane na ziemi, pomieszane z gradem. Pozbijane i połamane, gołe winne pędy wyglądają jeszcze czarniej na białym tle.

— Wszystko! Wszystko przepadło! — powiedział ojciec.

Obeszliśmy całą równinę, zaglądaliśmy także i do sąsiedniej, ale wszędzie to samo nieszczęście.

Wróciliśmy nie przemówiwszy ni jednego słowa.

XII

Matka już leżała. Siostry poszły do swojej izdebki.

Ojciec usiadł przy stole, oparł ręce na kolanach, zamyślił się, patrząc przed siebie w przemokniętą podłogę.

Jak gdyby dopiero teraz złamało go zmęczenie i jakieś brzemię zwaliło się na plecy.

Miałem zwyczaj co wieczór, właśnie przed pójściem spać, całować go w czoło. Tym razem jednak wydawało mi się, że byłoby mu jeszcze ciężej, gdybym zbliżył się do niego w takiej chwili. Jak gdybym przeczuwał w nim coś, czego nie wolno mi dotknąć.

Cicho dotarłem do swego łóżka, nie zamykając za sobą drzwi od pokoju. Zdjąłem buty i kaftan, siadłem na łóżku i znowu zapatrzyłem się w ojca.

Siedział ciągle nieruchomo, wydawało mi się tylko, że zgarbił się jeszcze więcej, że opuścił głowę jeszcze niżej.

Świeca na stole oświetlała jego twarz, która wydała mi się inna niż przedtem. Nie było to już oblicze człowieka, który rano stał na progu swego domu, pogodny i pewny, przed tym narodem, dodając mu otuchy i nadziei, skłaniając, by wierzył i ufał nawet w najcięższym czasie, a podnosił go na duchu raczej swym spokojem niż słowami. Teraz twarz ta stała się inna, budziła we mnie coś, co mną wstrząsało do głębi.

W domu cisza zupełna. Siostry już spały. Matki nie było słychać. Słychać było jedynie powolne kapanie wody, która przez deski sufitu padała niedaleko ojca.

On nic nie słyszał. Jak gdyby nieustannie myślał o jednym i tym samym. Te same zmarszczki stały mu ciągle na czole, lecz coraz to głębsze. Te same drgawki ściągały mu usta, lecz coraz to silniej. A tych zmarszczek i drgawek nigdy nie widziałem na jego obliczu. Każdego roku coś nas dręczyło; nieustannie lękaliśmy się czegoś; on nas zawsze od czegoś czy przed kimś bronił; przeżywał też i gorsze czasy — ale zmartwienie nigdy go nie pokonywało lub przynajmniej nigdy nie dopuszczał, byśmy go widzieli z twarzą człowieka zgnębionego. Dla nas zawsze był taki, jakim był i dzisiaj: na progu swego domu, przed podwórzem konsyliarza, na krawędzi wybrzeża, gdy naród pomstował na kapitana.

Ojciec podniósł głowę; spojrzał na mnie. Nie widział, że go obserwuję z ciemności, i pochylił znowu czoło; lecz ta chwila najzupełniej mi wystarczyła, by poznać i odgadnąć powód całego smutku w jego oczach. Ja byłem przyczyną tego, że miał teraz taką twarz.

Wszystko zachwiało się we mnie. Coś mnie popychało, ciągnęło ku niemu. Lecz wstyd i bojaźń powstrzymywały mnie. Jak mam powiedzieć?...

Patrzyłem nań dalej, starając się zdusić płacz, który chwytał mnie za gardło.

Naraz zerwałem się.

Zobaczyłem, że łzy pokazują się w oczach mego starego ojca, spływają mu powoli po policzkach.

Skoczyłem więc, podbiegłem ku niemu, klęknąłem i objąłem rękoma jego kolana.

— Ojcze! Mój ojcze!

Wybuchnąłem płaczem, trzymając głowę na jego kolanach. Płakałem tak pewien czas, uspokoiłem się, gdy poczułem, że ręka jego przesuwa się po moich włosach.

Spojrzałem w jego oczy i powiedziałem:

— Ojcze! Czemu tak się dręczysz? Nie dbam o miasto. Mogę nawet nie iść do ciotki. Zostanę z tobą. Będę ci pomagał.

Oblicze jego było znowu tym jego dawniejszym obliczem. Wydało mi się nawet pogodniejsze. Oczy śmiały mu się.

— Nie, synku! Ty jednak pojedziesz. Nie chcę i ja, żebyś został towarzyszem Kostusia. Nie trap się o swego ojca.

I tego wieczora pocałował mnie w czoło, zanim się położyłem.

Przełożył
Wiktor Bazielich

Wojciech Natanson

Z PROBLEMÓW MICKIEWICZOWSKIEJ DRAMATURGII

Jeden z wierszy młodzieńczego Mickiewicza, który okrył sławą jego imię — to *Romantyczność*. Był to nie tylko wstrząsający utwór liryczny, nie tylko manifest rodzącego się romantyzmu polskiego, ale i zapowiedź nowego dramatu poetyckiego. Wrażenie, jakie ów wiersz wywołał w całym kraju, było nieodparte; między innymi i dlatego, że *Romantyczność* działała siłą zawartego tutaj przejmującego tragizmu. Co więcej, ów krótki, a tak potężny wiersz zawierał zupełnie wyraźną wizję sceniczną:

Słuchaj, dzieweczko!
— Ona nie słucha —
To dzień biały! to miasteczko!
Przy tobie nie ma żywego ducha.
Co tam wkoło siebie chwytasz?
Kogo wołasz, z kim się witasz?
— Ona nie słucha. —

Mamy tu wszystkie dane inscenizacyjne: określenie czasu akcji („to dzień biały"), scenerii (małe miasteczko), zachowania się bohaterki, perswazji otoczenia, duchowej „nieobecności" dziewczyny tragicznie zakochanej w utraconym na wieki Jasieczku...

Rok później (1823) ukazał się drukiem pierwszy utwór sceniczny Mickiewicza: *Dziady*. Obrządek ludowy stał się dla młodego poety źródłem inspiracji, dzięki któremu odkrył nowe pokłady, nowe źródła dramatyczności. Solidarność ze zmarłymi, pamięć o nich tak intensywna, że (jak w *Romantyczności)* pozwalała na wywołanie wizji, kojarzyła się z próbą rozsnucia nowej, nie znanej dotychczas formy dramatycznej. Był to zarazem wielki manifest solidarności z żywymi. Poczucie własnej, osobistej krzywdy, katastrofa marzeń o szczęściu miłosnym (Część IV-ta) stanowiły tło dla owej proklamacji wiary w solidarność z cierpieniem ludzi najbardziej skrzywdzonych i poniżonych, jaką zawiera Część II-ga.

Poeta nie zadowolił się jednak osiągniętym przez siebie niezwykłym sukcesem. Całe życie będzie pracował nad pogłębieniem i rozwinięciem swego dramatopisarskiego rzemiosła. Lata wygnania wykorzysta skrzętnie, rzetelnie. Gdy jeden z przyjaciół obiecywał mu przesłać rękopis dramatu z prośbą

o wyrażenie opinii, Mickiewicz szczerze wyznawał: „Muszę Ci prawdę powiedzieć, że niezbyt wielkie mam o dramacie owym nadzieje, bo nie mogłeś w tak młodym wieku nabyć dostatecznej znajomości ludzi, aby ich charaktery nie w próżnej deklamacji, ale w prawdziwych, głębokich rysach malować; chyba to będzie na kształt *Dziadów*. Ja, daleko starszy od Ciebie, znajdowałem się w daleko liczniejszych z ludźmi związkach i stosunkach, a ile razy porwę się na dramat, czuję, że mi wiele brakuje". Po pewnym czasie dodawał: „Nie zrażaj się pierwszego kroku trudnością; jesteś młody, zdrów, w sile talentu: gdybyś jeszcze dziesięć dramatów spalił, będziesz miał czas dwadzieścia dobrych napisać. Ja kilka ich całych w ogień wrzuciłem, kilka w połowie dokonanych i dotąd jeszcze nie mogę sił zebrać na tragedię, a już siwieję i zębów nie mam. Przecież nie tracę nadziei".

Wiemy także, że Mickiewicz studiował różne formy dramatu, od starogreckiego, poprzez misteria średniowieczne, Szekspira i innych dramaturgów epoki Elżbietańskiej aż po współczesne sobie francuskie próby nowego dramatu politycznego (np. *Wieczory w Neuilly*). Gdy po katastrofie, jaką była klęska Powstania Listopadowego, znalazł się w Dreźnie, gnębiony narodową niedolą i rozterką osobistą (niektórzy emigranci czynili Mickiewiczowi ostre wyrzuty za to, że nie wziął w Powstaniu osobistego udziału), artystyczny wyraz nurtujących go uczuć przybrał formę nowego dramatu. Ten dramat, III-cią Część *Dziadów*, uważał Mickiewicz za „jedyny swój utwór godny czytania". Nie bez powodu w samej już nazwie nawiązywał do młodzieńczych swych *Dziadów*. Idea solidarności ludzkiej stanowi bowiem, także i w III-ciej Części — zasadniczy węzeł konfliktu dramatycznego. Przeobrażony w Konrada przedstawiciel indywidualizmu, Gustaw — chce stanąć na czele sponiewieranych, uciskanych i krzywdzonych. Lecz skutecznie walczyć za miliony można tylko wtedy, gdy się walczy nie zamiast mas, tylko razem z nimi.

„Polska od pół wieku przedstawia widok z jednej strony tak ciągłego, niezmordowanego i nieubłaganego okrucieństwa tyranów, z drugiej tak nieograniczonego poświęcenia się ludu i tak uporczywej wytrwałości, jakich nie było przykładu od czasu prześladowania chrześcijaństwa." Tak rozpoczyna się przedmowa do III-ciej Części *Dziadów*. „Zdaje się, że królowie mają przeczucie Herodowe o zjawieniu się nowego światła na ziemi i o bliskim swoim upadku, a lud coraz mocniej wierzy w swoje odrodzenie się i zmartwychwstanie" — dodaje poeta. — W pojęciu Mickiewicza walka o sprawę polską była więc zarazem walką o wyzwolenie wszystkich uciśnionych ludów spod władzy tyranów; a przede wszystkim spod władzy „żandarma Europy" ówczesnej, cara; nad dużą częścią kontynentu europejskiego rozciągała się bowiem władza Mikołaja I, zwanego przez współczesnych „Pałkinem", gdyż pałka była głównym narzędziem i atrybutem jego władzy.

Wydaje mi się, że fakty te objaśniają genezę *Konfederatów barskich*. W roku 1836 napisał Mickiewicz dwa dramaty w języku francuskim z przeznaczeniem na francuską scenę: *Konfederatów barskich* i *Jakuba Jasińskiego*. W tym okresie nazywał poeta swą pracę literacką „kontynuacją walki orężnej". „Nie będę opowiadał o moim stanie moralnym — pisał w liście do jednego z przyjaciół francuskich — wie pan, co się dzieje w moim kraju. Zajmuję się pracą literacką, pisząc i publikując z gorączkowym zapałem

i konwulsyjną żywiołowością. Pozwala mi to uniknąć szaleństwa." Współpracował wtedy Mickiewicz z pismami francuskimi *„Revue du Nord"* i *„Le Globe"*, wywołał zainteresowanie pisanymi po francusku nowelami.

Kilka lat później, z Lozanny, gdzie wykładał literaturę łacińską i żył szczęśliwie, powrócił do Paryża jedynie dlatego, że powołano go na katedrę w Collège de France i że była to dostępna dla Polaka trybuna wolnej myśli i swobodnego przemawiania do francuskiej opini. „Teatr — mawiał wtedy — jest skazany w kraju moim na to, by żyć sztukami zagranicznymi, utwory oryginalne nie mogą poruszać spraw naprawdę żywotnych. Tylko na scenach krajów swobodnych mogą być grane dramaty naprawdę polskie"

Trzeba również pamiętać, że polskie tematy były wtedy we Francji niezmiernie popularne, że raz po raz powracały w repertuarze teatrów paryskich. Wydając zachowane fragmenty *Konfederatów barskich* i *Jasińskiego* w roku 1872 po francusku, wyliczał syn poety, Władysław Mickiewicz, szereg utworów, które na scenie francuskiej z wielkim powodzeniem poruszały sprawy polskie: operę Boïeldieu'go *Beniowski, czyli emigranci z Kamczatki*, w roku 1806 widowisko *Jan Sobieski*, w roku 1812 utwór audytora w Radzie Państwa, Cormenina, *Polska odrodzona*, w r. 1815 *Jan Bart, czyli podróż po Polsce*, w roku 1819 dramat *Poniatowski, czyli przejście Elstery*, 31 grudnia 1831 r., po kapitulacji Warszawy, sztukę *Polacy*, ukazującą wybuch Powstania Listopadowego i atakującą rząd francuski za nieudzielenie pomocy powstańcom... Oto kilka tylko przykładów tego repertuaru.

Tak więc mówiąc o *Konfederatach barskich* nie można zapominać o wyznawanej przez Mickiewicza idei solidarności ludów; wspólnota duchowa rewolucjonistów francuskich i polskich stanowiła dla poety znamienny przykład owej solidarności kombatanckiej. Temat został tu obrany w sposób celowy: zdaniem Mickiewicza była Konfederacja pierwszym przykładem wspólnej walki najlepszych synów obu narodów. Władysław Mickiewicz zwraca uwagę na drobny, ale znamienny dowód stałego nurtowania owej myśli podczas pisania *Konfederatów*. Oto przywódca ochotników francuskich, de Choisy, wspomina o bohaterskiej śmierci jednego ze swych podwładnych, Laguette-Mornay. Nazwiska takiego nie można znaleźć w żadnym z pamiętników dotyczących udziału Francuzów w Konfederacji Barskiej. Natomiast deputowany do parlamentu francuskiego, z departamentu Ain, noszący nazwisko Laguette-Mornay, gorąco bronił polskich spraw. „Trzeba powiększyć subsydia dla Polaków — wołał ów deputowany w roku 1833 — gdyż Polska jest nierozłączna od Francji."

Mickiewicz znał wybornie fakty historyczne i jasno się w nich orientował; jego wiedza i przenikliwość zdumiewały współczesnych. Jeśli więc posługiwał się przy pisaniu *Konfederatów barskich* anachronizmami, większymi czy mniejszymi, czynił to świadomie. Zdawał sobie z tego sprawę, że Konfederacja Barska była ruchem skomplikowanym, że jej przywódcy zgadzali się jedynie w hasłach negatywnych: nienawiści do agresorów carskich, pogardy dla krajowych ich wspólników. Zresztą i sam Mickiewicz zaznacza w zachowanych fragmentach *Konfederatów* wyraźne różnice między przywódcami Konfederacji: Wojewoda ma cele przede wszystkim osobiste (pomszczenie honoru rodowego), „roszczenie swej dumy przekłada ponad dobro Ojczyzny" — mówi o nim Ksiądz Marek. Jego światopogląd jest całkowicie feudalny, sto-

sunek do chłopów — patriarchalny, nienawiść do cywilizacji zachodniej podkreślona wyraźnie. Natomiast Kazimierz Pułaski i jego francuscy przyjaciele zbliżają się już do ideologii ówczesnych insurekcjonistów amerykańskich, wspominają nawet Kościuszkę. Co więcej — i tu już pióro twórcy *Konfederatów barskich* wyraźnie steruje ku anachronizmom — nastrój obywatelstwa krakowskiego w owych latach 1770—1772 przypomina chwilami stan duchowy mieszczan francuskich przed wybuchem Wielkiej Rewolucji. Mamy w *Konfederatach* przepyszną scenę, w której rzeczoznawca szpiclostwa, szef wywiadu carskiego, Doktor, opisuje groźne poruszenia ludu: „Zauważam to od rana, że na rynku i na ulicach tworzą się grupy, gromadki, jak gdyby wyczekiwano na jakieś wielkie widowisko, jak gdyby przeczuwano jakieś wielkie wydarzenie... Mówią szeptem... Całe miasto obniżyło nagle swój głos o pół oktawy... Daje się również zauważyć... że od wczoraj Polacy, witając się, ściskają sobie ręce z większą mocą niż zwykle, ruchem... o, takim. Dodam, że wymieniają przy tym spojrzenia porozumiewawcze". Nastrój grozy, w którym znajduje się kraj, kontrybucje nakładane na miasto pod osobistą odpowiedzialnością burmistrza, egzekucje już nie tylko spiskowców, ale i tych, którzy udzielili im schronienia, nagrody wyznaczone za głowy przywódców Konfederacji, ukazanie Polski jako wielkiego kraju konspiratorów — oto były, bezsprzecznie, aluzje polityczne, kojarzące ów dramat z czasów Konfederacji Barskiej z najświeższymi echami narodowej walki i narodowego cierpienia.

W ten wielki dramat polski wpisuje poeta tragedię bardzo osobistą i bardzo ludzką: sprawę Hrabiny, jej nieszczęśliwego życia, dawnej miłości do Pułaskiego, przymusowego a strasznego małżeństwa, rozwodu powodującego konflikt z rodziną, protekcji zakochanego w niej carskiego generała. Z głęboką wyrozumiałością potraktowany został ów dramat, bez cienia fanatyzmu czy jednostronności. Hrabina jest — obok Doktora — jedną z najciekawiej zarysowanych postaci *Konfederatów*. Bardzo być może, iż zaważyły tutaj osobiste wspomnienia i przeżycia. Imię Hrabiny kojarzy się z postacią dawnej przyjaciółki z czasów podróży na Krym, Karoliny Sobańskiej. Doktor to zapewne synteza owych specjalistów policji politycznej, którzy prowadzili śledztwo w sprawie wileńskich Filaretów i Filomatów, oraz tajemniczej postaci doktora Witta, który w czasie wygnania poety odbywał po Krymie podróż razem z Mickiewiczem i wielu jego towarzyszami. Twórca *Dziadów* odczuwał w stosunku do dr. Witta instynkowną odrazę i nieufność. Koledzy i przyjaciele wyśmiewali z tego powodu Mickiewicza, lecz po powrocie okazało się, że ów skromny i cichy, nieco zdziwaczały botanik-filozof, pozornie nikomu nie szkodzący, jakim się wydawał dr Witt, był podstawionym szpiclem. Na przyjęciu ukazał się w pełnym mundurze policyjnym, z odznaczeniami, i napełnił strachem tych wszystkich, którzy, zaufawszy pozorom, prowadzili w jego towarzystwie nieprawomyślne rozmowy...

Konfederaci barscy nie ujrzeli w Paryżu światła ramp. Przypuszczam, że właśnie polityczna śmiałość utworu, ostrość satyrycznych akcentów i liczne aluzje aktualne stały się główną przyczyną odrzucenia tego dramatu przez dyrektorów scen paryskich. Cenzura działała już coraz intensywniej, rząd króla Ludwika Filipa był tym ostrożniejszy, im goręcej reagowała widownia paryska; sam Mickiewicz (jak ujawniły dokumenty odnalezione niedawno przez francuskich badaczy) znajdował się pod tajnym nadzorem rządowym;

we Lwowie wykryto w „Ossolineum" organizację, zajmującą się nielegalnym przedrukiem i rozpowszechnianiem utworów patriotycznych i liberalnych, a szczególnie pism Mickiewicza. Same nawet rękopisy *Konfederatów barskich* i *Jakuba Jasińskiego* uległy zagładzie. Ani Mickiewicz, ani, po jego śmierci, syn Władysław, nie mogli ich odszukać, mimo wielkich wysiłków. Zachowały się tylko, dzięki kopii sporządzonej tuż po napisaniu utworu przez jednego z przyjaciół, dwa pierwsze akty *Konfederatów* oraz szczątek *Jakuba Jasińskiego*. Rzecz ciekawa, że do sprawy Jasińskiego wrócił Mickiewicz pod sam koniec życia, o czym świadczy urywek nowego dramatu, pisanego tym razem po polsku, w ostatnich miesiącach przed zgonem. Fragmenty obu dramatów opublikował Władysław Mickiewicz najpierw oddzielnie, w roku 1867, a następnie razem, w tomie pt. *Drames polonais*, w roku 1872. *Konfederatów* zagrano najpierw we Lwowie, potem — z dużym sukcesem, przy entuzjazmie widzów i znacznej części krytyki — w Krakowie, za dyrekcji Koźmiana. Niejednokrotnie później wracały do *Konfederatów* polskie sceny, a świetni aktorzy znajdowali w nich przynoszące im sławę role. Francuski tekst niejednokrotnie tłumaczono na polski, m.in. podejmowali się tego zadania Artur Górski i Jan Kasprowicz; próbowano też rekonstruować zagubione akty.

Wybitny krytyk z okresu pozytywizmu, Piotr Chmielowski, pisał, że dwa odnalezione akty *Konfederatów* Mickiewiczowskich „to jakby portyk wspaniałego gmachu, w którym poeta nasz gromadził wszystko, co było szlachetnego i zdrożnego, wielkiego i przerażającego w naszym charakterze i w naszym losie, kiedy się zbliżał ów straszny dzień pierwszego rozbioru". Myślę, że *Konfederaci* dają pojęcie o Mickiewiczowskim poczuciu dramatyczności a zarazem zbliżają nas do poznania poety, którego każde słowo stało się cząstką narodowego i ogólnoludzkiego patrymonium. Niedawno obchodzone stulecie śmierci Mickiewicza wykazało, jaką czcią i uznaniem cieszy się polski poeta na całym świecie. Także w związku z *Konfederatami* jakże wymownie brzmią słowa Wiktora Hugo z 17 maja 1867: „Mówić o Mickiewiczu, to mówić o pięknie, prawości i prawdzie; to mówić o sprawiedliwości, której był żołnierzem, o obowiązku, którego był bohaterem, o wolności, której był apostołem, i o wyzwoleniu, którego był zwiastunem...".

Wojciech Natanson

„LITERATURA I KRYTYKA"

S t e f a n L i c h a ń s k i: *Literatura i krytyka.* Warszawa 1956. „Pax", str. 461, 2 nlb.

I

Nazwisko Stefana Lichańskiego spotyka się często na łamach czasopism literackich. Jest on autorem posiadającym dość znaczny dorobek krytyczno-literacki, obejmujący zarówno recenzje i felietony, jak i większe rozprawy — eseje, szkice a także liczne wstępy do różnorodnych publikacji książkowych.

Lichański jest krytykiem szybko reagującym na wydarzenia literackie, a że przy tym w pracach jego dużą rolę odgrywa element informacji o książce i pisarzu, więc i recenzje przezeń pisane w stopniu zapewne znacznie silniejszym niż wypowiedzi innych krytyków docierają do „przeciętnego" adresata, dla którego mogą być źródłem wiedzy o współczesnej literaturze i przewodnikiem na jej terenie. Autor *Literatury i krytyki* nie lęka się ujęć popularyzatorskich w dobrym tego słowa znaczeniu, pisze mając nieustannie na uwadze odbiorcę, któremu trzeba coś przybliżyć, wyjaśnić i pomóc w rozumieniu dzieła. Mocno ten charakter recenzji Lichańskiego podkreślam, ponieważ — rzecz znamienna — dążenie do przystępności wykładu nie prowadzi tu na ogół do uproszczeń, nie ogranicza dociekliwości krytyka, a nawet nie przeszkadza mu w rozwijaniu własnych problemów i pomysłów. Lichański nie spłaca haraczu, jakiego zwykle wymaga popularyzacja. Jest więc w pewnym sensie wyjątkiem w naszej krytyce. Jeśli się do tego doda dużą systematyczność wystąpień Lichańskiego, ciągłość jego pracy, wyraźnie odbijającą się na tle przypadkowych i raczej okazjonalnych wypowiedzi większości piszących obecnie krytyków, wtedy otrzymamy pewne charakterystyczne rysy „zawodowego" profilu autora *Literatury i krytyki.* Oczywiście rysy te, konstruujące „zawodowe" oblicze krytyka, nie ukazują jeszcze jego pełnej sylwetki. Działalność krytyka literackiego posiada bowiem nie tylko aspekt profesjonalny, nie tylko pełni określone funkcje usługowe, ale także — a raczej nade wszystko — musi legitymować się tkwiącym w niej pierwiastkiem twórczym. Rozróżnienie to wprowadzam pod wpływem Lichańskiego, który w tekście swojej książki niejednokrotnie rozważa je z rozmaitych punktów widzenia i precyzuje, dochodząc w większości wypadków do ostrego przeciwstawienia czynności zawodowych krytyka jego pracy twórczej. Jak się niżej okaże, przeciwstawienie owo związane jest z pewnymi właściwościami teorii krytyki, jaką prezentuje autor w pierwszej części swej książki.

Dorobek Lichańskiego — jak się rzekło — jest dosyć pokaźny, jego nazwisko utrwaliło się w pamięci czytelników prasy literackiej, a pamięć ta odświeżana jest nieustannie przez systematycznie publikowane prace autora *Literatury i krytyki.* Mimo to jednak tom wydany w roku ubiegłym

narósł w pewnym sensie niepostrzeżenie. Przykład wyjaśni, o co chodzi.

Pamiętamy z lat 1945 — 1948 eseje Kazimierza Wyki, które się później złożyły na *Pogranicze powieści*. W momencie ich powstawania, to znaczy wówczas, gdy każdy z nich stanowił całość zamkniętą i samodzielną, nie podporządkowaną jeszcze nadrzędnej strukturze książki, już wtedy wyraźnie zarysowywały się zaczepy i wiązania, które z czasem przekształciły się w rusztowanie całkowicie jednolitego problemowo i kompozycyjnie tomu. Podobnie rzecz się miała ze szkicami Sandauera o poetach trzech pokoleń, gdzie monograficzne zarysy twórczości poszczególnych pisarzy grupowały się dosyć widocznie — jeszcze nie spięte klamrą całości — wokół pewnych osi; można były dostrzec, jak narasta z nich przyszła książka. Tom Lichańskiego powstał z prac, których w stadium przedksiążkowym nie łączyły jakieś wyraziste wiązadła, chyba tylko to, że wyszły spod jednego pióra. Dlatego właśnie mówiłem, że narósł niepostrzeżenie. Prace składające się na tę książkę były zbyt odległe od siebie, zbyt związane ze swymi doraźnymi zadaniami, a co za tym idzie, pozbawione zaczepów, mogących je nawzajem sprzęgać, aby z góry niejako zarysowała się konieczność ich zespolenia w jednorodną całość. Mamy więc zbiór o charakterze *silva rerum*. Stwierdzenie tego charakteru książki Lichańskiego nic oczywiście nie orzeka o jej wartości. Podobny kształt posiadają niemal zawsze zbiory sumujące dorobek krytyka. Jednak w przypadku Lichańskiego skłonny byłbym widzieć głębsze przyczyny takiego wyglądu jego tomu. Wydaje mi się, że rozprawy i recenzje w nim zawarte są mało koherentne nie tylko z powodu konieczności redakcyjnych, związanych w ogóle z tego rodzaju zbiorami — niesposób pominąć ten czynnik — ale również dlatego, że przesłanki takiego stanu rzeczy tkwią *implicite* w założeniach teoretycznych autora. Tkwią tam zresztą niezależnie od jego intencji, są głęboko utajone. Zobaczmy te przesłanki, albowiem wnoszą one — jak się zdaje — wiele rysów określających bliżej charakter metody krytycznej Lichańskiego.

II

Klucz stanowią podstawowe tezy eseju tytułowego. W książce Lichańskiego racje teoretyczne wyłożone są wprost, nie trzeba ich rekonstruować ani „dorabiać". Autor sam próbuje naszkicować kontur swego portretu. Wypowiadając poglądy na istotę postępowania krytyczno-literackiego, definiuje jednocześnie własną postawę. Nie tylko prezentuje swój dorobek, ale opatruje go także komentarzem wyjaśniającym. Szkic inicjalny — *Literatura i krytyka* — formował się, jak wskazują daty pod nim umieszczone, w ciągu dziesięciolecia 1943—1953. Mamy przeto prawo sądzić, iż twierdzenia w nim zawarte są elementami pewnego systemu. Tezy wyrosłe z długoletniego zastanawiania się nad problemami krytyczno-literackiej metodologii, spisywane przecież równolegle do stałych doświadczeń praktycznych, mają wyraźnie charakter programu autora.

Lichańskiego teoria krytyki obejmuje poglądy dwojakiego rodzaju. Obejmuje mianowicie twierdzenia określające funkcję krytyki literackiej jako jednej z form działalności kulturo-twórczej oraz twierdzenia na temat wzajemnego stosunku twórczości artystycznej i ujęć krytycznych. Tej dwudzielności odpowiadają wyraźnie dwojakie źródła rozwijanej przez autora problematyki — Brzozowski i Irzykowski. Lichański bowiem podejmuje zagadnienia stawiane już niejednokrotnie w naszej krytyce w ciągu ostatniego półwiecza, wiążąc w ten sposób swoje poglądy z tradycją, zresztą współcześnie całkowicie niemal zapoznaną. O ile jednak autor *Walki o treść* przywoływany jest przez krytyka niejednokrotnie, o tyle duch Brzozowskiego pochyla się bezimiennie nad jego dociekaniami. Niesposób zaś nie dostrzec, że właśnie twórca *Głosów wśród nocy* stanowi główne źródło inspiracji teoretycznej Lichańskiego. Z tego źródła wyrasta podstawowy pogląd zawarty w omawianym eseju, że zadaniem krytyki literackiej jest budować „świadomość kulturalną" epoki, że „przedmiotem badań krytyka jest całe bieżące życie kulturalne, widziane w perspektywie jego literackiej konkretyzacji".

W świetle głównych tez Lichańskiego krytyka jest „organem samopoznania" literatury, a podstawowym jej celem jest rekonstruowanie funkcji kulturalnej dzieła. Na tym piętrze porównanie krytyka z paleontologiem (dokonane kiedyś przez Brzozowskiego) cechuje się pełną adekwatnością. I jeden, i drugi bowiem przyjmują postawę odtwórczą wobec badanych zjawisk. Natomiast postawa twórcza krytyka — jeśli rozwijać przy pomocy Brzozowskiego intencje teoretyczne autora *Literatury i krytyki* — zarysowuje się dopiero wówczas, gdy występuje on z określonymi ideałami kulturalnymi, to znaczy, gdy działalności jego przyświeca wyraźnie jakaś wizja kultury, której kształt zależy bezpośrednio od tego, jakie zadania społeczne ów krytyk chciałby jej postawić. W zależności od poglądów na zadania kształtują się dane dążenia kulturo-twórcze. Dążenia takie nadają pewien nadrzędny sens działalności krytyka, całkują niejako jego poszczególne wypowiedzi, sprowadzając je do wspólnego mianownika. Dzieła istniejące, fakty literackie, narastające aktualnie tendencje artystyczne są dlań sprawdzeniami ideałów kulturalnych. Sprawdzeniami bądź pozytywnymi, bądź negatywnymi. Wartościuje je krytyk, ustala rangę wśród innych wyłącznie ze względu na to, w jakiej mierze zbliżają się do realizacji zadań społecznych, które zgodnie z pewnymi przesłankami ideologicznymi skłonny jest on uznać za podstawowe.

Taki wzorzec postawy krytyczno-literackiej reprezentują najpełniej dzieła Stanisława Brzozowskiego. Pierwiastek twórczy polega tu zatem na „projektowaniu" przeobrażeń współczesnej literatury, na wytyczaniu ich kierunku w przyszłości, która w formułach krytycznych uzyskuje określone — mniej lub bardziej wyraziste — kontury.

W twórczości Lichańskiego nieobecna jest sfera tak rozumianych ideałów kulturalnych. Wprawdzie powtarza on często, że „krytyk jest reprezentantem określonego ideału kultury i bojownikiem o realizację tego ideału", ale ta ścieżka w jego dociekaniach wydaje mi się marginesowa z powodu bardzo zasadniczego. Gdy się bowiem mówi „ideał kultury", to trzeba — używając określenia Irzykowskiego — dokonać wypłaty w gotówce. Trzeba go, mówiąc innymi słowy, po prostu zaprezentować. W przeciwnym razie formułę taką mamy prawo traktować wyłącznie jako hasło skierowane nieco w próżnię. Lichański należy do krytyków-paleontologów, którzy solidnie i systematycznie rejestrują zjawiska literackie traktowane jako odpryski życia kulturalnego epoki, natomiast z odprysków tych nie usiłuje zrekonstruować — zgodnych ze swymi założeniami — większych całości. A zatem konflikt pomiędzy zamierzeniem a spełnieniem jest w jego działalności niewątpliwy. Ale czy uświadamiany?

Otóż na pewno krytyk dostrzega spęknięcia, o których mówiłem, lecz świadomość jego ogarnia przede wszystkim skutki, natomiast przyczyny pozostają w ukryciu. Mianowicie Lichański uogólnia niejako przeciwieństwa swego warsztatu, tłumacząc je jako wynik generalnej antynomii pomiędzy twórczym powołaniem krytyka a koniecznością sprawozdawczego oceniania bieżącej literatury. Czyli innymi słowy idzie mu — ujmując rzecz od strony gatunków krytyczno-literackiej wypowiedzi — o przeciwieństwo pomiędzy esejem (twórczość) a recenzją (smutny obowiązek profesjonalny). Przeciwstawienie takie jest *sui generis* obsesją Lichańskiego, występuje w jego książce, począwszy już od słowa wstępnego, jako trwały, wciąż nawracający motyw. Antynomia, o której mówi Lichański, nie jest z pewnością urojeniem, podobnie jak nie są urojone różnice pomiędzy esejem a recenzją. Nikt przecież nie zaprzeczy, iż są to gatunki o całkowicie różnych możliwościach poznawczych, stawiające przed krytykiem odmienne i zupełnie niewspółmierne zadania. Ale z drugiej strony można sobie wyobrazić — zresztą nie trudno znaleźć potwierdzenie w rzeczywistości — sytuację, w której krytyk piszący głównie recenzje podporządkowuje je wyraźnie jakimś nadrzędnym celom, traktuje owe recenzje jako cegiełki budujące całość wyższego rzędu. A całość ta, to właśnie wyraz jego koncepcji twórczej, którą częściami wpisuje w poszczególne prace. Ujęcie syntetyczne powstaje wtedy w sposób —

rzec by można — automatyczny. Oczywiście powstawaniu takich recenzji towarzyszyć musi ciągła świadomość zamierzeń z „wyższego piętra". Narzucają one konieczność pewnej — celowej — selekcji wprowadzanego na warsztat krytyczny materiału, ujmowania go z pewnego punktu widzenia, ze względu na określone właściwości, z pominięciem innych, mniej istotnych w perspektywach celu nadrzędnego. Przecież szkice *Pogranicza powieści* to także swego rodzaju recenzje. Wydaje się przeto, że konflikt rezenzja — esej, gdy patrzeć nań od strony konsekwencji i zwartości danej metody krytycznej, jest przeciwieństwem pozornym. A w formułach Lichańskiego jest on k o n f l i k t e m z a s t ę p c z y m, refleksem istotnych spięknięć jego metody. Fakt, że krytyk powraca wciąż do tej sprawy, dowodzi, iż dostrzega on przeciwieństwa własnych założeń i że te przeciwieństwa próbuje w jakiś sposób teoretycznie usankcjonować. W wyniku otrzymujemy bardzo ciekawe zjawisko, wielce charakterystyczne dla działalności Lichańskiego, przynajmniej dla tego etapu owej działalności, którego podsumowaniem jest omawiana książka, a mianowicie d r a m a t y z a c j ę warsztatu krytyczno-literackiego. Rys to bardzo istotny dla sylwetki autora *Literatury i krytyki*.

III

Metoda Lichańskiego wiąże się faktycznie z tradycjami starszymi od wyżej wspomnianych. Idąc za problemami rozwijanymi przez autora w teoretycznej części książki, przywoływałem nazwiska Brzozowskiego oraz Irzykowskiego. Aby jednak określić w pełni charakter ujęć Lichańskiego, niezależnie od tego, co on sam o własnej postawie sądzi, należy odwołać się do innego etapu doświadczeń krytyki literackiej. Ujęcia te bowiem mieszczą się wyraźnie w tradycjach pozytywistycznych. Ich miejsce wypada na linii, której początek dała metoda krytyczna najpełniej realizowana przez Piotra Chmielowskiego. Jakie są jej składniki w pracach Lichańskiego? Przede wszystkim dążenie do takiego konstruowania opisu dzieła i jego oceny, aby wypowiedź krytyka spełniała w jak najwyższym stopniu swoje zadania pomostu pomiędzy pisarzem i czytelnikiem. A zatem solidny opis dzieła, wielostronna analiza jego składników zarówno ideowo-tematycznych, jak i stylistycznych. Lichański posiada dużą biegłość w precyzyjnym „rozbiorze" utworu, przy czym „rozbiór" ten dokonywany jest zawsze w sposób celowy, służy wnioskom krytyczno-literackiej oceny. W pracach jego nie spotyka się na ogół gołosłownych formuł interpretacyjnych, krytyk bowiem przedstawia skrupulatnie drogę zabiegów analitycznych, które prowadzą do wniosków sumujących, stara się ukazać cały przebieg swej pracy, we wszystkich jej fazach. Zmierza do tego, by odtworzyć jak najpełniej wewnętrzne skomplikowanie utworu literackiego, wielość stosunków zachodzących między jego poszczególnymi elementami. Badane warstwice dzieła podporządkowuje funkcjonalnie zawartości problemowej, szuka zawsze zależności kształtu artystycznego od ideowego uchwytu życia. Każdą strukturę formalną ujmuje od strony jej pojemności semantycznej.

„Nie istnieją żadne »walory formalne« same dla siebie. Nie ma w dziele formy »jako takiej«. Jest tylko ukształtowana w pewien konkretny sposób materia dzieła — zespół ujęty w formy zdaniowe znaczeń." Jest to dyrektywa przestrzegana przez Lichańskiego bardzo konsekwentnie (choć raz, na str. 50, w *Tryptyku antypoetyckim* formułuje tezę wywiedzioną wprost z założeń metody formalnej).

W ujęciach krytyka zarysowuje się wyraźnie tendencja do wyjaśniania zjawisk literackich w związku z tradycją artystyczną. Jego wiedza historyczno-literacka podsuwa mu skojarzenia odznaczające się dużą trafnością, co ma oczywiście szczególne znaczenie, jeśli się zważy, iż zamierzeniem Lichańskiego jest badać twórczość pisarską jako fakt kulturalny. Niesposób bowiem temu zamierzeniu sprostać bez nieustannego przywoływania doświadczeń minionych epok. Fakt kulturalny może być w pełni zrozumiały tylko wówczas, gdy jego cechy określamy w jakimś stosunku do dziedzictwa przeszłości. Postępując inaczej nie można uchronić się od błędu, którego dwa skrzydła to przecenianie fałszywej nowości i nie-

docenianie istotnej nowoczesności badanych zjawisk kulturalnych. Otóż Lichański wspiera niemal zawsze swoje rozstrzygnięcia erudycją historyczno-literacką, wprowadzając ją do swoich prac w sposób celowy i uzasadniony. Dzięki temu przystawia niejako do ocenianych dzieł perspektywę, w której owe dzieła podlegają pewnemu uporządkowaniu ze względu na swe związki z określonymi konwencjami artystycznymi. Ważną właściwością krytyki Lichańskiego jest wielostronność. Krytyk prezentuje swoje umiejętności w zetknięciu z różnymi przekrojami współczesnej literatury. Panuje w równym stopniu nad materiałem prozatorskim, jak nad poezją. Niejednokrotnie angażuje się w aktualne polemiki literackie, odnotowuje nie tylko dzieła, ale również stara się ocalić idee i problemy, których żywot w naszych dyskusjach jest zazwyczaj bardzo krótki. Postawę krytyka cechuje szacunek dla faktu, toteż prace jego rejestrują faktów mnóstwo. Nie zawsze przy tym skrupulatność chce żyć w zgodzie z właściwym zachowaniem proporcji. Jaskrawym tego przykładem jest praca zatytułowana *Pięć esejów z okazji pięciu dni straconych*, w której Lichański gruntownie i rzeczowo rozprawia się z dwuszpaltowym felietonem, zawierającym niezbyt przytomne uwagi o Balzaku. A jak się krytyk przy tym musi gimnastykować, ażeby uzasadnić, dlaczego rzecz tak błahą wziął na warsztat, ile wyjaśnień i tłumaczeń pociąga to za sobą! Pisał kiedyś o takich kłopotach Irzykowski, któremu nieobce były chyba żadne tajemnice zawodu krytyka literackiego.

Następna właściwość postawy Lichańskiego. Określiłbym ją jako ł a g o d n y d y d a k t y z m. Wywodzi się ona zresztą całkowicie z tradycji pozytywistycznej. Autor *Literatury i krytyki* — jak wyżej mówiliśmy — nie ocenia dzieł wedle miary jakiegoś systemu ideałów czy postulatów. Nie oznacza to bynajmniej, aby rezygnował z zamierzeń wychowawczych. Są one dwojakie: wobec pisarza i wobec czytelnika. Zarówno jedne, jak i drugie wywodzą się z kryteriów tzw. dobrego smaku estetycznego, jasności, myślowej klarowności, ideowej konsekwencji etc., a więc kryteriów elementarnych. Pisarzowi wskazuje się, w którym miejscu utwór jego tym potocznym kryteriom nie odpowiada, zaś w świadomości czytelnika chce się owe kryteria utrwalić i przystosować do każdorazowej konkretyzacji. Dydaktyzm Lichańskiego, dyskretny, nigdy nie wybijający się na czoło, pełni — podobnie jak w krytyce pozytywistycznej — funkcję głównie utylitarną.

Janusz Sławiński

OD „OSTRZA MOSTU" DO „CZASU LOTA"

POEZJA JERZEGO ZAGÓRSKIEGO

Wybory wierszy kilku starszych i młodszych poetów ukazały się na półkach księgarskich. Krytyka milczy bezradnie. Załamały się „wypróbowane" schematy ocen. Proste, emocjonalne reagowanie na poezję stało się niemożliwe bez odgarnięcia warstwy krytycznych pojęć, które jeszcze w nas tkwią, utrudniając dotarcie do elementarnej sfery czytelniczej wrażliwości.

Schemat krytyki poetyckiej w zastosowaniu do poetów starszych o jakim takim dorobku wyglądał mniej więcej tak:

„...Twórczość Z. z dawniejszego okresu nosi wyraźne znamiona zabłąkania ideowego. Poetę Z. dręczy świadomość nieuchronnej katastrofy świata, w którym żyje, nie potrafi jednakże wyciągnąć właściwych wniosków... Z. zatrzymuje się na rozdrożu... nie umie dostrzec czynników postępu i odrodzenia kultury w proletariacie... Przed absolutną ślepotą polityczną... poetę Z. ra-

tuje — dziwna u tego rodzaju twórcy — skłonność do pozornie racjonalnego porządkowania swoich przeżyć czy po prostu dobre serce... W końcu na Z. spływa łaska krytyki. Głosi względną wprawdzie urodę świata, ale jednocześnie potrafi już się zdobyć na twierdzenie w rodzaju: »przyjazny uśmiech wskrzesza kraje«...“

Krótko mówiąc:

Z. może się jeszcze nawrócić!...

Gwarancją nawrócenia miało być wyrzeczenie się przez Z. własnej twórczej osobowości, odbycie rekolekcji, które by go utwierdziły w przekonaniu o nie zakłóconej niczym i niezmąconej harmonii świata, w którym żyjemy.

Schemat krytyczny polegał więc na prostej relacji, wprowadzającej czytelnika do dziejów grzechu autora, by w końcu, w najlepszym razie, wyjednać dlań wyrozumiałość i wzbudzić nadzieję rychłej poprawy. Krytyka, która w zasadzie powinna wyjaśnić skomplikowany związek zachodzący między zjawiskami artystycznymi a ideologią społeczną, sprowadziła się do opowieści o człowieku obciążonym talentem, któremu ten (przeklęty!) talent uniemożliwia przyjęcie wiedzy filozoficznej czy ekonomicznej, jedynie sprawdzalnej i słusznej. Była to oczywiście karykatura marksizmu. Zamiast krytyki mieliśmy karykaturalny schemat krytycznego znachorstwa, stosowanego nieraz nawet przez — piszących o poezji — nie byle jakich twórców.

Tak pojętą wersję krytyki marksistowskiej zastosowano także w ubiegłych latach wobec jednego z najoryginalniejszych naszych poetów starszej generacji, Jerzego Zagórskiego. Niemal wszyscy krytycy, którzy pisali po wojnie o Zagórskim, czynili zeń uosobienie estetyzmu, wypominali mu artystyczne koneksje prowadzące do Awangardy i surrealizmu. Oczywiście Zagórski to poeta eksperymentujący, intensywnie przeżywający nie tylko dramat moralny swojego czasu, lecz także wewnętrzny dramat artystycznych form, tak znamienny dla epoki nawiedzanej przez moralne wstrząsy i kryzysy.

Twórczość Jerzego Zagórskiego, obok Miłosza, czołowego poety wileńskiej Awangardy, reprezentuje zaawansowane stadium tego literackiego nurtu, przygotowane już przez czołówkę awangardową: Brunona Jasieńskiego, Sterna, Młodożeńca i innych. Wypracowane w laboratoriach środki, gromadzone w probówkach i retortach poetyckie kwasy i zasady dawno nie służyły już tylko do przeprowadzania eksperymentów, lecz wykorzystywane były w szeroko stosowanej poetyckiej chemii. Środki ekspresji, wypróbowywane na kształtowanej w sposób formistyczny martwej naturze czy urbanistycznym pejzażu, wykorzystywane są już w szerszym planie — moralnym i politycznym.

■

Pierwszy zbiór wierszy Zagórskiego *Ostrze mostu* ukazał się w roku 1933. Faszyzm stanął w tym roku na granicach Polski. Debiut wileńskiego poety odbija gorączkowy nastrój związany z tą datą. „Filozof złotogrzywy, strach” nawiedził średniowieczne, malownicze i poetyczne Wilno. Ukonstytuowanie się faszyzmu niemieckiego w państwo wywołało konsternację nawet w tych kręgach drobnomieszczańskiej inteligencji, którą faszyzm zdołał przez jakiś czas porwać i urzec. Faszyzm jako kolejne realne wcielenie państwa pruskiego, to już nie mit tylko, lecz groźne memento. Pewien młody intelektualista wileński, stypendysta „*Czasu*”, którego posłano do Włoch, by z bliska mógł przyjrzeć się urokom faszyzmu, wraca do Wilna jako zagorzały działacz antyfaszystowski. Z kręgu burżuazyjnej inteligencji wileńskiej wyrastają antyfaszystowscy intelektualiści i pisarze tej miary, co Henryk Dembiński, Teoder Bujnicki, Stefan Jędrychowski, Jerzy Putrament i inni.

Wileńscy „Żagaryści”, pogrążeni w sporach formalnych i usiłujący restytuować artystyczną problematykę, wysuniętą niegdyś przez krakowskich „Zwrotniczan”, nagle stanęli twarzą w twarz z historią. „Najczulsi“ (na punkcie swych osób), „wrażliwi i zabawni w ruchach“ poeci, formiści, awangardyści, esteci, surrealiści i przedstawiciele innych „izmów“, poetyccy żonglerzy i mistyczni filozofowie nagle uświadomili sobie, że „na miejscu ich ewolucji Brygady Napoleonów zaciągnęły mosty z pontonów dla piechoty, czołgów i armat...“.

W klimacie tego nagłego przebudzenia debiutuje Zagórski.

Ostrze mostu było dla wileńskiej Awangardy lat trzydziestych tym, co Sternowskie *Futuryzje* w latach dwudziestych. Było to drugie jesienne kwitnienie polskiej Awangardy. W debiucie Zagórskiego nie ma już tej programowej pewności siebie ani tej tryskajacej siły, jaką imponowali pierwsi futuryzujący poeci, jak Młodożeniec, Stern, Wat, czy ich przygodni, przejściowi sojusznicy, którzy otarli się o futurystyczne idee, jak Tuwim, czy nawet bardziej „obłaskawiony" Iwaszkiewicz.

W patriarchalnym Wilnie z haseł i praktyk polskiej Awangardy, które początkowo miały inspirować i towarzyszyć nagłemu wybuchowi technicznej cywilizacji w Polsce, pozostały tylko zespoły ewokujących środków poetyckich, które nadawały się do wieszczenia końca świata.

W Wilnie Awangarda staje się coraz bardziej katastroficzna... Jest to katastrofizm szczególnego rodzaju, podszyty często kresowym liryzmem i kresową... sielanką.

Taki to był wileński *Kair* Zagórskiego. Liryczna natura tego poety nie mieściła się w ścisłych, z geometryczną precyzją na formistyczną modłę konstruowanych kształtach i figurach. Liryk wyrywa się na wagary z poetyckiej pracowni, przy czym tłucze poetyckie, pedantycznie ustawione awangardystyczne probówki i retorty.

Na dnie wystygłej Sahary i piasku,
i transcendentów
Laborant trzepoce łapami jak żaba na
wosku rozpięta.
Na dnie pustego leja mrówkolew mieszka —
absolut,
I czeka, aż docentowi mózg się otworzy jak
strąk.
A docent spraw niezmierzonych trzepoce
trylionem rąk
I siedząc na srebrnej podłodze,
„Topolo — krzyczy — topolo!".
(Pracownia)

Lirykiem pozostaje Zagórski także w tych wierszach, w których ponosi go polityczna pasja, kiedy z formisty, awangardystycznego laboranta przeistacza się w politycznego retora. Liryczny podtekst przebija także przez retoryczną strofę *Ody na spadek funta*, wielekroć cytowanej przez krytyków. Liryzm, zawsze stanowiący humanistyczną tkankę każdego prawdziwego utworu poetyckiego, sprawił to, że nawet ci z naszych twórców, którzy, mówiąc słowami Zagórskiego, „polskim zwyczajem otarli się o modne w czasie międzywojennym prądy, najczęściej umieli im później lub od razu zaprzeczyć", tak że pozostała im tylko gorączkowa atmosfera niepokoju, aż nadto uzasadniona w atmosferze przygotowań do drugiej wojny światowej.

W *Ostrzu mostu* przecinają się i gryzą dwie sprzeczne tradycje i tendencje: romantyczne zaangażowanie i estetyczna bierność. Pierwsza ciągnie w stronę rewolucyjnej poezji, klimatem wierszy zrodzonych z tej tendencji wczesna twórczość Zagórskiego przypomina debiut Ryszarda Wandurskiego, poety o równie skomplikowanej wyobraźni. Druga tendencja — estetyzująca i klasycystyczna — rozładowywała humanistyczną wrażliwość poety i jego pasję.

W rok po ukazaniu się *Ostrza mostu* wyszedł drugi tomik Zagórskiego pt. *Przyjście wroga*. Skłonność do estetyzowania wzięła górę w tym tomiku. Miejscami poeta zdaje sobie sprawę z ahumanistycznej funkcji i jałowości tej poetyckiej postawy. Wtedy powstaje wiersz przeniknięty taką samowiedzą:

Zaczyna się już w Krakowie.
Nie ma tu nawet gotyk
Takich chimer i takich larw
Jak katedra Notre Dame
W Paryżu,
Ale
Jest tu coś, co namioty przybliża,
A kolumny z marmuru oddala,
To właśnie zapełnianie ram
Przez pędzla odważny dotyk.

A czy wiesz, że w katedrze w Toledo
Jest krata ze srebra szczerego
Malowana na kolor czarny?
A tu sosny hebluje się po to,
By powlekać je srebrem i złotem,
Choćby deski to były cmentarne.
(Kaukaz)

Jest to estetyzm i zarazem krytyka estetyzmu, estetyzm i jego negacja. Krytycy pomawiający młodego Zagórskiego o programowy estetyzm byli przeto w błędzie. Węsząc rozkład, nie spostrzegli, że był to rozkład estetyzmu i jego cofanie się na rzecz poetyckiego moralitetu.

Gdy spadła łuska estetyzmu, a poeta oko w oko stanął z człowiekiem swego czasu, nie wiedział, co począć z tą rodzącą się z nim solidarnością. Do wielkich przewodnich idei czuje niechęć. Załamuje się linia romantyczna *Ostrza mostu:*

Zatracony w kształtów możliwościach,
Ruchomością kolorów pobity,
Czy w jaskinię prowadzę, czy kościół
Sny płaczące i stalaktyty?

Przywołajmy Tego Jest Który
(Otulony obłokiem ucieka),
Czas jest łowcą i wielkim złoczyńcą,
On aniołom rozdziela melodie
Jak bogate dywany wschodnie,
Ale cieniem i kurzem burym
Zasypuje gościńce
Człowieka.

(Znak)

Twórczość Zagórskiego nigdy zresztą nie kokietowała nas humanizmem dla maluczkich, nie przeciwstawiała małego humanizmu rewolucyjnym ideom w sposób doktrynalny i natarczywy, jak to się zdarzyło niejednemu pisarzowi i intelektualiście lat trzydziestych, których ogarnął paniczny lęk przed rewolucją i jej tragizmem. W poemacie lirycznym pt. *Cienie* czytamy:

Uwierzyłem w odpowiedź, że echo jest cieniem,
Miłość mogła nagrodzić brak Rzymów i Kolchid.
A potem zakopałem czub przygiętej olchy
W ziemię, na znak, że takie winno być milczenie.
(Cienie)

Wyprawy to ostatni przedwojenny tom wierszy Zagórskiego. W *Wyprawach* wyzwalał się własny styl poetycki Zagórskiego, mniej w nich zapożyczeń futurystycznych czy awangardystycznych, w mniejszym stopniu niż w latach młodości napierają na autora po doktrynersku pojmowane koncepcje artystyczne z kręgu teorii literatury czy malarstwa. Poeta puszcza wodze własnej wyobraźni, awangardyzm jego staje się obłaskawiony, zneutralizowany wpływami innych poetyk. Sam siebie zaliczy później do „syntetyków", jak i bliskiego mu Putramenta a także Bujnickiego oraz kilku innych wileńskich poetów.

Ucieczka poety w poezję wyobraźni, poety, który jeszcze na początku lat trzydziestych w kresowym Wilnie nadsłuchiwał „ryku bydła na kołchozach", nie była li tylko ucieczką filistra. Zbliżał się rok 1937, który nie tylko legł w poprzek rozwoju świadomości rewolucyjnej inteligencji tego okresu, nie tylko znamionował upadek nadziei, lecz obiektywne załamanie linii rozwoju samej rewolucji.

Ciemniej, co roku ciemniej, —
I coraz dalej płyniemy od przezroczystych brzegów,
I coraz trudniej o górę — ojczyznę łaski.
(Wyprawy)

Liryka Zagórskiego owych lat jest co prawda bardzo pośrednim odbiciem problematyki i politycznych nastrojów, jakie panowały wśród postępowej inteligencji lub tej najwrażliwszej na antynomie epoki. Niemniej je sygnalizuje. Eskapizm Zagórskiego był na szczęście niekonsekwentny, gdyż humanistyczna problematyka dopada go w najbardziej oddalonych od życia regionach wyobraźni:

Zamieszkasz w drewnianym domu i dobrze ci będzie w nim.
Pudło z sosnowych belek. Na belkach żywiczne sęki,
Las pod werandę podejdzie na wyciągnięcie ręki.
Wieczorem w niebieskie smugi na polu ułoży się dym.

Jak dym znad łąki nad ranem płynie puszysta mgła.
Świat jest polaną widoczną przez oczy z mętnego szkła.
W dzień tęcza staje przed gajem. Nie pójdzie na ciebie wprost,
Odejdzie za drzew zasłonę nad sosny rzucony most.

Z tego, że wszystko jest bliskie i można wszystko ogarnąć,
Powstało pojęcie ojczyzny, a z tego, że są rzeczy dalsze,
Powstały inne pojęcia, smutniejsze i doskonalsze,
Które tym jaśniej świecą, im głębsza naokół czarność.
(Wyprawy)

Był to już koniec lat trzydziestych naszego wieku, niemal przeddzień drugiej wojny światowej. Kolejny tom wierszy Zagórskiego *Wieczór w Wieli-*

szewie ukaże się dopiero w dziesięć lat później. Znajdujemy w nim słaby tylko odgłos okupacyjnej tragedii. Poeta jak gdyby wyczerpał się w alarmistycznych wierszach lat trzydziestych. Autor *Ostrza mostu* i *Przyjścia wroga* na długo zamilkł. W jednym tylko utworze tragedia okupacyjna znajduje prosty i szczery wyraz:

— Wodo, błękitna wodo,
Kogo widziałaś?
— Widziałam ginących młodo
I matek żałość.

Brzozy białokolane
Także pamiętam,
Cmentarze porozwalane,
Gaje wycięte,

Ziemię tygrysów, szakali
Bombami zrytą,
Ludzi, co przemijali
Z twarzą zakrytą,

Niebo, kipiącą powałę
Bez ścian, podwoi,
Co gromem do mnie wołało,
Nic uspokoi.

(Wodo!)

W innych utworach o tej tematyce razi beznamiętnie kronikarski ton i estetyzujący sztafaż nie przylegający do grozy owych dni.

Po latach bolesnego milczenia były awangardzista ucieka w klasycyzm. Po swojemu klasycyzowali także Ważyk i Stern oraz inni przedwojenni eksterminiści. Najambitniejsi antytradycjonalistyczni rokoszanie szukali oparcia w Trembeckim i Krasickim, odkrywali na nowo poezję Oświecenia z jej kultem umiaru, rozsądku i stateczności. Wiele na to złożyło się przyczyn. Rewolucja zaczynała się stabilizować. Być może chodziło o to, że kapryśny tok awangardowej wyobraźni nie nadawał się do uczestnictwa w tym dziele stabilizacji, zwłaszcza że wyrosłe z polskiej tradycji awangardowej nazwiska rewolucyjnych poetów, poetów, którzy zginęli tragicznie w latach trzydziestych, mogły odstraszyć tych, którzy stabilizację rewolucji w kulturze rozumieli jako jej zniewolenie.

Zagórski należy do tych niewielu poetów-awangardystów, którzy nigdy nie wypierali się swoich literackich powinowactw i koneksji. Niemniej jednak następuje w jego twórczości powojennej pewien odwrót od awangardowej poetyki, jej wyraźne uklasycznienie, przygotowane zresztą rozjemczą postawą poety w sporach literacko-artystycznych dwudziestolecia. Klasycyzm Zagórskiego, to stylistyczna wersja jego ideowego porachunku z romantyczną młodością wileńskiego okresu „burzy i naporu".

Tym, czym dla Ważyka było *Pożegnanie Inkipo*, dla Zagórskiego był zamieszczony w pierwszym powojennym zbiorku wiersz pt. *Do widzenia Bruges*. Krytyka zachwalająca umiar artystyczny tego utworu nie zauważyła jednakże ceny ideowo-artystycznego kompromisu, tego, że afirmacja nowego świata, na który poeta wyraża swoją zgodę, jest mimo wszystko światem niczym nie zakłóconej ciągłości cywilizacyjnej, moralnej czy estetycznej. Uklasyczniony poeta, krytykując swoje ideały młodości, krytykował w nich także to, co było ich rewolucyjnym ładunkiem.

Wieczór w Wieliszewie powitany został przez krytykę jako dowód wyjścia poety z zaklętego kręgu estetyzmu i solipsyzmu filozoficznego. Chwalono sobie nową „socjalistyczną egzotykę" powojennych wierszy autora *Ostrza mostu*, jak gdyby to był rzeczywisty postęp bez załamań i ceny w stosunku do młodzieńczo-romantycznego debiutu wybitnego poety.

Gdy ukazał się następny tom wierszy Zagórskiego pt. *Męska pieśń*, krytyka znów nie zauważyła, że ceną afirmacji nowego, ceną „przejścia poety na nowe pozycje" było przyjście klasycystycznej wersji estetyzmu, nowej metody służącej zachwalaniu urody świata istniejącego, zastanego, że polityczne nawrócenie zostało przez poetę zrozumiane jako polityczne i moralne uspokojenie. W tym kierunku ewaluował cały nowy kierunek w literaturze, który w poezji „zaostrzającej się walki klasowej" zrodził (o dziwo!) idylliczne *Wiosny sześciolatek*.

„Jedno jest pewne — pisał młody krytyk o nowym zbiorku Zagórskiego — po szerokim froncie tematycznym nowego tomu poeta porusza się swobodnie i sprawnie. Imponujące są jego zainteresowania, poeta śmiałą ręką sięga po pierwszoplanowe problemy: produkcyjne, społeczne, moralne. Ambicje te budzą podziw: poeta do-

trzymuje kroku dniom, już choćby tylko dzięki temu, że nie błąka się na peryferiach estetyzmu..."

Krytyk wymienia tytuły nowych wierszy: *Zagarniaki, Kominy koksowni, Strużyny Nowej Huty* i in., by w ten sposób wylegitymować poetę i nadać mu rangę piewcy nowego życia.

To prawda. To nie były peryferie estetyzmu. Zagórski, jak wielu innych starszych i młodszych poetów, znalazł się mimo woli w gąszczu nowej odmiany estetyzmu, który — jak słusznie to zauważył Jastrun — cechował realizm socjalistyczny w jego wersji wypranej z dialektyki, stroniącej od prawdziwego życia i jego sprzeczności. Życie śni się wyleczonemu z poczucia tragizmu poecie jako karuzela stuciech, a zmaganie się i walka człowieka z indywidualnym losem i historią sprowadzone zostają do uproszczonej formuły:

Niesiesz oto sztafetę
Przez to życie i Letę.
Czym jest życie? Czym śmierć? Czym są ślady?
Odpowiedzą kopalnie,
O los ziemi batalie.
Czy świat zdradził cię? Nie ma w nim zdrady.

Co dostałeś, to twoje,
Tylko wznieś z niepokojem
Wyżej ziemski prezent i szansę,
Co jak podmuch przeleci
Przez prąd śnieżnej zamieci,
Żeby żywot twój był awansem.
(Męska pieśń)

Już na początku lat pięćdziesiątych dobiega końca seminaryjny okres urabiania naszej literatury, okres kazań i rekolekcji, w którym zakładano, iż postulaty ideowe wobec literatury formułować może tylko „góra", a poeci są tylko estetycznymi wykonawcami tych pochodzących z góry formuł.

Jednakże panegiryzm i lakiernictwo stały się z czasem niebezpieczne nawet z punktu widzenia rządzącego dogmatu polityki kulturalnej. Zbyt jawnie zarysowała się sprzeczność między życiem a jego sielankowym odbiciem w literaturze. Twórcy sięgać zaczynają do własnej intuicji i obserwacji. Wyprzedzają te zmiany, które później zaszły w rewolucyjnej kadrze, w partii:

Czy tylko głucha rozpacz w człowieku
Ma być świadectwem wieku?

Czy z pogwałconych gniewem stuleci
Sprawiedliwości gołąb wyleci?

Czy zmieni z kłamstwem w historii wartę
Niesfałszowane słowo otwarte?

Jeśli się takie pytanie szerzy,
Może odpowiedź do nas należy?
(Czas Lota)

Czas Lota to ostatni cykl poetycki, zamykający wybór wierszy Zagórskiego. Wiersze tego cyklu są owocem dojrzałości artystycznej, obywającej się bez klasycystycznych szczudeł i estetycznych podpórek. Są to wiersze proste i piękne, w których doszło do głosu osobiste i społeczne doświadczenie, jakie zebrał w ciągu dziesięcioleci artystycznych zmagań autor *Ostrza mostu*.

Arnold Słucki

LOT MAKOLĄGWY

Jan Bolesław Ożóg: *Wiersze wybrane*. Warszawa 1957. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 184.

Jan Bolesław Ożóg wydał wreszcie wybór swoich wierszy. Wspaniałomyślny PIW ofiarował dla jego poezji 600 egzemplarzy nakładu. Fakt ten wydaje się symptomatyczny dla kierunku, w którym zmierza nasza kultura. Poeta pracuje i czeka lata całe, długie lata życia, aby złożyć wybór wierszy, i daje mu się nakład, który nawet

nie starczy dla księgarń warszawskich i krakowskich. Podczas gdy byle szmirę tłumaczoną z obcej literatury i nowelkę łechcącą podniebienie kulturalnego drobnomieszczucha wydajemy w wielotysięcznych nakładach. Może poeta słaby? Są i tacy. Ale właśnie Ożóg należy do najciekawszych, najsamorodniejszych zjawisk naszej współczesnej poezji. To uroczy poeta, odznaczający się tym, że posiada swój własny oryginalny świat poetycki. Jeśli nie jest on poetą „orlego", jak to mówią, lotu, to Bóg z „orłami". Ożogowi wystarcza lot makolągwy, szczygła, gila, kwiczoła i innych niezliczonych ptaszków, które, jak mało kto, zna z imienia, barwy i głosu.

Ożóg należy do „sielskiej" linii naszej poezji. Prowincja, a w niej wieś — Czechowiczowskie „dno zielonego świata" — to ośrodek zainteresowania poezji Ożoga. Nie trzeba się w niej doszukiwać intelektualnych syntez ani głębokich refleksyj. Mądrość tej poezji, bo ma ona swoją mądrość, polega na ukochaniu ziemi, przyrody, współżyciu z nią, współcierpieniu. Nie jest to jednak proste, pogodne, bezkonfliktowe odpoczywanie na tzw. łonie natury. Proste strofy Ożoga przypominają mi boleśnie skręcone gałęzie drzew. Prosty jest kształt fujarki, a ileż w niej zadyszeń i pojęków przepełniających ludzkie serce. Zdanie poetyckie chwilę biegnie prosto, regularnie i nagle skręca i wykrzywia się, zadziwia składnią, szokuje osobliwościami języka, który nie przestaje być polskim językiem, choć chwilami staje się niezrozumiały, jakby wydobyty z dennych pokładów historycznego słownika. A to po prostu język wsi, tak mało nam ciągle znany, tak zbanalizowany przez przerozmaite stylizacje od Reymonta począwszy.

Ten język przede wszystkim — oryginalny i bardzo bogaty — wprowadza czytelnika w inny świat, w wymiar Ożogowskiej poezji. Takiego bogactwa języka nie znajdziemy chyba u innego współczesnego poety.

Jak sęki na poczerniałych deskach chłopskiej chaty, siedzą na strofach Ożogowskiej poezji te wielorakie osobliwości językowe, te szczecie, kręgałki, tery, telegi, cielichy, śragi, pszonki, pęczerki, birozy, banty, kalwile, kurdybanki, wolnobieżki itd. itd. Wiejskie nazwy botaniczne i zoologiczne, jakich nie ma nawet u Karłowicza. Własne formy gramatyczne i tak obrazowe, dźwięczne ludowe czasowniki, jak: uszargnąć, dychać, chysać, siepnąć. Te epitety na pozór odległe, a tak po wiejsku trafne i liryczne, jak: piwne klarnety, graniasty drużba, malinowe ręce, że zanotuję tylko kilka.

A nie jest to przecież dziki żywioł językowy. Ożóg włada nim jako artysta, ma swoje językowe instrumentacje, swoje foniczne rafinady. Kiedy np. mówi: „Przemawiał strzęp wargi świerszcza po szczepie z rosą złotą...", nie jest to tylko obraz plastyczny — piłowanie drzewa, to także, jeśli można tak powiedzieć, obraz muzyczny. Cały ten wiersz *Złapany zając* szumi, syczy, ćwierka i trzeszczy jak piła na podwórku.

Dokładność metafory Ożoga nie dopuszcza ogólników i waty. Jakże akuratne są takie np. porównania: „ręce młode jak strączki soi" lub: grom ma się palić „jak płomyczki ogórczanych kwieci".

Oto wiersz otwierający tom wyboru, wiersz z pierwszego tomu — *Wyjazd wnuka:*

Mój dom to jest organistówka stara.
Oto przy progu miotła — kiść żarnowca,
zielony kiełek puszcza ziarnko owsa,
a tam u okna — patrz — firanek para.

W wazonkach — w świat zwrócone pelargonie,
lecz zapatrzyły się w kościelną wieżę.
Na stole zaś weselna szynka leży.
I tamta izba płacze z fisharmonii.

Ten pierwszy wiersz jest od razu typowy dla Ożoga. Są tu wszystkie niemal elementy jego poetyckiego stylu. Prosty opis małego wycinka świata. Jakby duże, szeroko otwarte, uważne oko, widzące najdrobniejsze szczegóły. Nawet to, że w kącie izby — organistówki — leży porzucone ziarnko owsa, które puszcza właśnie zielony kiełek. Któż lepiej od dziecka może taką rzecz zauważyć? A jednocześnie jakaś sytuacja niezwykła i odświętna. Na stole leży weselna szynka. „I tamta izba płacze z fisharmonii." Sytuacja liryczna zaznaczona jest kilkoma rysami, ale wprowadza od razu w nastrój półdziecięcego smutku, zagapienia, zasłuchania.

Naiwność spojrzenia zostaje cechą stałą poezji Ożoga i ona to chyba nadaje jej tyle uroku. To dlatego tak dobrze pamiętamy pewne szczegóły z wierszy Ożoga. Tu: jabłko znalezione na śniegu, śliwki, które babusia niesie w fartuchu, kwaśne cukierki na językach dzieci patrzących w oświetlone okna nauczyciela — drobne szczegóły poruszające głęboko, bo odwołujące się do jakichś dziecięcych, naiwnych przeżyć, przeżyć, które są w istocie podwaliną naszego odczuwania świata.

Z młodszych poetów jedynie Harasymowicz ma tę samą naiwną dziecięcość spojrzenia, jego wiersze są podobnie nasycone realiami wiejsko-miasteczkowo-kościelnymi. Tylko więcej u Harasymowicza satyry i groteski, u Ożoga — liryzmu i bólu. Głębiej, silniej tkwi Ożóg w swoim parafialnym świecie. Raz uciekłszy z niego — przeżywa swą ucieczkę przez całe życie, ucieka i powraca, i znowu ucieka. I — może się mylę — ale to drugi składnik czyniący prawdziwego poetę: własny świat wyobraźni i własny, choćby najcieńszy nerw tragiczny, osobisty. Drga on w wielu wierszach Ożoga sprawiając, że prosta ta poezja jest mimo pozornej błahości tematu — bardzo ludzka.

I gdy się budzą kopy różowe,
trąc słoneczka swych piersi o drzewa,
błagam: Ojcze, niebo! Nic nie wiem —
ale utul mnie w gniazdka polne
i w pieluszki gałęzi wierzbowych...
W gniazdka polne, nim je przyorzesz...

Nie ma, jak już zauważyłam, w wierszach Ożoga retorycznych, intelektualnych roztrząsań. Jego wadzenie się z Bogiem pozostawia tylko taki jak w zacytowanej strofie poetycki ślad i tylko takie — poetyckie dojście. Przyroda — jest tym dojściem filozoficzno-poetyckim. Pełno jej w poezji Ożoga. Stosunek poety do przyrody przekracza zwykłe zapatrzenie się mieszczucha, wakacyjną sjestę. Przypomina stosunek do przyrody chłopa, rolnika, który z przyrodą współżyje, w jej cyklach układa życie, używa jej nie bezinteresownie, kocha ją nie tylko za jej piękno, kocha ją tak, jak się kocha życie — i złe, i dobre.

Jesieninowską nutą brzmi wiersz z okresu wojny *Do ostatniej krowy:*

Hej, na pożegnanie tej obory,
która w ciężki nas żywiła czas,
mroźnym, żółtym zimowym wieczorem
skargą zabrzmiał twój żałosny bas.

Nocą w okolczykowane ucho
długo piała konająca wieś,
na zbójeckim, niemieckim łańcuchu
kiedy prowadzili cię na rzeź.

Żegnaj, żegnaj w szalu białych dymów,
niby wicher — zadumany wróż.
Krąg sadyby i my porzucimy,
głowy tuląc do nóg starych brzóz.

I taki jest właśnie stosunek Ożoga do przyrody. Gospodarski i ludzki, podkreślający wspólność losów, wspólność w sprawach ostatecznych.

W okresie wojny formuje się Ożogowskie pojęcie ojczyzny. Ojczyzna to wieś — przyroda.

„Za kalinę walczę, ginę" — mówi wprost poeta. Wróg ogólników — Ożóg ukonkretnił w ten sposób abstrakcyjne pojęcie uchwyciwszy w tym lapidarnym sformułowaniu: „Za kalinę walczę, ginę" — przypominającym ludową piosenkę — sens patriotyzmu wojennego. Tkwi on właśnie w uświadomieniu sobie, za co się ginie. „Kalina" w tej zwięzłej poetyckiej formule oznacza oczywiście i przyrodę, i miłość, i cały urok życia.

Obrońcą być listka pszenicy
i jądra w laskowym orzechu,
korzenia i lilii potoku!

W zielonym orzechu czuć gałąź,
w gałęzi czuć drzewo i ziemię —
i ziemię zakopać głęboko!

Obrońcą być kości ogryzka
i jabłka, gdy z niego się dźwiga,
i chleba, i wody, i lilii!

Gdzie gruz człowieka znad Wisły —
kapitel kolumny egipskiej
i kości, i popiół motyli.

W tym pięknym wierszu z tomu *Do lądu dobrej nadziei*, jednym z bardzo nielicznych wierszy programowych, zawarł Ożóg swą poetykę i swą postawę życiową. Wielkość w małości, zwycięstwo — ze zniszczenia — oto co dałoby się w skrócie odczytać jako poetycka filozofia Ożoga.

Jest w tym jednocześnie pełen god-

ności minimalizm poety. Nie żądam wielkich rzeczy — zda się mówić — być obrońcą listka pszenicy, jądra orzecha, ogryzka kości i jabłka, popiołu motylego skrzydła — to program minimum, przekornie głoszony w przekonaniu, że w tym właśnie tkwi siła jego poezji.

Starczy mi, poecie,
buzdygan z goździka,
na stół złoty talerz
z tarczy słonecznika...

— wyznaje w innym wierszu.

Tu i ówdzie w tomie *Do lądu dobrej nadziei* znajdziemy taką *implicite* zawartą w obrazach poetyckich — własną poetykę Ożoga, niby polemikę z oficjalną poezją ostatnich lat, z jej wielkimi programami politycznymi. Poezja Ożoga w żadnych postulatach realizmu socjalistycznego się nie mieściła. Poeta wolał skromnie przyznać się, że do wielkich programów nie dorasta. Skromność ta jest zresztą bardzo sympatyczną cechą poezji Ożoga.

Upadnie z pnia piórko szczygle,
drży igła zielona przy igle,
strop nieba tak blisko od dłoni,
że dzwoni.

Ja idę za skocznym strumykiem
i klękam nad lichym storczykiem,
w mech z buta jaszczurka mi skacze
i widzę — szczęśliwy — i płaczę.

Zresztą mimo tych zawoalowanych polemik próbował Ożóg nagiąć się do wymogów krytyki. Niekiedy powstawały z tego piękne wiersze w typie nowej sielanki. Z pewnością nie zadowalały one bojowych krytyków, bo Ożóg pozostawał w nich sobą i w „światło planów" wnosił swój cały parafialny, na pół groteskowy, na pół liryczny świat.

Pójdź, skoro cię wzywa pogoda,
odłóż luteńkę na kłosy
i wepnij grzebyk we włosy,
pasterko pszczół — muzo młoda.
. . . . . .

Schną chude za wozem topole,
rżą konie cisawe u nocy —
i czai się biskup z karocy,
drga biała infuła na czole.

Łyska fiołkowa pończocha
i kiwa się ku nam pastorał,
jakby nie traktor tu orał,
lecz święta sosnowa socha!

Oto mi swoista, naprawdę nie schematyczna pochwała traktora!

Zresztą — nie widzę w poezji Ożoga wielkich przełomów ani skoków. Jest on sobą już od pierwszych strof i każdy niemal wiersz zawiera całego Ożoga. I choć wielka to strata dla krytyka, jeśli takowych przełomów nie wyśledzi, jest dla mnie Ożóg poetą, którego poezja płynie równo, spokojnie, szarpiąc się w swoich brzegach tylko tyle, ile każą koleje życia, radosne lub smutne.

W ostatnim tomie jest kilka wierszy na śmierć dziecka, spotykających się poprzez wieki z *Trenami* Kochanowskiego. Klasycyzm Kochanowskiego i ludowość Ożoga zbiegają się w prostocie powszechnego, ponadczasowego przeżycia.

Sporo jest ludowości w poezji Ożoga. Jest to szlachetna ludowość nie z gatunku naśladownictwa czy stylizacji ludowej pieśni, ale ludowość polegająca na prostocie wiersza, na całym budulcu językowym, na wspólnocie przeżyć ze wsią, na związku z przyrodą.

I choć na pewno nie wszystkie wiersze są równie celne, czyste, choć dużo jest w nich nieraz językowej gmatwaniny, chciałoby się cytować wiele, wiele strof — dla stwierdzenia, że daj nam Boże-niebo więcej tak autentycznych, prawdziwych poetów, jak ten — skromnie Ożogiem nazwany.

Anna Kamieńska

TAJEMNICE SUKCESU

Jan Sztaudynger: *Stare i nowe piórka.* Ilustrowała Maja Berezowska. Warszawa 1957. „Czytelnik"; str. 192.

W roku 1954 ukazały się w nakładzie 5 176 egzemplarzy pierwsze *Piórka* Jana Sztaudyngera; w dwa lata później zjawiły się *Nowe piórka* (20 000 egzemplarzy) i *Krakowskie piórka* (10 000 egzemplarzy). Obecnie wydany wybór *Starych i nowych piórek* (30 000 egzemplarzy) jest więc czwartym tomem satyrycznych wierszy Sztaudyngera, opublikowanych w okresie 3 lat.

Ten nowy tomik jest już, w chwili gdy piszę te słowa, całkowicie rozchwytany. Zatem publiczność polska kupiła ponad 65 000 egzemplarzy *Piórek* w ciągu niespełna 3 lat. Jest rzeczą prawdopodobną, że wierszy tych mogłoby się rozejść ponad 100 000.

Czym wytłumaczyć ten piękny i niewątpliwy sukces? *Piórka* Sztaudyngerowskie nie są błyskotkami o przemijającym i efemerycznym blasku. Gdy się je czyta, zebrane razem, kiedy się powraca do owych tomików, sfatygowanych częstym wertowaniem, nie doznaje się najmniejszego znużenia. To są utwory, które można czytać bezpośrednio po ich napisaniu i w dłuższy czas później. Choć zawsze zarysowuje się w nich jakaś jedność, swoistość i oryginalność stylu, zaskakują nas one i „odświeżają" coraz nowymi pomysłami.

Można już dziś, po wydaniu 4 tomów *Piórek*, pokusić się o próbę scharakteryzowania pewnych cech Sztaudyngerowskiej satyry „piórkowej".

Pierwsza z nich — to zastanawiająca z w i ę z ł o ś ć i kondensacja. Oprócz *Bajek*, zajmujących niewielką część nowego wyboru (19 stron), przeważają u Sztaudyngera utwory obejmujące od 2 do 4 linijek wierszowych. Na tak niewielkiej przestrzeni potrafi autor zmieścić i obraz poetycki, i dowcip, i zaskakującą pointę. W każdym niemal z „piórek" jest jakiś świeży, przez czytelnika nie przeczuwany, paradoks. Oto przykład:

Czy śmierć to krewna życia? —
Pytasz się mnie, kochanie.
Tak, krewna, ale dalsza —
Już na ostatnim planie.

Jest tutaj gra słów, igranie podwójnym znaczeniem pojęcia „dalszy": dalszy krewny oraz ów daleki plan, na który śmierć odsuwa osobowość ludzką i jej pozycję w pamięci osób pozostałych. Lecz sprowadzenie takich pojęć do wspólnego mianownika przy pomocy dowcipnego zestawienia otwiera nam perspektywy tym ciekawsze, że „podróż" satyryczno-poetycka skraca się tutaj w sposób oszałamiający. Zamiast długich omówień trafiamy błyskawicznie — w sam środek celu.

Bo z zasadą kondensacji wiąże się u Sztaudyngera wspomniania przed chwilą — celność. Otwórzmy na chybił trafił karty *Nowych piórek* i przeczytajmy na stronie 142 dwuwiersz *Badacz wiatru:*

Badał wiatr, nim wyraził swoje
przekonania,
Albowiem zależały od kierunku
wiania.

Celność polega na dowcipnej aluzji do powiedzenia „skąd wiatr wieje". Ale także i do łatwości zmieniania przekonań, przypominającej szybkość zmian atmosferycznych. „Badanie wiatru" oraz zależność przekonań od „kierunku wiatru" dają wierszowi koloryt modnej techniki karierowiczostwa. Nie bez znaczenia jest w tym wierszu gra pojęć dotycząca słowa „kierunek" oraz ścisłe ustalenie porządku dokonywanych tu czynności: najpierw odbywa się „badanie wiatru", a potem uroczyste „wyrażenie" przekonań. Wszystko razem daje ów świetny efekt celności i trafności, który porusza wyobraźnię czytelnika a zarazem subtelnie apeluje do naszego poczucia humoru.

Te właśnie cechy — kondensacja i celność — zapewniły wielu „piórkom" Sztaudyngera najmilszy rodzaj sukcesu, jaki może spotkać satyryka: przeniknięcie do języka powszedniego. Urocza definicja pensjonarki jest przecież cytowana powszechnie:

Właściwy człowiek
Od spuszczania powiek.

Już samo „kompetencyjne" słówko „właściwy człowiek", zastosowane do tak niebiurokratycznego tematu, apeluje w sposób odkrywczy do naszego poczucia humoru. Z tą fraszką sąsiaduje inna, równie już „klasyczna", równie wesoła i precyzyjna humorystycznie — *Topografia ust:*

Powyżej brody,
Poniżej nosa
Miejsce na całus
I papierosa.

W obu tych wypadkach autor *Piórek* wciąga także i tytuł swej fraszki w orbitę celnego działania satyrycznego. To jeszcze jeden sposób osiągania owej kondensacji, która daje wierszowi Sztaudyngera urok nowoczesności.

Te zalety są jeszcze pomnożone wartością, którą można określić jako wdzięk poetycki. Za mało i zbyt rzadko bierze się w ocenach krytycznych pod uwagę sprawę wdzięku. Niektórzy sprawozdawcy zdają się być na nią nieczuli. Sztaudynger ma urok pisarski zarówno wtedy, gdy melancholijnie się zastanawia nad procesami przemijania i krótkotrwałością życia, jak i wtedy, gdy bawi się faktami, zdolnymi wnieść nieco radości życia w szarą — czy wręcz czarną — naszą egzystencję.

Nawet najbardziej śmiałe fraszki Sztaudyngera nie godzą w poczucie estetyczne; wdzięk i krytycyzm, kontrola własna i wiara w harmonię dają ów efekt pomyślny. A przede wszystkim działa tu wiara w życie; wiara bynajmniej nie ślepa na ludzkie słabostki czy nawet podłostki, a jednak ostająca się wszystkim zwątpieniom. Tak rozumiem m. in. sens jednej z najładniejszych i najbardziej wdzięcznych fraszek Sztaudyngerowskich — *Napis na moim grobie:*

Taki napis na grobie by mnie cieszył:
„Nie byle kto — bo byle czym się cieszył".

Bo byle czym się cieszył! Dostrzec wielkość w drobiazgach, znaleźć pretekst do radości w błahych na pozór objawach urody świata — czyż to nie jest tajemnica mądrości? Któryś z młodych krytyków omawiając tę fraszkę dopatrzył się w niej z niesmakiem „filozoficznego minimalizmu". Ja, przeciwnie, widzę w tym intelektualną dojrzałość i po trosze zazdroszczę Sztaudyngerowi tej zdolności oczyszczania swego serca i myśli z czarnych i gorzkich namiętności. Jedna z najzdolniejszych aktorek Komedii Francuskiej, Claude Winter, cieszyła się jak dziecko i śmiała radośnie, gdy jej ofiarowano w Warszawie cepeliową laleczkę. Myślę, że doszukać się w tym można równie pięknego i uroczego, co w wierszach Sztaudyngera, talentu cieszenia się „byle czym" — co „nie byle kto" potrafi!

Ładnie wydane *Piórka* korzystają z inteligentnej pracy redakcyjnej, jaką im poświęca w „Czytelniku" pani Mirosława Krajewska. Zapewne zarówno redaktorce, jak i samemu poecie zawdzięczać należy dobry wybór wierszy w *Starych i nowych piórkach*, dowcipne ich rozplanowanie, pomysłowe zestawienie, kulturalne obramowanie. Maja Berezowska jest stałą ilustratorką *Piórek*. Bujny i żywiołowy talent pani Mai umie nałożyć tu sobie więzy dyskrecji. Kto ciekawy, niech uważnie się przyjrzy np. uroczemu rysunkowi, ilustrującemu na stronie 150 wiersz *Spotkanie z Muzą*.

Wszystko to może się wydać „podejrzane" zawodowym pesymistom, decydującym o losie polskiej książki. Używam słowa „podejrzane", gdyż rekordowym sukcesem cieszą się dobre książki subtelnego poety, wbrew teoriom, w myśl których należy publikować tylko „rzeczy rentowne", czyli sensacje, kryminały i tandetę. Czyż nie należy przestrzec owych augurów nie tyle może przed twórcą *Piórek*, co przed publicznością, stanowiącą potężny „odwód" (by użyć wojskowego wyrażenia) w walce o dobrą książkę, którą tak rozpaczliwie toczymy? Ale zdaje się, że największy nawet sukces 4 tomów Sztaudyngera nie przekona zależnych od Domu Książki wydawców, by opublikowali, zupełnie wyczerpane, wiersze liryczne tego pisarza.

Wydany jeszcze w 1925 roku tomik dwudziestoletniego debiutanta, *Dom mój*, zawierał utwory tak niezapomnianie piękne, jak np. *Portret:*

Na krzesełku maleńkim siedzisz zadumana,
Pozornie tak spokojna, istna rzeźba grecka,
Masz w oczach mądrość starca i figlarność dziecka,
Sine zmierzchy wieczoru i liliowość rana.

Przelot myśli na twarzy rzuca cień chwilowy,
Jakieś zmarszczki bolesne, półkola i kreski,
Na ścianie poza tobą leży cień twej głowy,
Pozornie tak spokojny, śmieszny i niebieski.

Poza tym — pamiętajcie, augurzy! — opublikował Jan Sztaudynger *Ballady poznańskie* z okładką A. M. Swinarskiego (tak jest, przyszłego autora *Araratu*), *Balladę o Stanisławie Wysockiej*, poemat *Kasprowicz*, tom *Ludzie* (1931), *Kantyczki śnieżne* (1934), jeden z pierwszych u nas zbiorów poezji o temacie sportowym, i *Strofy wrocławskie* (1946). Wszystkie te zbiory są, nawet w antykwariatach, całkowicie niedostępne.

A nowe liryczne wiersze Jana Sztaudyngera? A jego klasyczna już, tylekroć cytowana, tak ważna dla rozwoju polskiego lalkarstwa książka o marionetkach? A marynowane już od 5 lat, świetne tłumaczenie *Księcia Homburgu?*

Widocznie u nas nie wystarcza być rozchwytywanym w księgarniach, aby być całkowicie wydawanym!

Wojciech Natanson

DWIE KSIĄŻKI JANA WŁ. GRABSKIEGO

Władysław Jan Grabski: *Rapsodia świdnicka. Opowieść śląska z lat 1339 — 1404*. Poznań, 1955. „Pallotinum"; tom I — str. 398 i 1 nlb., tom II — str. 440.

Dwie grube księgi, z górą osiemset stron dobrze nabitych drukiem, przeszło trzysta postaci działających lub wspomnianych, z tego sto trzydzieści sześć historycznych — to zaiste cyfry imponujące, których by nie powstydził się o wiek niemal wcześniejszy tytan pracy — Kraszewski.

Kiedy czytelnik przedziera się, często w pocie czoła, przez tę gęstwinę „półtora miliona liter, składających się na całość *Rapsodii*", uderza go nie tylko mrówcza praca szperacza wśród zbutwiałych pergaminów, pożółkłych kronik, szczerniałych nagrobków, nie tylko głębinowa wyobraźnia, która pozwoliła autorowi dokopać się do tego, co w jego mniemaniu stanowi rdzeń średniowiecza — ale i żelazna konsekwencja, z jaką przez nagromadzony materiał przeprowadza linię własnego światopoglądu.

W krótkim przedsłowiu do *Rapsodii* autor zwierza się z genezy i pobudek swego dzieła. Jego źródłem była potrzeba wydobycia na jaw pradawnej polskości ziemi między Odrą i Nysą. To jest stwierdzenie świadome. Ale podczas gromadzenia materiałów bezpośrednie zetknięcie się z żywymi kamieniami przeszłości wykrzesało z twórczej pasji pisarza iskrę emocjonalną, która rzuciła swoisty blask na całą książkę. Więcej w niej mglistej poświaty gromnic kościelnych niż promieni słońca.

„Parotygodniowy pobyt w Świdnicy, mieszkanie w klasztornych murach, w cieniu potężnej Bazyliki... zadecydowało o wyborze tematu." I choć o tej bazylice mówi się w *Rapsodii* stosunkowo niewiele, panuje jednak ona nad całym dziełem w sensie ideologicznym. Przyznać trzeba, że rzadko spotkać można takie zespolenie się pisarza współczesnego z tak zamierzchłą epoką. Chwilami ma się wrażenie całkowitej regresji. Z franciszkańską pokorą mówi autor o stosunku swoim do wskrzeszonych przez siebie czy stworzonych postaci. „Nauczyłem się od nich niemało — powiada — przede wszystkim tego, jak i w co wierzyli." Nie zdaje sobie jednak sprawy, do jakiego stopnia ustawił ten odległy świat wedle swego indywidualnego pionu.

Średniowiecze *Rapsodii*, aczkolwiek w szczegółach historycznych i obyczajowych na ogół zgodne z dokumentami, w syntetycznym odczytaniu autorskim jest mocno wysublimowane. To nie znaczy, żeby autor pomijał czy maskował niezaprzeczalne okropności epoki. Nie cofa się przed żadną z nich. Ale ponad pierwotnością odruchów, nad wybuchami dzikich namiętności, nad przemocą możnych i silnych, nad niepohamowaną żądzą przygody, nad objawami okrucieństwa, które przez ludzi średniowie-

cza nie tylko uważane jest za zło konieczne, ale utożsamiane z wymiarem sprawiedliwości, nad ciemnotą przesądów, nad plagami głodu, ognia, trądu i czarnej śmierci — moru wyludniającego całe miasta, ponad krwawymi pochodami biczowników — unosi się gorejący sztandar opatrznościowego nakazu z góry, wiara w ostateczny triumf miłości.

Nie wiadomo, czy autor aprobuje całkowicie moralność średniowiecza, na przykład swoiste pojęcie winy i kary, obciążające dzieci odpowiedzialnością za występki rodziców. Natomiast w kręgu mistycznych porywów i wielkiej magii obraca się ze swobodą wtajemniczonego. Podobnie jak swego czasu romantyków, urzekło go „czucie i wiara" maluczkich i przemówiło do niego mocniej niż „mędrca szkiełko i oko". Wróżby, przepowiednie, horoskopy astrologów, czary, uroki, sny prorocze odgrywają w fabule *Rapsodii* nie byle jaką rolę, co zresztą zgadza się całkowicie z wierzeniami epoki.

Z jej ducha również poczęte jest wprowadzenie dwóch motorów postępowania zarówno jednostek, jak i zespołów ludzkich: z jednej strony wola życia, z drugiej strach przed śmiercią, nie jak przed końcem istnienia, ale jak przed sądem Bożym. Człowiek ówczesny porwany jest potężną żądzą życia i użycia. Miota go ona w samowolę, rozpustę i zbrodnię, każe mu co chwila przekraczać prawa boskie i ludzkie, pławić się we krwi, grozić niebu zaciśniętą pięścią buntu, a potem kajać się w prochu, pokutować i unicestwiać. Nigdy może te dwie odwieczne potęgi: życia i śmierci, cnoty i występku, nie starły się ze sobą tak pierś o pierś, jak w tej epoce, bogatej w świętych, wielkich jałmużników, kacerzy i zbrodniarzy. Nigdy może nie było wymyślniejszej zemsty i cięższej pokuty, wyniośleszej pychy i głębszej pokory, potężniejszych namiętności i bardziej krańcowej ascezy.

W tym świecie wielkich przeciwieństw muszą działać ludzie krańcowi, niepohamowani w nienawiści i poświęceniu, czasem zezwierzęceni, ale zawsze niepospolici, mocarze ciała lub ducha. Dla słabych nie ma wśród nich miejsca, chyba że przezornie uczepią się książęcego płaszcza, rycerskiego strzemienia lub mniszego habitu.

Rapsodia roi się od wizerunków ludzkich, począwszy od możnych tego świata, książąt, wodzów, dostojników, rycerzy, dworaków, księży i zakonników, mieszczan, rzemieślników, kmieci, wreszcie włóczęgów bez rodu i imienia, ale często z bogatą przeszłością, z których rekrutują się wędrowni igrce, pielgrzymi, żebracy, biczownicy, wreszcie najniższa, najemna czeladź domowa.

Psychologii tych postaci poświęca autor wiele miejsca, nie wzdragając się przed drobiazgową analizą, obarczającą niekiedy fabułę powieści nadmiernym balastem szczegółów. Zjawisko to usprawiedliwia jednak godna podkreślenia dynamika. Charaktery tych ludzi nie są określone raz na zawsze, są w ustawicznym ruchu, ulegają zasadniczym przemianom, ewolucji i sublimacji. „Żywy człowiek zmienia się, bo rośnie w sobie. Przerasta dawnego. Póki moc czuje, póty szuka, jak ją spotrzebować... Szuka siebie w świecie."

Powieść składa się właściwie z trzech kręgów tematycznych, związanych ze sobą biegnącymi od centrum do obwodu promieniami licznych wątków. Krąg pierwszy, zewnętrzny, w swoisty sposób oświetlony, to sprawy międzynarodowe. W dziejach Europy w połowie wieku XIV autor widzi tylko chaos, rozprzężenie i upadek. A przecież to zaranie Renesansu, wielkiej jutrzenki ludzkości. Oto wymowna próbka stylu, którym rozprawia się Grabski z tą epoką wielkiego przełomu:

„Ryba od głowy cuchnie... Od lat łuszczyła się korona cesarska. Cuchnęły mitry książąt i biskupów... Świetne ongiś Bizancjum, nędzny łup Paleologów, grążyło się nieuchronnie w odmęt azjatyckiej przemocy... Od czasu gdy królowie: kastylski i portugalski... odpłoszyli Maurów za morze, nie zagrożony wrogim najazdem ląd znajdował tysiąc przyczyn do wewnętrznych waśni. Francja i Anglia krwawiły nieustannie w Bretanii i Flandrii. Italskie miasta prześcigały się sromotą intryg i rozpasania. W Rzeszy niemieckiej aż huczało od wzajemnych walk kardynałów, biskupów, zakonów i książąt. Mieli tu odszczepieńcy godnego protektora w cesarzu, Ludwiku Bawarze. Jakże sprzeniewierzyły się swemu powołaniu zakony mnisze i rycerskie." (Herezje, nadużycia inkwizycji, łupiestwa Krzyżaków, rozpasanie dawnych templariuszy, ówczesnych kawalerów rodyjskich.)

We fragmentarycznych skrótach wy-

daje się zbyt pochopny sąd na największych ludzi epoki: buntowników i reformatorów. Przykładem Cola di Rienzi, trybun ludu rzymskiego. A cóż zostało z Jana Husa, bojownika o wolność sumień i niepodległość ludu czeskiego? Dialektyk i fanatyk! Cóż z tego, że jego zewnętrzny wizerunek jest autentyczny, że jego wypowiedzi są żywcem wzięte z jego pism, że nie ma tu żadnego szalbierstwa ani podstępu, że wszystko to jest prawdą, ale to nie jest cała prawda. Po prostu końcowy epizod o Husie, wykraczający właściwie poza ramy fabularne utworu, jest potrzebny autorowi do przeprowadzenia swej naczelnej tezy o miłości i nienawiści.

„— Co wam targało serce na ambonie: nienawiść grzechu czy nienawiść do grzeszników?" — zapytuje Symeon.

Hus odpowiada wykrętnie:

„— Nienawiść diabelstwa!"

A na to ustami Symeona poucza go autor:

„— ...Wolno nam wołać o ratunek, lecz nie o pomstę nad żywymi ludźmi. Na tym polega miłowanie nieprzyjaciół naszych."

Wydaje się, jakby Grabski, pogrążony całkowicie w kontemplacji średniowiecza, widział tylko jego schyłek, a w ścieraniu się gwałtownych przeciwieństw nie dostrzegł promiennej jutrzenki ludzkości, jaką było Odrodzenie. Pewne jego błyski wnosi w ponure mury świdnickiego zamczyska królewna węgierska, Katarzyna, żona księcia Henryka. Ale jej młodzieńczą skłonność do zabaw, upodobanie w klejnotach i strojach autor ocenia raczej surowo.

Kazimierz Wielki był niewątpliwie już człowiekiem Odrodzenia, ale o jego wielkiej roli cywilizacyjnej w *Rapsodii* bodajże się nie wspomina. Za to szafuje się aluzjami do jego jurności. Może istotnie za mało interesował się sprawami Śląska, co później odbiło się fatalnie na losach tej ziemi piastowskiej, ale to jeszcze nie powód, żeby mu wypominać niewczesne zaloty do dwórek i częstą zmianę kochanek.

Tutaj wkraczamy już w drugi krąg, wewnętrzny: dzieje dwóch ostatnich książąt świdnickich — Henryka i Bolka, ich żon i potomków, związane ściśle węzłami małżeństw z kręgiem pierwszym, międzynarodowym. Wszak córka Henryka i Katarzyny, Anka, księżniczka świdnicka, zostaje żoną cesarza Karola i matką Wacława, króla czeskiego i cesarza niemieckiego, koronowana trzykrotnie, po raz trzeci lombardzką żelazną koroną. Przypomnienie tych mało znanych naszemu czytającemu ogółowi faktów stanowi poważną zasługę autora.

Wreszcie krąg trzeci, centralny, najobszerniej rozbudowany, to dzieje plebejskiej rodziny Kordalów, wielokrotnymi nićmi związane z historią rodu książęcego. Właściwą bohaterką powieści, ośrodkiem jej fabuły, osią moralnego wykładu, niejako zwornikiem skupiającym rozproszone wątki, jest kobieta, Maryna, kowalicha Kordalowa. Autor nie bez przyczyny otoczył jej pochodzenie mgłą tajemnicy. Wiadomo tylko, że matką jej była niejaka Wojsława, urodziwa i młodo zmarła dwórka książęca. A ojciec? O ojcu Maryna nic nie wiedziała. Ale po troskliwej opiece, jaką otoczono sierotkę na dworze świdnickim, po drobnych na pozór, ale wymownych aluzjach domyślać się można, że w żyłach Maryny płynie krew książęca.

Piękną dwórkę, narażoną na zaczepki możnych, wydają za Kordala, syna wolnego kmiecia, pół-rycerza, pół-rzemieślnika, który wystawił sobie kuźnię tuż za murami Świdnicy. Stosunki z dworem książęcym zacieśniają się jeszcze bardziej z chwilą, gdy księżna Henrykowa Katarzyna jednocześnie z Maryną, która powiła syna Symeona, przypadkowo rodzi pod dachem Kordalów córeczkę Ankę. Maleńka księżniczka do siedmiu lat chowa się w domu Kordalów w towarzystwie swego mlecznego brata, Symka, i jego licznego rodzeństwa. Później, gdy Ankę zabrano na dwór babki, królowej węgierskiej, Symek zostaje przydzielony jako towarzysz zabaw małego Bolesia, syna Bolka świdnickiego i księżnej Agnes z Habsburga.

Dzięki zaletom swego charakteru i wrodzonej mądrości, Maryna staje się zaufaną doradczynią i sumieniem świdnickiego dworu.

Jej wpływy moralne sięgają dalej niż istnienie samodzielnego księstwa Świdnicy i Jaworu. Już po wcieleniu ich do korony czeskiej dziewięćdziesięcioletnia Maryna wysyła swego sześćdziesięcioletniego syna Symeona do króla czeskiego Wacława, aby pohamować jego gwałtowność i pychę. Wkraczamy w dziedzinę mistycznej legendy.

Wewnętrzna konieczność doprowadzenia roli Maryny, jako orędowniczki duchowej swego rodu, do ostatecznych

konsekwencji prawdopodobnie skłoniła autora do wykroczenia poza ramy historyczne *Rapsodii świdnickiej*, które powinny były się zamknąć z chwilą, gdy księżna Agnes, wdowa po Bolku, zdała Luksemburgowi piastowskie dożywocie. Tymczasem autor łamie kompozycję dzieła, dodając na końcu jeszcze jeden rozdział, który właściwie nie wnosi nic nowego w fabułę powieści, uzupełnia ją jedynie pod ideologicznym kątem widzenia.

Cały pobyt Symeona w Pradze, jego przydługie nieco rozmowy z bratankiem, szewcem Andreasem, z królem Wacławem i z Janem Husem są absolutną fikcją, kropką nad i, wykładem teoretycznym światopoglądu autora, o którym dostatecznie mówiły postępki jego bohaterów. „Ład serca", jaki w przekonaniu autora powinien zapanować nad światem, jest bardzo prosty, bardzo podniosły i... najtrudniejszy do osiągnięcia. Jest nim miłość bliźniego, doprowadzona do samozaparcia. Ten ideał piastuje w swym prawym sercu Maryna Kordalowa, urzeczywistnia go całym swym życiem jałmużnik, brat Fidolus, w posługach dla zarażonych osiąga go Kordal, po długich i ciężkich zmaganiach się z samym sobą zdobywa szlachetny rycerz rodyjski, Konrad z Rogozina. W tym duchu prowadzona jest ewolucja wewnętrzna głównych postaci powieści, przez całe ich życie aż do śmierci, która jest prawie zawsze triumfem dobra nad złem, miłości nad nienawiścią.

Obfitość i różnorodność wątków ubocznych, czasem luźno związanych z postacią centralną, odrywa uwagę czytelnika od głównego tematu, ale rozszerza horyzonty jego wiedzy o średniowieczu, zawsze ujęte w reguły doktryny chrześcijańskiej. Problemat winy i kary, odpowiedzialności za swoje czyny i ich pobudki wobec ludzi i Boga rozstrzygnięty jest przede wszystkim w uroczej opowieści o pięknej Wirydzie, przewrotnym mnichu Wigundzie i szlachetnym rycerzu, Konradzie z Rogozina.

Jak mało potrzeba wyobraźni twórczej artysty! Wystarczyła płyta nagrobkowa na ratuszu we Lwówku, przedstawiająca niewiastę i rycerza, trzymających się za ręce, i dwa polskie imiona rycerzy rodyjskich w *Kodeksie dyplomatycznym Śląska*, aby powstała jedna z najbardziej uroczych ballad w stylu średniowiecznym. Szkoda, że z uwagi na całość kompozycyjną dzieła autor rozparcelował ją w poszczególnych rozdziałach, gdyż sama przez się mogłaby posłużyć za temat do odrębnego utworu.

Podobnie żałosna historia książęcego błazna, Kuby Tao, mimowolnego sprawcy przedwczesnej śmierci ostatniego Piasta świdnickiego, małego Bolesia, zaczerpnięta jest ze starych kronik śląskich, jeno ubarwiona i uzupełniona fantazją autora, który w zakresie przygód rycerskich wykazuje niezwykłą pomysłowość. A takie sceny, jak oblężenie Świdnicy przez wojska czeskie, pojedynek Kordala z Wańką, bohaterska śmierć króla Jana Ślepego w bitwie pod Crécy, zdradzają w nim nie byle jakiego batalistę. Wreszcie takie obrazy, jak kaźń błazna Kuby, czarna śmierć w Świdnicy, pochód biczowników, wykazują umiejętność operowania epickimi efektami tragizmu i grozy, w których jednak nie ma ani źdźbła efekciarstwa.

Język *Rapsodii* mięsisty, jędrny, zdrowy, chwilami patetyczny, z rzadka przetykany archaizmami, czasem nieco wymyślnymi, jak: bakula, wspora, odgłobić się od zasiedziałości, łoktusza, śmierny, pak.

Cennym uzupełnieniem dokumetarnym są przypisy i zdjęcia wizerunków nagrobkowych ostatnich Piastów świdnickich i dwóch cesarzy Luksemburgów, a ozdobą dzieła są imaginacyjne portrety głównych postaci działających, ujęte w stylu nieco staroświeckim, zdecydowane w wyrazie, miękkie w technice.

Stefania Podhorska-Okołów

MORSTIN OBRONIŁ KSANTYPĘ

Ludwik Hieronim Morstin: *Trylogia antyczna. (Penelopa, Obrona Ksantypy, Kleopatra).* Wyd. I. Wydawnictwo Literackie. Kraków, 1955; str. 351, 1 nlb.

W dyskusjach dotyczących repertuaru, z jakim teatry nasze mogłyby wyjechać za granicę, niesprawiedliwie pomijano utwory Ludwika Hieronima Morstina, a szczególnie *Obronę Ksantypy*. Że stało się to niesłusznie, można łatwo udowodnić. Oto wiedeńscy oraz włoscy dyrektorzy teatrów i krytycy tamtejsi, znając przekład *Ksantypy*, sami są nią zainteresowani. Skorygowali więc nasze sądy, podjęli obronę polskiego dramaturga przeciw jego własnym rodakom. Cóż, wiadomo, że cierpimy na jakieś dziwne kompleksy niższości. Niedawno na łamach *„Krytyki"* łódzkiej (w numerze 16 — 31 maja) poświęcił Stanisław Brucz cały artykuł udowadnianiu tezy, że na festiwal teatralny do Paryża nie powinniśmy jechać z żadnym polskim utworem, klasycznym czy współczesnym, tylko z *Łaźnią* Majakowskiego. Ktoś inny może napisze, że nie powinniśmy w ogóle nawet grać polskich autorów...

Obrona Ksantypy, dobrze zagrana, może zainteresować publiczność zagraniczną nie tylko dlatego, że porusza temat ogólnoludzki i bardzo dobrze znany. Sztuka ta wytrzymała tzw. „próbę czasu". Liczne utwory, które nas kiedyś fascynowały, są dziś prawie „nieczytelne", pobudzają do ziewania czy wywołują zniecierpliwienie, gdy się próbujemy przedzierać przez ich przedawnione epizody. *Obronę Ksantypy* odczytywałem na nowo — ze wzrastającym zainteresowaniem. Raz po raz migały mi przed oczyma twarze wykonawców premierowych sprzed lat 20: Modzelewskiej (Ksantypy) i Woszczerowicza (Sokratesa). Czytając przeżywałem na nowo zakończenie pierwszego aktu, w którym Sokrates, sam w opustoszałym domku, ze stoicką obojętnością kładzie się na ławie do snu.

Albo ta inna scena: sławna scena sporu między Sokratesem a Ksantypą! Jest to epizod pełen niespodzianek. Ksantypa raz po raz zaskakuje nas swymi niekonsekwencjami, pozornie niedorzecznymi, lecz kryjącymi, w gruncie rzeczy, istotną konsekwencję serca spragnionego miłości; Sokrates ma ciągle rację, ma rację z punktu widzenia logiki i zdrowego rozsądku, ale jest ona w gruncie rzeczy racją ślepą. Powyższa scena jest jakby kulminacyjnym punktem tej wybornej komedii (powinna ona należeć do żelaznego repertuaru polskich teatrów), ale cała akcja jest zmierzeniem się owych dwóch sił i dwóch światów, jakie reprezentują główni bohaterowie *Obrony Ksantypy*. Obie te postacie są żywe, a równocześnie każdy ich dialog rozszerza nam perspektywy sztuki, niedostrzegalnie wychodząc poza ściany skromnego dworku Sokratesowego, ukazując antagonizm ludzkiej czułości i upartego, nieznużonego, spekulacyjnego dążenia do wykrycia sensu życia. *Obrona Ksantypy* jest komedią nie gardzącą paradoksem; młoda i ładna, otoczona męskimi pragnieniami i prawie skłonna do ulegania pokusom Ksantypa nieuleczalnie kocha dużo od siebie starszego, brzydkiego, rzadko ją przy tym dostrzegającego filozofa. Są chwile, w których gotowa jest uciekać z natarczywym i pięknym młodzieńcem, lecz nagle przypomina sobie, iż filozof zapomniał płaszcza, że może się przeziębić — i oto znów wie, że wszystko jest niemożliwe, że musi zostać sam na sam ze swoim losem. Aluzje do dalszych wypadków, do pośmiertnej opinii obrażającej nieszczęsną małżonkę Sokratesa, rozsypał Morstin dyskretnie w swej sztuce. Odtrąceni wielbiciele, zazdrosne o tych wielbicieli rywalki, przyjaciele Sokratesa lepiej znający się na logice niż na psychologii będą oczerniać pamięć Ksantypy; zrobią ją kłótliwą wiedźmą, awanturnicą, przysłowiowym złym duchem Sokratesa. Jakże wymownie i prawdopodobnie ukazał Morstin krzywdę Ksantypy, jej los diametralnie sprzeczny z ową wersją, zbudowaną na podstawie nie sprawdzonych przypuszczeń, pozorów i uproszczeń. Doprawdy — i to jest prawdziwym zwycięstwem pisarza — umiał on skutecznie podjąć obronę Ksantypy.

Przyznam się, że w daleko mniejszym stopniu zainteresowała mnie *Penelopa*, umieszczona w tej samej publikacji:

Trylogii antycznej. Nie ma tu, tak nas interesującej w *Ksantypie*, walki; ani walki przeciw fałszywej i krzywdzącej, zakrzepłej legendzie, ani też walki w samym świece działających tu postaci; nie ma prawdziwego antagonizmu dążeń i myśli. Kilka zabawnych postaci (np. Laertes, ojciec Odysa, czy Melanto), wiele zręcznych powiedzeń i aforyzmów nie może podnieść *Penelopy* do poziomu dwóch innych sztuk zamieszczonych w tym tomie. Jest także w *Penelopie* przeszkadzający mi nieco element stałego komentowania i charakteryzowania wzajemnego jednej postaci przez drugą. Co prawda już w *Ksantypie* a także i w *Kleopatrze* są ślady takiego stylu, niezbyt pasującego do sztuk o typie wyraźnie psychologicznym czy historiozoficznym, ale w *Penelopie* rozrasta on się o wiele bardziej i nie znajduje przeciwwagi w tym wszystkim, co budzi żywe zainteresowanie tamtymi sztukami. Tym bardziej że sprawa powrotów powojennych nie interesuje nas tak bardzo, jak w chwili napisania *Penelopy*.

W *Kleopatrze* nie chodzi już o sprawy psychologiczne — osią dramatu są tu zjawiska historyczne. Nie sprawą Kleopatry czy Juliusza Cezara zajmuje się przede wszystkim czytelnik utworu, ale zderzeniem dwóch cywilizacji: egipsko-hellenistycznej i rzymskiej. Kleopatra jest śmiałą i uroczą dziewczyną, dobrym i przewidującym politykiem, a także — niezwykle inteligentnym człowiekiem. Nie są jej obce zainteresowania astronomiczne, filozoficzne i gramatyczne. Jej erudycja wywołuje legendę, że zna wszystkie rękopisy Biblioteki Aleksandryjskiej. W doskonale napisanej scenie pierwszej rozmowy między Kleopatrą a Cezarem różnice kultur i zainteresowań uwydatniają się jasno. W zakończeniu sztuki Kleopatra, która nieustraszenie rozegrała stawkę o życie i dalszy swój los, odpowiada na pytanie, nad czym duma: „Nad zmiennością losu, nad potęgą przeznaczenia i nad dolą człowieka". Jest to dzień, w którym spiskowcy rzymscy zamordowali Juliusza Cezara, stojącego u szczytu potęgi, planującego obwołanie się królem świata; spiskowcy ci wykorzystali oburzenie, jakie w Rzymie wywołało ustawienie przez Cezara posągu Kleopatry jako bogini. Ustrój rzymski będzie przechodził jednak zmiany, wytknięte przez Cezara; epizodycznie się tutaj zjawiający Marek Antoniusz poprowadzi niebawem wojska rzymskie na nową wschodnią wyprawę. Ukazanie zjawisk historycznych w ruchu, w przemianie (chciałoby się powiedzieć w myśl teorii Bertolta Brechta) jest ciekawym rysem tej sztuki, której nie grał jeszcze żaden polski teatr, a która dzięki swej efektowności mogłaby zdobyć powodzenie u widzów.

Jest zasługą krakowskiego Wydawnictwa Literackiego, iż opublikowało Morstinowską *Trylogię antyczną*. Co prawda brak tutaj pewnych, choćby minimalnych, danych o genezie utworów. Tylko pod ostatnią linijką *Kleopatry* widnieje data: „Zakopane, Kasprusie, 1954". Z publikacji nie dowiemy się natomiast, że *Ksantypa* została napisana przed laty dwudziestu, a *Penelopa* przed dwunastu. Porządek umieszczenia tych sztuk w *Trylogii antycznej* budzi też pewne wątpliwości: jest to porządek chronologiczny w sensie tła dziejowego tych sztuk, a więc pierwsza figuruje *Penelopa* jako utwór z epoki homeryckiej, druga *Ksantypa*, ostatnia *Kleopatra*. A przecież i *Penelopa*, i *Ksantypa* to utwory pełne aluzji i transpozycji do czasów późniejszych czy współczesnych; więc taki porządek nie bardzo jest uzasadniony. Chyba że chodziło o narastającą hierarchię tematów i problematyki — lecz w takim razie trzeba to było zaznaczyć w publikacji.

Na zakończenie nasuwa się jedna refleksja. Czy nasze wydawnictwa i teatry nie mogłyby przypomnieć innej sztuki Morstina, interesującej i aktualnej — *Rzeczypospolitej poetów*? Walka o państwo lepszego typu, bardziej zbliżone do dzieła sztuki i praw jego harmonii, rozgrywa się tu w oryginalnej aurze groteski, ironii i dowcipu. Znów nam się nasuwa wspomnienie aktora, bo przecież główna rola w tej niesłusznie zapomnianej sztuce Morstina była ostatnią kreacją Juliusza Osterwy.

Wojciech Natanson

REWOLTA INSTYNKTU

Erskine Caldwell: *Poletko Pana Boga*. Tłumaczył Bronisław Zieliński. Warszawa 1956. „Czytelnik"; str. 218.

Spośród należności, które winniśmy literaturze amerykańskiej, umorzyliśmy jeszcze jeden dług, notabene bardzo stary. *Poletko Pana Boga* ukończył autor w roku 1933. A zatem rewelacja naszego sezonu liczy sobie bez mała ćwierć wieku.

Ukazaniu się tej książki towarzyszył w Stanach Zjednoczonych skandal. Purytanie oburzyli się na drastyczną erotykę jej scen, wszczęli przeciwko niej zajadłą kampanię, a nowojorska „Society for the Supression of Vice" uznała ją za *„obscene"*. Sprawa oparła się nawet o sąd, ale tam Caldwell wyszedł obronną ręką. Autor miał bezpłatną reklamę, powieść weszła na rynek otoczona nimbem erotyzmu. Czytelnik polski *anno* 1957, który łyknął kilka nowelek naszych siedemnastoletnich debiutantek z *„Nowej Kultury"*, będzie tą opinią raczej zdumiony.

Poletko ilustruje w pewnej mierze ową osobliwą pozycję, jaką powieść amerykańska zajmuje od trzydziestu lat we współczesnej prozie światowej. Amerykanie przejęli epickie wzory powieści europejskiej, ale przetworzyli je w tak oryginalny sposób, że zadziwiła swoją żywotną dynamiką i nowością formy. Podczas gdy w dwudziestych i trzydziestych latach debatowano w Europie nad kryzysem, a nawet rozpadem powieści, w Ameryce odradzała się ona w odmiennym i świetnym kształcie.

Caldwell pochodzi z południa Stanów Zjednoczonych. Życie i obyczaj tych stron opisują jego dwie najlepsze powieści: *Droga tytoniowa* (1932) i *Poletko Pana Boga*. W tym ostatnim utworze jesteśmy w ojczystej ziemi pisarza, w stanie Georgia i w sąsiedniej Karolinie. Gorący, rozpalający namiętności klimat amerykańskiego południa przesyca stronice powieści.

Poletko Pana Boga jest powieścią bardzo skondensowaną, zarówno w budowie, jak w akcji i stylu. Wydarzenia przewalają się tutaj w ciągu kilku dni, choć dla prozaika o epickich skłonnościach wystarczyłyby do wypełnienia dwóch tomów. Autor rezygnuje z literackich ornamentów, nie komentuje akcji, unika wszelkich dygresji i skutecznie opiera się pokusom opisowości. Każde słowo jest wyważone, każde zdanie prowadzi konsekwentnie do celu, przygotowując dramatyczny epizod. Pisarz nie ma nawet czasu ni chęci, by przez chwilę spojrzeć na krajobraz, w powieści nie znajdziemy ani jednego opisu przyrody, a przecież akcja toczy się pośród bujnego pejzażu południa. W całej książce znaleźć można tylko jedno zdanie zawierające skąpą wzmiankę o krajobrazie. Brzmi ono: „W słońcu więdły trawy i chwasty, a pył zwiewany z uprawnych pól na wzgórzach osiadł na ziemi i budynkach niby sproszkowana farba". Wrażenia, które autor przekazuje czytelnikowi o krajobrazie miasta i wsi, są nie tylko ubożuchne, lecz także posępne, odpychające, jak gdyby chciały odwrócić uwagę czytelnika od pejzażu i skierować ją na ludzi, o których mowa w powieści.

Podobną kompresję stosuje Caldwell w układzie syntaktycznym, w konstrukcji akcji i w rysunku postaci. Przeważa zdanie główne, a w złożonym występują z reguły zdania równorzędne, lub jedno, a co najwyżej dwa krótkie zdania poboczne. Zwartość składni świetnie oddaje dynamikę akcji i jej niespokojny rytm, ale i wynika z innej okoliczności. Fabułę powieści wypełniają przeważnie dialogi. A że bohaterowie Caldwella są ludźmi wybuchowymi i prymitywnymi, którymi kieruje bardziej instynkt aniżeli rozum, więc ich rozmowy układają się w krótkie, często nieporadne zdania. Dużą ilość dialogów uzasadniają z kolei dwie przyczyny. Po pierwsze, z ich pomocą pisarz dramatyzuje akcję. Po drugie, autor nie opisuje swoich postaci wprost, „od siebie" — wymagałoby to przerywania akcji, zwolnienia tempa opowiadania i komentarza, którego nie znosi faktura Caldwellowskiej powieści — lecz wyręcza się ludźmi w powieści działającymi. Charakterystyka osób przeprowadzona zostaje w dialogach niekiedy w sposób bardzo dosadny i obrazowy. Przypomnę choćby ów plastyczny portret spasionego kandydata na szeryfa, Pluto Swinta,

którego jego umiłowana szkicuje trzema słowami: „Ty koński zadku".

Poletko Pana Boga opowiada historię rodziny starego farmera z Georgii, który szuka na swojej ziemi złota. On, jego synowie, córki, zięć i synowa dźwigają na sobie ciężar akcji, w której poza tym bierze udział kilka epizodycznych postaci. Główna rola przypada ojcu, Tay Tay Waldenowi, który ustawicznie rozkopuje grunt, zamiast sadzić na nim bawełnę, i jego zięciowi, Willowi Thompsonowi, tkaczowi z Karoliny. Są to dwie żywiołowe natury, narysowane z dużym mistrzostwem. Stary jest popopiołem, w którym tli się jeszcze wielki żar, Will — rozpaloną lawą. Piękna synowa Waldena, o którą młodzi wodzą się za łby, nazywa obu „prawdziwymi mężczyznami". A prawdziwy mężczyzna to zdobywca niepohamowany w swoich popędach, namiętny kochanek i człowiek gotów walczyć, cierpieć i zginąć dla sprawy, którą żyje. Tay Tay i Will różnią się od zwyczajnych ludzi. Obaj mają swoją „ideę", która wypełnia treść ich życia, mają „Boga w sercu", jak powiada poszukiwacz złota, który przy tym wyjaśnia: „Ja wcale nie mówię o tym Bogu, o którym słyszysz w kościołach, ale o tym, którego się ma w sobie". Tej idei, która ich opętała, służą najwierniej, ona nawiedza ich dniem i nocą, wywiera na nich magiczny wpływ, wprowadza w upojenie, w stan permanentnej obsesji. Obsesja Tay Taya zwie się złoto, Willa—przędzalnia.

Ojciec Walden w pogoni za złotem kopie ziemię już piętnaście lat i „ma zamiar kopać drugie piętnaście, jeśli będzie potrzeba". Ludzie z niego kpią, radzą mu zająć się czym innym, nikt nie wierzy w owo złoto, ale on jak maniak dłubie łopatą w ziemi, przeświadczony, że lada dzień natrafi na pokład cennego kruszcu. „Wydostaniemy złoto z tego dołu, choćbyśmy mieli przekopać się prościutko do samych Chin." I stary Walden przekopuje się prościutko do Chin. Gorączka złota upaja go niby opium. Tay Tay nie marzy jednak o złocie jako środku dającym bogactwo i wygodne życie, nie, złoto, daremnie poszukiwane, nęci go tak, jak hazardzistę ruleta. Wielka pasja jego życia przeradza się w monomanię. „Jak człowieka złapie gorączka złota — zwierza się Tay Tay — to choćby pękł, nie może myśleć o niczym innym. Widzi mi się, że to właśnie mnie napadło, nie ma gadania. Dostałem takiej paskudnej gorączki, że ani mi w głowie sadzenie bawełny. Muszę wygrzebać z ziemi te małe, żółte bryłki. Żeby się waliło-paliło, muszę dalej kopać, póki nie trafię na żyłę. Nie mogę teraz przestać i brać się do czego innego. Ta gorączka przeżarła mnie całego na wylot."

Z tej samej gliny ulepił pisarz Willa Thompsona, tyle że jego pasją jest przędzalnia. Will i jego towarzysze już od osiemnastu miesięcy kręcą się bez pracy, gdyż fabrykę zamknęli przedsiębiorcy w odwet za strajk wszczęty przez robotników. W miasteczku panuje napięta atmosfera, ludność głoduje, kobiety klną na czym świat stoi, tkacze ze złości zaciskają pięści, ale nie ustępują, nie chcą się poddać arbitrażowi. Will przewodzi strajkującym, zagrzewa ich do oporu, podtrzymuje na duchu. Caldwell niewątpliwe jest po stronie tkaczy walczących o swoje prawa, ale problem społeczny interesuje go przede wszystkim od strony psychologicznej i w jego ujęciu przyjmuje zabarwienie mityczne.

Will Thompson współczuje niedoli robotników i jest gotów walczyć z nimi do ostatka o uruchomienie zakładów, ale zarazem kocha przędzalnię jajaś „inną", szaleńczą, opętaną miłością, tak jak kochanek kochankę. „Chyba jeszcze nie było drugiego — czytamy — który by tak kochał przędzalnię, jak on. Czasem Will mówi o krośnie jak o własnym dziecku."

I jak złoto jest wiecznym i nie spełniającym się marzeniem starego Waldena, tak ziejąca pustką fabryka wciąż wabi Willa tajemniczym, na poły realnym, na poły mitycznym urokiem, nie pozbawionym — o czym za chwilę — metafizycznego i erotycznego posmaku. Już sama myśl o szumie maszyn wprowadza Willa w zachwyt: „Miło byłoby wrócić do Doliny, stanąć w fabryce i słuchać warkotu maszyn, choćby nawet nie miało się tkać materiałów". Will krąży wokoło fabrycznego budynku, nie może sobie znaleźć miejsca, z rozpaczy upija się, wciąż mówi o uruchomieniu przędzalni i włączeniu prądu, a kiedy robotnicy postanawiają opanować zakłady, czuje, że nadeszła wielka chwila jego życia: „Włączymy prąd, a ja nie jestem taki, co by się tego bał. Zobaczycie! Teraz jestem silny jak sam Wszechmocny Bóg. Jutro usłyszycie, że prąd jest włączony. Wszyscy o tym usłyszą". Ten sam mityczny motyw powraca przed wyprawą na fabrykę: „Je-

stem Will Thompson. Jestem teraz silny jak sam Wszechmocny Bóg i pokażę wam swoją siłę. Zaczekajcie do jutra rana, wyjdźcie na ulicę i stańcie przed fabryką. Podejdę do jej drzwi i potrzaskam je na kawałki. Zobaczycie, jaki jestem silny".

A więc ludzie i zarazem metafory pierwotnych, nieokiełznanych sił, zdławionych, zdaniem Caldwella, postępem kultury i techniki, które oddaliły człowieka od natury i zadały kłam jego istocie. Owe siły objawiają się w bohaterach powieści z całym impetem także w ich przeżyciach erotycznych. U Caldwella można mówić nie tylko o hipertrofii erotyki, ale o jej — jeśli tak wolno rzec — mitologizowaniu, tutaj popęd seksualny wyzwala się z całokształtu przeżyć i usamodzielnia, podobnie jak w niektórych utworach Faulknera, a w szczególności w *Dzikich palmach*.

Erotyczne sceny w *Poletku* tworzą jak gdyby misteria lub obłędne obrzędy. Przypomnę tu dwa epizody: ową chwilę, kiedy ciemnym wieczorem stary Walden, w towarzystwie synowej Gryzeldy i Willa, przygląda się miłosnemu zapamiętaniu swej córki, Miłej Jill, leżącej w objęciach albinosa, i słynną, tylekroć autorowi wypominaną scenę miłosną pomiędzy Willem i Gryzeldą. Will Thompson, rozszalały z żądzy, w obecności swojej żony i jej siostry szarpie w strzępy suknię i bieliznę Gryzeldy, a potem przemawia do niej słowami, które powtórzą się przed wyprawą na fabrykę: „Ty wiesz, co to jest, prawda, Gryzeldo? Wiesz, czego chcę. I dasz mi to. Ale ja nie jestem podobny do wszystkich innych, co noszą spodnie. Teraz jestem silny jak sam Wszechmocny Bóg". A kiedy po nocy spędzonej z Gryzeldą Will zbiera się do wyjścia, wszystkie trzy kobiety okazują swój zachwyt „Bogu Wszechmocnemu". Jill klęka przed Willem, obejmuje jego kolana i okrywa je pocałunkami. Potem zaczynają się krzątać koło śniadania: „Usiadł przy stole i patrzał, jak mu szykowały nakrycia pośpiesznie, skwapliwie, z miłością. Jill przyniosła talerz, filiżankę i spodek. Gryzelda podała mu nóż, łyżkę i widelec. Rozamunda nalała wody do szklanki. Biegały po kuchni, uskakiwały sobie z drogi, wpadały i wypadały z małego pokoju pośpiesznie, skwapliwie, z miłością".

Erotyka nasyca jednak w powieści Caldwella i sferę odległą od życia seksualnego. Idąc za Freudem, a w szczególności za niektórymi tezami psychoanalizy stosowanej, autor wprowadza motywy seksualne do problematyki społecznej i zjawisk, które tłumaczy tak zwana psychologia tłumu. Tak więc wizja fabryki kojarzy się w wyobraźni Willa zawsze z widokiem dziewcząt „o błyszczących oczach i prężnych piersiach, jędrnych dziewczyn, które za oknami obrośniętych bluszczem fabryk przypominały kwiaty powoju". Panseksualna obsesja osiąga swój punkt kulminacyjny w scenie zdobycia fabryki przez robotników i włączeniu prądu. Will zbliża się wówczas do okna i oto co się dzieje: „Przystanął i wychylił się daleko przez okno próbując coś dojrzeć w zwartej masie na dole. Szarpnął koszulę po raz ostatni, zwinął i cisnął ją w tłum. Stojące najbliżej kobiety rzuciły się naprzód wyrywając sobie szczątki materiału. Te, które zdołały coś pochwycić, chowały szybko kawałki, aby ich nie zabrały inne, pragnące też zdobyć jakiś strzępek". Epizod owładnięcia fabryką przez robotników przechodzi w bachiczne misterium!

Caldwell nie krępuje instynktów ludzkich, przeciwnie, rozpala krew, podnieca żądze, wyzwala, mówiąc słowami Witkacego, „ryk bebechów", albowiem człowiek jest wielki, prawdziwy, potężny i szczęśliwy dopiero wtedy, gdy folguje namiętnościom i rozkoszuje się radością życia. Programowy brutalizm odrzuca tu powszechnie przyjęte zasady moralności obyczajowej i legalizuje prawo niepohamowanego instynktu. Nie jest to zjawisko odosobnione we współczesnej prozie amerykańskiej. Jego powody są dość zawiłe, niewątpliwie można się tu dopatrzeć z jednej strony protestu przeciwko amerykańskiemu purytanizmowi i jego spirytualistycznym tendencjom, z drugiej zaś strony zaważyło na szali rozczarowanie, które przyniósł triumf wysokiej kultury technicznej, powodując powszechną automatyzację i unifikację życia.

A zatem rewolta instynktu. „Jedno z dwojga — powiada Tay Tay — albo coś jest, albo czegoś nie ma." W nim i w Willu Thompsonie jest owo „coś", obaj są rebeliantami, graczami *va banque*, którzy uznają jedną tylko alternatywę: albo wszystko, albo nic. Rewolta instynktu, *ergo* bunt przeciwko kulturze i cywilizacji. Caldwell przejmuje tezę, którą Freud rozwinął w *Das Unbehagen in der modernen Kultur:* po-

stęp cywilizacji i kultury ogranicza możność zaspokojenia popędów, co z kolei pomniejsza szczęście człowieka. Caldwell widzi również zasadniczą i nie dającą się rozwiązać sprzeczność pomiędzy instynktem i „duchem" (tj. moralnością, nakazami kultury, religii itd.). „Gdzieś nam zrobiono paskudny kawał — mówi Tay Tay. — Pan Bóg powsadzał nas w ciała zwierząt, a kazał postępować jak ludziom. Tu był początek całej biedy. Gdyby nas stworzył takimi, jakimi jesteśmy, ale nie nazwał ludźmi, nawet ostatni z nas wiedziałby, jak żyć. Człowiek nie może żyć czując się w środku sobą i jednocześnie słuchać księży. Nie może robić obu rzeczy na raz, a tylko jedno albo drugie. Może żyć albo tak, jak go stworzono, i czuć się sobą od środka, albo też tak, jak uczą księża, i wtedy musi być w środku martwy." (Podkreślenie moje— *R. K.*)

Jednakże w starciu obu wrogich sił coraz bardziej bierze górę moc nakazów i zakazów, które pomnaża współczesna kultura. Ludzie pokroju starego Waldena i Willa Thompsona stoją na straconej pozycji, toteż prędzej czy później dosięgnie ich tragiczny los. Will ginie zastrzelony w okupowanej przędzalni, Tay Tay przeżywa upadek swojej rodziny, którą usiłował uchronić przed nieszczęściem. Jeden z jego synów zabija drugiego, kainowa zbrodnia niszczy jedność rodową, tak drogą staremu farmerowi. Z zakończenia powieści wieje pesymizm. Nie może też być inaczej przy tak sformułowanym problemie.

Roman Karst

NOWELISTYKA STEFANA ZWEIGA

Stefan Zweig: *Dwadzieścia cztery godziny z życia kobiety i inne opowiadania.* Przełożyły: I. Czermakowa, Z. Rittnerowa, M. Wisłowska. Wybór i redakcja Czesława Przymusińskiego. Obwolutę i okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa 1957. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 358, 2 nlb.

„Być może, iż od czasów Erazma z Rotterdamu żaden pisarz nie był tak sławny, jak Stefan Zweig." Nie jest to bynajmniej cytat z krzykliwej notatki reklamowej czy też z artykułu jakiegoś lekkomyślnego dziennikarza, uganiającego się za efektownymi twierdzeniami. Zdanie to napisał człowiek tak odpowiedzialny za słowo i tak skądinąd znający się na sprawach literatury, jak... Tomasz Mann.

I rzeczywiście: pobieżne choćby badanie cyfr, którymi zazwyczaj mierzymy stopień popularności pisarza, a więc przede wszystkim liczba tłumaczeń na obce języki oraz wysokość nakładów pozwalają dojść do niezbitego wniosku, że utwory Zweiga ukazywały się w latach dwudziestych i trzydziestych we wszystkich krajach kuli ziemskiej i wszędzie cieszyły się wręcz nieprawdopodobną poczytnością.

Już wydana w r. 1931 z okazji pięćdziesiątej rocznicy urodzin pisarza bibliografia jego dzieł jest sporą książeczką, której suche dane wymownie świadczą o imponującym sukcesie wszechświatowym. W owej bibliografii tłumaczenia polskie zajmują zresztą niepoślednie miejsce — w latach międzywojennych pojawiły się u nas w sumie dwadzieścia trzy wydania utworów Zweiga.

Po wojnie popularność Stefana Zweiga zmalała dość szybko i to równocześnie w wielu krajach. U nas jednak normalny proces stopniowego przeżywania się jego pisarstwa został nagle przerwany — począwszy od roku 1950, gdy ukazała się monografia o Balzaku, ostro potępiona przez kilku naszych krytyków; zabrakło wtedy w planach wydawniczych miejsca dla Zweiga, którego utwory niespodziewanie nabrały posmaku zakazanego owocu.

I oto po siedmiu latach Zweig wraca na półki księgarskie — przede wszystkim dzięki inicjatywie PIW-u, który

wydał spory tom jego nowel i przygotowuje dwie czy trzy dalsze pozycje popularnego niegdyś autora.

*

Stefan Zweig debiutował jako siedemnastoletni młodzieniec w roku 1898 wierszami drukowanymi na łamach monachijskiego pisma *„Die Gesellschaft"*, które nieco wcześniej ogłosiło pierwszą nowelę dziewiętnastoletniego Tomasza Manna. Twórczość pisarza zamykają dwie książki napisane w czasie drugiej wojny światowej i wydane dopiero po śmierci autora, który na emigracji popełnił samobójstwo (w dniu 23 lutego 1942 roku), a mianowicie autobiografia *Świat wczorajszy* oraz wspomniana monografia o Balzaku.

Zweig był pisarzem zdumiewająco płodnym i wszechstronnym. Dzieło jego obejmuje wszystkie bodajże formy literackie, a więc dramaty, wiersze liryczne, poematy, nowele, powieści, legendy, eseje biograficzne, prace krytyczne, reportaże, wspomnienia itd. Ponadto był znakomitym tłumaczem poezji Verlaine'a, Beaudelaire'a, Verhaerena i innych.

Sam autor wyodrębnił ze swego ogromnego dorobku dwie zasadnicze grupy utworów: cykl eseistycznych wizerunków wielkich ludzi z różnych epok, mający stanowić „typologię ducha", oraz cykl nowel, które ukazać mają „typologię uczucia".

Trzonem pierwszego cyklu są trzy tomy esejów, wydane w latach dwudziestych pod wspólnym tytułem *Budowniczowie świata*, trzonem zaś drugiego cyklu — trzy tomy nowel (*Pierwsze przeżycie*, 1911, *Amok*, 1922, *W odmęcie uczuć*, 1927), złączone wspólnym tytułem *Łańcuch*. Później Zweig kontynuował oba cykle, ogłaszając dalsze zbiory nowel (przede wszystkim tom *Mała kronika*, 1929) oraz dalsze, coraz obszerniejsze wizerunki biograficzne, stanowiące już samodzielne książki (*Joseph Fouché*, 1929, *Maria Antonina*, 1932, *Triumf i tragizm Erazma z Rotterdamu*, 1934, *Maria Stuart*, 1935, i inne).

Jest rzeczą charakterystyczną, że niekiedy, zwłaszcza w późniejszej twórczości Zweiga — zacierają się lub wręcz zanikają granice między tymi zasadniczymi nurtami jego pisarstwa. Utwory zawarte w zbiorze *Gwiazdy ludzkości* (1928) mają częściowo eseistyczny charakter, ale są w gruncie rzeczy nowelami. Również w niektórych biografiach z lat trzydziestych (choćby w *Marii Antoninie*) elementy epickie pojawiają się na równi z elementami eseistycznymi. Sugeruje to wniosek, że odrębność obydwóch głównych nurtów w twórczości Zweiga jest raczej pozorna i że są to — mówiąc obrazowo — gałęzie nie tylko wyrastające z tego samego pnia, lecz także zrastające się ponownie.

W istocie u podłoża obydwu cyklów tkwią te same koncepcje interpretacji świata, podobne są zalety i podobne słabości utworów eseistycznych i utworów nowelistycznych. I choć oczywiście łatwiej wybaczyć zasadnicze nieporozumienie w noweli pełnej poetyckiego uroku aniżeli w eseju napisanym nawet z wirtuozowskim zacięciem, to jednak ostateczne oceny nowelistyki i eseistyki Zweiga niewiele różnią się od siebie.

*

Zweig, którego umysłowość kształtowała się pod silnym wpływem teorii Freuda, był zdania, że najważniejszym i bodajże jedynym kluczem do zrozumienia życia jest „psychologia głębi".

Jest jednak rzeczą godną uwagi, że pisarza zafascynowały właściwie tylko wczesne prace Freuda, traktujące o psychice jednostki. Późniejsze dzieła natomiast, w których wiedeński uczony metodą psychoanalizy usiłował tłumaczyć także życie społeczne i tworzoną przez społeczeństwo kulturę, nie wywarły już istotnego wpływu na pisarstwo Zweiga. Albowiem autora *Gwiazd ludzkości* pasjonowała tylko jednostka, problematyka społeczna zaś najczęściej nie wkraczała w ogóle w orbitę jego zainteresowań.

Łączył wspaniałą wyobraźnię, błyskotliwą inteligencję i zdumiewającą niekiedy wnikliwość psychologiczną z równie zdumiewającą... naiwnością. Naiwność ta przejawiała się przede wszystkim w niezachwianej wierze w wyłączność i nieomylność psychologicznej interpretacji dziejów ludzkości. „Trzeba być psychologiem, żeby rozumieć historię" — stwierdził pisarz. Łudził się, że portrety wyjątkowych jednostek stanowią zarazem wizerunki ich epok i dają w sumie obraz ludzkości.

Rozporządzając ponad wszelką wątpliwość dość znacznym talentem literackim i będąc zarazem konsekwentnie wiernym swym podstawowym założeniom interpretacyjnym, stworzył serię

utworów równie ciekawych, co budzących gwałtowny sprzeciw. Abstrahując od zawartych w nich popisów stylistycznych (które niekiedy stają się celem samym w sobie) trzeba stwierdzić, że słuszne i odkrywcze spostrzeżenia przeplatane są w jego szkicach i książkach biograficznych błędnymi i bałamutnymi koncepcjami historiozoficznymi.

W ostatecznym rezultacie historia jest tylko łańcuchem zagadek psychologicznych, a wybitni ludzie są przeważnie demonicznymi monomanami. Nad problematyką Rewolucji Francuskiej góruje kwestia impotencji seksualnej Ludwika XVI i wynikające stąd przeżycia jego nieszczęśliwej żony. Klęska Napoleona pod Waterloo i jego ostateczny upadek nie były bynajmniej skutkiem powiązań i przyczynowych uwarunkowań epoki. Zdaniem Zweiga spowodowane zostały błędem strategicznym marszałka Grouchy'ego, a błąd ten był wynikiem swoistej konstrukcji psychicznej niezdecydowanego marszałka.

Można mnożyć liczne dalsze przykłady, które zawsze dowodzą, że Zweigowskie biografie wielkich postaci z punktu widzenia rozsądnej historiografii są nie do przyjęcia. Historycy — i to także wywodzący się ze szkoły idealistycznej — są wprawdzie nieraz zafrapowani poszczególnymi spostrzeżeniami i hipotezami Zweiga, ale z reguły traktują jego eseje i większe biografie jedynie jako wizje artystyczne, a nie jako prace naukowe.

Są to więc studia charakterologiczne, wykorzystujące rzeczywiste postacie i rzeczywiste fakty do spekulacji psychologicznych, albo też opowieści biograficzne, w których historia służy przede wszystkim jako pretekst fabularny i dekoracyjny.

Niewątpliwie historia zapładniała bujną wyobraźnię pisarza i podniecała jego spekulatywną umysłowość, ale jednocześnie w pewnej mierze ograniczała swobodę jego wypowiedzi. Bo przecież ignorowanie niektórych faktów historycznych oraz wyolbrzymianie innych gwoli egzemplifikacji tez psychologicznych musiało mieć pewne granice. Rozumiał to sam autor, który w końcowym okresie swego życia chętnie zajmował się postaciami mniej znanymi (*Magellan*, 1938, *Amerigo*, 1942). O obydwóch wielkich podróżnikach wiemy stosunkowo niewiele, tak że dla pisarza pragnącego wypełnić swą wyobraźnią obszerne luki między skąpymi danym o ich życiu i osobowości pozostaje ogromne pole do popisu.

Jednakże z pełnej swobody wypowiedzi, nie skrępowanej faktami historycznymi, Zweig korzystać mógł dopiero wówczas, gdy operował postaciami fikcyjnymi. Charaktery postaci historycznych wymagały mniejszej czy większej „adaptacji" do koncepcji psychologicznych, których prawdziwość miały unaocznić. Postacie fikcyjne natomiast mogły od razu powstawać zgodnie z podstawowymi założeniami pisarza. Że tak jest w istocie rzeczy — o tym świadczy niemal cała nowelistyka Stefana Zweiga, w szczególności zaś utwory powstałe po pierwszej wojnie światowej.

W *Amoku* narrator, który — podobnie jak w wielu innych nowelach Zweiga — jest identyczny z autorem, stwierdza:

„Zagadkowe problemy psychologiczne mają nade mną wręcz niepokojącą władzę (...) a dziwaczni ludzie potrafią mnie już przez swą obecność rozpalić aż do namiętności."

Głównym obiektem zainteresowań psychologicznych pisarza są więc „dziwaczni ludzie". Rozszyfrowanie tego dość ogólnikowego sformułowania otrzymamy dopiero w dwadzieścia lat później, w ostatniej noweli Zweiga, w której wyznaje on wprost:

„Całe życie przyciągały mnie ogromnie wszelkie rodzaje monomanów, ludzi zasklepionych w jednej jedynej idei, gdyż im bardziej się ktoś ogranicza, tym bliższy jest jednak nieskończoności; właśnie tacy ludzie, pozornie dalecy od spraw tego świata, na kształt termitów budują sobie w swej szczególnej materii jakiś osobliwy i absolutnie niepowtarzalny skrót świata" (*Nowela szachowa*, 1943).

Zdania powyższe określają zasadniczą tematykę większości nowel Stefana Zweiga i zarazem ujawniają kardynalne nieporozumienie, które legło u podstaw tych utworów. Są to epickie portrety osobliwych ludzi o wyraźnych skłonnościach do monomanii, przy czym początkowo uwaga pisarza skupia się przede wszystkim na erotomanii, później również na innych zjawiskach maniakalnych, całkowicie patologicznych lub co najmniej znajdujących się na pograniczu psychopatologii.

Początkowo bohater Zweiga ukazuje się nam jako człowiek o zupełnie normalnej strukturze psychicznej. Jest to

jednak struktura tylko pozorna. Następuje bowiem jakieś swoiste wydarzenie (najczęściej jest to niespodziewane spotkanie), powodujące wyładowanie ukrytego dotąd kompleksu. I dopiero wówczas ujawnia się deformacja psychiczna bohatera. Albowiem wyładowanie kompleksu ma charakter maniakalny i podważa całą świadomość człowieka, czego ostateczną konsekwencją jest samobójstwo licznych bohaterów Zweigowskich.

Amok jest historią zdolnego lekarza, wyróżniającego się szczególną wrażliwością na „zuchwałe i despotyczne kobiety". Dla takiej właśnie kobiety ów lekarz dopuszcza się malwersacji, musi uciekać z Niemiec i chroni się w holenderskich Indochinach. Tymczasem trudno dopatrzyć się w charakterze i postępowaniu bohatera cech patologicznych. Ujawnią się one dopiero po siedmiu latach jego pracy w samotnej osadzie, gdzie przebywa w otoczeniu wyłącznie tubylców. Niespodziewanie przybywa piękna, biała kobieta, która domaga się od niego dokonania zabiegu przerywającego ciążę. Lekarz uprzytamnia sobie, „że ta chłodna, dumna, zimna kobieta, która już podnosiła brwi, kiedy tylko spojrzałem na nią niechętnie... że ta sama kobieta dwa czy trzy miesiące temu tarzała się w łóżku z mężczyzną... naga, z pewnością jęcząc z rozkoszy... obydwa ciała przywarte do siebie jak dwie pary warg... To była ta paląca myśl, która mnie napadła wtedy, kiedy ta kobieta wpatrywała się we mnie tak dumnie, tak nieprzystępnie i chłodno jak angielski oficer... i wtedy... wtedy wszystko sprężyło się we mnie... opętała mnie myśl, żeby ją poniżyć... Od tej chwili rozbierałem ją w myśli, od tej chwili żyłem tylko myślą, żeby ją posiąść".

I od tej chwili bohater noweli przestaje być normalnym człowiekiem, wpada w stan gorączkowego podniecenia, które natychmiast przemienia się w obłęd determinujący wszelkie jego poczynania.

O ile w *Amoku* pewne fakty z życia bohatera wskazują na predyspozycje uprawdopodobniające wybuch szału, o tyle w późniejszej noweli *Dwadzieścia cztery godziny z życia kobiety* Zweig przedstawia bohaterkę jako kobietę o psychice jak najbardziej zrównoważonej. Jest to wytworna arystokratka angielska, wzorowa żona i matka, która po śmierci męża samotnie podróżuje po świecie. Spotyka ona w Monte Carlo młodego Polaka, któremu się nie powiodło przy ruletce i który — podobnie jak bohater *Amoka* — wpada w obłęd erotyczny, co prawda trwający tylko dwadzieścia cztery godziny.

W obydwóch przykładowo wspomnianych nowelach analizowane przez autora stany monomaniakalne bohaterów mają charakter nagłego wyładowania ich kompleksów. Obraz tych stanów ogarnia względnie krótki okres czasu: bohater *Amoka* popełnia samobójstwo, szał bohaterki *Dwudziestu czterech godzin* pozostaje w granicach epizodu.

Próbę ukazania monomanii erotycznej trwającej przez całe życie podejmuje Zweig w noweli *List od nieznajomej*. Jest to historia kobiety, która od najwcześniejszej młodości obdarza sąsiada, znanego pisarza, miłością „beznadziejną, służalczą i uległą". Ów pisarz dostrzega tę kobietę dopiero po kilku latach, po czym natychmiast znowu znika z jej życia — jej uczucia zaś trwają niezmiennie, nabierają stopniowo cech stanu patologicznego i wreszcie, po wielu latach, stają się powodem jej samobójstwa.

Obok deformacji psychiki na tle erotycznym w szczególności pasjonują Zweiga stany depresyjne wywołane kompleksem niższości (nowele *Agonia serca, Leporella* i inne), później zaś analizy ludzi o wyjątkowo wielkich, ale zupełnie jednostronnych zainteresowaniach lub zdolnościach *(Zbiór, którego nie było, Mendel od książek, Nowela szachowa)*.

Zawsze jednak nowele jego sprowadzają się do portretu głównego bohatera (lub dwóch głównych postaci, jak np. w *Noweli szachowej*), a analiza psychologiczna jest celem sama w sobie. Nie oznacza to, że pisarz ukazuje swych bohaterów w abstrakcyjnej próżni, ale skupiając całą uwagę na portretowanej postaci, otoczenie jej uwzględnia tylko w tej mierze, w jakiej wydaje mu się nieodzowne do jej uwypuklenia.

Tylko w wyjątkowych wypadkach nowele Zweiga zrodzone są z pobudek wykraczających poza czysto psychologiczne zainteresowania autora. Dotyczy to np. wstrząsającej noweli antywojennej *Epizod nad Jeziorem Genewskim*.

Z reguły jednak zagadnienia natury ogólniejszej — zarówno społeczne, polityczne jak i filozoficzne — pojawiają się w nowelach Zweiga jedynie wówczas, gdy są autorowi potrzebne do

scharakteryzowania bohatera. Tak więc choćby w takich utworach, jak *Agonia serca* czy *Leporella* niedwuznaczne i celne akcenty społeczno-demaskatorskie, w *Mendlu od książek* — protest przeciwko wojnie i dosadną kpinę ze szpiegomanii (nawiasem mówiąc nowela ta budzi zgoła nieoczekiwane skojarzenia z naszą wczorajszą rzeczywistością), a w niektórych fragmentach *Noweli szachowej* doszła do głosu nienawiść pisarza do hitleryzmu.

Niemal zawsze widoczna jest wirtuozeria Zweiga w opanowaniu rzemiosła literackiego. Jest on przede wszystkim mistrzem kompozycji nowelistycznej. Jego antenatów należy szukać zarówno w klasycznej epice niemieckiej, jak i rosyjskiej, a zwłaszcza francuskiej. Powtarzał za swoimi wielkimi poprzednikami — na pierwszym miejscu trzeba chyba wymienić Flauberta i Maupassanta — bodajże wszystkie znane formy nowelistyczne, doprowadzał je nieraz do ostatecznej doskonałości kompozycyjnej, ale — wypada dodać — nie wniósł w tym zakresie nic nowego do literatury.

Wielokrotnie demonstrował umiejętność wręcz znakomitego konstruowania fabuły, tak aby sam bieg zdarzeń z miejsca zainteresował czytelnika i trzymał go w stale wzrastającym napięciu.

Pisał językiem bogatym i giętkim, pełnym wdzięku i nadzwyczaj melodyjnym. Ale zarazem jest to niemczyzna niezbyt precyzyjna, nieraz zdradzająca podejrzane skłonności do wielosłowia, by nie powiedzieć gadatliwości. Chciałoby się zaryzykować paradoks, że piękno stylu Zweiga aż nadmiernie zwraca na siebie uwagę czytelnika. Zbyt wyraźnie widoczna jest maksymalna dbałość pisarza o elegancję i potoczystość jego wygładzonej prozy, o zewnętrzny blask starannie toczonej i idealnie zaokrąglonej frazy.

Zweig kiedyś surowo ocenił swe wczesne nowele, stwierdzając, że przy ich ponownej lekturze wyczuwał „zapach perfumowanego papieru". Zapach ten staje się w miarę rozwoju pisarza coraz dyskretniejszy i subtelniejszy, niemniej unosi się nad prawie całą jego nowelistyką. Jego prozę często cechuje woń najszlachetniejszych perfum, ale jednak perfum, a nie naturalnie wschodzących kwiatów.

Niekiedy rażą nas motywy słodkawo-sentymentalne, ale sąsiadują — jak choćby w *Liście od nieznajomej* — z urywkami urzekającymi nieskazitelnym liryzmem.

Obok fragmentów pełnych bałamutnego psychologizowania znajdziemy sceny i wywody, których psychologiczna wnikliwość budzi szczery szacunek i podziw.

Jest jednak rzeczą charakterystyczną, że mimo tak znacznych zalet prozy Zweiga prawie wszystkie jego nowele pozostawiają czytelnikowi uczucie niedosytu. Nawet po lekturze *Noweli szachowej*, utworu świetnie napisanego, pełnego dramatycznych spięć i efektownych point, nasuwa się proste i natrętne pytanie: No i co z tego? Wprawdzie autor nieustannie podsyca ciekawość czytelnika, ale w końcu sprawia rozczarowanie — nowela nie pobudza do głębszych refleksji, z drobiazgowej charakterystyki dwóch patologicznych typów nie wynika żaden wniosek.

Wydaje mi się, że wspomniane uczucie niedosytu, jakie pozostaje po lekturze niemal wszystkich nowel Zweiga, jest spowodowane niedostrzeganiem lub co najmniej niedocenianiem przez autora problematyki, wykraczającej poza analizy psychologiczne. Omawiając autobiografię Zweiga *Świat wczorajszy* Hans Mayer stwierdza, że książka ta „ukazuje człowieka obojętnego wobec idei, który całą epokę sprowadza do indywidualnych powiązań. Tak więc pozostaje mu jedynie obcowanie z wybitnymi ludźmi, z Rodinem i Rilkem, z Rollandem i Freudem, lecz nigdy nie udało mu się wyczuć «ducha obiektywnego» jego czasów".

Toteż daremnie szukać będziemy w nowelistyce Zweiga tego, czego się zawsze domagamy od prawdziwej epiki: uogólnienia moralnego, syntezy filozoficznej, indywidualnej wizji świata. Inaczej być nie mogło, skoro pisarz przez całe życie łudził się, że ukazując psychikę różnorodnych monomanów stwarza „skrót świata". W tym zasadnicze nieporozumienie nowelistyki — i nie tylko nowelistyki — Stefana Zweiga.

*

Nowe polskie wydanie nowel Zweiga nasuwa, niestety, bardzo poważne zastrzeżenia.

Można wyjść z założenia, że poszczególne utwory zostały przez autora złączone w tomach nie ze względów czysto praktycznych, lecz że każdy

z tych tomów stanowi tematyczną i kompozycyjną całość. Wówczas trzeba, rzecz prosta, wznowić te zbiory, które uważa się za najcelniejsze.

Można też traktować poszczególne nowele jako utwory odrębne i zaprezentować obecnie czytelnikowi polskiemu wybór nie uwzględniający układu cyklicznego, ale za to stanowiący niejako przekrój całej nowelistyki pisarza. Wydaje mi się, że tak właśnie należało postąpić, choć również pierwsza koncepcja byłaby do przyjęcia.

Rzecz w tym, że Państwowy Instytut Wydawniczy nie umiał się zdecydować i wybrał trzecią drogę, będącą niefortunnym kompromisem między dwoma możliwymi rozwiązaniami. Autor wyboru nie uwzględnił zbioru *Pierwsze przeżycie*, który postanowiono wznowić w całości. Pominięto również tomy — *Gwiazdy ludzkości* oraz *Legendy*. Czyżby zakwestionowano ich nowelistyczny charakter? A może mają się także ukazać oddzielnie?

W rezultacie wybór oparty jest jedynie na trzech cyklach z lat dwudziestych *(Amok, W odmęcie uczuć, Mała kronika)*, a z utworów nie wchodzących w skład żadnego zbioru uwzględniono tylko *Nowelę szachową* (pomijając np. *Strach*).

Na domiar złego trafność wyboru nowel ze wzmiankowanych tomów jest co najmniej wątpliwa. Trudno zrozumieć, czym się autor wyboru kierował akceptując lub odrzucając poszczególne utwory. Nasuwa się podejrzenie, że decydował przypadek lub osobliwy gust, nie troszczący się o obiektywne kryteria.

Znaleziono w wyborze miejsce dla słabych i przebrzmiałych szkiców nowelistycznych, jak *Kobieta i krajobraz* oraz *Ulica w świetle księżyca*, dla utworu tak niewiele dziś mówiącego, jak *Zbiór, którego nie było*.

Natomiast nowela *Agonia serca* z tomu *W odmęcie uczuć*, uważana przez wielu — choćby przez Hansa Mayera — za jedno ze szczytowych osiągnięć Zweiga, nie znalazła łask w oczach autora wyboru. A właśnie ta nowela, ukazująca tragedię człowieka, który, osiągnąwszy szczebel w hierarchii społecznej, przeżywa z powodu braku wykształcenia ogólnego kompleks niższości — nie zwietrzała i nabrała u nas nowej aktualności.

Tom *Mała kronika* uwzględniono w całości, pomijając tylko jeden utwór — i właśnie najcenniejszy: słynną nowelę *Epizod nad Jeziorem Genewskim*, przedrukowywaną w niezliczonych antologiach niemieckich.

Także tłumaczenia są nie zawsze na należytym poziomie. Cztery nowele ze zbioru *Amok* wznowiono w przedwojennym przekładzie Zofii Rittnerowej. Jest to, niestety, tłumaczenie bardzo złe, często bez żadnej potrzeby odbiegające od oryginału, niemal na każdej stronicy upraszczające tekst, pełne nieporozumień.

Nowelę szachową wiernie i poprawnie spolszczyła Izabela Czermakowa, której zawdzięczamy już sporą liczbę rzetelnych i dobrych przekładów z niemieckiego. Nie sądzę jednak, by nieco sztywne tłumaczenie tej noweli należało do jej szczególnie udanych prac translatorskich, a to chyba dlatego, że bujny styl Zweiga niezupełnie odpowiada jej indywidualnym upodobaniom. Wolę w tym wypadku przekłady Marii Wisłowskiej, która, zdaje mi się, trafniej wyczuła rytm Zweigowskiej prozy i z polotem odtworzyła jej blask i wdzięk.

Marceli Ranicki

CIEKAWA POWIEŚĆ NIEMIECKA

Wolfgang Koeppen: *Śmierć w Rzymie*. Przełożyła Maria Kłos-Gwizdalska. Warszawa 1957. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 225, 3 nlb.

Na obwolucie polskiego wydania *Śmierci w Rzymie* czytamy:

„Zachodnio-niemiecki pisarz młodszego pokolenia, Wolfgang Koeppen, zadebiutował przed kilku laty sensacyjnie — »powieścią z kluczem« pt. *Cieplarnia*... W roku 1954 ukazała się, budząc nie mniejsze zainteresowanie i entuzjazm krytyki — *Śmierć w Rzymie*. Trzecia po-

wieść Koeppena *Gołębie w trawie* jeszcze utrwaliła jego pozycję jako prozaika zdecydowanie współczesnego."

Sądzę, że Koeppena, jednego z najciekawszych epików niemieckich naszych dni, który w Polsce był dotychczas całkowice nieznany, należało przedstawić chociażby w jednostronicowej nocie „od redakcji". Ale w ostateczności można byłoby pogodzić się z tak skąpymi informacjami, gdyby jako tako odpowiadały rzeczywistości. Tak jednak nie jest.

Autor *Śmierci w Rzymie* nie jest bowiem „pisarzem młodszego pokolenia" (przekroczył już pięćdziesiątkę), nie debiutował „przed kilku laty", lecz w roku 1934, jego pierwszą powieścią nie była *Cieplarnia*, lecz *Nieszczęśliwa miłość*, a *Gołębie w trawie* bynajmniej nie są ostatnią książką autora (rzecz ukazała się w roku 1951 przed *Cieplarnią* i przed *Śmiercią w Rzymie*).

To jeszcze nie wszystko. Na egzemplarzu polskim zamieszczono wyjątki z kilku recenzji zachodnio-niemieckich krytyków. Cytacje są ciekawe i zachęcają do lektury książki. Nie mam nic przeciwko takiej reklamie, ale rzecz w tym, że wydawca pozwolił sobie na drobne — *excusez le mot!* — fałszerstwo. Są to bowiem wypowiedzi krytyków nie o *Śmierci w Rzymie*, lecz o *Cieplarni*...

Zdaje mi się, że ktoś z PIW-u powinien się trochę wstydzić.

*

Rzecz dzieje się w Rzymie w r. 1953 w ciągu zaledwie kilkudziesięciu godzin. Bohaterami powieści są Niemcy, którzy z różnych stron i z rozmaitych powodów przybywają do stolicy Włoch. Przybysze spacerują po mieście, zwiedzają zabytki, niektórzy spotykają się w barze albo w pokoju hotelowym. Na ostatnich stronicach główny bohater zabija pewną kobietę, po czym ulega atakowi apopleksji. Pomijając to zakończenie nie ma w powieści właściwie żadnych zdarzeń. Wszystko dzieje się w świecie myślowym występujących osób. Ich liczba jest niewielka: mamy pięć postaci pierwszoplanowych i siedem czy osiem drugoplanowych.

Wspomnienia i rozważania bohaterów zawarte są w obszernych monologach wewnętrznych, oddanych w mowie pozornie zależnej. Jedynie myśli kompozytora Zygfryda Pfaffratha przekazane są w pierwszej osobie, w bezpośrednim monologu, co zresztą wskazuje na szczególny stosunek autora do tej postaci. Wypowiedzi w rozmowach są niejednokrotnie włączane w tok monologu i przytaczane jakby na prawach cytatu. Również opisy są częstokroć zrośnięte z rozmyślaniami.

Poszczególne monologi stanowią jakby oddzielne, lecz stale krzyżujące się ze sobą wątki. Ich wzajemne powiązanie niekiedy przypomina montaż filmowy. Rzecz stanowi kunsztownie zbudowaną, jednolitą i spoistą całość.

Na ogół Koeppen unika bezpośredniego komentarza, określającego i oceniającego postacie. Indywidualna droga rozwojowa, sylwetka psychiczna, pogląd na świat, nadzieje i obawy każdej ważniejszej osoby wynikają przede wszystkim z jej własnych myśli, wypowiedzi zaś odgrywają rolę raczej elementów uzupełniających portret psychologiczny. Jednakże pisarz nie ogranicza się tylko do autodemaskacji swoich bohaterów, ale wprowadza także ich wzajemną demaskację, osiągniętą dzięki ukazaniu charakteru postaci poprzez subiektywne rozważania o niej innej postaci.

Szczególną ambicją Koeppena jest powiązanie demaskacji osoby będącej tematem rozmyślań z autodemaskacją osoby rozmyślającej. Innymi słowy: pisarz pragnie, by myśli postaci A o postaci B charakteryzowały jednocześnie obie postacie. W kilku wypadkach udaje się to Koeppenowi w pełni — czytamy wówczas fragmenty świadczące o nie byle jakim wirtuozostwie literackim.

Oczywiście, to wszystko już było — ani kunsztowna kompozycja *Śmierci w Rzymie*, ani introspekcyjne monologi wewnętrzne Koeppena, ani jego sztuka charakteryzowania postaci nie są nowymi osiągnięciami. Krytyka niemiecka wskazała na wpływy Joyce'a. Nie bez pewnej racji. Stosowana przez Koeppena forma narracji rzeczywiście przypomina *Ulissesa*. Niemniej wydaje mi się, że podobieństwo jest raczej zewnętrzne — w ostatecznym rezultacie różnice są większe aniżeli analogie.

Joyce dążył do wiernego odnotowania każdej myśli i każdego odruchu uczuciowego swego bohatera, pragnął przede wszystkim utrwalić potok jego luźnych i swobodnych, nie uporządkowanych i nie skoordynowanych skojarzeń myślowych. Sporządzony przez pisarza „rejestr" czy też „stenogram" miał ukazać obiektywny obraz podświado-

mości człowieka. Proza Joyce'a wywodziła się w prostej linii z teorii Freuda, a *Ulisses* był chyba najbardziej konsekwentną próbą epickiej egzemplifikacji tez zawartych we wczesnych dziełach twórcy psychoanalizy.

Również Koeppen korzysta z nauki Freuda, ale także — i chyba w jeszcze silniejszej mierze — z psychologii indywidualnej Adlera, również Koeppen poświęca wiele uwagi podświadomości swych bohaterów i dąży do jej wyrazistego ujawnienia.

Jednakże bardziej niż u Joyce'a nieświadome życie psychiczne postaci Koeppena jest zespolone z ich świadomością. A przede wszystkim: tok skojarzeń myślowych postaci Koeppena jest tylko na tyle nie uporządkowany i nie skoordynowany, na ile to jest potrzebne do zachowania prawdopodobieństwa życiowego.

Gdy zainteresowania Joyce'a w zasadzie ograniczały się do życia psychicznego ukazanych postaci, a ich analiza psychologiczna była celem sama w sobie — u Koeppena analiza psychologiczna jest jedynie środkiem wiodącym do celu. I dlatego monologi wewnętrzne w *Śmierci w Rzymie* nie są bynajmniej „stenogramami" wszelkich następujących w określonym czasie myśli i odruchów bohatera, lecz są — zarówno pod względem ich struktury, jak też ich zawartości treściowej — wynikiem surowej selekcji podyktowanej nadrzędnymi celami autora.

Gdy problematyka *Ulissesa* mieści się w kategoriach psychologicznych, problematyka *Śmierci w Rzymie* mieści się w kategoriach moralno-politycznych i filozoficznych.

Interpretacja utworu jest dość trudna i ryzykowna, gdyż Koeppen nieustannie operuje symbolami. Cała książka składa się jakby z dwóch warstw. Pierwsza, zewnętrzna warstwa — to żywi ludzie, konkretne zjawiska, rzeczywiste zdarzenia. Druga warstwa jest, oczywiście, ukryta w podtekście. Na tej płaszczyźnie zjawiska i zdarzenia nabierają wagi symboli, okazuje się, że występujące osoby pomyślane są zarazem jako personifikacje określonych postaw życiowych.

Podobnie jak wiele utworów Tomasza Manna (do którego Koeppen nawiązuje tytułem, mottem i ostatnim zdaniem powieści) także *Śmierć w Rzymie* opiera się próbom pełnego rozszyfrowania jej bogatej i często zawiłej symboliki i pozostawia szerokie pole dla spekulatywnych dociekań czytelników. Ale chociaż ustalenie symbolicznego znaczenia niektórych postaci i scen *Czarodziejskiej góry, Józefa i jego braci* lub *Doktora Faustusa* natrafia na duże trudności i podlega dyskusjom, to jednak zasadnicza treść wynikająca z głównego nurtu tych utworów nie budzi wątpliwości. To samo dotyczy *Śmierci w Rzymie*. A głównego nurtu myślowego tej powieści szukać należy w portretach pięciu czołowych postaci: dwóch przedstawicieli starszej generacji (Gottlieba Judejahna i Fryderyka Wilhelma Pfaffratha) oraz trzech reprezentantów następnego pokolenia (Zygfryda i Dietricha Pfaffrathów, Adolfa Judejahna).

Generał SS, Judejahn, był jednym z pierwszych członków partii hitlerowskiej. Po kapitulacji zdołał zbiec z Niemiec, toteż za zbrodnie popełnione w czasie wojny sądzony był w Norymberdze tylko zaocznie. Został skazany na karę śmierci. Jako spec wojskowy znalazł zatrudnienie w jakimś bliżej nie określonym państwie arabskim. Do Rzymu przybywa na zlecenie swych obecnych mocodawców celem dokonania zakupu większej ilości broni.

Judejahn, prymitywny i brutalny kacyk hitlerowski, zdziczały żołdak, łaknący krwi i władzy, ma niezliczonych antenatów w literaturze niemieckiej — począwszy od Rupperta Kutznera z napisanego już w roku 1930 *Sukcesu* Feuchtwangera. Właściwie portret ten nie wnosi zbyt wiele nowego do tego, co wiemy o psychice faszystowskich zbrodniarzy i co zostało już niejednokrotnie ukazane w wizerunkach podobnych postaci powieściowych.

Również szerokie uwzględnienie podświadomości, a więc przede wszystkim ukazanie kompleksu niższości jako istotnego bodźca do zbrodniczej działalności oraz zastosowanie do hitlerowców podstawowej tezy Adlera głoszącej, że o życiu człowieka stanowi żądza władzy i potęgi — nie jest czymś nowym w literaturze niemieckiej o hitleryzmie.

A jednak wizerunek Judejahna wywiera ogromne wrażenie i świadczy bardziej od innych portretów powieści o mistrzostwie literackim Koeppena. A to chyba nie tylko dlatego, że autor *Śmierci w Rzymie* sięgnął nieco głębiej

niż inni pisarze do ukrytych warstw świadomości swego bohatera, że nieco lepiej od swoich poprzedników podsłuchał żargon hitlerowski i osiągnął rzadko w epice powieściowej spotykaną kondensację tekstu.

Sądzę raczej, że o sile tej postaci zadecydowała przede wszystkim przejawiająca się w niej niezwykła drapieżność i to w podwójnym znaczeniu. Drapieżny jest sam Judejahn i drapieżny jest stosunek autora do niego. Cały ten portret jest erupcją rozgoryczenia i nienawiści — i znowu w podwójnym sensie: nienawiści Judejahna do świata i nienawiści autora do hitleryzmu.

Rzecz w tym, że agresywny stosunek Koeppena do bestialskiego generała SS nie pozbawił tej postaci cech ludzkich. Judejahn nie jest karykaturą, lecz żywym człowiekiem. I więcej: pozostaje żywym człowiekiem, mimo że pełni funkcję wielkiego symbolu powieściowego. W wizerunku tym Koeppen w pełni przezwycięża zagrażające mu niebezpieczeństwo, któremu ulega rysując sylwetki niektórych innych postaci utworu — zamiast ludzi widzimy niekiedy schematyczne twory, reprezentujące określone postawy życiowe.

Co symbolizuje Judejahn? Militaryzm niemiecki? SS? Hitleryzm? Oczywiście, ale nie tylko. Nie sądzę, by można było książkę Koeppena interpretować jedynie w kategoriach ściśle politycznych, jak to niezbyt fortunnie usiłowali niektórzy krytycy NRD-owscy (np. Günther Cwojdrak i Wolfgang Joho).

Kluczem do zrozumienia postaci jest, zdaje mi się, fragment wprowadzający Judejahna do powieści. „Czarny, lśniący lakierem samochód", którym posługuje się on w czasie pobytu w Rzymie, autor przyrównuje do „połyskliwej ciemnej trumny z lustrzanymi, nieprzezroczystymi oknami". Później czytamy: „Ten człowiek był katem. Przyjechał z królestwa umarłych, owiewał go zaduch padliny, sam był śmiercią, brutalną, pospolitą, prostacką i pozbawioną pomysłowości śmiercią". Młody Zygfryd Pfaffrath widzi w nim „wcielenie wszystkiego, co napawało lękiem i nienawiścią, symbol despotyzmu, ustawicznych marszów, wojny".

Judejahn jest więc współczesnym wcieleniem konkretnych sił narodu niemieckiego, rozstrzygających o jego losach co najmniej od czasów Fryderyka II. Ale tenże generał SS jest zarazem współczesną alegorią śmierci. Istotę psychiki Judejahna — zarówno konkretnej osoby, jak i symbolu postawy najbardziej wrogiej dla ludzkości — ujawnia Koeppen ostro i dobitnie, gdy ukazuje seksualizm swego ponurego bohatera:

„Potrzebował kobiety, aby ją nienawidzić, dla swoich rąk, dla swego ciała potrzebował innego ciała, cudzego życia, które można było nienawidzić i zniszczyć, bo żyło się tylko wtedy, kiedy się zabijało."

Kto reprezentuje siły życia? Drapieżna ironia Koeppena przejawia się w tym, że Judejahnowi przeciwstawia on niemieckiego „bürgera", Fryderyka Wilhelma Pfaffratha, którego również otacza nienawiścią i pogardą. Pfaffrath był wyższym urzędnikiem administracyjnym jeszcze przed rokiem 1933, zachował swe stanowisko za czasów Hitlera, gdyż chętnie współpracował z reżimem. Był jednym z tych, którzy „aprobowali jego (Judejahna) wędrówkę ze śmiercią (...), sławili wszelkie jego poczynania (...) i przyjęli dla Niemiec mordy i ciosy, i dym palonych zwłok, ale sami zostali przy swoim „stammtischu" w staromiejskiej piwiarni".

A teraz Pfaffrath, „zawsze rozsądny przedstawicel rozsądnych i możliwych do przeprowadzenia narodowych pretensji (...) znów siedział przy żłobie i gotów był do udziału w nowym wzlocie Niemiec". Jest on bowiem nadburmistrzem jakiegoś większego miasta i „szanowanym obywatelem Republiki Federalnej".

Obok starego Pfaffratha autor stawia jego syna Dietricha, pilnie przygotowującego się do egzaminu końcowego z prawa i stale myślącego o przyszłej karierze. Obaj reprezentują, niczym potomkowie Diedericha Hesslinga z *Poddanego* Henryka Manna, niemieckich „bürgerów" zawsze skłonnych do kompromisów. I zarazem ich postacie są zjadliwą personifikacją wiecznego oportunizmu i filisterstwa.

Dla dobitnego uzmysłowienia kompromisowości młodego Dietricha Koeppen sięga po raz wtóry do sfery seksualnej. Widok prostytutek na ulicach Rzymu podnieca Dietricha — „wyobrażał je sobie w myślach, ale musiał rachować i wyliczyć, że dużo by go kosztowały, w każdym razie więcej, niżby on w najlepszym wypadku chciał wydać". Toteż Dietrich rezygnuje z nęcących dziewcząt rzymskich i zamiast te-

go kupuję sobie pismo pornograficzne. Onanizm staje się symbolem kompromisu.

Tak więc Koeppen jawnej amoralności przeciwstawia zamaskowaną amoralność, zbrodni — oportunizm. Jest to oczywiście tylko pozorna antyteza i w jej pozorności tkwi głęboka i gorzka ironia. Pfaffrathowie nie są rzeczywistymi przeciwnikami Judejahnów, lecz jedynie partnerami we wspólnej grze. „Dietrich pomaszerowałby chętnie za Judejahnem. (...) Na razie jednak były jeszcze do objęcia posady w federalnej ojczyźnie. (...) Dopiero w razie gospodarczego kryzysu Dietrich pójdzie ślepo za fałszywą flagą i bez namysłu wyruszy na każdą fałszywą wojnę."

Moralny niepokój Koeppena nie pozwala mu jednak zadowolić się pozorną i szyderczą antytezą. Szuka w świecie współczesnym, pełnym zbrodni i oportunizmu, postawy moralnej, którą mógłby zaakceptować. Adolf Judejahn, syn generała, niegdyś wychowany w hitlerowskiej szkole dla dzieci dygnitarzy, stał się duchownym katolickim.

Autor nie podaje w wątpliwość subiektywnej uczciwości swego bohatera, ale bezlitośnie odsłania psychologiczne tło jego zwrotu do katolicyzmu: „Nie mogłeś znieść wolności, byłeś jak pies, który zgubił swojego pana, i musiałeś sobie poszukać nowego". Głęboki sceptycyzm cechuje stosunek Koeppena do Kościoła — Adolf Judejahn przeczuwa, że „utkwił znów w organizacji, która z całą tą mordującą hołotą wprawdzie niechcący, ale, siłą rzeczy, groteskowo i tragicznie jest powiązana".

I wreszcie mamy trzeciego przedstawiciela młodej generacji, kompozytora Zygfryda Pfaffratha, który od czasu pobytu w obozie jeńców w Anglii zerwał z rodziną. Podobnie jak na innych postaciach powieści, także na Zygfrydzie ciąży piętno lat faszyzmu i tym razem usymbolizowane w sferze życia płciowego: homoseksualizm Zygfryda jest dziedzictwem wyniesionym z młodości spędzonej w hitlerowskim zakładzie wychowawczym.

W postaci tej ujawniło się bezpośrednio wewnętrzne rozdarcie pisarza. Zygfryd gwałtownie potępia rodziców, „bo zabijali ludzi albo też siedzieli wygodnie w swoich domach, choć wiedzieli, że zabija się ludzi", i marzy o państwie sprawiedliwości:

„Gdyby istniała gdzieś taka ojczyzna, w której nie byłoby wrzasku, sztandarów, marszów, silnie akcentowanej władzy państwowej, gdyby była rozumnym uregulowaniem stosunków między wolnymi ludźmi, życzliwym sąsiedztwem, mądrym administrowaniem krajem, bez tyranii, bez wyniosłości wobec obcych i swoich, czy wtedy nie byłaby to także i moja ojczyzna? Nie znajdę jej. Nie wierzę w to."

Portret Zygfryda — a zresztą także Adolfa Judejahna — pozbawiony jest trójwymiarowości, którą wyróżniają się wizerunki Fryderyka Wilhelma i Dietricha Pfaffrathów, a zwłaszcza starego Judejahna. Właściwie Zygfryd jest nie tyle żywą istotą, ile nieco chaotycznym głosicielem różnorodnych tez i zapatrywań, jest dość mglistym symbolem nieszczęśliwego intelektualisty, zagubionego w świecie dzisiejszym. W jego myślach dochodzą do głosu indeterminizm i agnostycyzm, a przede wszystkim egzystencjalizm. „Może potrzeba mi wiary. Wprawdzie wierzę, ale wierzę, że wszystko pozbawione jest sensu."

Utwory muzyczne Zygfryda (nawiasem mówiąc dodekafoniczne) spotykają się z poważnym uznaniem, jednakże sam kompozytor potępia swoją twórczość: „Moja muzyka jest bez sensu, ale nie musiałaby być bez sensu, gdybym posiadał choć trochę wiary. Lecz w co mam wierzyć?".

W innym miejscu powieści znajdziemy znamienną charakterystykę twórczości Zygfryda: „Tworzyłem muzykę ze strachu, z rozpaczy, ze złych przywidzeń, z okropnych snów, macałem naokoło, zadawałem pytania, ale odpowiedzi na nie nie znałem, odpowiedzi na nie nie miałem, odpowiedzi dać nie mogłem".

Sądzę, że słowa te odnieść można do powieści *Śmierć w Rzymie*. Koeppen stawia pytania, na które nie znajduje odpowiedzi. Jego propozycje intelektualne są bardzo ubogie. Ale pryncypialność, ostrość i przenikliwość pytań budzą szacunek, ambicja artystyczna i wirtuozostwo warsztatowe — podziw.

Dyrygent Kürenberg mówi do Zygfryda: „Niech pan eksperymentuje ze wszystkim naokoło, z całym blaskiem i całym brudem naszego świata. Z poniżeniem i wielkością — może pan znajdzie nowy ton!". W książce Wolfganga Koeppena jest wprawdzie więcej „brudu" i „poniżenia" aniżeli „blasku" i „wielkości" naszej epoki, ale pisarz znalazł — nie mam co do tego wątpliwości — „nowy ton".

*

Koeppen pisze językiem treściwym, jędrnym, o swoistym rytmie. Chwalebne i konsekwentne dążenie do samodzielności stylistycznej sprowadza jednak autora niekiedy na manowce: obok fragmentów o zaskakującej sile wyrazu znajdujemy również akapity świadczące o pewnej manierze.

Marii Kłos-Gwizdalskiej, tłumaczce książki, zdarzyły się różne nieporozumienia. „*Akademisches Proletariat*" to nie „studencki proletariat" (str. 122), lecz „proletariat z uniwersyteckim wykształceniem". W oryginale czytamy: „*Ihm war, als könne in dieser Stadt keiner mehr ficken*", a w przekładzie: „Miało się wrażenie, że w tym mieście nikomu nie było już wolno spółkować" (str. 78). Po pierwsze: krzepkiemu Judejahnowi wydaje się, że nikt w tym mieście nie potrafi spółkować. Po drugie: wulgarny czasownik niemiecki „ficken" ma w języku polskim, pod tym względem szczególnie bogatym, co najmniej pięć odpowiedników równie wulgarnych. Trudno sobie wyobrazić, by stary żołdak Judejahn posługiwał się w monologu wewnętrznym słowem „spółkować".

Można mnożyć dalsze przykłady takich czy innych nieporozumień, ale wydaje mi się to zbyteczne, gdyż mimo tych potknięć przekład Kłos-Gwizdalskiej zasługuje na pochwałę. Tłumaczka nie uległa pokusie prześlizgnięcia się obok — jakże licznych i wielkich! — trudności zamiast ich pokonania, trafnie wyczuła klimat prozy Koeppena, dała przekład filologicznie wierny i zarazem żywy.

Marceli Ranicki

O POEZJI

I wół, i ul, i młyn, i chleby,
I syte spichrze jak szkatuły —
Jego znachorstwo na potrzeby
Wszelkie da składki i formuły.

Aż potem zachwyt — po raz pierwszy —
W ręce młodzieńcze ciśnie pióro,
I oko znad dziewiczych wierszy
Ujrzy obłoki mknące górą.

J. Iwaszkiewicz

Kiedy teraz przepatruję tomy Leopolda Staffa, aż mi się dziwno robi, jak bardzo odnajduję w nich — nie tylko ton dawnych czasów i dźwięczny moment, kiedy „po raz pierwszy" zabrzmiały usta rymami, a pióro poczęło dobierać wyrazów — ale że odnajduję w nich te same słowa, obrazy, pojęcia i brzmienia, które od tak dawna uważałem za swoje własne, przeze mnie wynalezione i zapisane. Jednym słowem spostrzegam, jak mimo woli powtarzałem tego poetę w swoich młodzieńczych wierszach, jak żyłem jego poetyką i obracałem się w bladym kręgu jego na pół tylko barwionych rumieńców.

Myślę, że wszyscy moi współcześni poeci — nawet Słonimski, który bardziej cenił w Staffie kryształowego człowieka niż czystego poetę — nawiązywali do obfitej, urzekającej monotonnym rytmem i pozorną prostotą wyszukanych obrazów twórczości autora *Uśmiechów godzin*.

I na tym polega olbrzymia rola Leopolda Staffa, że przez przeszło pół wieku wiersze jego towarzyszyły naszemu życiu, były czytane przez wszystkich — a przede wszystkim przez poetów, którzy wznawiali w swych wierszach jego kadencje i skojarzenia. Żył on nie tylko w swoich książkach, ale i w naszych książkach, w naszym leksykonie, w naszym muzycznym nastawieniu ucha na powracające fale rytmów i rymów. W Leopoldzie Staffie realizowała się niezwykła ciągłość naszej poezji. To zadziwiające półwiecze naszej historii, rozpoczęte wojną rosyjsko-japońską a doprowadzone do dnia dzisiejszego — ze wszystkimi okropnościami, ze wszystkimi porywami, z krwią powstań i rewolucji, z dymami krematoriów i getta — rozwijało swoją akcję przy akompaniamencie niewzruszonego rytmu Staffowskich wierszy. Oszałamiające zjawisko.

Człowiek, który powiedział o sobie:

Zbytnich rozkoszy nie da świat
Ni twarde zbyt dotkną mnie losy —

potrafił przez wszystkie otchłanie, nad którymi staliśmy i w które staczaliśmy się, przeprowadzić swój s p o k o j n y żywot, potrafił stworzyć z tego żywota utwór pełen równowagi, ale dojrzały, połyskujący złotem pełnego kłosu, potrafił sobie stworzyć z własnego życia platformę, z której widok trwóg i przerażeń stawał się jeno obrazem niespokojnych fal. Potrafił nie ugiąć się pod wielkim ciężarem zadania, jakie sobie postawił, obowiązku, który uważał, że spełnić należy. Wiersze pisać było mu potrzebą i koniecznością. Spełniał tę powinność do samego końca.

Poezja polska w chwili obecnej znajduje się w obfitym rozkwicie; z

jednej strony jaskrawo i w sposób tak szczęśliwy przeciwstawia się ona zupełnemu rozkładowi poetyki na jej pierwotne elementy, z drugiej nie przekształca się w usztywniony oleodruk obowiązkowych obróbek. Jednym z zasadniczych elementów naszej sytuacji poetyckiej była dla wielu naszych twórców ta podstawa, jaką dawało nam nieustające źródło poezji Staffa.

Na pewno przyszłe pokolenia uczonych i badaczy odnajdą te nici różnorodne, które formalnie złączą twórczość poetów dwudziestego wieku z twórczością autora *Snów o potędze*. Nie o to mi wszakże tu chodzi. Leopold Staff będzie dla mnie zawsze ilustracją, ba, dowodem konieczności istnienia poezji jako wyrazu naszego narodu. Śmiać się mogą niektórzy z tego twierdzenia, ale my bez poezji żyć nie możemy, takie jest moje najgłębsze przekonanie. To, co inne narody wyrażają w pieśniach lub dramacie, my wyrażamy w wierszach.

I ta prawie sześćdziesięcioletnia twórczość Leopolda Staffa stanowi dlatego właśnie — choćbyśmy nawet stwierdzili jej pozorne oderwanie od życia i zbyt sztuczne konstruowanie „pogodnego" sztafażu — część istotną naszego życia umysłowego, nie bardzo może nawet uświadamianą sobie przez nas samych, ale głęboko wrośniętą w miąższ naszego bytu.

Może żadna sztuka bardziej niż sztuka Staffa nie określa zadań poezji: chwytania chwil na gorącym uczynku. Jego wiersze powinny by się nazywać „uśmiechami sekund", nie „uśmiechami godzin". Ktoś niedawno powiedział o moich wierszach, że są oczekiwaniem. Ale jakież wiersze nie są oczekiwaniem i zawodem, zachwytem i rezygnacją, wypuszczeniem strzały z cięciwy i powrotem jej na ziemię? Dlatego też każdy poeta jest zarazem szczęśliwy jak dziecko i zawiedziony jak starzec:

Wiosna
Odlatująca mnie stopą skrzydlatą
Pocieszała, że szczęścia rozsnuje mi krosna
Lato.

Jesień
Przemija, niczym nie darząc pielgrzyma,
I szepce, że mi nie da radości uniesień
Zima.

Staff potrafił swoje „uniesienia" i swoje „krosna" rozsnuwać tak, że odpowiadało im nasze serce. Na jego zawołanie zawsze brzmiał gotowy odzew, poruszał w nas sprawy związane z najistotniejszym dzianiem się poezji. Bo poezja to nie tylko modlitwa, jak chciał ksiądz Bremond, to jest także akcja, działalność, czynność.

Staff umiał związać swą poezję z naszym codziennym dniem, umiał ozłocić nią niejedną młodość — i blaskiem odziać niejedną starość.

Trwanie tej poezji pozwoliło przez lata całym pokoleniom powtarzać monotonnym rytmem:

O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

I w ten sposób upiększać nawet polski deszcz jesienny, który nie należy do największych ponęt naszej ziemi. Wiersze Staffa pomagały nam zżywać się z naszym bytem i w bycie tym odnajdywać skromne uroki. Czyż bowiem kardynalnym zadaniem poezji nie jest ukazywanie nam życia? Muza poezji powinna być wyobrażona z palcem ukazującym wskazówki zegara. *Vulnerant omnes, ultima necat* — przypomina Staff. Ale także „piękne są wszystkie, najpiękniejsza ostatnia".

Na pogrzebie Staffa przy jego trumnie widziało się stare panny, nauczycielki, belfrów, którzy w młodości deklamowali na uczniowskich wieczorkach: „O szyby deszcz dzwoni...". Niezapomnianą mamy przed oczami scenę w powieści Stryjkowskiego, kiedy mały Aronek, gdzieś przed laty, znajduje w kuferku dorosłej siostry niebieską książkę Staffa. Pisarz ten nieodłączny jest od dziejów naszej kultury. Symbolizuje on poezję naszą — akompaniatorkę codzienną trudnego, śmiesznego chwilami i mizernego, a patetycznego życia we wszystkich jego awatarach.

Staff przyzwyczaił masy uczniów, studentów, kobiet do czytania wierszy, on prostował drogi Tuwimowi, Gałczyńskiemu — aż do Harasymowicza... W żadnym narodzie w tej chwili poezja nie jest tak popularna i tak czytywana; nigdzie poeci nie są tak znani, jak u nas.

Jednocześnie nigdzie nie są oni tak

dumni i pewni swej słuszności. Rola, jaką odgrywają w społeczeństwie, jest znaczna. Społeczeństwo samo uznaje wagę ich sztuki. W wielkości naszej poezji ton zasadniczy — ów zastrój głęboki — należy do Leopolda Staffa. Jeszcze w całości nie doceniamy znaczenia jego wielkiego dzieła.

Jarosław Iwaszkiewicz

PRZEGLĄD PRASY

Sezon ogórkowy zbliża się wielkimi krokami. W prasie nic ważnego się nie dzieje. Za to pracują redaktorzy, którzy usiłują przy pomocy różnych chwytów i „akcji" podgrzać atmosferę. Warto by może przy tej okazji podzielić się z czytelnikami ogólnymi wrażeniami, jakie autor niniejszego przeglądu miesięcznego odnosi przy lekturze tygodniowej prasy.

Myślę przede wszystkim, że mamy doskonałych redaktorów. Pisma są redagowane ogromnie żywo i pomysłowo. Z tygodników literackich na czoło wybija się z pewnością *„Przegląd Kulturalny"*. Prowadzi najciekawszą kolumnę w całej prasie, kolumnę recenzji książkowych, która jest pod każdym względem znakomicie pomyślana: i pod względem doboru nazwisk, i pod względem graficznym. Dobra Anna Kowalska obok rubasznego Czeszki, wynioślі akademicy, Jastrun i Przyboś obok Jana Kotta, który w zetknięciu z tekstem literackim zawsze odzyskuje swój studencki temperament, nonszalancki i błaznowaty Flaszen obok poważnego i solidnego Pawła Hertza, żartowniś Kopaliński obok Andrzejewskiego, który wprawdzie jeszcze dotąd ani słowa nie napisał, ale bardzo ozdabia ramkę z nazwiskami. Świetne są winietki ilustrujące charakter książki i ton recenzji. Żywy i oryginalny jest także dobór omawianych książek, daleki od szablonu. Dobrze, że znajdują tam omówienie książki obce, nie tłumaczone jeszcze na język polski, dobrze, że nie pomija się utworów, których autorami są polscy pisarze przebywający stale za granicą. Dobrze wreszcie, że recenzenci nie ograniczają się do beletrystyki, ale recenzują nawet podręczniki, wydawnictwa encyklopedyczne etc. W sumie jest ta kolumna, dla mnie przynajmniej, największą atrakcją tygodniowej lektury prasy.

Tym bardziej że inne pisma bardzo zaniedbują sprawozdawczość kulturalną z wyjątkiem *„Życia Literackiego"*, które wprawdzie nie dysponuje najlepszymi piórami krytycznymi, ale jest bardzo punktualne w odnotowywaniu i ocenie faktów literackich i teatralnych. Skandalicznie ignoruje ten dział *„Nowa Kultura"*. Pracujący w tym piśmie krytycy literaccy (Wanda Leopold, Wilhelm Mach, Ryszard Matuszewski, Jerzy Pomianowski, Andrzej Wasilewski, Krzysztof T. Toeplitz) zajmują się polityką, piszą reportaże i felietony, natomiast dział recenzji prowadzi, zdaje się, listonosz. Żadne pismo nie gromadzi w swoim zespole tylu krytyków i jednocześnie żadne krytyki tak nie lekceważy.

Wielka też szkoda, że działu recenzji nie prowadzi *„Po prostu"* i że bardzo powoli rozkręca go *„Polityka"*. Bardzo by mnie ciekawiły opinie literackie tych dwóch najbardziej określonych ideologicznie i agresywnych zespołów. *„Po prostu"*, które tyle ambicji kładzie w sprawy plastyki, ignoruje zupełnie literaturę. Jednocześnie nie szanuje swoich łam drukując nieraz bardzo słabe utwory. Pewną inicjatywą tego pisma na polu literatury jest ogłoszenie literackiej nagrody *„Po prostu"*, która będzie przyznawana na podstawie plebiscytu wśród czytelników. Jest to inicjatywa bardzo cenna. Jednocześnie nagrodę taką ogłosił *„Przegląd Kulturalny"*, a dobrze by było, gdyby przyłączyły się także inne pisma, np. *„Przekrój"*. Mielibyśmy wtedy rzeczywistą giełdę literacką, co bardzo dobrze wpływa na energię twórczą pisarzy oraz aktywność czytelników.

Nagrody i recenzje, twórczość i jej

ocena — to przecież normalny bieg życia literackiego, regularny krwiobieg powstającej kultury. Krytycy i recenzenci zasłaniają się tym, że nie ma książek. Nieprawda! Mogę długo recytować tytuły interesujących pozycji, których ukazanie się zostało zupełnie przemilczane przez krytykę. Zaniedbania dotyczą głównie poezji, a zwłaszcza lekceważy się tomiki, które sumują całokształt twórczości poety i stanowią okazję do bardziej syntetycznej oceny tej twórczości. Tak zlekceważono bibliotekę poetycką PIW-u, która zaprezentowała dorobek powojennej generacji poetów. A była to przecież najlepsza sposobność do bardziej zdecydowanego „ustawienia" hierarchii poetyckiej — takie obrachunki są potrzebne. Ale nikt się nie odezwał ani na temat wyboru Różewicza, ani na temat Kubiaka, ani na temat Woroszylskiego, Słuckiego, Wirpszy oraz Ficowskiego (ten ostatni ukazał się nakładem Wydawnictwa Literackiego). Zamknął tę serię wybór wierszy Bratnego. Kiedyś, po ukazaniu się jednego z tomików Bratnego, Kazimierz Wyka wydrukował w *„Twórczości"* aż dwugłos o twórczości tego młodego poety, przy czym jedną z wypowiedzi stanowiła okupacyjna recenzja Karola Irzykowskiego. Dzisiaj wybór wierszy zostanie tak samo przemilczany, jak zostały przemilczane tomiki jego rówieśników.

Ale co tu mówić o młodych poetach. Ukazały się wiersze zebrane Jastruna, ukazał się duży wybór wierszy i poematów Ważyka — rozumiem, że o tych poetach sporo pisano, ale takie wydania stanowią wydarzenia zupełnie innej miary i wymagają, jeśli nie wypowiedzenia się na temat poety, który przecież inaczej wygląda w takim tomie zbiorowym niż w poszczególnych tomikach, to przynajmniej zrecenzowania wyboru jako pewnego przedsięwzięcia edytorskiego. Ale tej satysfakcji żadne wydawnictwo się nie doczeka.

Ukazały się także wybory poetów, którzy po raz pierwszy doczekali się takiej kompletnej, czy prawie kompletnej prezentacji — mam na myśli przede wszystkim tom poezji Jerzego Zagórskiego (któremu świetny artykuł poświęcił jedynie Kazimierz Wyka w *„Życiu Literackim"*). Szczęście miał za to Adolf Sowiński, który doczekał się kilku recenzji. Natomiast już Kazimiera Iłłakowiczówna na tyle uwagi nie zasłużyła.

Z bieżącą produkcją poetycką było lepiej, co zawdzięczamy pracowitości trzech krytyków: Kazimierza Wyki, Ryszarda Matuszewskiego i Jerzego Kwiatkowskiego. A w prozie? Istnieje kilku pisarzy, których się omawia. Ginie natomiast w przepaścistych szafach redakcyjnych ogromna produkcja beletrystyczna, gdzie jest sporo wprawdzie pozycji bezwartościowych, ale przecież i im należy się jakieś jedno marne słowo. Niechże się grafoman dowie, że jest grafomanem, niech wydawnictwo przeczyta opinię o swoim smaku. A zdarzają się skandale — do takich zaliczyć wypadnie zlekceważenie tak wybitnej powieści, jak *Przemija postać świata* Hanny Malewskiej oraz cyklu Tadeusza Hołuja pt. *Królestwo bez ziemi*. A w innych gatunkach literackich? Jakże nikłe zainteresowanie wzbudziły świetne książki Stanisława Cat-Mackiewicza. Przemilczano szereg interesujących pamiętników, jak np. Alfreda Wysockiego albo po raz pierwszy po polsku wydany pamiętnik Heleny Modrzejewskiej.

A przekłady i reedycje! Ileż to się u nas napsioczyło na politykę kulturalną, która nie pozwalała wydawać bestsellerów zachodnich oraz wznawiać pewnych książek z dwudziestolecia, i proszę, jaka cisza wokół Gombrowicza i St. I. Witkiewicza, wokół Steinbecka, Caldwella, Camusa, Sartre'a (ukazały się przecież dramaty), wokół sztuk Giraudoux, wokół opowiadań Grahama Greena. Pewnie, że to nie nowości, ale nie udawajmy, że jesteśmy znudzeni tym tematem, bo na naszym wyjałowionym gruncie wszystko jest nowością. Te książki ukazują się w zupełnej pustce. Więcej nawet, wydaje się książki pisarzy zachodnio-niemieckich, np. Kirsta, nie zaopatrzone wstępem, nikt o tych książkach nigdzie nie pisze i naraża się czytelnika na zupełną dezorientację. Tę ostatnią książkę omówiły *„Nowiny Literackie i Wydawnicze"*, ale także bez informacji — streścić sobie każdy potrafi. Zresztą nie jest to sprawa wyłącznie informacji i komentarza; książki ukazujące się teraz na rynku wydawniczym to duża, prawdziwa literatura, trzeba ją ocenić, trzeba z nią dyskutować, trzeba jakoś

wiązać zerwane ogniwa. A u nas tak to wygląda, jakby fakt ukazywania się tych książek był sam przez się dowodem żywotności naszej kultury. Trzeba sobie raz powiedzieć, że to jest po prostu normalne zjawisko, a o żywotności i wartości naszej kultury decydują sądy literackie.

Tyle o recenzjach. Nie, jeszcze nie koniec — jeszcze jedna uwaga: niski jest poziom recenzji w gazetach codziennych, zwłaszcza — co najprzykrzejsze — w *„Trybunie Ludu"*. Organ Komitetu Centralnego ma bardzo duży autorytet, jego oceny uważa się — co chyba jest naturalne — za wyraz opinii centralnego środowiska partyjnego. Pisarze bardzo pilnie oczekują tych recenzji, które wprawdzie ukazują się dość regularnie, ale za to stoją na bardzo niskim poziomie i żadną miarą chyba nie dadzą się traktować tak, jak skłania do tego charakter pisma.

Więcej też uwagi powinny tej sprawie poświęcić pisma rozrywkowe. *„Przekrój"* omawia żywo, dowcipnie i ze smakiem, *„Świat"* bardzo bezbarwnie, natomiast *„Dookoła Świata"* posługuje się do tego celu jakimś idiotą. Idiota ten nazwał np. grafomanem J. J. Szczepańskiego.

I oto jakie są skutki nierecenzowania książek: nieodpowiedzialna opinia bywa często zupełnie bezkarna i pozostaje sama na placu. Akurat nie stało się tak z książką Szczepańskiego, ponieważ omówił ją porządnie Błoński w *„Przeglądzie Kulturalnym"* i nawet wspomniał o owym tajemniczym „panu Piotrze" z *„Dookoła Świata"*.

Dość już o tych recenzjach. A poza tym... Poza tym napisałem, że nasze pisma mają doskonałych redaktorów. Jest to komplement dla redaktorów, ale obelga dla autorów. Widać bowiem, jak redaktorzy usiłują wypełnić pustkę chwytami, pomysłami, trickami. Wszystkie pisma ogłaszają ankiety. Najzabawniejsza w pomyśle jest chyba ankieta *„Przeglądu Kulturalnego"* pt. *Co będzie za 10 lat?* Niestety panowie uczestnicy nieco nudzą, przy czym wytworzył się zabawny podział: ekonomiści, naukowcy i politycy, jednym słowem fachowcy wypowiadający się w swoich dziedzinach, są optymistami: przewidują poprawę gospodarczą, rozwój nauki i techniki, pokój i umocnienie wolności, natomiast pisarze, z których oczywiście żaden nie mówi na temat sobie znany, tzn. na temat literatury, ale na temat gospodarki, polityki, nauki, o których nie ma zielonego pojęcia, otóż pisarze, dyletanci i ignoranci, są skrajnymi pesymistami. Ale to pewnie dla stylu — nie bójta się, ludzie.

„Nowa Kultura" wszczęła cykl rozmów z pisarzami. Miłe są te rozmowy i ładne, ale myślę, że takie pismo jak *„Nowa Kultura"*, pismo bardzo określonej grupy literackiej, reprezentujące (chyba!) określony smak, może nawet wąski, może nawet sekciarski, pismo ludzi, którzy parę lat temu wnieśli sporo fermentu do życia literackiego, którzy wiedzieli, czego chcą od siebie i od innych, powinno te rozmowy prowadzić na zasadzie utarczki, porachunku, a nie grzecznościowej, trochę plotkarskiej, a bardzo adoracyjnej *„Une heure avec..."* Doskonale rozumiem, że ani Artur Międzyrzecki nie będzie się sprzeczał z Mieczysławem Jastrunem, ani tym bardziej Wilhelm Mach z Jarosławem Iwaszkiewiczem. Ale też z Jastrunem powinien rozmawiać np. Woroszylski, a z Iwaszkiewiczem np. Wasilewski. Pryszczaci, nie kryć się za plecami sympatycznych ambasadorów!

Jeśli mowa o redaktorach: atrakcją *„Nowej Kultury"* jest świetnie prowadzona kolumna zagraniczna. Magazynowo, eklektycznie, też nie na miarę pisma o skrystalizowanym programie ideologicznym, ale naprawdę świetnie.

Gdybym miał ufundować bieżącą nagrodę dla redakcji pisma za inwencję, smak, inicjatywę, to dałbym tę nagrodę bez wahania *„Przekrojowi"*. To jest arcydzieło: 12 lat istnienia przy tym samym zespole, żadnej nudy, żadnej sztampy, ciągłość, zdolność wytwarzania w czytelniku przyzwyczajeń i sentymentów przy jednoczesnym unikaniu nudy i powtórzeń, niezrównane zachowanie równowagi między rangami gustów przy jednoczesnym zdominowaniu pisma gustem bardzo dobrym, rozwijanie i wychowywanie czytelnika, nowe pomysły, sensowne, czasem bardzo mądre uderzenia publicystyczne — naprawdę nie ma i chyba nie było w Polsce tak dobrze redagowanego pisma. W sprawach literatury *„Przekrój"* wypowiada się mało. Może za mało. A na pewno za mało reklamuje pisarzy polskich. Bardzo

by się to przydało w kraju, w którym do dziś dnia nazwisko autora *Kwiatów polskich* wymawia się T u w i n.

Na tej nagrodzie zakończę. Jeszcze tylko jedna sprawa. Już wszystkie pisma (czyżby za przykładem *„Twórczości"?*) wprowadziły przeglądy prasy. W *„Przeglądzie Kulturalnym"* robi to zabawnie Wieczorkowski, w *„Życiu Literackim"* solidnie J. S., w *„Nowej Kulturze"* nijako też ktoś ukryty. Dlaczego autorzy tych felietonów milczą o *„Twórczości"?* Przecież i my się staramy.

Andrzej Kijowski

KOMU BIJE DZWON?

Wziąłem do ręki sławną powieść *Komu bije dzwon* Ernesta Hemingwaya, jedną z nielicznych, załączanych do żelaznego ekwipunku każdego, kto wdziera się w zawiły gąszcz hiszpańskiej wojny domowej, by zrozumieć jej światła i jej cienie. Książka w szarej, płóciennej oprawie, o sporej wadze, zawiera aż 471 stron tekstu angielskiego. Odzwyczaiłem się, zresztą jak wielu zmieniających na swoim czytelniczym stoliku współczesną powieść, od zbliżania się do połowy tysiąca stronic. Przekroczenie jakiegoś maksimum w wymiarze tomu wywołuje już u nas odruchy warunkowe. I nie mogłem się przed złymi nawykami obronić, zwłaszcza że urzekająca zwięzłość szorstkiego, esencjonalnego języka w niczym nie wróżyła niektórych dłużyzn, a nawet gadulstwa pewnych partii. Gadulstwo Hemingwaya? To brzmi jak oszczerstwo, to nie do wiary. Więc może to zapisać na karb mojej niecierpliwości i odruchów warunkowych? Prześliznąwszy się przez kilka przeciągniętych czy nieco przydługich epizodów, zostajemy wynagrodzeni niezapomnianymi przeżyciami. Za chropawym, najeżonym wyborowymi przekleństwami tekstem kryje się subtelność mechanizmu ludzkiego doznania i ukrywanej, utajonej wrażliwości. W jednym zdaniu, nawet w dwu słowach, o powierzchni niemal obojętnej, o brzmieniu zazwyczaj potocznym, Hemingway potrafi odsłonić i utrwalić narodziny miłości i zbliżanie się śmierci, błyskawiczne, zaskakujące logiką ujawnienie się zimnej odwagi u człowieka, który już przekroczył szczytową granicę tchórzostwa, rubaszny patriotyzm maluczkich i szlachetnych niedouczoną prostotą uczuć. Nic tak nas nie frapuje, jak język. Wydaje się nam, że go znamy. Tak przepływa przez ucho, czemu rozmyślna archaizacja nie przeszkadza, jakbyśmy już go słyszeli na uliczce kastylijskiej mieściny, na madryckim przedmieściu, w okopach gór Guadaramy. Ale to nieprawda. To tylko pozorne, sugestywne złudzenie. To literackie echo, świadoma transpozycja partyzanckiej gwary, języka obowiązującego przez cały rok w skupiskach zdeklasowanych. Na wojnie przyjmuje tę gwarę żołnierz i partyzant, często bez względu na rangę, robotnik, chłop i nie usztywniony skostniałym regulaminem inteligent. Ten język ma swoją gramatykę i stylistykę, ma wysoki, ale nie niebotyczny pułap przekleństw i wyzwisk. Przekroczenie tego pułapu jest nieprzyzwoitą, inteligencką stylizacją. To się nieraz zdarza Hemingwayowi, mimo że używa często terminu umownego, syntetycznego.

Uderza usunięcie w cień przymiotnika na rzecz dyktatury rzeczownika i czasownika, to znaczy na rzecz konkretu i akcji. Stąd oszczędność i niemal ludowa precyzja człowieka ceniącego słowo i jego wyrazistość. Uzmysłowiona przejrzystość obrazu przy przemyślnej prostocie toku. Działanie na zmysły zamiast na intelekt przypomina nam zawsze percepcję kolorowego filmu. Chwytanie opisu przekazuje się nam tak bezpośrednio, namacalnie, że nie mamy wrażenia czytania książki. Żyjemy. Od przeżycia nie dzieli nas ani skrawek papieru. Nie powinniśmy się dziwić, jeśliby fizjologiczne przemiany, towarzyszące radości czy bólom, odbiły się na siatce

naszych nerwów. Doznanie jest nagie, a bodźce rozmieszczone tak celnie i oszczędnie, że atakują mimo powłoki słowa. Między postaciami powieści a nami nie ma przegrody. I to w powieści o bardzo odległej wojnie. Powieściom wojennym towarzyszy słodkie uczucie ocalenia własnego życia. Przyjemny mechanizm instynktu samozachowawczego czyni z nas chłonącego widza pokazowej, kolektywnej utraty rozkosznego ciepła ludzkich żył. By zaspokoić wymagania tego mechanizmu, księgarze muszą dbać o urodzaj batalistyki w swoich witrynach.

Po przeczytaniu i po oddzieleniu się odmiennym czasem i zmienioną przestrzenią, warto sprawdzić, co na zamkniętej powiece, na naszym prywatnym ekraniku przesuwa się taśmą przerywaną, ale utrwaloną. Które z fragmentów epickich wzięliśmy na przechowanie w zapasie magazynu pamięci. Jej selekcja jest wyborem najcelniejszych fragmentów. Można jej zaufać, choć to wybór bardzo osobisty.

Stańmy przed koszarami *guardia civil, civiles*, jak ich nazywa Hemingway w skrócie (policja hiszpańska o charakterystycznych strojach). Pierwszy akt rewolucji, a właściwie jej prolog. Spokojne, skontemplowane i nieuniknione barbarzyństwo zwrotnego zakrętu historii. Lud usuwa uzbrojoną przemoc sądem doraźnym. Zanim człowiek stanie się myśliwym, jest sumiennym sędzią. To nie rozprawa nożowa, ale egzekucja w majestacie zaimprowizowanego, rewolucyjnego prawa. Kilka minut, kilkanaście strzałów karabinowych i władza w małym miasteczku się zmieniła. Teraz sąd zawiesza swą działalność. Zemsta musi mieć swój całopalny dzień. Nie ma już polityki. Wygnany został rozsądek. Człowiek znęca się nad degeneracją swego gatunku w przedstawicielach warstw rządzących jakby się znęcał po trosze nad swoimi potencjalnymi wypaczeniami. Ale tej świadomości jeszcze nie ma. Ma świadomość i radość władzy.

Scena ta jest arcydziełem. Zindywidualizowanie śmierci jest o wiele trudniej osiągalne od indywidualizacji bytu. Śmierć na wojnie lubuje się nieraz w standaryzacji. Potrzeba wielkiego pisarza, by wyróżnić jeden, zazwyczaj niewiele znaczący gest, jedno potoczne słowo, by odnaleźć twarz i imię ginącego po prawej stronie barykady. „Nie ma potrzeby nas znieważać — odezwał się inny cywil. — A umrzeć potrafimy." To prawda — umieją.

A teraz do odwrotnego krańca, do życia — do miłości. Po przeczytaniu *„Nowin Literackich"* z 10 maja br., przekonałem się, że wyróżniam te same fragmenty książki, co jej tłumacz, Bronisław Zieliński. To mnie pokrzepiło, ponieważ mam większą pewność, że się nie omyliłem. Ze swego tłumaczenia, mającego się niebawem ukazać nakładem „Czytelnika", cytuje urywek, który wydaje mi się chlubnym unikatem w literaturze światowej. Jest to, moim zdaniem, jeden z najpiękniejszych wśród znanych mi erotyków:

„Potem był zapach rozgniatanych wrzosów, szorstkość przygiętych łodyg pod jej głową i słońce świecące w zamknięte oczy, a on zapamiętał na zawsze wygięcie jej szyi, gdy odchyliła głowę w tył, między korzenie wrzosu, i lekkie, mimowolne drganie warg, trzepotanie powiek zaciśniętych mocno przed światłem słońca, przed wszystkim — a dla niej wszystko było czerwone, pomarańczowe, złotoczerwone od słońca padającego na zamknięte powieki, i wszystko miało tę barwę — całe spełnienie, posiadanie, osiągnięcie — wszystko było tej barwy, oślepiające tą barwą. Dla niego było to mrocznym przejściem prowadzącym do nikąd, znowu do nikąd i znowu do nikąd, i jeszcze raz do nikąd, wciąż i na zawsze do nikąd, gdy leżał ciężko na łokciach wpartych w ziemię — do nikąd, w mrok, w nieskończoną nicość, teraz i na zawsze do nikąd, i znowu nieznośnie, raz jeszcze do nikąd — aż wreszcie ponad wszelką wytrzymałość, coraz mocniej, mocniej, mocniej, nagle, piekąco, wciąż w nicość, i wtem nicość znikła, czas się zatrzymał, oboje znaleźli się poza czasem i wtedy czuł, że ziemia poruszyła się i usunęła spod nich."

I jeszcze raz wrócimy do tego, co zamyka powieki nad uczuciem — do konania. Wpisani w koło miłości i śmierci, zamknijmy ten krąg końcową sceną powieści, gdy jej bohater, Robert Jordan, Amerykanin z Brygad Międzynarodowych, ciężko ranny, czeka na zbliżający się patrol faszystowski, by życie swoje spalić w starciu.

Jeden z partyzantów, który chciał mu udzielić ostatniej pomocy, ukrócić mu kulą życie, nie uzyskuje zgody. Pobieżne pożegnanie ma ładunek szlachetnej tragedii. Choć plakatowe to pożegnanie, jest ono z gatunku wyszukanego dramatu. Słyszymy *„salud"* i widzimy podniesioną pięść. Jaką moc ma dobrze ustawione powtórzenie. Jest prawie nowatorstwem, jeśli podtekst jest zbudowany na nieskażonej emocji. Są konwencje, które nie tracą burzliwych barw z pierwszych dni narodzin. Odradzają się one w zmienionym kontekście, nie wyzbywając się ciała symbolu.

Czytając, nie mogłem czasami uciec od aplikowanej geografii. Zdawało mi się, że pod krajobraz zachodzi scenerią, do pogawędki i dialogu w grocie dołącza się akcent jakiejś obcej strony. Że ta Hiszpania, to nie ta sama Hiszpania, którą poznaliśmy, że Robert Jordan mógłby być dynamitardem ruchu oporu w czasie drugiej wojny światowej, bo zbyt mało ma z kroju, barwy i swoistej, dynamicznej dialektyki politycznej tej bohemy żołnierskiej, jaką, mimo wysokogatunkowej dyscypliny i świadomości, stanowiły Brygady Międzynarodowe. Jeśli nawet cudzoziemiec nie służył w jednej z tych formacji, a z racji swojej pracy był przyłączony do jednostki hiszpańskiej czy anonimowej, nie uniknął wyróżnienia. Właśnie barwa i krój decydowały o przynależności do rewolucyjnej bohemy. Muszę się przyznać, że *Komu bije dzwon* interesuje mnie nie tyle jako jeden z utworów Hemingwaya, ile jako powieść o republikańskiej Hiszpanii. A jeśli to nie jest ta Hiszpania, to jakaż to Hiszpania? To jest Hiszpania i Brygady Międzynarodowe dla Amerykanów, a nie dla hiszpańskiego czytelnika. Przeprowadziłem błyskawiczną ankietę, zapytując kilku dąbrowszczaków, Hiszpana i Amerykanina, czy mieli podobne wrażenie alienacji ojczyzny Durrutiego, Nina, Jose Diaza i Negrina. Powiedzieli, że mieli takie wrażenie przy czytaniu dziejów Roberta Jordana. Ale ten chwyt literacki, bo za nim kryje się świadomość warsztatu, był uzasadniony dobrą znajomością odbiorcy. Może nawet wzmaga ekspresję. Tak mógł lepiej Hemingway przysłużyć się Republice, a to było jego niewątpliwym zamiarem. Poznał przecież wojnę na miejscu, na linii ognia, wśród tych, o których pisał.

Między nim a Orwellem jest różnica kierunku zaangażowania się. Orwell wybrał sobie za patronkę Niezależną Socjalistyczną Partię Pracy i włączył się do oddziałów POUM-u, chociaż był raczej anarchistą aniżeli trockistą. Zaciągnął się z myślą o rewolucji, a wojna była środkiem do jej zwycięstwa. Pierwszy z nich zaangażował się po stronie antyfaszystowskiej wojny, rewolucja była mu raczej obojętna. Zwalczał ówczesne błędy i wypaczenia, które były przeważnie pochodzenia stalinowskiego, podobnie jak to czynią nasi krytycy dzisiaj wobec tego samego okresu, tylko że w innym, znacznie potężniejszym kraju. Błędy i wypaczenia, zgodnie z potencjałem, urosły tam do miary mocarstwowej.

Hemingway przywiózł z pobojowisk Kastylii i Aragonu do swojej ojczyzny księgę wielkiej epiki, nowoczesną powieść, o której jedni powiadają, że jest najlepsza w jego dorobku, a drudzy, że najsłabsza. W każdym razie stanowi wkład nie lada i to nie tylko do amerykańskiej literatury. A mimo to nie sądzę, że należy ją przeceniać. Jako dzieło sztuki raczej niż jako odnaleziony obraz przecięcia się paryskiego roku 1793 z piotrogrodzkim 1917 rokiem w hiszpańskim kształcie przemawia ta powieść. Stalinowcy skłonni by byli nazwać Hemingwaya kalumniatorem. Hemingway miał mocne nerwy, logikę twardą, koncepcję państwową, hierarchiczną i powierzchowne zainteresowanie dla społecznego podtekstu wojny domowej.

Mam nadzieję, że ani słowo nie zostanie uronione z tej powieści, że ołówek redaktorski, tak śmiały i uzurpatorski jeszcze w niezbyt zamierzchłej przeszłości, nie ujmie nic znakomitemu dziełu, że pozwoli się człowiekowi odgrodzonemu zasiekami przesądów i zniekształceń patrzeć i słuchać, jak odłamki prawdy przecinają linie zasieków. Nawet odłamki prawdy są ze szlachetnego metalu. Hemingwaya ówcześnie nie stać było na więcej. Jeśli intelektualiści na Zachodzie mogli przyswoić sobie relacje naocznych świadków, to nas pozostawiono w ciemnocie. Szliśmy poprzez aureolę heroicznej wystawy i rocznicowych pa-

tetycznych repetycji, spadających na nas jak plagi.

Nastąpi mała konfrontacja między preparowaną historią a jej chałupniczym warsztatem, po prostu tak, jak to się dzieje na miejscu, gdzie są drwa i nieuniknione wióry, a nie tylko gotowe świątki. Chciałbym to powiedzieć, ponieważ nie jestem bez winy. Spodziewam się, że moi towarzysze dadzą się przekonać i wydobędą z zasobu swoich przeżyć autentyczne, nie naginane, relacje o ludziach, z materii dwudziestowiecznej, a więc nie zawsze i niekoniecznie trwałej, i o wydarzeniach zanotowanych poza naszymi granicami, mimo nas i przeciw nam. Chodzi mi o te dwa czy trzy dziesiątki stronic, które mimochodem zajmują się elitą komunistyczną wojny hiszpańskiej, generalicją i doradcami radzieckimi. Spotykamy się z odmienionym nieco Walterem pod nazwiskiem Golza, z Marty, Modesto, Listerem, Campesino, Kleberem, Hansem, Copicem, kilku ich towarzyszami i natchnieniem, nieodwołalnym czasem, w mundurach czy w cywilnych strojach doradców radzieckich. Tylko o jedno proszę usilnie czytelnika: aby wieści spoza kulis wojny nie traktował jak sensacji. To są wielkie, ropiejące rany dziejów, które jeszcze po dziś dzień krwawią. To są czasem konieczności, a czasem nadużycia. Trzeba o wiele więcej zrozumieć, aniżeli dojrzeć. Trzeba się uzbroić w rzetelny sceptycyzm, a nie ulegać narzucanym sugestiom. Proszę czytelnika jeszcze, by był sprawiedliwy. Wolno mu nie wybaczać. Ja nieraz się z nim będę zgadzał, ale niechaj pamięta, że PRL rodziła się również pod Madrytem. A poczęcie, jak wiadomo, nie jest zbyt czyste. I tak bywa w życiu. Hiszpania nie była wyjątkiem. Rozumiejąc to, możemy uszanować niejeden grób znanego i nieznanego żołnierza oraz wydarzenia, które w języku bardziej uroczystym nazywają się historią rewolucji i wojny.

Hemingway tylko szkicuje sławnych dowódców. Ale w kilku rysach rzucona jest sylwetka. Jest niemało podziwu dla generałów z awansu, ale ludzi tych widzi on w rozwoju, oceniając ich po trosze jak spec. Nie wybacza szafowania ludzką krwią, chociaż kuli skierowanej do dezertera życzy, by była celna. Największą sympatią obdarza on Waltera. Jest to chyba jeden z najbardziej autentycznych Walterów, choć dany w skrócie.

W okresie powojennym wyszło sporo tłumaczeń dzieł o antyfrankistowskiej wojnie. Niejedno z nich uległo już zapomnieniu. *Komu bije dzwon* należeć będzie chyba do najbardziej poczytnych. Już przez to, że jest, może strącić ze szczudeł niejedną zesztywniałą myśl, pozwoli na to, by z posągów zeszli ludzie na chodniki, na przybrudzony nieco pył tej ziemi. Podważona zostanie łatwowierność jednych, zaspokojone — niedowierzające poszukiwanie innych. Nieuniknione jest, że do ziarnka prawdy dołączy się ziarnko goryczy. Błogosławione niechaj będą ziarnka zapładniające. Gorycz posiada czasem tę moc. W okresie wielkich rozczarowań gorycz może pomóc w rozwoju i przemianie. Wraz ze mną niejeden z czytających postawi, wbrew temu, co zaleca motto wprowadzające, pytajnik przy tytule: *Komu bije dzwon?* W kłębowisku konfliktów i sprzeczności, szlachetności i zbrodni trudno odnaleźć orientację. Zbyt łatwa orientacja może prowadzić na manowce. Przed nami czas rozważań i poszukiwań. Po przejściu przez tę myślową kwarantannę, wydaje mi się, będziemy mogli odpowiedzieć na postawiony przez nas przy tytule pytajnik.

Jan Wyka

PREMIERA GENETA W LONDYNIE

Niedawno prasa angielska rozpisywała się o skandalu, jaki wydarzył się z okazji prapremiery sztuki Geneta *Balkon* w Arts Theatre Club w Londynie. Obecny na sali autor wyskoczył na scenę i nie szczędząc wymysłów usiłował przerwać przedstawienie.

Zachowanie takie, szokujące dla Anglika, staje się zupełnie zrozumiałe, jeżeli weźmie się pod uwagę, o kogo chodzi. Genet to jeden z najdziwaczniejszych pisarzy i jedna z nadziwaczniejszych osobowości. Urodzony w Paryżu, liczy dziś czterdzieści siedem lat. Jako dziecko był tak trudny do prowadzenia, że trzeba go było umieścić w domu poprawczym. Jako młodzieniec włóczy się po całej Europie, poznając kolejno wszystkie stopnie moralnej degradacji. Jego psychiczna odporność jest zdumiewająca. Częste pobyty w więzieniu skłaniają go do pisania. Był w Legii Cudzoziemskiej i zdezerterował z jej szeregów. Kiedy dziewięć lat temu po raz dziesiąty sądzono go za kradzież, jedynie dzięki interwencji tak wybitnych pisarzy, jak Claudel, Gide, Sartre i Cocteau, oraz łasce prezydenta republiki uniknął ciężkich robót. Do najzagorzalszych wielbicieli Geneta należy Jean-Paul Sartre, który w ogromnym (swoim zwyczajem!) studium na temat jego twórczości między innymi nazywa go świętym i męczennikiem.

Kilka lat temu młody reżyser, Peter Zadek, podjął ryzyko wystawienia jednej ze sztuk Geneta — *Dziewczęta*. Nie otrzymawszy zgody głównego cenzora, Lorda Chamberlaina, wystawił ją najpierw po francusku w Royal Court Theatre, później po angielsku w prywatnym teatrze w New Lindsay. W Paryżu *Dziewczęta* były wystawione przez Jouveta. Na krótko przed premierą Genet rozmyślił się i oświadczył Jouvetowi, że role mają być obsadzone przez trzech mężczyzn. Jouvet odmówił i skończyło się awanturą, po której ci dwaj ludzie nigdy już nie zamienili ze sobą ani słowa. Natomiast angielskie przedstawienie *Dziewcząt* jakoś zadowoliło Geneta i kiedy napisał nową sztukę, powierzył ją temu samemu reżyserowi. I ta sztuka nie przeszłaby przez sito cenzury angielskiej, Zadek wybrał więc Arts Theatre, który korzysta z praw prywatnego klubu teatralnego.

Akcja sztuki toczy się głównie w domu publicznym. Klienci tego domu szukają zaspokojenia przez odgrywanie ról, jakich los im odmówił. Przebierają się za biskupów, sędziów i generałów, w czym asystuje żeński personel, spełniając wszelkie ich zachcianki. W tej dziedzinie Genet jest uważany powszechnie za następcę Sade'a. „Wielką zasługą sztuki Geneta — pisze sprawozdawca „*Observera*" — jest, że wszelkie nawyki seksualne odnosi do instytucji społecznych. Według niego mitra biskupa, berło królewskie, toga sędziego czy mundur generała są symbolami, pod którymi zwykli ludzie znajdują upust dla swoich seksualnych fantazji panowania i ulegania. W Domu Złudzeń Madame Irmy sny ich stają się rzeczywistością... Genet patrzy na te drastyczne rytuały z jakąś wściekłą litością. Czego innego można oczekiwać od świata, w którym jedyne wartości absolutne to podbój i autorytet?"

Genet dramatyzuje to oskarżenie, umieszczając swój dziwaczny burdel w środku rewolucji, w której giną wszyscy przedstawiciele władzy z wyjątkiem prefekta policji. Zawsze przygnębiał go fakt, że nikt ze stałych bywalców Madame Irmy nie chciał się „wcielić" w jego funkcje; teraz werbuje ich, aby swoje przybrane role zaczęli odgrywać na serio. W dalszym rozwoju akcji służy to autorowi do stwierdzenia, że fałszywi dygnitarze potrzebują swoich urzędowych uniformów tylko po to, aby oszukać lud, który korzy się przed każdym symbolem władzy. W ciągu nocy rewolta wygasa. Wkrótce potem nowa postać uzupełni miejsce wakujące w mitologii burdelu. Jakiś nieznajomy prosi o pozwolenie przebrania się za prefekta policji, po czym sam siebie kastruje. Ten akt ma stanowić uzupełnienie poprzedniej argumentacji. Wyobrażenie władzy ma charakter erotyczny, ale sama władza jest pozbawiona sexu.

Interpretacja bardzo wieloznacznego tekstu nasuwała tym większe trudności, że druga część, argumentacyjna, wymaga logiki, z którą temperament Geneta nie zawsze się godzi.. W momencie kiedy sztuka aż się prosi

o ostre, satyryczne pióro Sartre'a, zaczyna się chaos scen i wątków, w których widz się gubi.

Główny jednak szkopuł reżysera to nie fabuła, będąca satyrą na autorytet, ale — jak to eufemistycznie określił „*Times*" — „nieprzyjemny zasięg wyobraźni" autora. Mając to na względzie Zadek stonował drastyczność pewnych scen na tyle, aby stały się do przyjęcia dla angielskiego widza. Toteż, mimo że autor nie godził się na żadne ustępstwa, reżyser dokonał retuszów, jakie uznał za konieczne. Skutek był wiadomy. W czasie próby generalnej Genet ryząc ze wściekłości wpadł na scenę i rozpędził aktorów, twierdząc, że zepsuto mu sztukę. Doszło do ostrej wymiany zdań. Daremnie Zadek tłumaczył, że zmiany te były konieczne, aby przedstawienie mogło się odbyć. Szalejący ze złości Genet odpowiedział: „Do diabła z tym! Wolałbym, aby padło w mój sposób, niż miało powodzenie w pański". Domagał się również, aby sztuka weszła na nowo w próby. Rzecz jasna, dyrektor odrzucił te żądania i następnego wieczoru policja nie wpuściła autora na jego własną prapremierę. Genet wrócił do Paryża i natychmiast ogłosił gwałtowny protest na łamach tygodnika „*L'Express*". Między innymi oświadczył:

„Akcja sztuki *Balkon* rozgrywa się w «domu zamkniętym», jednakże występujące w niej osoby równie mało przynależą do rzeczywistości takich «domów», jak osoby występujące w *Hamlecie* przynależą do świata dworskiego... Prawdziwym tematem sztuki jest złudzenie. Wszystko tu jest pozorne: generał, biskup, prefekt policji, i wszystko powinno być potraktowane z największą subtelnością. Tymczasem zamiast wysublimować sztukę, zwulgaryzowano ją. Osoby stały się groteskowymi i odrażającymi marionetkami, których nie mogłem poznać. Reżyser Peter Zadek wprowadził na scenę haniebnie poruszające się dziewczęta, ubrane w koronki, o czym w ogóle nie ma u mnie wzmianki". (Genet nalegał, aby dziewczęta występowały z odkrytymi piersiami!) „Chciałem stworzyć postaci większe niż w naturze. Zrobiono z nich karykatury w stylu *Helzapoppin*." Jednym słowem, jak stwierdza w zakończeniu, nic dziwnego, że kiedy zobaczył swój utwór grany po raz pierwszy, do szału doprowadziła go myśl, że spłodził takie monstrum.

Wkrótce potem głos zabrał reżyser w *New Statesman and Nation*, starając się ułagodzić rozsierdzonego autora. Nie szczędząc słów najwyższego uznania pod jego adresem, znajduje godne wytłumaczenie dla jego wybuchu. Geniuszowi wszystko wolno. „Zakulisowa sprzeczka" miała głębsze źródła niż niezadowolenie z inscenizacji. Głównym zajęciem Geneta jest badanie granicy oddzielającej fantazję od rzeczywistości. Widząc, jak daleko odbiega realizacja sztuki od jego wizji, doznał rozczarowania. Ale świat zawsze krzyżował wizjonerów i św. Genet nie stanowi wyjątku.

Niezdolność do kompromisu stawia Geneta w rzędzie najwybitniejszych twórców. Oczywiście, nie jest łatwo pracować z człowiekiem, dla którego normalne standarty sceniczne są niewystarczające. Przedłużenie prób, czego domagał się Genet, wyszłoby niewątpliwie przedstawieniu na dobre, żaden bowiem aktor nie może nauczyć się chodzić przyzwoicie w przeciągu czterech tygodni. (To zapewne szpileczka pod adresem dyrekcji!) Zadek kapituluje tak dalece, że przyznaje się do poczynienia zbyt wielkich ustępstw na rzecz czytelności sztuki. Końcowa partia jest wielką apologią Geneta jako pisarza wybitnie scenicznego. Przywraca on teatrowi żywotność, jakiej nie miał od czasu religijnych dramatów średniowiecznych. Przywraca walor rytuału, ceremonii. Nie czyni tego zewnętrznie, jak niektóre dwudziestowieczne dramaty poetyckie o średniowieczu, ale nadaje im kształt realny. Jest to rytuał i legenda naszych czasów.

Zdaniem Zadeka, Genet otwiera nowe perspektywy dla eksperymentów teatralnych, których Anglia, mimo całej pseudoawangardowości powojennej dramaturgii, prawie nie ma. W porównaniu z wizją Geneta protest zbuntowanego młodego człowieka klasy średniej, zapoczątkowany przez Kinsley Amisa, jest wydarzeniem zgoła peryferyjnym. Nie ma w sobie nic odkrywczego i ogranicza się tylko do stwierdzenia pewnych, niespornych przejawów społecznych i psychologicznych. Dramaturgia Osborne'a (jednego z tej grupy) pochodzi z okresu Ibsena i najbardziej nowoczesna inscenizacja nie potrafi ukryć tego faktu.

Genet jest zdumiewający zarówno w zachowywaniu pewnych konwencji teatralnych (np. przywrócenie koturnów), jak w zdecydowanym odrzuceniu innych. Dzięki swej bezkompromisowej postawie może stać się wielkim inspiratorem teatru naszych czasów.

Anna Bartling

OBRAZ RUCHU WYDAWNICZEGO W JUGOSŁAWII

Robiąc nawet pobieżny przegląd działalności literackiej w 1956 roku, łatwo możemy dojść do wniosku, że była ona jedną z najpłodniejszych w latach powojennych. Dynamiki rozwoju literatury jugosłowiańskiej nie można wykazać w tytułach i różnorodności wydań. Mnogość prądów, koncepcji estetycznych i dyskusji literackich Jugosławii świadczy o demokratycznych podstawach rozwoju kulturalnego również w dziedzinie twórczości literackiej. Nie będziemy się w tej chwili zatrzymywać na tych sprawach, sądzę jednak, że polskiego czytelnika zainteresują również poniższe dane, które w sposób oschły, ale wyraziste ukazują kierunki oryginalnej twórczości oraz polityki przekładowej w Jugosławii.

W 1956 roku w językach narodów jugosłowiańskich i mniejszości (węgierskiej, albańskiej, słowackiej, rumuńskiej i włoskiej) opublikowano 135 zbiorków poezji, 130 zbiorów opowiadań i powieści (w ogóle prozy literackiej), 57 zbiorów artykułów, esejów, krytyk, studiów i materiałów literackich, 79 obszernych powieści, 21 dramatów, 29 reportaży i pamiętników oraz 138 książek dla dzieci. Podobnie obszerna i różnorodna była działalność przekładowa w 1956 r., różnorodna zarówno pod względem rodzajów literackich utworów przełożonych, jak i ich tematyki. Różnorodność języków, z których tłumaczono, jest wielka. Bilans działalności przekładowej to: 10 zbiorków poezji, 109 zbiorków opowiadań i bajek (do bajek zaliczamy tu również dzieła Andersena i Oskara Wilde'a), 18 zbiorków esejów, monografii i artykułów, 256 powieści, 13 dramatów i librett, 6 reportaży, 4 monografie historyczne i 18 książek dla dzieci.

Z literatury francuskiej przełożono 73 utwory, z angielskiej 70, z amerykańskiej 69, z niemieckiej 52, z portugalskiej 1, z rumuńskiej 2, z norweskiej 5, ze szwedzkiej 5, z włoskiej 13, z islandzkiej 1, z rosyjskiej i narodów ZSRR 52, z arabskiej 8, z holenderskiej 4, z węgierskiej 7, z hiszpańskiej 3, z klasycznej literatury rzymskiej 14 dzieł, z czechosłowackiej 16 utworów, z duńskiej 9, z polskiej literatury 6 utworów, z literatury bułgarskiej 5, z perskiej 3, z fińskiej 4, z japońskiej 4 i z chińskiej literatury 4 utwory.

Dziełami polskiej literatury, które w największym stopniu zainteresowały jugosłowiańskiego czytelnika, były następujące utwory: *Granica* Zofii Nałkowskiej, *Niebo w płomieniach* Jana Parandowskiego i wykłady Adama Mickiewicza o serbskiej literaturze, wygłaszane w Sorbonie. Szereg jugosłowiańskich tygodników literackich i miesięczników ma zamiar omawiać powieści Jana Parandowskiego i Zofii Nałkowskiej.

W ciągu 1956 r. w Jugosławii ukazywało się przeszło 30 miesięczników i kwartalników poświęconych literaturze, filmowi i innym zagadnieniom kulturalnym. Przy czym na początku 1957 r. pojawiły się jeszcze trzy nowe miesięczniki literackie.

Chcąc dać obraz zainteresowań literackich i sympatii czytelnika jugosłowiańskiego w ciągu 1956 r., wystarczy wymienić książki, które stały się nie tylko bestsellerami, lecz równocześnie dzięki swemu wysokiemu poziomowi były prawdziwymi dziełami sztuki pisarskiej.

Obok klasyków literatury jugosłowiańskiej, jak np. Njegosz, Stjepan Mitrov Ljubisza, Svetolik Ranković, Laza Lazarević, Milovan Glisić, Silvije Strahimir Krajncević, France Preszern i Oton Zupamcić, z dzieł utworów współczesnych pisarzy największą popularnością cieszyły się: *Most na Drinie* (utwór ten został po

raz pierwszy wydany w 1945 r.) i *Prokleta avlija (Przeklęty dziedziniec)* wielkiego prozaika jugosłowiańskiego, Ivo Andricia. Został on nagrodzony w 1956 r. w Zagrzebiu za całość swej twórczości. Poza tym poszukiwane były dzieła Branka Czopicia, a przede wszystkim jego powieść *Prolom* (w pol. przekładzie *Płomienne lato)* i zbiór opowiadań humorystycznych *Doživljaji Nikoletine Bursacia* (utwór ten został wyróżniony nagrodą październikową miasta Belgradu), zbiór opowiadań *Na mjesecini (W blasku księżyca)* i powieść *Raskid (Rozłam)* nowelisty Mihajla Lalicia, znany utwór Stefana Jakovlevicia *Serbska trylogia* oraz kronika upadku byłej armii jugosłowiańskiej w czasie drugiej wojny światowej — *Zabuna (Zamęt).* Oskar Daviczo, jeden z najulubieńszych pisarzy młodego pokolenia, zdobył sobie wielką popularność swoją wybitną powieścią *Pesma (Pieśń)* oraz powieścią *Beton i Svitci* (powieść ta otrzymała nagrodę miesięcznika *„Nin"* za rok 1956), podobną popularność zdobyły sobie powieści Radomira Konstantynovicza: *Miszolovka (Pułapka na myszy)* i *Daj nam danas (Daj nam dzisiaj),* powieści Vojina Jelicia: *Andjeli lijepo pevaju (Aniołowie ładnie śpiewają) i Nebo nema obala (Niebo nie ma brzegów)* zdobyły sobie uznanie krytyki i publiczności; jedną z najbardziej poszukiwanych książek jest zbiór opowiadań Vladana Desnicy *Proljecie u Badrovcu (Wiosna w B.);* pierwsza powieść Czamila Sijaricia, *Bihorci,* nagrodzona przez wydawnictwo „Narodna Prosvjeta" w Sarajewie, wywołała duże zainteresowanie wśród czytelników, nie mniejsze zainteresowanie wywołał też tom prozy humorystycznej Slavka Kolara — *Glavno da je kapa na glavi (Grunt że czapka jest na głowie).* Wydawnictwo „Zora" w Zagrzebiu wydaje cały olbrzymi dorobek literacki pisarza jugosłowiańskiego, Miroslava Krleży, dzieła te przyjmowane są przez czytelników bardzo gorąco.

W 1956 r. ukazała się pierwsza macedońska powieść *Selo iza sedam jasenova (Wieś za siedmioma jesionami)* macedońskiego prozaika, Slavka Janevskiego. Wydawnictwo „Macierz Serbska" wydaje zbiorowe dzieła Veljka Petrovicia, pieśniarza patriotycznej literatury jugosłowiańskiej. W Słowenii wielkie zainteresowanie wzbudziła proza słoweńskich pisarzy — Jus Kozaka, Cirila Kosmacza, Miszka Kranjeca i Bena Zupanczicia. Twórczość tych pisarzy słoweńskich w dużym stopniu tłumaczona jest na języki: serbochorwacki i macedoński. Ze zbiorków poezji największe powodzenie osiągnęły następujące książki: *Balada o predveczerju (Ballada o zmierzchu)* młodego poety, Stefana Raićkovicia, który został wyróżniony nagrodą Związku Literatów LR Serbii za 1956 r., poza tym zbiorki poezji Vaska Popy *Kora* i *Nepoczin Polje,* poeta ten został wyróżniony nagrodą Macierzy Serbskiej (Nowy Sad) za 1956 r., zbiorki poety Ivana Lalicia *Bivsi deczak (Były chłopak)* i *Vetrovito prolecie (Burzliwa wiosna)* oraz *Crna maslina (Czarna oliwka)* chorwackiej poetki Vesny Parun, wyróżnionej doroczną nagrodą Związku Literatów LR Chorwacji za 1956 r. Macedoński pisarz, Blaże Koneski, wyróżniony został doroczną nagrodą Związku Literatów za swój wybór liryki, podobnie jak młody słoweński poeta, Ivan Minatu, doroczną nagrodą LR Słowenii, a poeta Radonja Vesoović za zbiorek *Gajtan vode u dolini (Pasemko wody w dolinie)* doroczną nagrodą Związku Literatów Czarnej Góry. Z reportaży i monografii najbardziej poszukiwaną książką jest *Afryka* zmarłego pisarza (z okresu międzywojennego), Rastka Petrovicia. Dużym powodzeniem cieszył się zbiór reportaży i spotkań Nady Marinković — *Smisao i ljubav* (reportaże z Francji, ZSRR i Jugosławii oraz spotkania z wybitnymi pisarzami jugosłowiańskimi i obcymi). Z krytyk i esejów najbardziej poszukiwane były zbiorki: *Pisci i Injige (Pisarze i książki)* Jovana Skerlicia (wybitny krytyk serbski zmarły w 1914 r.), poza tym Velibora Gligoricia *Srpski realisti,* Milana Bogdanovicia *Stari i novi,* eseje Marka Risticia, *Ljudi u nevremenu* (dosł. *Ludzie w niepogodzie).* Z kronik okresu wojny wyzwoleńczej wielką popularnością cieszy się książka Rudoluba Czolakovicia *Zapisi iz oslobodilaczkog rata (Notatki z wojny wyzwoleńczej).* Z krytyk teatralnych poszukiwany jest wybór krytyk i esejów Eli Finci *Vise i manje od života (Więcej i mniej od życia)* a z krytyki sztuk pięknych niezwykłym powodzeniem cieszy się obszerny utwór Miodraga Proticia,

mówiący o naszym i obcym malarstwie, pt. *Współcześni*.

Z literatury przekładowej wielkie powodzenie mają powieści Françoise Sagan, Irvina Shaw, Adré Gide'a *(Immoraliste)*, Remarque'a, Teodora Dreisera, J. Steinbecka *(Na wschód od Edenu)*, Dos Passosa *(USA)*, Cervantesa *(Don Kichot)*, Nelsona Algrena, Francisa Scott Fitzgeralda, Vasca Pratoliniego *(Ulica ubogich kochanków)*. Poza tym dużym powodzeniem cieszą się wśród czytelników jugosłowiańskich wybory opowiadań pisarzy angielskich i australijskich.

Z liryki obcej duże zainteresowanie wzbudził wybór *Kwiatów zła* Baudelaire'a, Fryderyka Garcii Lorki *Poeta w New Yorku* i antologia współczesnej poezji francuskiej.

Z rosyjskich poetów czytani są Siergiej Jesienin i Aleksander Błok, z francuskich Mallarmé, Rimbaud, Breton, Char, Eluard, Cocteau i Apollinaire. Niemieccy lirycy, Rilke, Stefan George, Lilienkron i Georg Heim, cieszą się taką samą popularnością, jak i amerykańscy poeci: Walt Whitman, Edgar Allan Poe i Karol Sandberg, a z hiszpańskich poetów jugosłowiańskim czytelnikom najbliżsi są Antonio Machado, Lorca, Juan Ramon Jimenez, Pablo Neruda i Gabriela Mistral. Do współczesnych pisarzy włoskich, którzy cieszą się u Jugosłowian dużą popularnością, należą przede wszystkim poeci: Alfonso Gatto i Salvatore Quasimodo, oraz prozaicy: Luigi Fiorentino, Vasco Pratolini, Francesco Jovine, Alberto Moravia.

Niedawno wielkie zainteresowanie wśród czytelników jugosłowiańskich wzbudziły eseje Virginii Woolf i Alberta Camusa *(Lato)*. *Dżuma* oraz *Cudzoziemiec* Camusa cieszą się w Jugosławii o wiele większą popularnością niż utwory Sartre'a. *Czekając na Godota* Becketta zostało wystawione w eksperymentalnym dramatycznym atelier „212" w Belgradzie, budząc zainteresowanie.

Przegląd ten należałoby uzupełnić szerszą relacją o jugosłowiańskich dyskusjach literackich, kształtujących estetyczne i krytyczne kryteria oceny.

Branko Peić *

* Przełożył Zygmunt Stoberski. Branko Peić — poeta i krytyk jugosłowiański.

RADZIECKI PRZEGLĄD LITERACKI

Spośród ostatnich wydarzeń literackich w Związku Radzieckim na szczególną uwagę zasługuje pierwszy większy od kilku lat zjazd z okazji III Plenum Zarządu Związku Pisarzy Radzieckich (14 — 17.V.). Wręczony uczestnikom plenum zbiorowy referat Sekretariatu Związku *O niektórych zagadnieniach rozwoju literatury radzieckiej po XX Zjeździe KPZR* za jedno z najważniejszych zadań, jakie życie postawiło po XX Zjeździe przed pisarzami, uważa „...stanowcze przezwyciężenie skutków kultu jednostki i stalinizmu we wszystkich dziedzinach życia". Dodaje jednak, że byłoby rzeczą niesłuszną, gdyby te szkodliwe skutki przesadnie wyolbrzymiano.

Właśnie w okresie najsilniejszego oddziaływania kultu Stalina (zdaniem autorów referatu — w latach powojennych) powstało wiele wybitnych utworów — Szołochowa, Fiedina, Twardowskiego i in. Czym to wytłumaczyć? „Nie zaniedbując ukazywania absolutnie wszystkich ujemnych przejawów w rozwoju literatury radzieckiej w okresie powszechnego panowania kultu jednostki, powinniśmy pamiętać, iż socjalistyczna natura naszego społeczeństwa większości naszych pisarzy dopomogła w unikaniu wynaturzeń, będących wynikiem kultu jednostki."

Wg autorów referatu dla przygniatającej większości pisarzy radzieckich kierownicza rola partii w kształtowaniu rozwoju literatury jest prawdą oczywistą i niewzruszalną; niemniej jednak — czytamy w referacie („*Litieraturnaja Gazieta*" z 16.V) — „w r. 1956 w prasie i na zebraniach zdarzały się sporadyczne wystąpienia, w których poszczególni

pisarze — albo otwarcie, albo najczęściej pośrednio — podawali w wątpliwość słuszność niektórych powojennych uchwał partii w sprawach literatury". W referacie mocno podkreślono, że uprawnienia partii do kierowania literaturą były szczególnie ostro atakowane przez obóz reakcji a także przez niektórych literatów w Jugosławii, w Polsce i na Węgrzech. (Nawiasem mówiąc polemika z krytycznymi wypowiedziami w krajach demokracji ludowej zajęła na plenum dużo miejsca, o czym wspomnę jeszcze niżej.)

Autorzy referatu podkreślili znaczne ożywienie twórczości literackiej w ostatnim roku, zwłaszcza jeśli chodzi o tematykę współczesną, zarówno w literaturze rosyjskiej, jak i w literaturze innych narodów Związku Radzieckiego. Ogólną charakterystykę twórczości literackiej po XX Zjeździe zawarto w określeniu zasadniczego konfliktu, którym intensywnie zajmują się obecnie pisarze. Jest nim „walka postępowych sił społeczeństwa z biurokratami, karierowiczami, rutyniarzami, walka o wzmocnienie demokracji socjalistycznej, o podniesienie twórczej aktywności mas".

Konflikt ten pisarze ujmują w rozmaitych płaszczyznach i różnorodnymi środkami artystycznymi. Na przykład Tiendriakow *(Mocny supeł)* i Czakowski *(Rok życia)* ujmują go w płaszczyźnie moralno-społecznej, Owieczkin (w swoich reportażach wiejskich, zbliżonych do prozy artystycznej z uwagi na głębszą charakterystykę postaci i dbałość o styl) — w aspekcie ideowo-politycznym, Bek *(Życie Bieriežkowa)* — na płaszczyźnie społeczno-produkcyjnej, Nilin *(Okres próbny* i *Okrucieństwo)* — w aspekcie prawno-humanitarnym. Należą one istotnie do najbardziej wartościowych utworów prozy ub. r. Gwoli ścisłości należy jednak dodać, iż zarówno akcja zajmującej powieści o życiu i przygodach nowatorskiego konstruktora samolotowego, Bieriežkowa, na przestrzeni 40 lat, jak i powieści Nilina (początek lat dwudziestych!) nie toczy się współcześnie, aczkolwiek w książkach tych słyszy się echa problemów aktualnych. Na uboczu problemów chwili obecnej znajduje się poruszająca zagadnienia psychologiczne, malująca przeżycia z ostatniej wojny — nowela Szołochowa *Dola człowieka*, najlepszy bez wątpienia utwór radzieckiej prozy artystycznej ostatnich miesięcy.

Na plenum dużo uwagi poświęcono, oczywiście, sprawie kilku najnowszych utworów literackich, które wywołały jeszcze w ub. r. tak ożywione i ostre polemiki, jak powieść Dudińcewa *Nie tylko chlebem*, opowiadanie Granina *Własne zdanie*, opowiadanie Jaszyna *Dźwignie*, poemat Kirsanowa *Siedem dni tygodnia*, wiersz Aliger *Najważniejsze*, sztuka Mowzona *W cichym zaułku* itp. O polemice tej już pisaliśmy, wspomnę więc tylko, że wielu dyskutantów bardzo ostro potępiło tych autorów — z pozycji pozaliterackich, politycznych. Natomiast atakowani pisarze a także redaktorzy zbiorku *Litieraturnaja Moskwa* i wielonakładowego biuletynu moskiewskiego oddziału Związku Pisarzy *Moskowskij Litierator* — teraz uporczywie milczeli, aczkolwiek jeszcze w marcu z pasją bronili własnej postawy. Oczywiście w dyskusji milczenie to również poczytano im za złe, uważając je za uporczywe trwanie przy błędach (ideologicznych).

W charakterystyce obecnego stanu literatury radzieckiej uczestnicy III Plenum byli na ogół zgodni, pomijając różnice w indywidualnym akcentowaniu pewnych zagadnień. Referat Sekretariatu Związku stwierdza, iż mimo pewnych pozytywnych objawów literatura nie nadąża za życiem i jego potrzebami. W związku z tym mowa jest w referacie o konieczności krytykowania, przezwyciężania pozostałości minionego okresu, niemniej jednak autorzy referatu wyrażają przekonanie, iż pisanie wyłącznie w sposób krytyczny zawęża pole widzenia pisarzy i zniekształca obraz obecnej rzeczywistości radzieckiej.

„Na podstawie pewnych utworów ostatnich czasów — czytamy w referacie — można by sądzić, iż kraj zatrzymał się w swoim rozwoju po to, aby naprawić dawne błędy."

W obradach III Plenum przeważały sprawy ideologiczne i polityczno-wychowawcze. Natomiast problemy ściśle literackie, sprawy pracy z młodymi pisarzami, sprawy organizacyjne — z wyjątkiem wysuniętego w dyskusji postulatu stworzenia Rosyjskiego Związku Pisarzy Radzieckich — prawie zupełnie nie były poruszane. Dominująca w referacie, a zwłaszcza w dyskusji, ostra polemika z przeciwnikami realizmu socjalistycznego również przebiegała na płaszczyźnie prawie wyłącznie ideologicznej.

Więc na przykład. Na plenum rozpalała umysły sprawa zwalczania prób — cytuję referat — „...oczernienia lub przynajmniej obniżenia wagi całego dorobku i doświadczenia literatury radzieckiej" w prasie polskiej, węgierskiej i jugosłowiańskiej. „Próby te podchwytuje reakcyjna prasa burżuazyjna, wykorzystująca każdą okazję do dyskredytowania społeczeństwa socjalistycznego i jego instytucji." Zdaniem autorów referatu a także wielu uczestników dyskusji, pisarze radzieccy, nie stawiając (w uwzględnieniu intencji!) znaku równości między różnego rodzaju przeciwnikami socrealizmu, winni ostro zwalczać wszelkie próby atakowania go bez względu na to, kto je podejmuje. Z tym większą siłą trzeba tłumić takie usiłowania, jeśli podejmowane są w środowisku pisarzy radzieckich, w którym — cytuję autorów referatu — „w ostatnich czasach zdarzały się wypowiedzi, oceniające dzieje literatury radzieckiej niewłaściwie i w ten czy inny sposób podające w wątpliwość osiągnięcia realizmu socjalistycznego, wzgl. usiłujące kierunek ten zredukować do pojęcia światopoglądu".

III Plenum Związku Pisarzy Radzieckich stało więc pod znakiem — jak wyraził się A. Surkow — „bitwy o realizm socjalistyczny." Na ogół wypowiedzi dyskutantów powtarzały znane już z poprzednich polemik argumenty natury politycznej. Rozważania teoretyczno-literackie (nb. dość nieliczne, gdyż w dyskusji przeważnie zabierali głos mało znani pisarze z pomniejszych ośrodków literackich) obracały się w sferze ogólników. Zaledwie jeden Polewoj przyznał, że nie każdą krytykę z zagranicy należy odrzucać. Powołując się na miliony uważnych czytelników książek radzieckich poza granicami ZSRR, na wielu przyjaciół literatury radzieckiej wśród pisarzy zagranicznych — Polewoj spodziewa się po nich sprawiedliwej oceny radzieckiej twórczości literackiej. „Krytykę mądrą, surową i życzliwą — mówił Polewoj — jakkolwiek byłaby ostra, powinniśmy aprobować, musimy się w nią uważnie wsłuchiwać." Zdaniem Polewoja — taką życzliwą krytyką odznaczają się wypowiedzi Aragona i niektórych pisarzy czechosłowackich. Bardzo ostro wystąpił Polewoj przeciw innym przeciwnikom realizmu socjalistycznego z krajów demokracji ludowej, głównie przeciw polskim i jugosłowiańskim. Przy okazji Polewoj zahaczył o twórczość literacką dwóch pisarzy (Marka Hłaski i Słowaka — Alfonsa Bednara) i ostro ją skrytykował.

III Plenum Związku Pisarzy w bilansie twórczości literackiej ostatniego roku uwzględniło również ważki proces przywracania czytelnikom radzieckim autorów i utworów, przez długie lata okrytych milczeniem. Sprawa rehabilitacji „prohibitów" i pisarzy dyskryminowanych wypływa ostatnio częściej na łamy prasy literackiej. W kwietniowym numerze miesięcznika *„Nowyj Mir"* G. Fisz w artykule *Na pierwszej linii* wymienia kilka przykładów takiej rehabilitacji. *Zmowa obojętnych* Jasieńskiego (wciąż uważanego za pisarza radzieckiego!), poemat P. Wasiliewa *Christolubowskie perkaliki*, nowela I. Katajewa *Pod czystymi gwiazdami*, reportaże M. Kolcowa, poezje L. Kwitko, utwory J. Oleszy itd. Prócz tych, już dokonanych, wznowień zapowiedziano ukazanie się w najbliższym czasie wyborów dzieł I. Babela, S. Tretiakowa, I. Katajewa, A. Wiesiołego itd. Procesem rehabilitacyjnym objęto także pewne przez długie lata nie wznawiane utwory pisarzy żyjących jak również rosyjskich pisarzy przedrewolucyjnych, jak np. uchodzącego za klasyka rosyjskiej prozy XX w. I. Bunina, L. Andriejewa i in. Ma się ukazać tom poezji M. Cwietajewej, wznawia się poezje B. Pasternaka (nb. na III Plenum znów przez niektórych silnie krytykowanego), A. Achmatowej i innych poetów, w minionym okresie skazanych na milczenie.

To wzbogacanie bieżącej twórczości pisarskiej utworami zrehabilitowanymi nie budzi co prawda w nikim zastrzeżeń, jednak i w prasie literackiej, i na III Plenum Związku Pisarzy podkreślano odrębność twórczości płynącej własnym nurtem, niezgodnym z powszechnie panującym realizmem socjalistycznym. Znamienna pod tym względem jest np. wypowiedź Surkowa na Plenum: „Nie wydaje mi się konieczne, aby nasza polityka wydawnicza utożsamiała się ze skłanianiem młodzieży piszącej do terminowania u tych mistrzów". Oczywiście, chodzi tu o pisarzy nie uprawiających realizmu socjalistycznego.

Pod znakiem walki z dogmatyzmem i schematyzmem stoi artykuł młodego leningradzkiego krytyka, A. Eljaszewicza, *Światło i cienie* („Zwiezda"

Nr 4/57), poświęcony problemowi literackiego odtwarzania postępowych i wstecznych przejawów życia, pozytywnych i negatywnych charakterów ludzkich. O tym, jak trudna jest sprawa odbicia światła i cieni, świadczy, zdaniem autora omawianego artykułu, fakt, że w ostatnich latach „ukazywały i ukazują się książki, w których ludzi radzieckich przedstawia się jako głupszych i mniej wartościowych, a naszą rzeczywistość — w monotonnych, ponurych barwach."

Jest to wynik błędnych, dogmatycznych przesłanek, głoszących, iż o ideowości jakiegoś utworu świadczy stosunek autora do stworzonych przez niego postaci negatywnych. Naprawdę zaś — ideowa postawa pisarza znajduje wyraz nie tylko w umiejętności demaskowania postaci negatywnych, ale w całkowitym odbiciu pełnej rzeczywistości. „Problem światła i cieni — pisze Eljaszewicz — to przede wszystkim zagadnienie światopoglądowe, klasowe."

Zagadnienie światła i cieni w utworze warunkują nie tylko same pomysły artystyczne, nie tylko tematyczne motywy dzieła literackiego, ale także specyfika danego gatunku literackiego. Rozkład światła i cieni w utworze — to nie sprawa schematycznej, arytmetycznej proporcji postaci negatywnych i pozytywnych, lecz dynamiczna treść walki między przejawami dobra i zła. W związku z tym pozostaje zagadnienie, z jaką siłą przemawiają do czytelnika te postaci, zarówno dodatnie, jak i ujemne; czy są dość żywo i plastycznie ujęte. Na przykładzie kilku utworów prozatorskich ostatnich lat Eljaszewicz udowadnia, że walka ze sztampą, ze schematycznym „pomniejszaniem" czy „uwznioślaniem" postaci pozytywnego bohatera jest paliatywem.

Pisarz realistyczny każdą postać widzi i ujmuje w dwóch wymiarach: 1) w aspekcie tego, co sama o sobie myśli, jak siebie samą widzi, 2) w pryzmacie otoczenia — jak ono ją widzi i jak ją sobie wyobraża. „Istotna prawda o człowieku — dochodzi do konkluzji autor *Światła i cieni* — rodzi się wyłącznie z zespolenia, jedności tych dwóch wymiarów. Lekceważenie spojrzenia człowieka na samego siebie powoduje nadmierną obiektywizację narracji; losy człowiecze, jego życie — odsłaniają się czytelnikowi jakby z olimpijskich szczytów: widzi je w boskiej poświacie, w kryształowej czystości."

Nie pozbawiona błędów i braków jest również druga jednostronność — uwypuklanie wyłącznie pierwszego wymiaru; zawęża to bowiem pole widzenia czytelnika. Podobnie traktuje Eljaszewicz widzenie rzeczywistości — w walce toczącej się między schematyczną skłonnością do lakierowania a pragnieniem jej „wycieniowania" widzi on dynamikę rozwojową literatury radzieckiej.

Podobnymi problemami zainteresował się B. Sołowjow w polemicznej *Śmiałości prawdziwej a rzekomej* („*Litieraturnaja Gazieta*" z 14.V), ostro potępiając to, że „niektórzy pisarze (bynajmniej ich niemało) uporczywie bronią jednostronnie krytycznej linii naszej literatury, wysuwając swój «mądry sceptycyzm» jako przejaw śmiałości i postępowości artysty".

Wypowiedź Sołowjowa pokrywa się z wieloma głosami, które padły w dyskusji na III Plenum w sprawie krytykowanych utworów demaskatorskich. Za powstawanie tego rodzaju utworów Sołowjow obwinia również i krytyków literackich, którym, jak pisze — „też nie starcza odwagi, by bronić zasad sztuki postępowej. Niektórzy krytycy, w obawie, by nie zaczepić tego czy owego pisarza, albo też, by nie uchodzić za «dogmatyków» (a tym wyzwiskiem szermuje się pod adresem ludzi inaczej myślących), nie tylko przechodzą obojętnie obok ujemnych zjawisk w naszej literaturze, zjawisk sprzecznych z duchem aktywności, optymizmu, ale często nawet je zachwalają jako rzekomo śmiałe i nowatorskie". Argumentacja dobrze znana.

Józef Spinc

Kingsley Amis należy do najpopularniejszych w tej chwili młodych pisarzy angielskich. Jego debiut powieściowy (*Lucky Jim — Jim szczęściarz*, London, Gollancz, 1954) doczekał się w ciągu trzech lat osiemnastu nakładów. Druga jego powieść (*That uncertain feeling* — w dosłownym przekładzie: „Nieokreślone uczucie", wydana tamże w 1955 r.) ma już czwarty nakład. Poczytność tę tłumaczy, jak się zdaje, w równej mierze talent satyryczny autora, jak też i fakt, że porusza zagadnienia pasjonujące widocznie bardzo czytelnika angielskiego. Nie darmo „lucky Jim" stał się dziś powszechnie używanym określeniem pewnego typu inteligenta angielskiego.

Akcja pierwszej powieści, *Lucky Jim*, rozgrywa się w angielskim środowisku uniwersyteckim. Jest to uczelnia prowincjonalna (w przeciwstawieniu do imperialnych, Oxfordu i Cambridge), jedna z tych, które, jak utrzymuje część prasy, produkują typowych „lucky Jimów". W społeczeństwie angielskim akcent, zasób słownikowy, frazeologia, w znacznie większym stopniu niż gdziekolwiek na świecie, określają pozycję towarzyską i społeczną człowieka. Oxford i Cambridge — jak to powszechnie wiadomo — są wylęgarniami angielskiej „warstwy rządzącej". Są to uczelnie kosztowne, niedostępne w zasadzie dla szarego obywatela, za wyjątkiem najzdolniejszych, mogących liczyć na państwowe lub prywatne stypendia. Ale też człowiek kończący jedną z tych uczelni zyskuje tytuł do wysokiej lokaty w hierarchii społecznej.

Absolwentom uczelni prowincjonalnych brak tego wszystkiego, a przede wszystkim brak im pieniędzy. Stąd ich bunt.

„Jim szczęściarz" nie wie, czy władze uniwersyteckie przedłużą mu kontrakt. Negatywna odpowiedź grozi mu zupełnie realnymi trudnościami. Decyzja leży w ręku profesora. Jim stara się pozyskać jego przychylność, bierze udział w kabotyńskich wieczorach muzycznych, będących „konikiem" jego przełożonego, zaleca się do histerycznej starszej panny, zaprzyjaźnionej z rodziną pana profesora, stara się obłaskawić panią profesorową i całe otoczenie. Nie udaje mu się.

Winą wszystkiego jest zachowanie się Jima. Popełnia jedną gaffę za drugą; jest po prostu źle wychowany. Śmiejemy się wprawdzie z niefortunnych przygód Jima, ale równocześnie odczuwamy zakłopotanie, jakie zawsze tego rodzaju zachowanie się „słonia wśród porcelany" wywołuje.

Zdaje się, że jesteśmy już blisko tego, co autor chce powiedzieć. „Ta porcelana nic nie jest warta, to są wszystko falsyfikaty." Angielska dulszczyzna, sprezentowana w powieści, miała być może jakieś uzasadnienie społeczne w wiktoriańskiej Anglii, lecz w tej chwili jest jedynie snobistycznym i bardzo brzydkim reliktem. Otóż w obu swych powieściach Amis zajmuje się głównie wojną przeciw p o z o r o m. Nie jest to zresztą wojna zbyt surowa, w naszych kategoriach określilibyśmy ją raczej jako potyczkę. Gdy Jim już wszystkich poobrażał i ośmieszył, gdy „zdemaskował" snobizm i obłudę, sprowadzając zdawałoby się na swą głowę nieuniknioną klęskę, pojawia się szczęśliwe zakończenie w postaci bogatego pana, który go wyciąga z opresji.

Jest to człowiek rozumny, który od razu odczytuje w sposób właściwy niefortunne zachowanie się Jima jako bunt przeciwko otoczeniu.

Postawa Amisa to świadoma ucieczka od utopii. Amis wyraził to w pamflecie *Socialism and Intellectuals* (Fabian Tract 304). Niezdarnie napisany, ale szczery, może być uważany za pierwszy manifest literacki apolityczności epoki. Amis oświadcza w nim, że uważa politykę za nudziarstwo i fakt, że głosuje za Labour Party, jest rodzajem odruchu warunkowego.

Według niego intelektualiści zawsze wybierali sobie sympatie polityczne kierując się temperamentem.

W latach trzydziestych inteligencja angielska była lewicowa. Auden, Spender — najwybitniejsi poeci tego okresu — pisali wówczas wiersze niemal rewolucyjne. Orwell, autor *Roku 1984*, był żołnierzem republikańskiej Hiszpanii. Najmłodsze pokolenie pisarzy angielskich w skomplikowany sposób przetrawiło swoje doświadczenia historyczne. Bohaterowie Amisa, tropiąc i zwalczając wady swego społeczeństwa,

nie zajmują się polityką. Nie ma jej w ogóle w jego powieściach.

Pisarzom tym nadano w prasie miano, będące odpowiednikiem naszych „pryszczatych" *(the angry young men)*. Obarcza się ich wszelkimi grzechami, a przede wszystkim jałowym krytykowaniem własnego społeczeństwa. Obroną przed tymi zarzutami jest zarówno wspomniana już wyżej broszura Amisa, jak też artykuł Johna Waina, również do tej grupy zaliczanego młodego pisarza, wydrukowany niedawno w poważnym miesięczniku angielskim *„The Twentieth Century"*.

Zdaniem Waina źródłem kryzysu, jaki przeżywa Anglia, jest przemieszczenie się ośrodka świata anglosaskiego z Londynu do Nowego Jorku. Anglia stała się prowincją obarczoną olbrzymim dziedzictwem kulturalnym, z którym nie bardzo wie co zrobić. Nieumiejętność powiązania tego dziedzictwa z życiem współczesnym prowadzi do infiltracji amerykanizmu. Stąd analogia z Grecją i Rzymem. A jednak, jak sądzi Wain, społeczeństwo angielskie tego nie chce; umiejętne przekształcenie całego życia angielskiego, bez gwałtownego zmieniania tego, co stanowi istotę jego struktury państwowej i społecznej, może doprowadzić do stworzenia antidotum. To właśnie jest głównym zadaniem angielskiej inteligencji — stwierdza, cytując na zakończenie słowa Cromwella: „Budowanie szpitali jest opieką nad ciałem ludzkim, budowanie świątyń materialnych uchodzi za rzecz nabożną; lecz tylko ci, którzy dostarczają dóbr duchowych, ci, którzy budują świątynie ducha, ci są zaprawdę ludźmi miłosiernymi".

Deklaracje polityczne pisarzy przytoczone w tej krótkiej notatce są ciekawe jako komentarz do ich twórczości. Są to ludzie młodzi. Ich następne książki powiedzą nam, w jakim kierunku twórczość ich będzie się rozwijała. Wydaje się jednak rzeczą celową zwrócenie uwagi na zjawisko niewątpliwie poważne, jakie grupa „wściekłych" stanowi we współczesnej literaturze angielskiej.

Henryk Krzeczkowski

O SYTUACJI PISARZY W NRF

Nędza pisarzy — tak zatytułował swój artykuł Karl v. Böttscher w czasopiśmie zachodnio-niemieckim *„Frankfurter Hefte"*.

Artykuł napisany w formie rozmowy różnych przedstawicieli świata pisarskiego, rzuca światło na sytuację materialną pisarzy w NRF. Rozmowa dotyczyła wydawców, którzy niewiele okazują troski o swoich autorów, wydawców gazet, którzy podwyższają swe zyski przede wszystkim kosztem honorariów autorskich. Podkreślano, że o tematyce decyduje prymat sensacji, prymat tego wszystkiego, co zaspokaja niskie instynkty tysięcy czytelników, a co, wbrew zdrowemu rozsądkowi, jest najlepiej opłacalne. Wierszówka wynosząca 30—40 fenigów od wiersza jest już wysoka, płacą tak tylko niektóre gazety, i to rzadko. O ileż więcej jest takich, których górną granicą jest 20 fenigów, a przeważnie 15, a nawet 10 od wiersza.

Cóż to znaczy? To znaczy, że dziennikarz, pisarz skazany jest na głodowanie, jeśli nie chce robić rzeczy, którymi się brzydzi. Zdarzają się oczywiście wydawcy o szerszym geście, żądają jednak wyłączności, przy czym umowa i tutaj nie jest pewna: płacono np. zgodnie z umową i nienajgorzej do r. 1953, po czym nagle i niespodziewanie honoraria zostały zmniejszone o połowę.

Kontakty i współpraca z przemysłem? Często jest bardzo zachęcająca, warunki lukratywne — ma jednak swoje poważne ale. Pisarz jest wykonawcą zamówienia, które wykonać musi zgodnie z żądaniami klienta, nawet jeśli to jest wbrew jego sumieniu. Pisarz sprzedaje się, sprzeniewierza się sobie, a jeśli nie uważa strajku za przestępstwo przeciwko normalnemu rozwojowi gospodarczemu, za zakłócenie porządku publicznego — autor czy autorka, jak to było w przytoczonym wypadku, traci zamówienie, nie otrzymując oczywiście

honorarium za wykonaną pracę. Z dużymi oporami i ociąganiem się zwrócono jej część poniesionych przez nią kosztów. Westchnienia do czasów, kiedy to rola mecenasa sztuki okazywała się pomocna i celowa, łączyły się z ubolewaniem, że państwo w Bonn tej roli nie chciało odgrywać. Świadczą o tym podatki ustalane bez dokładnej znajomości warunków świata pisarskiego oraz specyfiki jego pracy. Kogo bowiem obchodzi codzienny, żmudny trud pisarski, za który pod koniec miesiąca otrzymuje się jakąś — jakże często! — śmieszną i niewspółmierną do wysiłku sumkę? Zestawienie ze wspaniałą koniunkturą gospodarczą wręcz żenujące. Pisarz nie jest w stanie zapłacić podatków, gdyż nawet pójście na sensację, co staje się rzeczą nagminną, nie zapewnia minimum egzystencji. Czego tknąć — we wszystkich działach pracy ludzi pióra — wszędzie to samo. Dla przykładu: recenzja teatralna od 12 do 20 marek (co najmniej sześć godzin pracy), recenzja książek tak samo 12 — 20 marek, a przecież ani jedno, ani drugie nie zdarza się co dzień. I to wszystko — twierdzi jeden ze starszych uczestników rozmowy — jest owocem pięcioletnich studiów uniwersyteckich, 25-letnich doświadczeń pisarskich. Jedyną nadzieją, jaka pozostaje, jest nadzieja, że rząd obroni świat pisarski przed wyzyskiem — nie wyłączając oczywiście wyzysku podatkowego. Nawiązując do tego doświadczenia opowiada o swoich kolejach powieściopisarka, która przez kilka lat obserwowała życie w szpitalu, by napisać powieść. Plon czterech lat pracy wyniósł 14 000 mk, około 3 500 mk rocznie, około 300 mk miesięcznie. Podatek dochodowy i podatek obrotowy pochłonął to, co miało umożliwić dalszą pracę. Wnioski?

Sprawa najbardziej paląca — to sprawa podatków, ich niepomierna i niczym nie usprawiedliwiona wysokość. Sprawa druga — ubezpieczenie na starość. Jako uzupełnienie tej rozmowy przytacza autor artykułu pewne dane statystyczne. W NRF istnieje kategoria „artyści i pisarze". Obejmuje 19 500 osób. Większość — około 13 000 — zarabia na chleb pisarstwem. Pozostali to artyści teatralni, kompozytorzy i plastycy. Tytuł artykułu *Das Elend der Schriftsteller* świadczy o tym, że pisarze nie uzyskali przeciętnej stopy życiowej, która została osiągnięta w NRF. Co gorsza: sytuacja ich nie tylko nie ulega poprawie, lecz pogarsza się. Według danych statystycznych za rok 1954 — 16 000 osiągnęło przeciętnie 3 245 marek rocznie, miesięcznie 270 marek; 1 800 osób przeciętnie 13 280 marek rocznie, miesięcznie 1 107 marek; 800 osób — przeciętnie 29 584 mk rocznie, miesięcznie 2 465 mk. Wchodzą tutaj dobrze sytuowani artyści i dramaturgowie, artyści filmowi. Ludzie pióra na pewno nie należeli do tych, których roczny dochód przekraczał 50 000 mk.

Światło na całokształt sprawy rzucają również takie źródła, jak np. ankieta zorganizowana przez berliński związek pracowników prasy w r. 1954. Odpowiedziało na ankietę 43%, czyli ci oczywiście, których sytuacja była ciężka. Niemniej wynik był niepokojący. Na ogół 71% mężczyzn żeni się poniżej lat 30, spośród świata pisarskiego — 47%. Jednym z czynników, na pewno nie jedynym i nie wyłącznym, jest nie ustabilizowana sytuacja życiowa. Z urlopu korzystać może mało kto. Własny księgozbiór, maszyna do pisania czy telefon to przywileje nielicznych. Dalsze dane ankiety stwierdzają z niemiecką pedanterią: do 29 roku życia zarabiają ludzie pióra około 470 mk miesięcznie; od 30 do 45 — 501 mk, od 46 do 60 — 494 i powyżej lat 60 — 431 mk. Sytuacja kobiet przedstawia się gorzej. Młodsze — 350 mk miesięcznie, powyżej lat 60 — 267 mk.

Cóż znaczą te cyfry? Możliwości powyżej lat 45 zmniejszają się, chociaż doświadczenie, wiedza, dojrzałość powinny być raczej okresem żniw. Przyczyny? Nadmiar sił, zwłaszcza w dziennikarstwie, nieproporcjonalnie niskie zarobki, niewspółmierne podatki, brak ubezpieczeń.

Czy nędza pisarzy może minąć? Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Społeczeństwo nie rozumie bowiem zadań i doli pisarza, brak jest również instytucji, która byłaby wyrazem solidarnej postawy świata pisarskiego i broniła jego interesów.

Wnioski końcowe: polityka dotycząca honorariów, nakładów, kontroli nakładów musi ulec zasadniczej zmianie. Musi nastąpić jakaś stabilizacja społeczna, która, jak dotąd, dotyczy wszystkich poza pisarzami. Musi zajść zasadnicza zmiana w sprawie prawa autorskiego, które obowiązuje niezmiennie od roku 1901.

Należy zrewidować ustawę o wygaś-

nięciu po latach 15 praw autorskich, które przechodzą w ten sposób na rzecz wydawcy. Można by również zastanowić się nad sprawą tzw. „Autorenpfennig". Jako wzór mogą służyć Norwegia, Dania i Szwecja, gdzie w abonament czytelniczy wlicza się dodatkowe trzy „grosze" od każdej książki. Dwa otrzymuje autor, jeden idzie na fundusz ubezpieczeń na starość.

Według obliczeń, w NRF w r. 1955 wypożyczono 6.000.000 książek. Dałoby to fundusz nie do pogardzenia, zwłaszcza jeśli chodzi o ubezpieczenia.

Słyszy się powszechnie: „nie samym chlebem" — konkluduje autor artykułu. Potrzebny jest duch. Duch jednak też nie może obyć się bez chleba, a przecież dotąd każe mu się głodować. Sytuacja świata artystycznego jest opłakana; na tle powszechnego dobrobytu to objaw zaiste niepokojący.

Barbara Rafałowska

CRICOT 2

A jednak — jest to fakt empirycznie sprawdzalny — teatr „Cricot 2" żyje i w tej chwili przygotowuje trzecią premierę. W kraju debiutantów jest to sukces nie lada, zwłaszcza że plastycy krakowscy, którzy ten teatr stworzyli, zdani są na własne siły. Na własną inwencję artystyczną i komercyjną.

Drugi program nie dorównuje pierwszemu. Nie łatwo dublować Witkiewicza. Wystawienie *Mątwy* po przeszło dwudziestoletniej banicji tego wielkiego reformatora teatru jest wielką zasługą Tadeusza Kantora i współpracujących z nim artystów i aktorów.

Nie wiem, czy Witkacy bardzo byłby zadowolony z inscenizacji swej sztuki w teatrze „Cricot 2". Nie sprawdzałem także, czy *Mątwa* realizuje „Czystą Formę", faktem jest, że w krakowskiej realizacji scenicznej nie było zalecanej konstrukcji elementów „nie uwarunkowanej w swej konstruktywności żadnymi życiowymi i logicznymi prawami". Sukces sztuki — o klęsko! — opierał się nie tylko na jej głębokim sensie filozoficznym, ale także w dużej mierze na nie przewidzianej aluzyjności politycznej. Hyrkana IV — postać, w którą Witkiewicz wcielił „hyrkaniczne pożądanie władzy" i brutalny pragmatyzm — ubrała twórczyni świetnych kostiumów, Maria Jaremianka, w strój eskhumowanego SS-mana, wbrew wskazówkom Witkacego, który widział Hyrkana bajkowo, ahistorycznie, w purpurowym płaszczu, w hełmie z pióropuszem i z mieczem w ręku.

Dla widza, który oglądał *Mątwę* w maju 1956 roku, Hyrkania, czyli kraj, gdzie paru nieomylnych przeżywa orgię władzy nad społeczeństwem, to jest „jedną wielką kupą rozproszonych bydląt", to nie była abstrakcja ani, niestety, utopia. Gdy ze sceny padały słowa o Syndykacie Ręcznie Malowanego Paskudztwa, który spalił obrazy bohatera sztuki — wyklęci malarze patrzyli sobie w oczy i kiwali głowami.

Siła teatru Witkiewicza nie polega tylko na eksperymentach „Czystą Formą" i na pasji w burzeniu konwencji dramatycznych budowanych w związkach logiczno-życiowych. Widać to bardzo wyraźnie dziś na tle teatru Ionesco czy Samuela Becketta. W odróżnieniu od tamtych, z których sztuk wynika pewien sens ogólny (np. życie jest czekaniem), dramat Witkiewicza jest w ścisłym tego słowa znaczeniu filozoficzny, gdzie głównym elementem akcji jest proces intelektualny, starcie tez i antytez, stawianie problemów i próba ich rozwiązania przy pomocy argumentów, a nie psychologii czy przebiegu zdarzeń. To dlatego walczył Witkiewicz z dramatem naturalistycznym, że prowadził on do banalnej formuły w stylu: życie jest dziwne i skomplikowane. Zwiększenie zawartości intelektualnej dramatu, intensywniejsze życie treści kazały autorowi szukać nowych form wyrazu. Wystarczy prześledzić którykolwiek z dialogów (np. Juliusza II z Bezdeką o stosunku sztuki do prawdy), aby stwierdzić, że isto-

tne węzły dramatyczne to są problemy i że akcja polega na ostrzeliwaniu tych problemów przez różne stanowiska filozoficzne, a nie na perypetiach osób, które w końcu giną, a na scenie pozostają nie rozwikłane zagadki i prowokujące tajemnice.

Czym są postacie *Mątwy*? Ideami w kostiumach? Nie tylko, to byłoby zbyt jałowe. Poruszałyby się po scenie bezszelestnie i nie miałyby tego właściwego Witkiewiczowi wigoru i naturalistycznego (tak!) mięsa. Są to zatem idee, filozofie plus wydedukowane z nich konwencje praktyczne. A więc Juliusz II jest estetą, a co za tym idzie relatywistą i liberałem, Paweł Bezdeka — poszukiwaczem absolutu, *ergo* człowiekiem, którego nie może nakarmić sztuka, Hyrkan wyznaje pragmatyzm, jest zatem totalistą.

Reżyser Tadeusz Kantor i twórczyni kostiumów, Maria Jaremianka, wzbogacili sztukę świetną oprawą plastyczną i kapitalnymi pomysłami inscenizacyjnymi (np. wujowie zrośnięci jak bulwy, ustawienie głosu Hyrkana). Przedstawienie było tryumfalnym powrotem (?) Witkacego na scenę.

Drugą sztuką była ładna pantomina Kazimierza Mikulskiego, nazwana chyba przez przekorę *Studnią czyli głębią myśli*, bo tak po prawdzie wyciągnąłem z niej jeden morał: nie należy tolerować sklepów magicznych.

W drugim programie niewątpliwie najbardziej interesujące są kineformy Andrzeja Pawłowskiego. Ekran ukazuje ruch biało-czarnych form, które wirują, nasycają się światłem, wzbogacają, opadają, więdną. Ten nowy abstrakcyjny balet jest prostym wynalazkiem Pawłowskiego, który w zwykłej magicznej latarni porusza proste elementy. Efekty, jakie osiąga, każą oczekiwać, że kineformy — „coś" pośredniego między malarstwem abstrakcyjnym a muzyką — mają przed sobą przyszłość, jeśli Pawłowski wzbogaci swe środki. Dotychczasowe filmy mają dość jednostajny i — rzekłbym — sentymentalny rytm walców; gdyby dało się zastosować wyraźniejsze, bardziej kanciaste, synkopowe podziały rytmiczne, podkład muzyki nowoczesnej, a zwłaszcza konkretnej, byłby bardziej uzasadniony.

Sztuka Kazimierza Mikulskiego *Cyrk* jest w istocie dość prościutką i naprawdę sentymentalną historią. Zbankrutowany dyrektor cyrku, Franciszek, robi na drutach i hoduje kanarki w zegarze. W czasie próby zręczności zostaje zabity nożem przez emerytowanego clowna, Augusta, i to niestety przed spożyciem kaczki długo i troskliwie przygotowywanej przez żonę. Oczywiście takie streszczanie jest głupawe, ale chodzi mi o wykazanie, że *Cyrk* ma anegdotę sentymentalną, z lekka przyprawioną nadrealizmem. Natomiast reżyser Kantor usiłował wydobyć niesamowitości i jady, których w sztuce nie masz, ach nie masz. W efekcie *Cyrk* został zjedzony przez reżysera bez reszty razem ze słabymi chrząstkami tekstu. Bo ten teatr, interesujący i naprawdę twórczy, pełen wybujałej inwencji inscenizacyjnej, nie jest stworzony do sztuk tego typu. Próbę „Cricotu" znoszą tylko autorzy dramatów z filozoficznym mięsem. Sprawdziło się to na Witkacym i mam nadzieję, że sprawdzi się to na zapowiedzianym Gombrowiczu — którego prapremiery oczekujemy z zainteresowaniem.

Zresztą „Cricot" nie może być oceniany miarą normalnych teatrów dramatycznych, wyłącznie na podstawie inscenizacji dramatów. Pamiętajmy, że jest to scena awangardowa, laboratorium form, pomysłów, szkiców. Co prawda nie widać fabryk, dla których to laboratorium pracuje. Czekajmy, może już rosną.

Z. H.

NOWY LAUREAT FRANCUSKIEJ PAŃSTWOWEJ NAGRODY LITERACKIEJ

W roku 1951 stworzono we Francji Wielką Państwową Nagrodę Literacką (Grand Prix National des Lettres), przyznawaną dorocznie przez Sekretariat Stanu dla Spraw Literatury i Sztuki. Stanowi ona obecnie najwyższe francuskie odznaczenie literackie; jej prestiż jest tym większy, że w latach ubiegłych otrzymali to odznaczenie pisarze i filozofowie o dużym autorytecie: Alain, Valéry Larbaud, Henri Bosco, André Billy, Jean Schlumberger i Alexandre Arnoux.

W roku obecnym jury powołane

przez premiera składało się z następujących pisarzy: Mauriac, Maurois, Cain, Dorgelès, Gandon, Henriot i Kempf. Przewodniczył Jacques Jaujard. To jury, po długich debatach, przyznało tegoroczną nagrodę w kwocie 500.000 franków — pisarzowi i uczestnikowi Ruchu Oporu w czasie wojny, cudem ocalonemu z obozów koncentracyjnych w Neuengamme i Bergen-Belsen, Ludwikowi Martin-Chauffier.

Martin-Chauffier urodził się 24 sierpnia 1894 w Vannes (Bretania). Ojciec wychował go w kulcie Chateaubrianda; *Les Martyrs* i *Mémoires d'outretombe* były jego lekturą od dwunastego roku życia. Zaczytywał się potem moralistami i — Gide'em. Mając lat 20, zapalił się do J. J. Rousseau. W roku 1919 oczarowała go lektura Prousta. Pod silnym wrażeniem *A l'ombre des jeunes filles en fleurs* napisał swój pierwszy *List apokryficzny* i wysłał Proustowi. Autor *A la recherche du temps perdu* zaprosił go do swego domu. Od tej chwili Martin-Chauffier poświęcił Proustowi wiele studiów i artykułów. Jeden z największych esejów o Prouście, pisany podczas wojny, pt. *Ma patrie la langue française*, znajdzie się na czele nowego tomu, który wydaje laureat tegorocznej nagrody literackiej. Kontynuuje on też swoje pamiętniki. Ostatni tom, który ukaże się za rok, będzie dotyczył lat 1945—1955 i nosił tytuł *Dix ans de sursis*.

Martin-Chauffier jest także powieściopisarzem. Podczas okupacji należał do założycieli Comité National des Ecrivains.

W. N.

WSPÓŁCZESNA PLASTYKA JUGOSŁOWIAŃSKA

Jedynym sensownym sposobem pisania o wystawach jest analiza poszczególnych obrazów i powściągliwe wnioski ogólne. Niestety jest to nużące zarówno dla czytelnika, jak i dla recenzenta. Niesposób przy tym nie wpaść w schemat: malarz X. w swojej *Martwej naturze* dał interesujące zestawienie czerwieni i zieleni... malarz Y., którego *Kompozycja 5* posiada logicznie bezbłędną konstrukcję... itd. Pisząc o sztuce jugosłowiańskiej chciałbym odstąpić od tego szablonu, a to z następujących względów:

Wystawa uderza wspólnym tonem. W pamięci zwiedzających pozostają nie tylko poszczególne obrazy, ale atmosfera całości, mocne wrażenie ogólne. Jest to chyba zjawisko wyjątkowe i godne analizy. Nie wiem, czy jest ono wynikiem określonego typu wrażliwości plastycznej, siły tradycji czy raczej wspólnego punktu wyjścia z określonych ściśle pozycji malarstwa nowoczesnego, dość że Jugosłowianie, nie stanowiąc szkoły, są na niebie sztuki europejskiej konstelacją wyrazistą. Dzięki temu ich wystawa nie przypomina w niczym wystaw reprezentujących jakiekolwiek inne narody europejskie, gdzie przyzwyczailiśmy się spotykać jak w arce Noego po parze postimpresjonistów, kubistów, nadrealistów, abstrakcjonistów i taszystów.

Malarstwo jugosłowiańskie jest nowoczesne, antydziewiętnastowieczne, antynaturalistyczne, a nawet antyimpresjonistyczne. Jeśli koniecznie trzeba szukać analogii i źródeł, wywiódłbym je z fauvizmu. Ale porzucając formułki, przede wszystkim jest ono pełną wigoru opowieścią o słońcu i ziemi, wielką kolorową afirmacją widzialnego świata. Kolor, kolor i jeszcze raz kolor, mięsisty, materialny, podany w śmiałych, świetnie zrównoważonych płaszczyznach.

Poziom wystawy jest bardzo wysoki i bardzo wyrównany, tak że trudno wyłowić nazwiska malarzy, którzy najgłębiej utkwili w pamięci: Lubarda, Vujakliji, Milonovic'a, Motiki, Stupicy.

Trzeba podkreślić, że sympatia, jaką budzą jugosłowiańscy malarze pokazani w warszawskiej „Zachęcie", jest natury estetycznej, a nie wynika z racji stanu.

zh

NOWA POWIEŚĆ FAULKNERA

Szpalty amerykańskiej prasy literackiej wypełnione są krytycznymi rozważaniami o najnowszej powieści Faulknera, której tytuł brzmi: *Miasto (The Town)*.

Miasto, podobnie jak inne utwory

Faulknera, opisuje życie południowych stanów Ameryki. Książka dotyka, *mutatis mutandis*, problemu znanego nam z *Buddenbrooków* Tomasza Manna: zagłady patriarchalnych rodów mieszczańskich i form społecznych, ginących pod ciosami nowej, nie przebierającej w środkach i wyzbytej skrupułów burżuazji. Ducha konkwistadorów pieniądza i występku ucieleśnia w powieści Faulknera rodzina Snopes'ów, która zdobywa na południu powodzenie i władzę.

Galerię rodzinki otwiera stary Snopes, złośliwa kreatura, który sadzi na swojej fermie melony tylko po to, by móc ciskać kamieniami w zakradających się na pole chłopaków. Jego syn, Flem (główna postać książki), jest godnym dziedzicem wszystkich wad ojcowskich. Rozpoczyna karierę jako subiekt sklepowy, a potem dorabia się pieniędzy za pomocą podstępów, oszustw i okradania swoich krewnych. Flem przenosi się ze wsi do miasta Jefferson, gdzie zostaje prezydentem banku, co jest niemałą zasługą jego żony, która swoimi wdziękami uzyskuje poparcie burmistrza.

A oto pozostali Snopes'owie: kuzyn Flema był nawet w Paryżu i przyw.ózł stamtąd kolekcję pornograficznych zdjęć, które pozwala oglądać za opłatą; inny Snopes jest urzędnikiem w banku i zdobywa w mieście rozgłos jako malwersant; inny znowu siedzi w więzieniu za morderstwo. Przy końcu powieści pojawia się na widowni młoda generacja Snopes'ów: złodzieje, nożownicy i rwacze.

Faulkner opisuje rozbicie patriarchalnego ustroju przez klan Snopes'ów z humorem, zjadliwym sarkazmem i... melancholijną rezygnacją. Stary świat znika, stare rodziny Sartorisów, Compsonów, McCaslinów (a więc i Faulknerów) rozpadają się w proch i pył, przyszłość należy do Snopes'ów, którzy niszczą, co po drodze spotkają.

Krytyka amerykańska uważa *Miasto* za najlepsze dzieło Faulknera ostatnich dwudziestu lat. Czy jest to tylko książka o Południu? Nowojorski krytyk Zoff odpowiada na to pytanie: „Wydaje się nam, że jest to książka o neurozie całego zachodniego świata. Snopes'owie to termity naszego świata".

r.

LIRYKA SZWAJCARSKA

O poetach szwajcarskich piszących po niemiecku mówi w *„Texte und Zeichen"* (Nr 12/1957 Zeszyt drugi) Hans Rudolf Hilty w artykule pt. *Homo ludens im Haus zum Schweizerdegen*. Wymienia nazwiska: Ursa Martina Struba, Erwina Jaeckle'a, Alexandra Xawera Gwerdera, Rainera Brambacha, Kuno Raebera, poetów, którzy zdobyli czytelnika niemieckiego. Zdobyli go, zdaniem autora artykułu, dopiero teraz, ponieważ nową poezję naszych czasów traktuje się na ogół w Szwajcarii jako zjawisko marginesowe, dalekie od „zdrowej" literatury szwajcarskiej. W literaturze szwajcarskiej — kontynuuje autor — daje się zauważyć wpływ wczesnego zetknięcia się z europejską moderną oraz wpływ homeopatycznej dawki walki przeciwko literaturze nazistowskiej. W czasie pierwszej wojny światowej i w latach późniejszych Szwajcaria udzieliła azylu wielu pisarzom, którzy stanowili czołówkę prądów duchowych swego czasu. Była przy narodzinach dadaizmu. Kawiarnia „Odeon" i wioska Ascona w kantonie Tessin były w dwudziestoleciu miejscem spotkań europejskiej awangardy. *„Neue Schweizer Rundschau"* 1925—1931, redagowany przez Maxa Rychnera, zapoznawał Szwajcarów mówiących po niemiecku z literaturą ówczesnej Francji i Anglii.

Rainer Maria Rilke, Stefan George, Georg Kaiser, Hugo i Emmy Bell, Robert Musil, Alfred Mombert, Thomas Mann zakończyli swój żywot w Szwajcarii, a współczesna liryka szwajcarska kłóci się z mitem o idyllliczności literatury szwajcarskiej.

Homeopatyczna dawka walki przeciw nazizmowi, twierdzi Hilty, polegała na tym, że przeciwstawiono nazizmowi — zdrowe, elementarne siły ludu, Germanom — Almanów. Bryłowaty realizm z ciągotami do patosu naiwności charakteryzował i charakteryzuje literaturę szwajcarską po dziś dzień — kontynuuje Hilty. A więc z jednej strony podstarzała moderna, z drugiej ojczysta gleba almańskiej prostoty. W ten sposób — twierdzi autor artykułu — można się rozkoszować niezakłóconym spokojem, w ten sposób można się nie interesować głosami młodego pokolenia, nie wsłuchiwać się w te głosy z ciekawością i powtarzać w kółko, że

te eksperymenty są już znane od trzydziestu lat...

Młode głosy zaś — mówi Hilty — wypowiadają się w *„Hortulus"* — *Zeitschrift für neue Dichtung* — często brzmią jeszcze niepewnie, często mają już jednak swój wyraźny ton.

Młodzi nawiązują do poetów średniego pokolenia, takich, jak Max Frisch, zuryski liryk Erwin Jaeckle i jego, jak twierdzi autor artykułu — fascynujący tom *Gedichte aus allen Winden* oraz mający się ukazać tom *Glück in Glas*.

O programie tej nowej nowoczesności mówią cytowane przez Hilty'ego sformułowania Erwina Jaeckle'a (z przedmowy): „Nowy wiersz — to młody, wiążący rytm". „Nowy wiersz to »droga łaski pozbawionego łaski« *(Heilsweg des Heillosen)*".

Nonkonformizm w stosunku do cieszącej się swym „zdrowiem" literatury szwajcarskiej — to cecha młodej liryki — konkluduje Hilty. Niestety, odchodząc od analizy, Hilty mówi raczej o istocie poezji w ogóle niż konkretnie o twórczości samego Jaeckle'a.

B. R.

ROZWAŻANIA I LISTY HESSEGO

Hermann Hesse, znany w Polsce przede wszystkim jako autor *Wilka stepowego* (niestety, po wojnie dotychczas nie wznowionego), ukończył osiemdziesiąty rok życia. Największy z obecnie żyjących pisarzy niemieckich obchodził swój biblijny jubileusz w Szwajcarii, której mieszkańcem jest od roku 1919, a obywatelem od roku 1923.

Wydawca Hessego, Peter Suhrkamp, uczcił osiemdziesięciolecie jego urodzin wydaniem tomu zawierającego *Rozważania i listy (Betrachtungen und Briefe)*. Jest to pierwszy tom inaugurujący serię esejów, szkiców, artykułów krytycznych i publicystycznych, wreszcie korespondencji w ramach zbiorowego wydania pism autora *Demiana*.

Pierwszy zbiór publicystyki Hessego wyszedł w roku 1928 pod tytułem *Rozważania* i zawierał między innymi słynną odezwę *O Freunde, nicht diese Toene!*, wzywającą intelektualistów Europy do rozsądku i przeciwdziałania groźbie nowej wojny. Ten sam tom, powiększony o artykuły pisane w czasie drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu, ukazał się pod tytułem *Wojna i pokój* w roku 1946. Publicystyka Hessego obejmowała również świetne szkice o pisarzach, twórczości literackiej, w tym prace o Goethem, Hoelderlinie, Dostojewskim, Balzaku, o *Artystach i psychoanalizie*, i uroczą impresję *O czytaniu książek*.

Obecne wydanie, drukowane na bibułkowym papierze i liczące blisko tysiąc stron, zawiera pełny tekst *Rozważań* (1928), *Wojny i pokoju* (1946) oraz listów, których część była już drukowana w roku 1951. Ponadto weszły tutaj listy i kartki z dziennika publikowane w tomie *Zaklęcia (Beschwoerungen)* w roku 1955 oraz luźne prace, w szczególności rozprawka o Kafce, ukończona w ubiegłym roku.

Materiały *Rozważań i listów* są uszeregowane chronologicznie. Niezwykle cenne i ciekawe są przede wszystkim karty książki o charakterze wspomnieniowym. W całym tomie odbija się kilka epok europejskiej kultury, obejmujących blisko sześćdziesiąt lat.

rk

WSPÓŁCZESNY MECENAT

Ilustracją dobrych manier współczesnych dyktatorów może być przypadek portugalskiego dramaturga, Henrique Galvao. Galvao, były oficer armii portugalskiej, oddał poważne usługi Salazarowi w okresie jego walki o władzę i zajmował wysokie stanowisko w portugalskiej służbie kolonialnej. Kiedy jednak po powrocie do kraju jako członek Zgromadzenia Narodowego zaczął występować z oskarżeniami przeciw nadużyciom administracji kolonialnej, kariera jego szybko się skończyła. Wkrótce wytoczono mu proces o zdradę i w marcu 1953 roku zamknięto go. Na rozprawie apelacyjnej sędziowie byli uosobieniem kurtuazji i tolerancji. Zwracając się do oskarżonego tytułowali go „Jego Ekscelencja" i pozwalali na wygłaszanie rewolucyjnych tyrad, naszpikowanych cytatami w rodzaju: „Kiedy dyktatura jest faktem, rewolucja staje się

prawem" (Wiktor Hugo). Galvao bronił się twierdząc, że plan szczegółowego spisku znaleziony w jego papierach był szkicem sztuki, nad którą pracował. „Nie zaprzeczam — mówił — że zarówno ja sam, jak tysiące patriotów portugalskich nie jesteśmy zadowoleni z obecnego rządu, ale marzenia a działanie to dwie różne rzeczy." Sąd okazał pełne zrozumienie i skazał marzyciela na 3 lata więzienia. Przyłapany na próbie wyłamania krat Galvao oświadczył, że „trzeci akt tego dramatu nie został jeszcze napisany". Wkrótce potem po kraju zaczął kursować polityczny pamflet, atakujący reżim Salazara. Znawcy rozpoznali styl Galvao. Pisarz, którego kara kończyła się we wrześniu 1956 roku, został ponownie oskarżony, tym razem „o nadużycie prasy i obrazę władz", i zatrzymany w więzieniu. Widocznie Galvao jest w trakcie zmieniania planu swej sztuki, zrzekł się bowiem obrońcy i w ogóle wzięcia udziału w mającym się odbyć procesie. Być może doszedł do przekonania, że w tych ciężkich czasach mecenat państwowy, z wiktem i opierunkiem, to jednak dla pisarza rzecz nie do pogardzenia.

at

MINISTER I PISARZ

Minister spraw zagranicznych Niemieckiej Republiki Federalnej, von Brentano, pozwolił sobie na nie lada nikczemność wobec jednego z najwybitniejszych pisarzy Niemiec i współczesnej Europy, Bertolta Brechta. Kiedy socjaldemokratyczni posłowie, Kahn i Ackermann, w dniu 9 maja zaprotestowali w Bundestagu przeciwko odmówieniu subwencji teatrowi z Bochum na wyjazd do Paryża z *Operą za trzy grosze* Brechta, von Brentano odpowiedział: „Panowie byli zdania, że Brecht jest jednym z największych dramatopisarzy świata. Można nad tym dyskutować. Ja jednak jestem zdania, że późna liryka pana Berta Brechta da się porównać tylko z liryką Horst Wessela".

Brecht jest grany w całym świecie, a także w Niemieckiej Republice Federalnej. *Opera za trzy grosze* odniosła niezwykły sukces w ubiegłym roku w mediolańskim „Piccolo Teatro", w Paryżu, Londynie, a inscenizacja teatru w Bochum, jednej z najlepszych scen niemieckich, zyskała duży rozgłos i entuzjastyczne pochwały krytyki. Popularność Brechta jest w Niemczech Zachodnich tak wielka, że martwi to niektórych polityków, którzy chcieliby zaćmić sławę pisarza. Brentano, niepomny tego, że dziś jest ministrem, a jutro nim może nie być, uznał za stosowne zakwestionować wartość moralną pisarza, zapominając, że Brecht dziś i zawsze w literaturze niemieckiej pozostanie.

Jak z historii wiadomo, niemieccy mężowie stanu nieraz zabierali głos w sprawach literatury i — zawsze się ośmieszali. Znamy idiotyczne sądy Fryderyka II o niemieckich pisarzach, również ostatni cesarz Niemców blamował się swoimi opiniami literackimi. Von Brentano jest ponoć potomkiem znakomitego poety niemieckiego romantyzmu, Klemensa von Brentano, ale nie przynosi zaszczytu swojemu wielkiemu przodkowi. Dla niskich celów politycznych ośmielił się znieważyć pamięć poety, porównać jego wiersze z twórczością sutenera i zbrodniarza hitlerowskiego. Słusznie zwraca się do Brentana Peter Suhrkamp, wydawca Brechta i zarazem prozaik, z następującymi słowy: „Pan wie, że Brecht musiał pójść na wygnanie jako wróg hitlerowców. W latach wygnania w centrum jego życia, myślenia i twórczości stała walka przeciwko hitlerowcom i przeciw hitlerowskiej wojnie. Wszędzie żył w odosobnieniu pośród najznakomitszych emigrantów niemieckich z powodu swoich narodowych poglądów, na skutek których zarzucano mu, że przyjmuje myśl o kolektywnej winie narodu niemieckiego. Żył na wygnaniu, gotów w każdej chwili do powrotu, gdy tylko hitlerowcy zostaną pokonani.

W tym samym czasie pan wykonywał w Niemczech swój zwykły zawód".

Do tego można dodać, że nie wiadomo dotychczas, by Brentano wyróżnił się w jakiejkolwiek akcji antyhitlerowskiej, by kiedyś włos spadł mu z głowy choćby za jedno słówko wypowiedziane za czasów Hitlera przeciwko faszyzmowi.

Smutne w tej sprawie jest przede

wszystkim to, że dotychczas jedynie Suhrkamp zdobył się na protest w formie listu otwartego, przedrukowanego przez kilka wielkich dzienników zachodnio-niemieckich. Poza nim nikt nie podniósł głosu w Niemczech Zachodnich.

k

GŁOS O POEZJI RADZIECKIEJ

Znany poeta starszego pokolenia, W. Ługowskoj, zajmuje się w „*Litieraturnej Gazietie*" (9. V., *Poezja — dusza narodu*) stanem współczesnej poezji radzieckiej. Bardzo ostro potępia Ługowskoj panującą tu w minionym okresie sztampę, apologię kultu jednostki, bezkonfliktowość, bezmyślną „krzepę". „Posługując się beztreściwym patosem — pisze Ługowskoj — „krzepa" tromtadracko pohukiwała, nie wabiła naszego czytelnika do poezji, lecz odpychała go od niej." Zdaniem Ługowskoja, była to poezja — jak się wyraża — „posunięć frontalnych" czyli łopatologii, kondensowanej w końcowym hurra-okrzyku.

„Żywe, bolesne, gorące, ciężkie i radosne życie — pisze z goryczą poeta — niekiedy zastępowało się przyzwoitymi, sterylizowanymi wytłoczynami, w których każdy epitet, każdy obraz poetycki oceniano tylko pod kątem widzenia przyzwoitości i dobrego tonu." Dla wierszy tego rodzaju stanowiło to jakiś skrzętnie opracowany kanon, uważany za jedynie godny miana poezji. W wypadku odstępstwa poety od tych uświęconych tradycją kanonów krytycy odczuwali wręcz fizyczne dolegliwości.

Nie jest to jednak jednoznaczne z twierdzeniem, iż cała poetycka twórczość lat powojennych — zastrzega się autor *Poezji — duszy narodu* — była panegiryczna, sztampowa. Wszak w minionym okresie — twierdzi Ługowskoj — powstało wiele wartościowych poematów i dobrych wierszy. Jednakże skłonność do sztampy groziła poezji radzieckiej coraz większym niebezpieczeństwem. Wżarła się w duszę poetów tak głęboko, iż nawet obecnie w wielu wierszach na tematy „wzniosłe" roi się od nawrotów przebrzmiałych schematów. Zdaniem Ługowskoja, należy je bezwzględnie tępić, nie wolno dopuścić do powtórnego zalewu, jak się wyraża, „odoróbstwa".

Ługowskoj jest przeświadczony, iż w obecnym przełomowym momencie dziejowym — cytuję go — „...jedną z dróg, którą niezawodnie pójdzie poezja radziecka, będzie ukazywanie istotnych sprzeczności i żarliwego ich przezwyciężania".

Według Ługowskoja przyszłość mają przed sobą wszelkie śmiałe poszukiwania nowych form i treści, poetyckie eksperymentowanie, czerpanie z najlepszych wzorów obcych, eksperymentalność poezji rosyjskiej — bez obawy o bzdurne, a tak do niedawna nadużywane zarzuty „formalizmu".

Lirykę prawdziwą Ługowskoj przeciwstawia liryce prymitywnej a także liryce, jak się wyraża, „koniunkturalnej". I w poezji panuje moda — twierdzi Ługowskoj. Za taką przejściową modę Ługowskoj uważa uprawiany głównie przez młodych poetów i uważany za dobry ton — „słaby nihilizm". Narodził się on z podreptywania w miejscu — z racji kultu jednostki, kontynuuje się ten „nihilizm" nadal — z racji pewnych aspektów naszego życia. Ługowskoj zachowuje ostrożny umiar nie tylko w sformułowaniach, ale i w doborze środków zapobiegania „nihilizmowi". Jest bowiem przeświadczony, iż, jak każda moda, tak i ta przejdzie — w miarę dojrzewania, wyrastania poetów z burzliwego wieku młodzieńczego.

J. S.

NOWE WYDANIE „LISTÓW" ŻMICHOWSKIEJ

Na początku tego roku ukazał się I tom *Listów* Narcyzy Żmichowskiej w opracowaniu Mieczysławy Romankówny, która we wstępie informuje nas, iż całość korespondencji autorki *Poganki* zamknie się w 5 tomach. Dzieło 5-tomowe to nie byle jaka pozycja, niesposób będzie jej nie zauważyć na półkach bibliotecznych. O wartości zaś gatunkowej tej edycji sądzić już można na podstawie wydanego tomu.

Tom I, dość pokaźny, liczący prawie

63 arkusze druku, obejmuje listy do najbliższych. Dotychczas rozproszone, zebrane zostały i uporządkowane w tej publikacji. Przy okazji przypomnijmy, że w latach 1885-1906 przyjaciółki Żmichowskiej z Julią Baranowską na czele wydały 3 tomy listów Gabrieli. Potem ukazało się 6 publikacji pomniejszych (m. in. Mikołajtisa, Boya), drukowano także listy pojedyncze. Obecnie otrzymamy jedno *corpus epistolarum*. Do listów znanych już z druku doszły listy świeżo znalezione, jeszcze nie publikowane. W tomie I naliczymy 20 listów *editio princeps*. W ogólnej liczbie 224 listów zajmują one ok. 9%.

Ambicją Romankówny było udostępnić tekst w postaci jak najbardziej odpowiadającej oryginałowi. Zdając sobie sprawę, jak mało na ogół pierwsi edytorzy listów troszczyli się o przygotowanie tekstu, postarała się ona o nowe odczytanie całej korespondencji. W wyniku tej lektury wypadło nie tylko poprawiać poszczególne wyrażenia, ale także często dodawać mniejsze i większe ustępy, które ongiś opuszczono ze względów politycznych lub innych. 16 listów w tym tomie musiano jednak zachować w pierwotnej wersji, gdyż nie udało się znaleźć autografów. W stosunku do całości wynosi to ok. 8%, stosunkowo nie tak dużo.

Tekst korespondencji opatrzony został komentarzem. Każdy list otrzymał wyjaśnienia, które zaczynają się od opisu autografu, po czym idą wskazówki bibliograficzne (czy był publikowany, czy nie) a następnie wiadomości o charakterze rzeczowym lub językowym związane z treścią. Objaśnienia dotyczące osób tak się rozrosły, że nie pomieściły się w zwykłym toku komentarza. Tutaj zostały tylko same nazwiska, które pełnią rolę odsyłaczy, kierując do słownika biograficznego, dołączonego do tomu. Słownik ma układ alfabetyczny. Przy postaciach znanych powszechnie, jak: Arystoteles, Hugo, Kościuszko, Krasiński, Mickiewicz, Napoleon I itp., wymienione zostały jedynie daty urodzenia i śmierci. Inne otrzymały ogólne *curriculum vitae* z uwzględnieniem kontaktów ze Żmichowską. Przy okazji tych biografii wypłynęło trochę nowych, nieznanych wiadomości. Źródłem ich w głównej mierze były papiery Julii Baranowskiej odnoszące się do autorki listów (*Notatki do życia i działalności Narcyzy Żmichowskiej* — rps Bibl. Jag. nr 7109 oraz *Notatki i dokumenty odnoszące się do rodziny Żmichowskich i Narcyzy Żmichowskiej* — rps Bibl. Jag. nr 6818).

Przypuszczać należy, że w następnych tomach znajdą się dalsze nazwiska związane z listami i że będą opracowane w sposób podobny jak w tomie pierwszym. Wspólny zaś indeks w tomie ostatnim wskaże rozmieszczenie osób w całości.

Przejrzawszy wydany tom, możemy powiedzieć, że od strony merytorycznej wygląda on zupełnie poprawnie. Zastrzeżenia, jakie mamy, są natury formalnej.

Jakże trudno jest w czasie lektury listów korzystać z komentarza, gdy po przeszło 400 stronach tekstu trzeba docierać osobno do objaśnień odnoszących się do osób i osobno do objaśnień innych. O ileż wygodniej i lepiej byłoby znaleźć objaśnienia po każdym liście, bez owego dwudziału: na biografię — i wszystko inne. Słownik biograficzny przy *Listach* Żmichowskiej ma raczej charakter dodatku, z którego skorzystałoby się chętnie niekoniecznie w trakcie czytania listów. Do tego celu bardziej od opracowania słownikowego nadawałyby się materiały „z pierwszej ręki", np. notatki Baranowskiej udostępnione *in extenso*.

Wiadomo, że głos nasz nie zaważy wcale na wydaniu *Listów* Gabrieli. Chcemy jednak zwrócić uwagę wydawców na konieczność liczenia się z czytelnikiem, na konieczność wychodzenia mu naprzeciw, ułatwiania, a nie utrudniania lektury.

Starannie opracowanemu i bardzo obszernemu wydaniu nie dano odpowiedniego płótna na oprawę. Kanarkowożółty kolor nie jest przyjemny dla oka, nie jest też wcale praktyczny (po I tomie widać, jak łatwo się brudzi).

A zarówno po I tom, jak i po następne sięgną zapewne niejedne ręce. Listy bowiem są bardzo ciekawe. Ukazują nam nie tylko nieprzeciętną, silną indywidualność, ale dają nam również jeden z prawdziwszych obrazów epoki — epoki, którą należałoby poznać głębiej.

Na zakończenie tej notatki, aby dać oryginalną próbkę stylu Żmichowskiej,

przytoczymy fragment z jej listu do brata Erazma, przebywającego na emigracji. List pochodzi z pierwszej połowy sierpnia 1843 r. Żmichowska jako młoda autorka zawiera wtedy różne znajomości wśród sfer kulturalnych Warszawy. M. in. poznaje Eleonorę Ziemięcką, redaktorkę konserwatywnego czasopisma *„Pielgrzym"*, oraz Ninę Łuszczewską, żonę dyrektora przemysłu i handlu, matkę poetki znanej pod pseudonimem Deotyma, panią prowadzącą u siebie salon towarzysko-literacki. Żmichowska pisze: „[...] Ziemięcka bardzo czule i sercowo na moje wyszła spotkanie. Tak piękna jak sztych angielski, a tak łatwa, czarująca w rozmowie, że mogłabym się w niej kochać, gdybym była mężczyzną, ale jej kochać nie mogę. Daleko jak Rzym od Polski drogi nasze idą; pietystka, mistyczka, dewotka z systemu, nie z serca, łatwowierna na ponętne wielkich panów grzeczności — w pewną ostrożność mnie wprawia. Między wieloma przyczynami, które jej głowę zawróciły, są także listy Semenenki, księdza, ale nie mogę przypuścić, żeby to był ten sam Semenenko, o którym ty wspominałeś często.

Przez panią Redal zapoznałam się także z panią Łuszczewską Niną, tutejszą panią Geoffrin; grzeczna aż do tkliwości, ale próżna, próżna, próżna" (t. I, s. 151).

Jadwiga Rudnicka

PRZYJACIELE — CZY PRZECIWNICY KSIĄŻKI

Pisałem niedawno w *„Twórczości"* o stosunku „Domu Książki" do sprawy polskiej książki. Wydawałoby się, że ta instytucja, obdarzona olbrzymią i monopolistyczną władzą, już z racji samej swej nazwy powinna robić wiele na rzecz książki, szczególnie książki wartościowej i dobrej. Tymczasem prasa coraz częściej rejestruje fakty zastanawiające. Oto np. Władysław Kopaliński podnosi w *„Życiu Warszawy"* z 19 maja, że „nie ma w Polsce księgarni, która by otrzymywała prowizję od obrotu. Księgarze dostają premie za wykonanie planu, a prowizję od sprzedaży ponadplanowej. W praktyce nie są więc zainteresowani w znacznym przekroczeniu planu z obawy, że spowoduje to nałożenie im większego planu w następnym miesiącu i zmusi do trudniejszej pracy za to samo wynagrodzenie. Jest rzeczą niewątpliwą, że można by znacznie wzmóc sprzedaż i ulepszyć obsługę klientów księgarni przy systemie prowizyjnym. Ale „Dom Książki" broni się przed nim..."

Broni się. Dlaczego? Dla wygody. Nic więc dziwnego, że „w przyszłym roku książkowy plan wydawniczy ma być pokaźnie zmniejszony... Plan sprzedaży zaproponowany przez wydawnictwa wynosi 1200 milionów złotych, „Dom Książki" chce kupić książek — tylko za 700 milionów. Na resztę brak mu funduszów". „Zdziwiłem się" — dodaje Kopaliński — bo „przecież ekonomiści skarżą się, że rynek rozporządza nadwyżką pieniędzy... Należałoby więc korzystać z okazji i forsować sprzedaż, zwłaszcza że zainteresowanie książką nie ulega wątpliwości: obroty na kiermaszu były dwa i pół raza większe niż w roku ubiegłym". Już choćby traktując to jako najskuteczniejszy środek walki z narodową klęską, jaką jest masowy alkoholizm, wandalizm i chuligaństwo, należałoby się przeciwstawić fatalnym pomysłom obniżania planu sprzedaży książek, spowodowanego wygodnictwem sfer kierujących „Domem Książki". Redukowanie wydatków na kulturę, zmniejszanie produkcji książek, obcinanie kredytów na wyjazdy zagraniczne, obniżanie poziomu teatrów przez zatrudnianie sił niewykwalifikowanych (jako tańszych), popieranie szmiry, pornografii i tandety kryminalnej — oto zjawiska spotykane na każdym kroku. Jeśli chodzi o książki, coraz pilniejszy się staje postulat tworzenia księgarni poszczególnych wydawnictw i złamanie w ten sposób szkodliwego dla czytelnictwa monopolu „Domu Książki", nie umiejącego nawet opracować odpowiedniego systemu premii oraz zreformować bezsensownie krótkiego okresu „rotacji" książkowej (dla książki bodaj najmniej korzystnego na świecie!).

„Życie Literackie" zamieściło w numerze z 19 maja dowcipną i inteligentną notatkę *Skąpy dwa razy traci*. Zdaniem autora „przysłowie to znakomicie można zastosować do odnośnych czyn-

ników (czy czynniczek) w wydawnictwach czy w „Domu Książki", które w opacznie pojętej trosce o rentowność redukują nakłady *ad absurdum*. Nakład tysiąca egzemplarzy już dla tomików poetyckich jest w wielu wypadkach przesadnie obniżony. Tomiki Białoszewskiego, Herberta, Drozdowskiego już dawno się rozeszły, a na pewno zostałyby rozkupione w dwukrotnie wyższym nakładzie. Ostatnio notujemy nowy absurd: *Dramaty* Jerzego Zawieyskiego, autora, którego nazwisko gromadzi w teatrach tłumy, wydane zostały również w nakładzie — jednego tysiąca... Nie trzeba nikomu udowadniać, jaką stratę przynoszą wydawnictwom tak niskie nakłady: wystarczy znać tabliczkę mnożenia". „Drogie Czynniki i Czynniczki z odnośnych instytucji! — kończy swój apel pismo krakowskie. — Ustalając nakłady, używajcie nie tylko nożyczek, ale i głowy! Zrozumcie, że droga urentownienia wydawnictw nie wiedzie koniecznie przez zaułki kryminalistyki literackiej i (pożal się Boże!) pornografii. Zrozumcie, że aby zarabiać, trzeba czasem — myśleć."

W. N.

MARKSIZM-LENINIZM

F o m i n a W. A. — *Filozoficzne poglądy Plechanowa.* Tłumaczył Wł. Głuchowski. Okładkę i stronę tytułową projektował Jerzy Zbijewski. Warszawa, „Książka i Wiedza", 1957, wydanie I; str. 338, 2 nl.

LITERATURA PIĘKNA

K l a s y c y l i t e r a t u r y p o l s k i e j

B r o d o w s k i F e l i k s — *Po co dzień ich budzi...* Opowiadania. Wybór i wstęp: Jan Okopień. Okładkę projektowała Barbara Pawlikowska. Warszawa, „Czytelnik", 1957; str. 382, 2 nl.

D y g a s i ń s k i A d o l f — *Pisma pedagogiczne.* Opracował i wstępem opatrzył Wincenty Danek. (Źródła do dziejów myśli pedagogicznej. Tom I). Wrocław, Zakład im. Ossolińskich, 1957, wydanie I; str. XXXII, 158, 2 nl.

E s t r e i c h e r K a r o l — *Krystianna.* Powieść romantyczna. Ilustracje Adama Marczyńskiego. Okładkę projektowała Barbara Pochwalska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 330, 2 nl.

F r y c z M o d r z e w s k i A n d r z e j — *DZIEŁA WSZYSTKIE.* Tom III. *O kościele księga druga.* Przekład Irminy Lichońskiej. Wstęp i komentarze Łukasza Kurdybachy. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 429, 3 nl.

K r a s i c k i I g n a c y — *Historia.* Opracował i wstępem poprzedził Mieczysław Klimowicz. Okładkę i stronę tytułową projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 213, 3 nl.

L a m J a n — *DZIEŁA LITERACKIE.* Wydanie w czterech tomach. Pod redakcją Stanisława Frybesa. Tom III. *Idealiści. Dziwne kariery.* Tekst opracowała Maria Gantzowa. Komentarz Stanisława Frybesa. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 561, 3 nl.

W y s p i a ń s k i S t a n i s ł a w — *Poezje.* Wybrał i wstępem opatrzył Jan Zygmunt Jakubowski. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 71, 1 nl.

Ż e l e ń s k i T a d e u s z (B o y) — *PISMA.* Tom IV. *Brązownicy i inne szkice o Mickiewiczu.* Tom opracował Henryk Markiewicz. Przedmową opatrzyła Maria Janion. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 433, 3 nl.

Ż e r o m s k i S t e f a n — *DZIEŁA.* Pod redakcją Stanisława Pigonia. Wstęp Henryka Markiewicza. Nowele i opowiadania. Tom 4. *Sen o szpadzie. Pomyłki.* Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1957; str. 284, 4 nl.

K l a s y c y l i t e r a t u r y o b c e j

C o n r a d J o s e p h — *Tajfun i inne opowiadania.* Opowiadanie „Tajfun" przełożył J. B. Rychliński. Opowiadania „Amy Forster", „Falk" i „Jutro" oraz przedmowę autora przełożyła Aniela Zagórska. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 305, 3 nl.

C o n s t a n t B e n i a m i n — *Adolf.* Przełożył i wstępem opatrzył Tadeusz Żeleński (Boy). Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957; str. 116, 4 nl.

C z e c h o w A n t o n i — *DZIEŁA.* W jedenastu tomach pod redakcją i ze wstępem Natalii Modzelewskiej. Tom III. *Opowiadania. 1885.* Tłumaczyli: Janina i Jan Brzechwowie, Jerzy Brzęczkowski, Maria Dąbrowska, Jadwiga Dmochowska, Jarosław Iwaszkiewicz, Zofia Kaczorowska, Jerzy Pomianowski, Jerzy Wyszomirski. Obwoluta i tłoczenia: Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 470, 2 nl.

D i c k e n s K a r o l — *Ciężkie czasy.* Przełożył Apollo Korzeniowski. Opracował Zbigniew Zabicki. Okładkę projektował

Stanisław Andrzej Cyrano. Kartę tytułową: Zofia Czerwińska. (Nasza Biblioteka). Wrocław, Zakład im. Ossolińskich, 1957, wydanie I; str. 338, 2 nl.

Flaubert Gustaw — *Pani Bovary.* Przełożyła Aniela Micińska. Przedmową poprzedził Jan Parandowski. (Biblioteka Arcydzieł). Okładkę projektowała Ewa Frysztak-Lubelska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957; str. 405, 3 nl.

Gogol Mikołaj — *PISMA WYBRANE.* W czterech tomach pod redakcją i ze wstępem Ziemowita Fedeckiego. Tom III. *Utwory dramatyczne.* Tłumaczyli: Jerzy Brzęczkowski, Julian Tuwim, Jerzy Wyszomirski. Opracowanie graficzne: Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1957; str. 377, 3 nl.

Gorki Maksym — *Matka.* Przełożyła Krystyna Bilska. Okładkę projektował Jan Zygmanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie nowe; str. 250, 2 nl.

Shaw Bernard — *Miłość wśród artystów.* Powieść. Przełożył Florian Sobieniowski. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957; str. 444, 4 nl.

Stendhal (Henri Beyle) — *Racine i Szekspir.* Przełożył Wojciech Natanson. Wstępem i przypisami opatrzył Adam Kotula. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 599, 1 nl.

Tacyt — *DZIEŁA.* Tom I i II. Tłumaczył Seweryn Hammer. Oprawę projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; tom I str. 498, 2 nl; tom II str. 531, 1 nl.

Tołstoj Lew — *DZIEŁA.* XIII. *Zmartwychwstanie.* Tłumaczył Wacław Rogowicz. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 609, 3 nl.

Weiskopf F. C. — *Dzieci epoki.* Przełożyła Maria Wisłowska. Wiersze przełożył Stanisław Średnicki. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 628, 4 nl.

Poezja

Czaykowski Bogdan — *Trzciny czcionek.* Okładka: Aleksander Werner. Londyn, Oficyna Poetów i Malarzy, 1957; str. 32, 6 nl.

Hertz Paweł — *Pieśni z rynku.* Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 34, 2 nl.

Iwaszkiewicz Jarosław — *Ciemne ścieżki.* Okładkę i kartę tytułową projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 143, 5 nl.

Jachimowicz Marian — *Ścieżką konieczną.* Okładkę projektował Daniel Mróz. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1957; str. 107.

Janczarski Czesław — *Wykrój liścia.* Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 103, 1 nl.

Nagrabiecki Jan — *Strofy wiślane. (1945—1956).* Okładkę projektowała Wanda Nagrabiecka. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 122, 2 nl.

Pasternak Leon — *Smutne ale prawdziwe.* Wydanie drugie poszerzone. Rysował Mieczysław Piotrowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957; str. 94, 2 nl.

Rustecki Wiesław — *Skrzydła.* Wiersze. 1949—1956. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 79, 1 nl.

Sebyła Władysław — *Wiersze wybrane.* Przedmowę napisał Stanisław R. Dobrowolski. Tłoczenia i kartę tytułową projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 152.

Żuławski Juliusz — *Wiersze z notatnika.* Okładkę projektowała Ewa Lubelska-Frysztak. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 43, 1 nl.

Proza

Bodnicki Władysław — *PUSTELNIA „POD TRZEMA PYSKAMI".* Część I. *Młodość Matejki.* Okładkę projektował Ryszard Twardoch. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1957; str. 333, 3 nl.

Bunin Iwan — *Czara życia i inne opowiadania.* Tłumaczyli: Ewa Dmowska, Jan Lorentowicz, Zofia Petersowa, Maria Popowska, Wacław Rogowicz. Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957; str. 355, 1 nl.

Dobraczyński Jan — *Dwudziesta brygada.* Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1957, wydanie II; str. 398, 2 nl.

— *Pustynia.* Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Andrzej S. Kowalski. Warszawa, „Pax", 1957, wydanie III; str. 347, 3 nl.

— *Wybrańcy gwiazd.* Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Andrzej S. Kowalski. Warszawa, „Pax", 1957. wydanie IV; str. 423, 3 nl.

Domański Marek — *Klipsy z niebieskich migdałów.* Ilustrował i okładkę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 242, 2 nl.

Dubow Mikołaj — *Sierota.* Przełożyła Wacława Komarnicka. Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 352, 4 nl.

Eld Gerda — *Krystyna.* Tłumaczyła Romana Heltberg. Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 523, 1 nl.

Gładkow Fiodor — *Zła godzina.* Tłumaczyła Jadwiga Dmochowska. Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik" 1957; str. 375, 1 nl.

Greeff Etienne, de — *Sędzia Maury.* Tłumaczyła Zofia Milewska. Okładkę projektował Krzysztof Dębowski. Warszawa, „Pax", 1957, wydanie I; str. 379, 1 nl.

Kossak Zofia — *Przymierze.* Obwolutę, okładkę, stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1957, wydanie II; str. 465, 3 nl.

Ławreniew Borys — *Biała śmierć.* Tłumaczyła Helena Winawerowa. Projekt okładki: Zygmunt Kołodziejczyk. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 109, 3 nl.

Łopalewski Tadeusz — *Prowincjusze.* Okładkę projektował Stefan Niewiadomski. Warszawa, „Czytelnik" 1957, wydanie I; str. 317, 3 nl.

Moravia Alberto — *Opowiadania rzymskie.* Tłumaczyli: Zofia Ernst i Ryszard Landau. Okładkę i kartę tytułową projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 478, 2 nl.

Nowakowski Tadeusz — *Obóz Wszystkich Świętych.* Okładkę projektował Władysław Szomański. Paris, Libella, 1957; str. 462, 2 nl.

Parandowski Jan — *DZIEŁA WYBRANE.* Tom I. *Król życia. Dysk olimpijski. Niebo w płomieniach.* Obwolutę i tłoczenia projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 744, 4 nl.

Paukszta Eugeniusz — *Straceńcy.* Powieść historyczna z XVII w. Okładkę, stronę tytułową i rysunki projektowali: J. Jurkiewicz i J. Szulc. Tom I/II. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1957, wydanie I; tom I str. 377, 3 nl; tom II str. 464, 2 nl.

Saint-Exupéry Antoine, de — *Nocny lot.* Przełożyli: M. Czapska i St. Stempowski. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 97, 3 nl.

Simenon Georges — *Maigret i człowiek z ławki.* Tłumaczyła Jadwiga Dutkiewicz. Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik" 1957, wydanie I; str. 158, 2 nl.

Truchanowski Kazimierz — *Tais z biedronką czyli droga do nieba.* Obwolutę, projekt oprawy, wyklejkę, stronę tytułową oraz ilustracje w tekście wykonali: Bożena Truchanowska i Wiesław Majchrzak. Warszawa, „Pax", 1957, wydanie I; str. 407, 5 nl.

Tyrmand Leopold — *Gorzki smak czekolady Lucullus.* Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 397, 1 nl.

Uhse Bodo — *Patrioci.* Tłumaczyła Maria Wołczacka. Okładkę projektowała Teresa Wyszkowska. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 490, 2 nl.

Undset Sigrid — *Jenny.* Tłumaczył Zbigniew Grabowski. Okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1957, wydanie I; str. 324.

— *Macierzyństwo.* Tłumaczyli z niemieckiego: Wanda Kragen, Stefan Granowski, Maria Kuncewicz. Książkę zdobił Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1957, wydanie II; str. 418, 2 nl.

Vailland Roger — *Beau masque.* Tłumaczyła Halina Ostrowska-Grabska. Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 431, 1 nl.

Wańkowicz Melchior — *Szczenięce lata.* Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. (Książki XX-lecia). Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 161, 3 nl.

Worcell Henryk — *Zaklęte rewiry.* Okładkę projektował Janusz Bruchnalski. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1957; str. 468, 4 nl.

Żukrowski Wojciech — *Kantata.* Pierwsze opowiadania. Obwolutę, okładkę i stronę tytułową wykonał Andrzej S. Kowalski. Warszawa, „Pax", 1957, wydanie I; str. 221, 1 nl.

Publicystyka

Mackiewicz Stanisław — *Londyniszcze.* Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 150, 2 nl.

Felietony, reportaże

Kopaliński Władysław — *Bałagan na Marsie.* Niedzielne pogwarki. Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1957; str. 385, 3 nl.

Szczypiorski Andrzej — *Z daleka i z bliska.* Reportaże, felietony, eseje. Okładkę projektował M. Stachurski. Warszawa, „Czytelnik" 1957, wydanie I; str. 205, 3 nl.

Wasilewska Wanda — *30 dni w Chinach.* Okładkę i kartę tytułową projektował Maciej Hibner. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1957, wydanie I; str. 320, 4 nl.

NAUKA O LITERATURZE

Bałutowa Bronisława — *Dramat Bernarda Shaw.* Wrocław, Zakład im. Ossolińskich, 1957, wydanie I; str. 199, 1 nl.

Czapczyński Tadeusz — *Tułacze lata Marii Konopnickiej.* Przyczynki do biografii. Wrocław, Zakład im. Ossolińskich, 1957, wydanie I; str. 149, 3 nl.

Z literatury lat 1863—1918. Studia i szkice. Część pierwsza. Wrocław, Zakład im. Ossolińskich, 1957, wydanie I; str. 495, 1 nl.

JĘZYKOZNAWSTWO

Budziszewska Wanda — *Żargon ochweśnicki.* Wrocław, Zakład im. Ossolińskich, 1957, wydanie I; str. 108, 4 nl.

Kielski Bolesław — *Struktura języków francuskiego i polskiego w świetle analizy porównawczej.* Część I. *Fonetyka i fonologia.* — *Leksykologia* — *Słowotwórstwo* — *Fleksja.* Wrocław, Zakład im. Ossolińskich, 1957, wydanie I; str. 180, 4 nl.

SZTUKA

Marchlewski Julian — *O sztuce.* Artykuły, polemiki oraz listy. Zebrał, wstępem i skorowidzem opatrzył Józef Rurawski. Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 426, 2 nl.

Teatr

Krzesiński Stanisław — *Koleje życia czyli materiały do historii teatrów prowincjonalnych.* Opracował i wstępem opatrzył Stanisław Dąbrowski. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 547, 5 nl.

Macierakowski Jerzy, Natanson Wojciech — *Aleksander Zelwerowicz.* Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 119, 1 nl.

Modrzejewska Helena — *Wspomnienia i wrażenia.* Przekład Mariana Promińskiego. Okładkę i kartę tytułową projektował Marek Rudnicki. Obwolutę projektowała Barbara Jakubowska. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1957; str. 633, 3 nl.

Owerłło Paweł — *Z tamtej strony rampy.* Obwolutę projektował Antoni Porębski. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1957; str. 360.

Wroczyński Kazimierz — *Pół wieku wspomnień teatralnych.* Okładkę projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 281, 3 nl.

Plastyka

Rembrandt w oczach współczesnych. Przełożyli i opracowali: Janina Michałkowa i Jan Białostocki. Wstępem opatrzył Michał Walicki. (Teksty źródłowe do dziejów teorii sztuki. Pod redakcją Juliusza Starzyńskiego. Tom VIII). Okładkę i obwolutę projektował Aleksander Stefanowski. Indeks nazwisk i miejscowości opracowała Krystyna Janicka. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 174, 2 nl, 37 kart ilustracji.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Bieniarz Józef — *Grześ syn Turula.* Ilustrował Roman Owidzki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie I; str. 96, 4 nl.

Borudzka Wanda — *Dorota i jej towarzysze.* Ilustrował Antoni Uniechowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie III; str. 307, 1 nl.

Broszkiewicz Jerzy — *Opowieść olimpijska.* Ilustrowała Barbara Kusak-Pawlikowska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie II, przejrzane przez autora; str. 155, 1 nl.

Curwood James Oliver — *Łowcy złota.* Tłumaczył Jerzy Marlicz. Okładkę projektował Waldemar Świerzy. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 160, 4 nl.

Dąbrowska Maria — *Zdarzenia.* Wybór opowiadań. Wyboru dokonali: Dżennet Połtorzycka i Stanisław Stampel. Ilustrował i okładkę projektował Janusz Grabiański. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie I; str. 523, 1 nl.

Gajdar Arkady — *Los dobosza.* Tłumaczył z języka rosyjskiego Aleksander Wat. Ilustrował Jan Tarasin. Ilustracje na okładce Stanisława Rozwadowskiego. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie III; str. 154, 2 nl.

Gernet N. — *Siostrzyczka.* Tłumaczyła z języka rosyjskiego Maria Górska. Okładkę projektował Zdzisław Witwicki. Ilustrowała Wanda Manteuffel-Zawidzka. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie I; str. 157, 3 nl.

Gomulicki Wiktor — *Cudna mieszczka.* Obrazek warszawski z wieku XVII. Wstępem i objaśnieniami opatrzył Juliusz W. Gomulicki. Ilustrowali: Bożena Truchanowska i Wiesław Majchrzak. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie IV; str. 162, 2 nl.

Grabowski Jan — *Puc, Bursztyn i goście.* Ilustrował Konstanty Sopoćko. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie VII; str. 94, 2 nl.

Jürgen Anna — *Błękitny Ptak.* Tłumaczył St. Sielski. Ilustracje reprodukowane z wydania niemieckiego Kurta Zimmermana. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie II; str. 234, 2 nl, 1 knl.

Kipling Rudyard — *Takie sobie bajeczki.* Z ilustracjami autora. Tłumaczyli z angielskiego: Maria Kreczowska i Stanisław Wyrzykowski. Wiersze tłumaczyła Hanna Januszewska. Opisy ilustracji tłumaczył Stanisław Wyrzykowski. Okładkę projektowała Janina Krzemińska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie III; str. 199, 1 nl.

Koźmiński Karol — *Rotmistrz Michałko.* Powieść historyczna z XVII w. Ilustrował Ludwik Maciąg. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie I; str. 351, 1 nl.

London Jack — *Syn słońca.* Przełożył Tadeusz Jan Dehnel. Okładkę projektował Piotr Borowy. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 224, 4 nl.

Majchrowski Stefan — *Spadkobiercy pana Ziółko.* Ilustrował Zbigniew Piotrowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie I; str. 179, 5 nl.

Makuszyński Kornel — *Wyprawa pod psem.* Ilustrował Jan Marcin Szancer. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie II; str. 236, 4 nl.

Monester M. — *Południe już dzwoni.* Przełożyła z języka francuskiego Ludmiła Dunikowska. Ilustrował Józef Kotlarczyk. Okładkę projektował Zygmunt Kotlarczyk. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie I; str. 153, 3 nl.

Morcinek Gustaw — *Narodziny serca.* Ilustrował Andrzej Jurkiewicz. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie II, poprawione; str. 183, 3 nl.

Nigremont Georges — *Niezwykli podróżnicy.* Tłumaczyła z języka francuskiego Jadwiga Dmochowska. Ilustrował Józef Czerwiński. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie I; str. 169, 3 nl.

Paryski Witold H. — *W górach Atakamy.* Wspomnienia z polskiej wyprawy w Andy. Ilustrował Juliusz Makowski. Okładkę projektował Mateusz Gawryś. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie I; str. 193, 3 nl, 25 knl.

Pokrowski S. W. — *Na tropach mamutów.* Tłumaczyła z języka rosyjskiego Ludmiła Dunikowska. Okładkę projektował Zdzisław Witwicki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie II; str. 166, 2 nl.

Rodari Gianni — *Podróż Błękitnej Strzały.* Tłumaczyła z języka włoskiego Zofia Ernstowa. Ilustrował Stanisław Rozwadowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie II; str. 185, 3 nl.

Sprawności harcerskie. Część I. Okładkę projektował Mieczysław Kowalczyk. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 64, 8 nl.

Stern Anatol — *Opowiadania Starego Szpaka.* Opracowanie graficzne Andrzeja Możejki. Warszawa, „Czytelnik", 1957; str. 118, 2 nl.

— *Zaczarowana grządka.* Ilustrował Józef Wilkoń. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie I; str. 124, 4 nl.

Storch Edward — *Łowcy mamutów.* Tłumaczyła Jadwiga Bułakowska. Ilustrował Zd. Burian. Okładkę projektował Bohdan Butenko. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie III; str. 316, 4 nl.

Syga Teofil — *Pana Adama dzień powszedni.* Ilustrował Zdzisław Witwicki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie I; str. 180, 4 nl.

Trease G. — *Robin Hood.* Tłumaczył z języka angielskiego Zygmunt Glinka. Ilustrował Zbigniew Rychlicki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie III; str. 137, 3 nl.

Verne Juliusz — *Łowcy meteorów.* Przełożył z języka francuskiego Wojciech Natanson. Ilustrował Daniel Mróz. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie II; str. 235, 1 nl.

Webster Jean — *Tajemniczy opiekun.* Tłumaczyła z języka angielskiego Róża Centnerszwerowa. Okładkę projektował Bogdan Zieleniec. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie I; str. 186, 2 nl.

HISTORIA

Historia wieków średnich. Tom I. Tłumaczyli: M. Birencwajg, S. Gnich, M. Kenig, T. Malik, I. Ogrodowicz, A. Śleszyński. Okładkę projektowała Wiesława Furmanik. Warszawa, „Książka i Wiedza", 1956, wydanie I; str. 659, 1 nl.

RÓŻNE

Bieniarzówna Janina — *Z dawnego Krakowa.* Szkice i obrazki z XVII wieku. Okładkę projektowała Barbara Biernat. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1957; str. 230, 2 nl.

Buszko Józef, Dobrowolski Henryk — *Udział Galicji w rewolucji 1905—1907.* Okładkę projektowała Barbara Jakubowska. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1957; str. 169, 3 nl.

Czarski Andrzej, Deloff Andrzej — *Od jabłka Newtona do windy Einsteina.* Okładkę i ilustracje projektował Mirosław Pokora. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 269, 3 nl.

Gilson Etienne — *Heloiza i Abelard.* Średniowieczne początki humanizmu. Przełożył Antoni Podsiad. Okładkę i stronę tytułową projektował Andrzej S. Kowalski. Warszawa, „Pax" 1956, wydanie I; str. 322, 2 nl.

Ignatjew Aleksiej — *Pięćdziesiąt lat w szeregu.* Tom I/II. Tłumaczył z rosyjskiego Jan Jerzyński. Okładkę i kartę tytułową projektował Mirosław Pokora. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1957, wydanie I; tom I str. 645, 3 nl; tom II str. 496, 4 nl.

K — Bey — *Rozmowy o człowieku.* Okładkę projektował Piotr Łabużek. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 250, 6 nl.

Kołakowski Leszek — *Światopogląd i życie codzienne.* Okładkę projektowała Ewa Lubelska-Frysztak. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 205, 3 nl.

Krajowy Zjazd działaczy harcerskich w Łodzi. Uchwały, referat, głosy w dyskusji. Okładkę projektował Jan Śliwiński. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 104, 4 nl.

Lud polski. Wybór dokumentów. Wyboru dokonała i wstępem zaopatrzyła Hanna Temkinowa. Okładkę projektował Jan Śliwiński. Warszawa, „Książka i Wiedza", 1957, wydanie I; str. 441, 5 nl.

Lugon Clovis — *Chrześcijańska komunistyczna republika Guaranów. 1610—1768.* Przedmowę napisał Mieczysław Żywczyński. Tłumaczył Zygmut Glinka. Okładkę projektował Andrzej S. Kowalski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 352.

Lundqvist Eric — *W dżungli Borneo.* Przełożył Tadeusz Tomiak. Obwolutę projektował Janusz Grabiański. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 251, 5 nl.

Mackiewicz Stanisław — *Stanisław August.* Okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie II; str. 333, 3 nl.

Adam Mickiewicz. Zarys bibliograficzny. Opracowali: Irmina Śliwińska, Wanda Roszkowska, Stanisław Stupkiewicz. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 353, 3 nl.

Miscellanea literackie. 1864—1910. Pod redakcją Stanisława Pigonia. Okładkę projektował Stanisław Andrzej Cyrano. Wrocław, Zakład im. Ossolińskich, 1957, wydanie I; str. 486, 2 nl.

Ogniwo. 1902—1905. Bibliografia zawartości. Opracowali: Maria Lipska i Roman Loth. Wrocław, Zakład im. Ossolińskiech, 1957, wydanie I; str. XXXIV, 2 nl, 258, 2 nl.

Ondrusz Józef — *Godki śląskie.* Ilustrował Gustaw Fierla. Czeski Cieszyn, Wydawnictwo SLA-PZKO, 1956, wydanie I; str. 201, 5 nl.

Pokorny E. J. — *Narodziny liczby.* Okładkę projektował Mieczysław Kowalczyk. Ilustracje wykonał Mirosław Pokora. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 242, 2 nl.

Putek Józef — *MROKI ŚREDNIOWIECZA. Obyczaje. Przesądy. Fanatyzm. Okrucieństwa i ucisk społeczny w Polsce.* Okładkę projektował Antoni Porębski. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 542, 2 nl.

Ros Jerzy — *Indyjskie wędrówki.* Obwolutę projektował Janusz Grabiański. Fotografie autora. Warszawa, „Iskry", 1957, wydanie I; str. 345, 3 nl.

Straus Stefan — *Bibliografia źródeł do historii teatru w Polsce.* Wrocław, Zakład im. Ossolińskich, 1957, wydanie I; str. X, 2 nl, 495, 1 nl.

Tomaszewski Bohdan — *Halo, tu mikrofony Polskiego Radia w Melbourne.* Okładkę projektował Jan S. Miklaszewski. Zdjęcia: CAF i autor. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 219, 5 nl.

Wolanowski Lucjan — *Cichy front.* Okładkę projektował i opracował graficznie Jan Hollender. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 227, 5 nl.

Zakład im. Ossolińskich. 1827—1956. W dziesięciolecie działalności we Wrocławiu. Wrocław, Zakład im. Ossolińskich, 1956, wydanie I; str. 228, 2 nl, 48 rycin.

0324003

Cena 10 zł

W NASTĘPNYCH NUMERACH UKAŻĄ SIĘ

Wielemir Chlebnikow — Wiersze · James Joyce — Przekłady · Franz Kafka — Miniatury · Jerzy Lisowski — Henry Miller · Bertrand Russell — Wspomnienie o Conradzie · Andrzej Stawar — Boy w czasach młodopolskich · Dylan Thomas — Wiersze